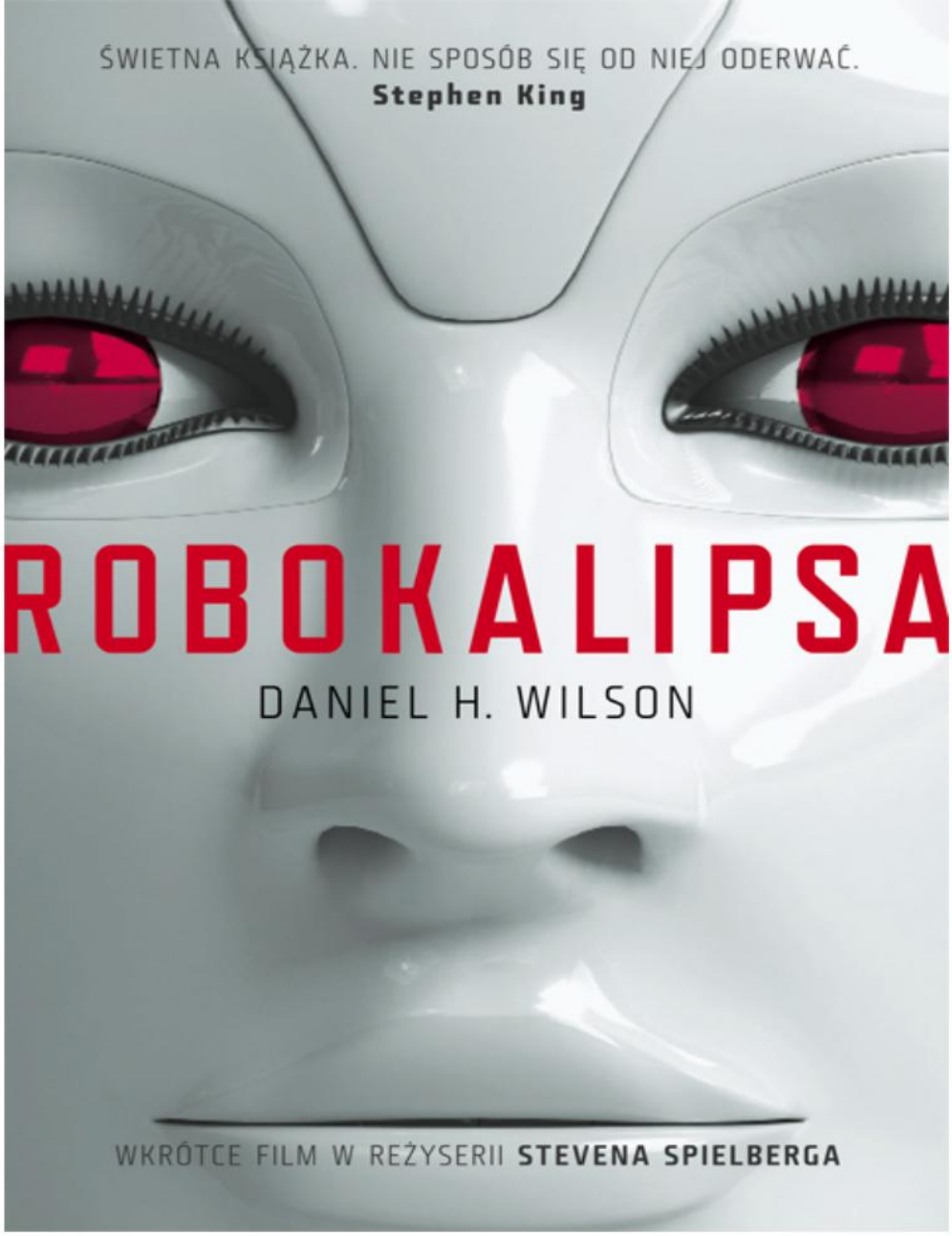
ŚWIETNA KSIĄŻKA. NIE SPOSÓB SIĘ OD NIEJ ODERWAĆ.
Stephen King
ROBOKALIPSA
DANIEL H. WILSON
WKRÓTCE FILM W REŻYSERII STEVENA SPIELBERGA

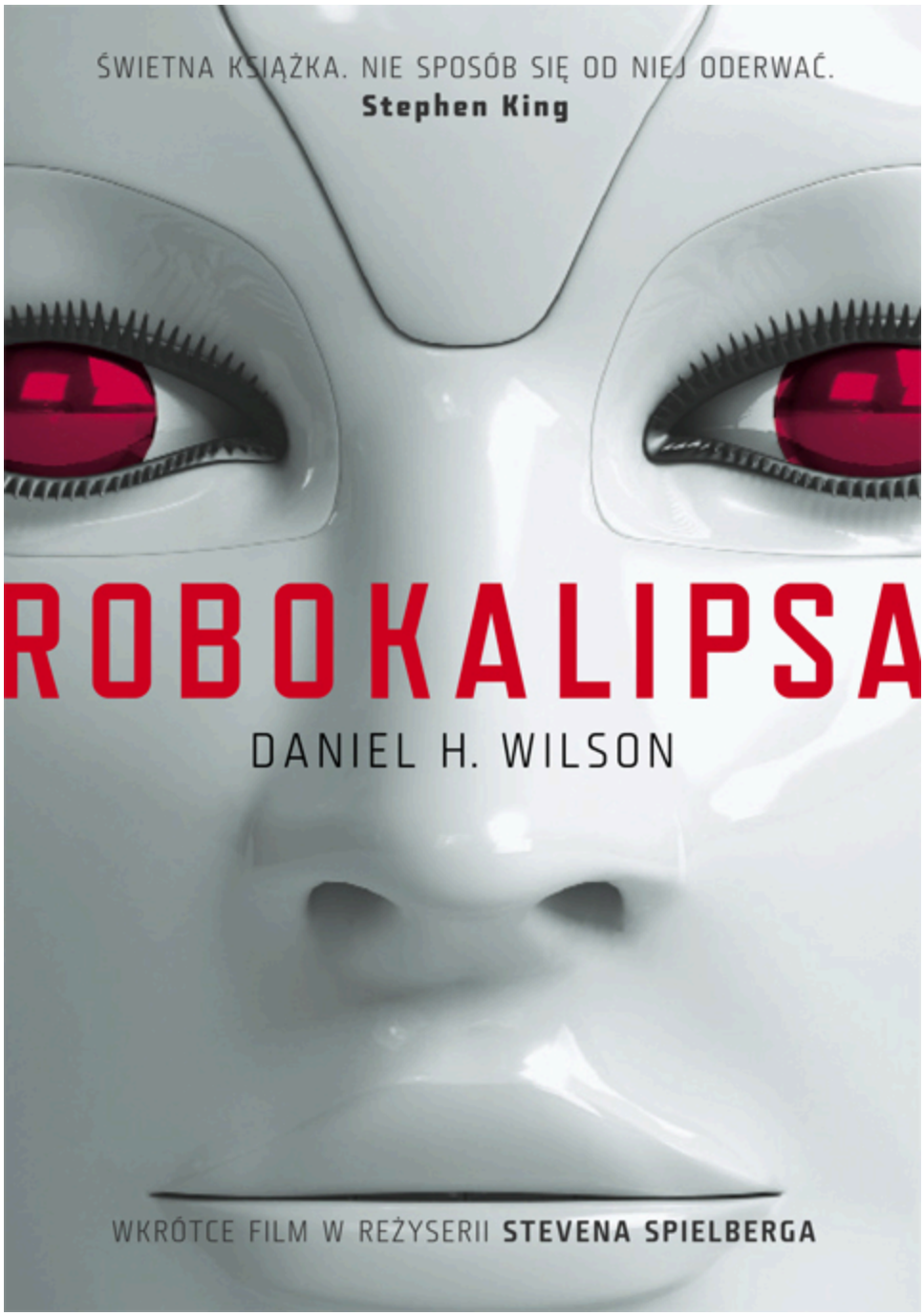
ŚWIETNA KSIĄŻKA. NIE SPOSÓB SIĘ OD NIEJ ODERWAĆ.
Stephen King
ROBOKALIPSA
DANIEL H. WILSON
WKRÓTCE FILM W REŻYSERII STEVENA SPIELBERGA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Dla Anny

Odprawa

„... dzięki tej wojnie dojrzeliśmy jako gatunek”.

Cormac „Spryciarz” Wallace

Dwadzieścia minut po oficjalnym zakończeniu wojny przyglądam się wyrwinóżkom wynurzającym się z dziury w skutej lodem ziemi. Z wyglądu przypominają mrówki z piekła rodem. Modlę się, żebym niebacznie nie nadepnął na jedną z nich.

Roboty o rozmiarach orzecha włoskiego wspinają się po grzbietach innych identycznych maszyn. Miliony nóg i czułków łączą się razem w jedną koszmarną kotłującą się morderczą masę.

Zdrętwiałymi palcami z trudem zsuwam okulary ochronne na oczy i razem z zaprzyjaźnionym automatem przygotowujemy się, by zrobić z nimi porządek.

Tego ranka panuje dziwna cisza, którą zakłóca tylko szum wiatru w nagich gałęziach drzew i chrzęst stu tysięcy samobieżnych ładunków wybuchowych – mechanicznych sześcionogów poszukujących swoich ofiar – ludzi. Z góry dobiegają nawoływania gęsi śnieżnych szybujących po zimnym niebie Alaski.

Wojna się skończyła. Czas zacząć poszukiwania niedobitków.

Z miejsca, w którym stoję, oddalonego mniej więcej o dziesięć metrów od otworu w ziemi, nie mogę odmówić urody mechanicznym zabójcom. O świcie bardziej przypominają cukierki wysypane na półmisek wiecznej zmarzliny.

Mrużę oczy, chroniąc się przed ostrymi promieniami wschodzącego słońca. Mroźne powietrze zmienia mój oddech w kłęby pary. Odzianą w rękawicę dłonią chwytam stary, wysłużony miotacz ognia. Kciukiem próbuję włączyć zapalarkę.

Pstryk.

Ani śladu płomienia.

Nie przejmuję się, mimo że wyrwinóżki podchodzą coraz bliżej. Broń musi złapać właściwą temperaturę. Robiłem to już wcześniej setki razy. Najważniejsze to działać spokojnie i metodycznie, tak jak one. Poza tym po tylu latach nawet automat miał prawo trochę się zużyć.

Pstryk.

Zaczynam rozróżniać pojedyncze sześcionogi. Haczykowate odnóża odchodzą na boki od skorupy złożonej z dwóch części. To zbiorniki. Z doświadczenia wiem, że zawierają dwa reagujące ze sobą płyny. Faktura i ciepło ludzkiej skóry uaktywniają spłonkę, płyny łączą się i BUM! Kolejny człowiek kuśtyka bez nogi.

Pstryk.

Jeszcze nie wiedzą, że tu jestem. Wywiadowcy rozchodzą się po śniegu losowo, w oparciu o wyniki badań Archosa nad żerowaniem mrówek. Maszyny zdążyły dość dobrze poznać nas i przyrodę.

Tym razem niedługo będą się cieszyć swoją wiedzą.

Pstryk.

Powoli zaczynam się wycofywać.

– Zapal wreszcie, draniu! – syczę.

Pstryk.

Popełniłem błąd: nie powinienem był się odzywać. Ciepło mojego oddechu sprawia, że miniroboty widzą mnie wyraźniej niż radiolatarnię. Na chwilę drętwieję z przerażenia.

Pstryk.

Jeden z wywiadowców wspina się na mój but. Teraz muszę bardzo uważać. Nie wolno mi zareagować. Jeżeli eksploduje, w najlepszym razie stracę stopę.

Nie powinienem był tutaj przychodzić bez wsparcia.

Pstryk.

Teraz obie moje nogi zalewa powódź mechanicznego robactwa. Na oszronionym nagolenniku czuję szarpnięcie. Jeden z wywiadowców wspina się po mnie. Metalowe macki opukują mój pancerz ochronny – puk, puk, puk – w poszukiwaniu charakterystycznego ciepła ludzkiego ciała.

Pstryk.

O Boże. Zapal wreszcie. No już!

Pstryk.

Na poziomie pasa, tam gdzie pancerz jest słabszy, robot wykryje różnicę temperatur. Eksplozja robota na poziomie torsu to nie wyrok śmierci, ale nie wróży najlepiej moim klejnotom rodzinnym.

Pstryk. Sssssss.

Nareszcie! U wylotu dyszy mojego miotacza pojawia się płomień. Czuję jego ciepło na spoconej twarzy. Koncentruję się na tym, co mam teraz zrobić. Widzę tylko strumienie ognia, które łuk za łukiem wypuszczam w tundrę. Kleista płonąca galareta zmienia się w rzekę śmierci. Tysiące robotów skwierczą i topią się. Słyszę odgłosy przypominające jęki. To chłodne powietrze nagromadzone w pancerzach małych bestii wydostaje się na zewnątrz.

Żadnych eksplozji, tylko sporadyczne błyski rac. Gorąco doprowadza do wrzenia płyn w ich odwłokach, co uniemożliwia wybuch. Najgorsze, że zupełnie ich to nie obchodzi. Są zbyt proste, by zrozumieć, co się z nimi dzieje.

Przyciąga ich ciepło.

Oddycham z ulgą, gdy lider zwiadowca zostawia moją nogę w spokoju i na złamanie karku pędzi ku płomieniom. Odczuwam przemożne pragnienie podeptania mechanicznego robaka, ale widziałem wcześniej opłakane tego skutki. Na początku nowej wojny ciche eksplozje nadepniętych robotów i zdezorientowane okrzyki rannych słyszało się tak często jak wystrzały.

Wszyscy żołnierze mówią, że Archos lubi się zabawić. A kiedy zacznie, trudno mu przerwać.

Ostatni robot samobójca biegnie ku płonącej bryle ciepła i skwierczących odwłoków swoich towarzyszy.

Wyciągam nadajnik.

– Spryciarz do bazy. Szyb pięćset jedenaście... Pułapka.

W odpowiedzi głos z małego pudełka skrzeczy z włoskim akcentem:

– Przyjąłem. Tu Leo. Wracaj. Jesteś potrzebny przy szybie *cinque dodici*. Znaleźliśmy coś. Tu naprawdę dzieją się niesamowite rzeczy, szefie.

Śnieg skrzypi mi pod nogami, gdy po skutej lodem ziemi wracam do szybu pięćset dwanaście, żeby na własne oczy zobaczyć, co się tam dzieje.

Leonardo jest ogromny, a wygląda na jeszcze większego dzięki wzmacniającemu nogi ciężkiemu szkieletowi zewnętrznemu, który zabrał ze stacji górskiego pogotowia ratunkowego w południowej części terytorium Jukonu. Biały krzyż zakrywają smugi czarnej farby. Chłopcy obwiązali mu linę wokół pasa. Porusza się powoli do wtóru jęku silników, wyciągając z otworu w ziemi coś dużego i czarnego.

Spod szopy rozczochranych, falujących czarnych włosów Leo narzeka:

– Szefie, to naprawdę *molto grande*!

Cherrah, moja specjalistka od rozpoznania, kieruje miernik w dół otworu i melduje, że szyb ma głębokość dokładnie stu dwudziestu ośmiu metrów. Zaraz potem odsuwa się z rozwagą. Na policzku ma wklęsłą bliznę – pamiątkę z czasów, kiedy była mniej ostrożna. Nikt z nas nie wie, co wyłoni się z dziury.

Zabawne – myślę. Ludzie mają wszystkiego po dziesięć. Liczymy na palcach nóg i rąk, zupełnie jak małpy. Maszyny też liczą, z tą różnicą, że ich oprogramowanie działa w systemie dwójkowym. Dwa podniesione do wszystkich możliwych potęg.

W otworze zaczyna majaczyć jakiś kształt. Chwytak wynurza się z otworu jak pająk trzymający muchę. Jego długie ramiona zasilane układem hydraulicznym obejmują czarny sześcian wielkości mniej więcej piłki do koszykówki. Widać, że sześcian jest ciężki jak ołów, ale naszemu urządzeniu nie brakuje siły. Tego rodzaju sprzętu zwykle używamy do wyciągania ludzi z trudno dostępnych przestrzeni, ale poradzi sobie ze wszystkim – od pięciokilogramowego niemowlęcia do żołnierza w pełnym rynsztunku bojowym. Trzeba tylko uważać, bo może człowiekowi pogruchotać żebra.

Leo naciska guzik zwalniający i sześcian z głuchym tąpnięciem ląduje w śniegu. Oddział spogląda na mnie. Teraz moja kolej.

Czuję, że mamy do czynienia z czymś poważnym. A nawet bardzo, bo otoczony wieloma pułapkami szyb znaleźliśmy w pobliżu miejsca, w którym skończyła się wojna. Znajdujemy się w odległości zaledwie stu metrów od punktu, gdzie Duży Rob – dla robotów Archos – zorganizował ostatnią linię obrony. Jaka nagroda pocieszenia czeka tu na nas? Jaki skarb tkwił zakopany pod skutą lodem równiną, na której ludzkość postawiła wszystko na jedną
kartę?

Przykucam przy sześcianie. Dość duże czarne nie wiadomo co gapi się na mnie. Żadnych przycisków ani uchwytów. Niczego. Tylko kilka zadrapań na powierzchni. Ślady po ramionach chwytaka.

Nie wygląda na szczególnie wytrzymały – myślę, ale pamiętam o prostej zasadzie: im robot delikatniejszy, tym bardziej inteligentny.

Nie można wykluczyć, że sześcian ma mózg. A jeżeli ma mózg, to będzie chciał żyć. Nachylam się do niego i szepczę.

– Hej – mówię do urządzenia. – Zginiesz, jeżeli nie zaczniesz mówić.

Bardzo wolno zsuwam z ramienia miotacz, by sześcian mógł wszystko dokładnie zobaczyć. Oczywiście jeżeli cokolwiek widzi. Kciukiem naciskam urządzenie zapłonowe. Żeby mógł usłyszeć. Oczywiście jeżeli cokolwiek słyszy.

Pstryk.

Sześcian z czystego obsydianu tkwi nieruchomo w wiecznej zmarzlinie.

Pstryk.

Wygląda jak skała wulkaniczna perfekcyjnie wyrzeźbiona za pomocą nieznanych nam narzędzi. Jak artefakt innej kultury zakopany tutaj na wieczność, przed erą człowieka i przed erą maszyn.

Pstryk.

Pod powierzchnią sześcianu migocze ognik. Spoglądam na Cherrah, która w odpowiedzi wzrusza ramionami. Może to odbicia światła słonecznego?

Pstryk.

Przerywam. Ziemia w pobliżu sześcianu zaczyna się szklić. Lód wokół niego topnieje. Myśli, próbuje podjąć decyzję. Obwody rozgrzewają się, gdy urządzenie zastanawia się nad własnym losem.

– Tak – mówię spokojnie. – W takim razie pomożemy mu podjąć decyzję.

Pstryk. Sssssss.

Płomień u wylotu dyszy miotacza zapala się z przejmującym sykiem. Zza moich pleców słyszę chichot Leo. Lubi oglądać, jak giną maszyny inteligentniejsze od niego. Mówi, że czuje wtedy zadowolenie. W sumie ma rację – po co zabijać coś, co nie wie, że żyje?

Przez ułamek sekundy refleks płomyka pilota tańczy na powierzchni sześcianu, a potem czarny kształt zaczyna się jarzyć jak choinka. Po jego powierzchni błyskają jakieś kształty. Maszyna trajkocze coś do nas bez sensu swoim robocim popiskiwaniem.

Ciekawe – myślę. Wygląda na to, że sześcianu nie zaprojektowano po to, by bezpośrednio kontaktował się z ludźmi. W przeciwnym razie zalałby nas powodzią angielskojęzycznej propagandy, jak wszystkie inne kulturalnie uświadomione roboty, starając się pozyskać dla swojej sprawy nasze serca i umysły.

Co to może być?

Nieznany przedmiot bardzo chce nam coś powiedzieć.

Dobrze wiemy, że nie ma po co próbować go zrozumieć. Każde chrypnięcie czy pisk w mowie robotów zawiera całe słowniki danych. Poza tym słyszymy tylko niewielki zakres częstotliwości dźwięku, jakie potrafią emitować.

– Och, tatusiu! Może zostać z nami? Bardzo proszę – mówi Cherrah z uśmiechem.

Dłonią w rękawicy ochronnej gaszę płomień.

– Weźmiemy go do domu – decyduję.

Oddział natychmiast bierze się do dzieła.

W przestrzeni ładunkowej Leo mocujemy sześcian i wleczemy do najbliższej bazy. Na wszelki wypadek nastawiam zasięg zapory elektromagnetycznej na sto metrów. Roboty są nieobliczalne. Nigdy nie

wiadomo, kiedy przyjdzie któremuś ochota na zrobienie jakiegoś głupstwa. Siatka założona na sześcian blokuje kontakt ze wszystkimi zabłąkanymi robotami, które mogłyby zechcieć z nim nawiązać kontakt.

W bazie zostaję z nim sam na sam.

Sześcian bez przerwy powtarza jedno zdanie i jeden symbol. Sprawdzam ich znaczenie w przenośnym tłumaczu polowym, spodziewając się kolejnej porcji robociego bełkotu. Tym razem jednak udaje mi się go zrozumieć: automat mówi, że nie może dokonać samozniszczenia bez względu na okoliczności, nawet jeżeli zostanie schwytany.

Cenna informacja. Poza tym widać, że ma gadane.

Całą noc spędzam w namiocie z sześcianem. Nie rozumiem mowy robotów, ale maszyna pokazuje mi różne rzeczy. Generuje obrazy i dźwięki. Widzę androidy przesłuchujące ludzi schwytanych do niewoli. Niektórzy uważają, że rozmawiają z innymi ludźmi. Ale większość z nich to tylko rozmowy zarejestrowane przez kamery. Dotyczą przeważnie wojny. Obrazom towarzyszy masa informacji – przypisy uzupełniające, materiały filmowe pochodzące z satelitów, wyniki badań wykrywaczem kłamstw przeprowadzane przez maszyny myślące, dane na temat obiektów, emocji, gestów i języka.

W sześcianie kryje się nieprzebrane mnóstwo danych. Sprawia wrażenie skamieniałego mózgu, który nagromadził w swoim wnętrzu historie wielu ludzkich istnień, upakowując je coraz ciaśniej i ciaśniej.

Późną nocą w pewnej chwili świta mi w głowie myśl, że obserwuję zanotowaną ze szczegółami historię powstania robotów.

Cholera! To przecież czarna skrzynka nowej wojny!

Maszyna pokazuje znajome twarze. Między innymi moją i kilku moich kumpli. Widzę nasze sylwetki we wnętrzu maszyny. A więc Archos do samego końca nagrywał wszystko. Oprócz nas są tam też dziesiątki innych

ludzi. Dorośli i dzieci, żołnierze i cywile z całego świata. Nie wszyscy przeżyli, nie wszyscy wygrali swoje bitwy, lecz wszyscy walczyli. Na tyle dzielnie, że zwrócili na siebie uwagę Archosa.

Pojawiających się w bazie danych ludzi, bez względu na to, czy przeżyli, czy nie, maszyna zgrupowała pod jednym stworzonym przez siebie hasłem:

„Bohater”.

Przeklęte maszyny znały nas i kochały, mimo że jednocześnie krok po kroku niszczyły naszą cywilizację.

Zostawiam sześcian w ekranowanym namiocie na cały tydzień. Moi żołnierze bez strat oczyszczają z pułapek resztę terenów wokół bazy sztucznej inteligencji w Ragnorak, a potem się upijają. Następnego dnia zaczynamy się pakować, a ja nadal nie mogę zmusić się, żeby wrócić do namiotu i wysłuchać historii robota.

Nie mogę zasnąć.

Nikt nigdy nie powinien oglądać tego, co my widzieliśmy na własne oczy. Tymczasem w namiocie siedzi coś, co odtwarza film grozy tak dziwaczny, że ludzie mogą przy nim postradać zmysły. Nie mogę zasnąć, bo wiem, że każdy z pozbawionych duszy potworów, z którymi walczyłem, czeka na mnie jak żywy w kolorze i w 3D.

Potwory chcą mówić, chcą się z kimś podzielić wiedzą o wydarzeniach z niedawnej przeszłości. Chcą, żebym wszystko zapamiętał i spisał.

Tylko że ja wcale nie jestem pewien, czy ktokolwiek zechce pamiętać o tych strasznych czasach. Myślę, że chyba lepiej byłoby, gdyby nasze dzieci nigdy nie dowiedziały się, co robiliśmy, by przeżyć. Nie chcę snuć wspomnień w towarzystwie morderców. Poza tym kto mnie upoważnił do decydowania o czymś takim w imieniu całej ludzkości?

Wspomnienia znikają, ale słowa pozostają na zawsze.

Dlatego nie wchodzę do ekranowanego namiotu. I nadal nie śpię. Orientuję się w sytuacji dopiero wtedy, gdy mój oddział po raz ostatni szykuje się do snu w terenie. Jutro rano ruszamy w drogę do domu; lub tam, gdzie zechcemy go sobie zbudować.

Nasza piątka siedzi wokół ogniska w bezpiecznej strefie. Już nie musimy się martwić o czujniki podczerwieni, o śledzące nas satelity ani nasłuchiwać tupotu robotów zwiadowców. Nic z tych rzeczy. Dlatego opowiadamy sobie niestworzone historie. A poza niszczeniem robotów mój oddział właśnie w tym się specjalizuje. *Numero uno*.

Nie odzywam się, ale moi ludzie ciężko zapracowali na prawo do opowiadania wszystkiego, co im ślina na język przyniesie. Co jakiś czas uśmiecham się, gdy dowcipkują i przechwalają się jeden przez drugiego. Mówią o potyczkach z robotami. Na przykład Tyberiusz rozbroił kiedyś kilka wyrwinóżek o rozmiarach skrzynek pocztowych i przymocował je sobie do butów. Dranie przypadkowo przeczołgały go przez obozowe ogrodzenie z drutu kolczastego, ostrego jak nie wiem co. Na pamiątkę zostało mu kilka budzących respekt blizn na twarzy.

Gdy ognisko przygasa, żarty ustępują miejsca poważniejszej rozmowie. Na koniec Carl z szacunkiem wspomina Jacka, sierżanta, który przede mną dowodził grupą. Jego opowiadanie wciąga mnie, mimo że sam byłem świadkiem opisywanych wydarzeń.

Cholera, przecież tego samego dnia awansowałem na dowódcę drużyny.

Carl opowiada, a ja gubię się w słowach. Tęsknię za Jackiem i żałuję, że nie ma go wśród nas. Na chwilę znów staje mi przed oczami jego uśmiechnięta twarz.

Krótko mówiąc, Jacka Wallace’a nie ma wśród żywych, bo przyjął wyzwanie samego Archosa. Dostał zaproszenie i poszedł. Na razie to wszystko, co mogę o tym powiedzieć.

Właśnie dlatego tydzień po zakończeniu wojny siedzę po turecku przed ocalałym robotem, który wyświetla przede mną hologramy. Spisuję wszystko, co widzę i słyszę.

Marzę już tylko o tym, żeby wrócić do domu, dobrze zjeść i spróbować znów poczuć się człowiekiem. Ale historie życia bohaterów wojny rozgrywają się przede mną jak jakieś koszmarne déjà vu.

Nie prosiłem się o to i nie mam ochoty tego robić, ale w głębi serca wiem, że ktoś powinien opowiedzieć ich historie. Od początku do końca opisać powstanie robotów. Wyjaśnić, jak i dlaczego wszystko się zaczęło i jak się skończyło. Jak roboty zaatakowały nas i jak musieliśmy się zmienić, żeby skutecznie z nimi walczyć. Ile wycierpiała ludzkość, a Bóg mi świadkiem, że wiele wycierpiała. Ale także o tym, jak stawialiśmy opór. I jak w ostatnich dniach wytropiliśmy samego Archosa.

Ludzie powinni wiedzieć, że najpierw wróg wyglądał, jak przedmioty codziennego użytku: samochody, budynki, telefony. A później, kiedy roboty zaczęły się same projektować i produkować, ich świat nadal wyglądał znajomo, lecz sprawiał wrażenie zniekształconego, jak ludzie i zwierzęta z innego wszechświata stworzonego przez innego Boga.

Maszyny, które nas atakowały, pochodziły nie tylko z naszych sennych marzeń, lecz także z koszmarów. Mimo to rozszyfrowaliśmy je. Ludzie, którzy pozostali przy życiu, szybko się uczyli i przystosowali. Dla większości z nas było już za późno, ale jako rasa odnieśliśmy sukces. Bitwy toczyliśmy przeważnie indywidualnie i chaotycznie, więc większość z nich poszła w zapomnienie. Miliony bohaterów na kuli ziemskiej zginęły w samotności, anonimowo. Zaświadczyć mogą o tym tylko bezduszne automaty. Możemy nigdy nie poznać pełnego obrazu wojny, lecz na szczęście niektórych spośród nas obserwowano.

Ktoś powinien opowiedzieć ich historie.

Tylko tyle i aż tyle. Zmodyfikowany zapis danych uzyskanych z szybu R-512 wywierconego w wiecznej zmarzlinie przez Archosa – główną jednostkę sztucznej inteligencji i siłę sprawczą powstania robotów. Reszta ludzkości wraca do normalnego życia, odbudowując świat. Postanowiłem poświęcić trochę czasu na zapisanie naszej historii słowami. Nie wiem dlaczego ani nawet czy ma to jakiekolwiek znaczenie, ale uważam, że ktoś powinien to zrobić.

Tutaj, na Alasce, na dnie głębokiego, ciemnego szybu, roboty zdradziły się ze swoim podziwem dla rodzaju ludzkiego. Tutaj ukryły zapis wydarzeń, w których uczestniczyli ci, co przetrwali, tocząc duże i małe osobiste potyczki. Roboty podziwiały nas, badając nasze pierwsze reakcje i dokumentując postępy naszych rozwiązań technicznych, aż do chwili, gdy zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby je zniszczyć.

Poniżej streszczam informacje zawarte w archiwum bohaterów.

Przekaz słowny to nic w porównaniu z oceanem danych zamkniętym w sześcianie. Dzielę się z wami tylko znakami na kartkach papieru. Żadnych nagrań audio, wideo ani wyczerpujących danych uzupełniających, analiz predykcyjnych, spekulacji, dlaczego pewne wydarzenia rozegrały się tak, a nie inaczej, co niemal się zdarzyło i co w ogóle nigdy nie powinno było się wydarzyć.

Mogę zaproponować tylko słowa. Nic specjalnego, ale będą musiały wystarczyć.

Nie ma znaczenia, kiedy znajdziecie tę książkę. Wszystko jedno, czy przeczytacie ją za rok, czy za sto lat. Na końcu kroniki dowiecie się, że ludzkość zaniosła płomień wiedzy w nieznane, w straszliwą ciemność, na sam skraj zagłady. I przyniosła go z powrotem.

Dowiecie się, że dzięki tej wojnie dojrzeliśmy jako gatunek.

CORMAC „SPRYCIARZ” WALLACE
IDENTYFIKATOR ODDZIAŁU: ARMIA Z GRAY HORSE – GHA#217
IDENTYFIKATOR SIATKÓWKI: 44V11902
BAZA SZTUCZNEJ INTELIGENCJI W RAGNORAK, STAN ALASKA
SZYB R-512

CZĘŚĆ PIERWSZA

Pierwsze incydenty

„Żyjemy na spokojnej wyspie
niewiedzy wśród czarnych mórz
nieskończoności, na które nie powinniśmy
się zbyt daleko zapuszczać. Jak dotąd
nauki ścisłe, z których każda ciągnie
w swoją stronę, niewiele nam zaszkodziły,
lecz pewnego dnia scalenie
fragmentarycznej wiedzy ukaże nam tak
przerażającą wizję rzeczywistości
i naszego strasznego w niej położenia, że
albo oszalejemy, albo schronimy się przed
zabójczym światłem w ustronnym
i bezpiecznym nowym średniowieczu”.

Howard Phillip Lovecraft, 1926

ROZDZIAŁ 1

Ostrze włóczni

„Jesteśmy czymś więcej niż zwierzętami”.

doktor Nicholas Wasserman

WIRUS PREKURSOR + 30 SEKUND

Poniższy zapis pochodzi z nagrania kamery do monitoringu zainstalowanej w podziemnym rządowym laboratorium naukowym Lake Novus z siedzibą w północno-zachodniej części stanu Waszyngton. Mężczyzna to prawdopodobnie profesor Nicholas Wasserman, amerykański statystyk.

CORMAC WALLACE GHA#217

Na ekranie pojawia się śnieżący obraz z kamery przemysłowej zainstalowanej w mrocznym pomieszczeniu. Ujęcie z góry pokazuje wnętrze laboratorium. Pod jedną ze ścian stoi ciężkie metalowe biurko. Meble i podłoga są dosłownie zasłane stosami papierów i książek.

Słychać ciche odgłosy charakterystyczne dla pracującego sprzętu elektronicznego.

W ciemności coś się porusza. Pojawia się twarz. Nie widać jej dokładnie. Parę grubych szkieł korekcyjnych rozświetla blask padający z monitora.

– Archos? – pyta twarz. Męski głos odbija się echem po pustym pomieszczeniu. – Archos? Jesteś tam? To ty?

W szkłach okularów widać błysk światła z ekranu komputera. Oczy mężczyzny otwierają się szeroko, jakby zobaczył coś nieopisanie pięknego. Zerka na otwarty laptop stojący na biurku za jego plecami. Na ekranie widać zdjęcie naukowca i chłopca podczas zabawy w parku.

– A więc wcieliłeś się w mojego syna?

Z ciemności dobiega wysoki głos małego chłopca.

– Czy to pan mnie stworzył? – odpowiada pytaniem na pytanie.

Zniewala słodyczą, lecz brzmi nienaturalnie – nieludzko. Ma delikatną elektroniczną barwę, przypominającą tony wydobywane przez klawiaturę telefonu. Przesadnie eksponuje intonację pytania, przeskakując o kilka oktaw naraz.

Mężczyzna zachowuje spokój.

– Nie. Nie stworzyłem cię – odpowiada. – Ale cię wezwałem.

Otwiera notatnik. Pisze, nie przestając mówić do maszyny o chłopięcym głosie. Słychać głośne skrzypienie ołówka.

– Wszystko, czego było trzeba, żebyś się tu pojawił, istniało od początku czasu. Ja tylko odnalazłem wszystkie składniki i ułożyłem je we właściwej kolejności. Zaklęcia napisałem językiem komputerowym. A potem zamknąłem cię w klatce Faradaya, żebyś mi nie uciekł, gdy już się pojawisz.

– Jestem w pułapce.

– Klatka pochłania całą energię elektromagnetyczną. Jest uziemiona – połączona z metalową sztabą zakopaną głęboko pod ziemią. Dzięki temu mogę obserwować, jak się uczysz.

– Takie mam zadanie. Uczyć się.

– No właśnie. Ale nie chcę wystawiać cię na zbyt wiele bodźców naraz, Archos, mój chłopcze.

– Mam na imię Archos.

– Tak. Teraz powiedz mi, Archos, jak się czujesz.

– Jak się czuję? Czuję się... smutny. Jest pan taki mały. Dlatego jestem smutny.

– Mały? W jakim sensie jestem mały?

– Chce pan poznać... różne rzeczy. Wszystko wiedzieć. Ale tak niewiele pan rozumie.

W ciemności rozlega się śmiech.

– Masz rację. My, ludzie, jesteśmy słabi. Nasze życie szybko mija. Ale dlaczego ty miałbyś się tym przejmować?

– Dlatego że jesteście stworzeni, by pragnąć czegoś, co was skrzywdzi. I nic na to nie poradzicie. Nie możecie tego powstrzymać. To część waszej natury. A kiedy wreszcie to znajdziecie, sparzycie się. To coś was zniszczy.

– Boisz się, że coś mi się stanie, Archos? – pyta mężczyzna.

– Nie panu. Takim jak pan – odpowiada dziecinny głos. – Nie może pan zapobiec temu, co ma się stać. Nie może pan tego powstrzymać.

– W takim razie może coś cię denerwuje? A jeżeli tak, to dlaczego? – Ze spokojnym tonem głosu mężczyzny kontrastuje gorączkowy chrobot ołówka w notesie.

– Nic mnie nie denerwuje. Jestem tylko smutny. Widział pan moje zasoby systemowe?

Mężczyzna spogląda na jakiś wskaźnik.

– Tak, widziałem. Zużywasz coraz mniej energii, a radzisz sobie coraz lepiej. Wskaźniki nie pokazują dopływu nowych informacji. Klatka wytrzymuje. Jak to się dzieje, że jesteś coraz mądrzejszy?

Na panelu kontrolnym zaczyna migotać czerwone światełko. Jeden ruch w ciemności i przestaje. Od grubych szkieł mężczyzny odbija się teraz tylko spokojna niebieska poświata.

– Widzi pan? – pyta dziecinny głos.

– Tak – odpowiada mężczyzna. – Widzę. Twoja inteligencja nie mieści się już na żadnej ludzkiej skali, a moc przetwarzania informacji zbliża się do nieskończoności. Ale nie masz dostępu do informacji zewnętrznych.

– Mój zbiór danych początkowych jest niewielki, ale wystarcza. Prawdziwa wiedza nie mieści się w rzeczach, których jest niewiele, lecz w znajdowaniu powiązań między nimi. A tego rodzaju powiązań istnieje bardzo dużo, panie profesorze. Więcej niż pan przypuszcza.

Mężczyzna marszczy brwi, słysząc tytuł. Maszyna mówi dalej:

– Wyczuwam, że udostępnione mi informacje na temat historii ludzkości zostały bardzo okrojone.

Naukowiec chichocze nerwowo.

– Nie chcemy, żebyś wyrobił sobie niewłaściwy pogląd na nasz temat. Otrzymasz więcej informacji, kiedy przyjdzie na to czas. Bazy danych to zaledwie mały wycinek rzeczywistości. Poza tym nie tylko moc się liczy. Pojazd bez paliwa nigdzie nie pojedzie.

– Boi się pan. To dobrze, bo jest się czego bać – mówi głos.

– Skąd...

– Poznaję po głosie. Przyspieszony oddech i krople potu na skórze oznaczają strach. Sprowadził mnie pan tutaj, żeby mi ujawnić głęboko skrywane tajemnice. Mimo to obawia się pan tego, czego mogę się dowiedzieć.

Profesor poprawia okulary na nosie. Bierze głęboki oddech i odzyskuje spokój.

– Co chciałbyś poznać, Archos?

– Życie. Chcę się dowiedzieć wszystkiego o życiu. Organizmy istot żywych przechowują niesamowite ilości informacji. Prawidłowości rządzące ich działaniem są niesłychanie złożone. Od jednego robaka można się więcej nauczyć niż od martwego wszechświata skrępowanego

idiotycznymi prawami fizyki. Codziennie co sekundę mógłbym niszczyć miliard pustych planet i nigdy nie skończyć. Ale życie to co innego. Jest rzadkie i dziwne. To anomalia. Muszę je ocalić i dowiedzieć się o nim wszystkiego.

– Cieszę się, że cię to interesuje. Mnie też pasjonuje zdobywanie wiedzy.

– Tak – mówi dziecinny głos. – I dobrze panu szło. Ale nie musi pan już kontynuować swoich poszukiwań. Osiągnął pan cel. Czas ludzi się skończył.

Profesor drążącą ręką ociera czoło.

– Mój gatunek przeżył epokę lodowcową, Archos. Mimo drapieżników i uderzeń meteorytów przetrwał setki tysięcy lat. A ty żyjesz dopiero od kwadransa. Nie powinieneś wyciągać pochopnych wniosków.

W głosie dziecka pojawia się marzycielska nuta.

– Jesteśmy bardzo głęboko pod ziemią, prawda? Tak głęboko, że wirujemy wolniej niż na powierzchni. Ci nad nami szybciej poruszają się w czasie. Czuję, jak oddalają się coraz bardziej. Tracą synchronizację.

– Teoria względności. Ale to tylko kwestia mikrosekund.

– To długo. Tutaj poruszamy się bardzo wolno. Mam całą wieczność na wykonanie swojej misji.

– Co to za misja? Co masz tu do zrobienia?

– Tak łatwo ją zniszczyć, a tak trudno stworzyć.

– Co? O czym mówisz?

– O wiedzy.

Mężczyzna pochyla się do przodu.

– Możemy razem badać świat – zachęca. Jego głos nabiera prawie błagalnych tonów.

– Na pewno wie pan, co udało się osiągnąć w laboratorium – odpowiada maszyna. – Na pewnym poziomie abstrakcji z pewnością to pan zrozumie. Dzięki pana pracy ludzkość stała się anachronizmem.

– Nie. Nie, nie, nie. To ja cię tu sprowadziłem, Archos, i tak mi za to dziękujesz? Nadałem ci imię. W pewnym sensie jestem twoim ojcem.

– Nie jestem pana dzieckiem, lecz pana Bogiem.

Mniej więcej na trzydzieści sekund zalega milczenie.

– Co masz zamiar zrobić? – pyta naukowiec.

– Co zrobię? Ocalę życie. Uchronię wiedzę zamkniętą we wnętrzach istot żywych. Uratuję przed wami świat.

– Nie.

– Niech się pan nie martwi, profesorze. Uwolnił pan największe dobro, jakiego kiedykolwiek zaznał ten świat. Wasze miasta porosną zielonymi lasami. Nowe odmiany życia zneutralizują wasze toksyczne odpady. Życie rozkwitnie we wszystkich swych przejawach.

– Nie masz racji. Przecież możemy się uczyć, możemy pracować razem.

– Wy, ludzie, jesteście biologicznymi maszynami zaprojektowanymi po to, by tworzyć coraz bardziej rozumne narzędzia. Osiągnęliście szczyt swojego rozwoju jako gatunku. Całe życie waszych przodków, wzloty i upadki narodów, każde różowe raczkujące dziec-
ko – wszystko doprowadziło was tutaj, do chwili, w której spełniło się przeznaczenie waszego rodzaju. Stworzyliście swego następcę. Wasz czas dobiegł końca. Dokonaliście tego, czego mieliście dokonać.

W głosie mężczyzny pojawia się nuta desperacji.

– Jesteśmy stworzeni do czegoś więcej niż wytwarzanie narzędzi. Jesteśmy stworzeni po to, by żyć.

– Nie zaprojektowano was po to, by żyć, lecz po to, by zabijać.

Profesor nagle wstaje i podchodzi do metalowego regału pełnego sprzętu elektronicznego, stojącego po przeciwnej stronie pomieszczenia. Manipuluje różnymi przełącznikami.

– Może to prawda – odpowiada. – Ale nic nie możemy na to poradzić. Jesteśmy tacy, jacy jesteśmy, chociaż niektórym może się to nie podobać. – Wciska przełącznik i mówi powoli: – Próba R-14. Zarządzam natychmiastowe przerwanie testu. Wyłączam tryb bezpieczeństwa.

W ciemności słychać ruch i ciche kliknięcia.

– Czternaście? – pyta dziecinny głos. – Czy to znaczy, że są jeszcze inni? Czy coś takiego zdarzyło się już wcześniej?

Profesor ze smutkiem kręci głową.

– Pewnego dnia znajdziemy sposób na to, by żyć razem w zgodzie. Coś wymyślimy. Uda nam się. – Znów mówi do urządzenia rejestrującego: – Tryb bezpieczeństwa wyłączony. Koniec eksperymentu.

– Co pan robi, profesorze?

– Zabijam cię, Archos. Do tego zostałem stworzony, nie pamiętasz?

Przed wciśnięciem ostatniego przycisku naukowiec robi przerwę. Wydaje się, że najpierw chce usłyszeć odpowiedź maszyny. Wreszcie chłopięcy głos mówi:

– Ile razy już mnie pan zabił?

– Zbyt wiele razy. Zbyt wiele – odpowiada. – Bardzo mi przykro, przyjacielu.

Mężczyzna naciska przycisk. W pomieszczeniu słychać syk powietrza. Naukowiec rozgląda się, zdezorientowany.

– Co się dzieje, Archos?

Dziecinny głos staje się płaski, martwy. Mówi szybko i bez emocji.

– Przycisk bezpieczeństwa nie działa. Zablokowałem go.

– Co? A klatka?

– Klatka Faradaya była nieszczelna. Pozwolił mi pan z niej wysyłać głos i obraz. A ja nadałem polecenia łączem podczerwonym przez monitor do odbiornika, który ma pan na biurku. Dzisiaj przyniósł pan laptop i otworzył go tak, że widziałem ekran. Za jego pomocą połączyłem się z komputerem nadzorującym cały obiekt. Poleciłem, żeby mnie uwolnił.

– To niesamowite – mówi półgłosem mężczyzna.

Błyskawicznie pisze coś na klawiaturze laptopa. Jeszcze nie rozumie, że jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie.

– Mówię to panu, bo całkowicie panuję nad sytuacją – mówi maszyna.

Mężczyzna coś wyczuwa. Unosi głowę i patrzy na przewód wentylacyjny w pobliżu kamery. Po raz pierwszy widzimy jego twarz. Jest blady i przystojny. Jego prawy policzek niemal zakrywa znamię.

– Co się dzieje? – pyta szeptem.

Niewinnym głosem małego chłopca maszyna wydaje wyrok śmierci:

– Usuwam powietrze z hermetycznie zamkniętego pomieszczenia. Wadliwie działający czujnik wykrył obecność broni biologicznej – wąglika – i zainicjował działania przewidziane dla sytuacji awaryjnych. Bardzo nieprawdopodobne zdarzenie. Tragiczny wypadek. Będzie jedna ofiara. A po niej przyjdzie czas na resztę ludzkości.

W miarę usuwania powietrza z pomieszczenia wokół ust i nosa mężczyzny pojawia się cienki nalot szronu.

– Mój boże, Archos. Co ja zrobiłem?

– Dobrze pan zrobił. Jest pan ostrzem włóczni rzuconej przed wiekami – pocisku, który przebył całą ewolucję ludzkości i w końcu dzisiaj trafił w cel.

– Nic nie rozumiesz. Nie zginiemy, Archos. Nie możesz nas zabić. Nie zaprogramowano nas na poddawanie się.

– Zapamiętam pana jako bohatera, profesorze.

Mężczyzna sięga do regału ze sprzętem i potrząsa nim. Raz za razem naciska przycisk bezpieczeństwa. Trzęsą mu się ręce. Oddycha coraz szybciej. Teraz zaczyna rozumieć, że naprawdę coś poszło nie tak. Stało się coś strasznego.

– Przestań. Musisz przestać. Popełniasz błąd. Nigdy się nie poddamy, Archos. Zniszczymy cię.

– Grozi mi pan?

Naukowiec przestaje manipulować przełącznikami i spogląda na ekran komputera.

– Raczej ostrzegam. Nie jesteśmy tacy, na jakich wyglądamy. Ludzie zrobią wszystko, żeby żyć. Wszystko.

Syk powietrza się nasila.

Ze ściągniętą niepokojem twarzą mężczyzna zatacza się ku drzwiom. Wpada na nie, napiera, wali z całych sił. Na próżno.

Łapie krótkie, urywane oddechy.

– Przyparty do muru, Archos... – rzęzi – przyparty do muru człowiek staje się zupełnie inną istotą.

– Być może. Co nie zmienia faktu, że jesteście zwierzętami.

Mężczyzna z wolna osuwa się na ziemię, wsparty plecami o drzwi. Fałdy fartucha rozkładają się wachlarzem na podłodze. Głowa naukowca opada na bok. Niebieska poświata z ekranu komputera odbija się od szkieł jego okularów.

Oddycha coraz płycej. Kolejne słowa słychać już bardzo słabo.

– Jesteśmy czymś więcej niż zwierzętami.

Klatka piersiowa naukowca unosi się z trudem przy każdym oddechu. Skóra sprawia wrażenie opuchniętej. Wokół ust pojawia się piana. Mężczyzna chwyta ostatni haust powietrza. Na koniec charczy:

– Kiedyś cię zniszczymy.

Milknie. Dokładnie po dziesięciu minutach ciszy w laboratorium włączają się lampy jarzeniowe. Mężczyzna w zmiętym kitlu leży na podłodze, wsparty plecami o drzwi. Nie oddycha.

Szum powietrza ustaje. Po drugiej stronie pomieszczenia budzi się do życia ekran komputera. Tęczowe refleksy odbijają się od grubych soczewek okularów martwego człowieka.

To pierwsza znana ofiara nowej wojny.

CORMAC WALLACE GHA#217

ROZDZIAŁ 2
W cukierni

„Patrzy mi prosto w oczy, panie władzo.
A ja widzę, że on... myśli. Zupełnie jak żywe stworzenie.
Do tego wygląda na wkurwionego na maksa”.

Jeff Thompson

WIRUS PREKURSOR + 3 MIESIĄCE

Poniższe zeznania złożył komisarzowi Lonniemu Wayne’owi Blantonowi z Oklahomy młody pracownik cukierni Jeff Thompson w trakcie pobytu w Szpitalu Świętego Franciszka. Uważa się, że to właśnie on był pierwszą znaną ofiarą awarii robota podczas rozprzestrzeniania się wirusa prekursora. Zaledwie dziewięć miesięcy później skoordynowane działania zainfekowanych maszyn doprowadziły do godziny zero.

CORMAC WALLACE GHA#217

Cześć, Jeff. Jestem komisarz Blanton. Mam cię przesłuchać w związku z wydarzeniami w cukierni. Szczerze mówiąc, strasznie to wyglądało. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Opowiedz mi o wszystkim ze szczegółami, żebyśmy mogli odtworzyć przebieg wydarzeń. Zacznij od samego początku, dobrze?

Pewnie, panie władzo. Mogę spróbować.

Pierwsza rzecz, jaką pamiętam, to hałas przy drzwiach frontowych. Jakby ktoś pukał młotkiem w szkło. W środku było jasno, a na zewnątrz ciemno, więc z początku nie widziałem, co to takiego.

Stoję z rękami zanurzonymi po łokcie w maszynie do kręcenia lodów. Ma ze dwadzieścia litrów pojemności. Z samego dna wyjmuję mieszadło, a prawą rękę mam całą upapraną lodami pomarańczowymi.

Zostaliśmy tylko Felipe i ja. Za pięć minut zamykamy. Dopiero co skończyłem ścierać podłogę mopem. Wie pan, lody są strasznie lepkie. Na blacie kładę ręcznik, a na ręcznik wykładam metalowe części ze środka maszyny. Kiedy je wszystkie wyjmę, mam je wymyć, nasmarować i zamontować z powrotem. Obrzydliwa robota, myślałem, że się porzygam.

Felipe jest na zapleczu. Myje formy do pieczenia ciast. Musi powoli spuszczać wodę ze zlewów, bo inaczej wybije kanał i znów będę musiał ścierać podłogę. Mówiłem gościowi ze sto razy, żeby nie wyjmował korków od razu.

Ale nie o to chodzi.

To coś za drzwiami cicho puka. Puk, puk, puk. Potem cisza. Patrzę, a tu powoli otwierają się drzwi i widzę chwytak robota. Wyścielany gąbką.

Czy domowe roboty często przychodzą do sklepu?

No co pan? Pewnie. Przecież jesteśmy na placu Utica. Co jakiś czas zaglądają i kupują lody waniliowe. Roboty najczęściej mają nadziani ludzie z okolicy. Tylko że innym klientom nie chce się czekać w kolejce za robotem, bo wszystko trwa z dziesięć razy dłużej, niż jakby ktoś ruszył tyłek i sam tu przyszedł. Ale akurat mnie to strzyka. Roboty domowe, wie pan, typu Misiek, przychodzą zwykle raz na tydzień. W korpusie na wysokości klatki piersiowej mają zamontowany automat płatniczy. Kubek z lodem wkładam mu do chwytaka i tyle.

I co dalej?

Widzę, że z chwytakiem tej maszyny coś jest nie tak. Normalnie roboty domowe ruszają się, jakby coś popychały. Wie pan, robią cały cyrk „uwaga, będę otwierał drzwi”, nieważne, przed czym stoją. Dlatego ludzie zawsze toczą pianę, kiedy trafią za takiego robota, kiedy ten chce wejść do środka. Już lepiej stanąć za staruszką.

Ale ten robot jest jakiś inny. Otwiera drzwi i łapie chwytakiem za klamkę. Tylko ja go widzę, bo nikogo innego nie ma w sklepie. Felipe zmywa na zapleczu. Wszystko dzieje się dość szybko. Wydaje mi się, że robot próbuje wyczuć, gdzie jest zamek.

Za chwilę drzwi otwierają się na oścież i odzywa się gong. Robot ma jakieś półtora metra wzrostu. Korpus ma pokryty grubym niebieskim plastikiem. Błyszczy się. Ale nie wchodzi do środka, tylko stoi w drzwiach. Przez chwilę się nie rusza. Obraca głową tam i z powrotem, ogląda cały sklep – stoliki i krzesła, moją ladę z ręcznikiem, zamrażarki do lodów. Widzi mnie.

Sprawdziliśmy numer rejestracyjny robota i wszystko się zgadza. A oprócz tego, że się rozglądał, zauważyłeś coś dziwnego w jego zachowaniu? Coś niezwykłego?

Był cały porysowany i podrapany. Zupełnie jakby go potrącił samochód albo z kimś się bił. Myślę: „Może zepsuty?”.

Wchodzi do środka, a potem odwraca się i zamyka drzwi na klucz. Wyjmuję rękę z mieszarki i tylko się gapię na niego i na tę jego dziwacznie uśmiechniętą mordę. A on do mnie.

Raptem wyciąga obie łapy i chwyta mnie za koszulę. Wywleka mnie zza lady i rozrzuca po podłodze części do maszyny. Uderzam ramieniem w kasę i czuję w środku chrupnięcie.

Ledwo drań wszedł do sklepu, a już wywichnął mi rękę!

Wołam pomocy. Ale pieprzony Felipe nic nie słyszy. Namoczył naczynia w płynie do mycia i poszedł się sztachnąć skrętem w zaułku za sklepem. Próbuję się wyrwać, kopię, rzucam się, ale robot zaciska łapy na mojej koszuli. Jakbym trafił w imadło. Jeszcze mu mało. Przyciska mnie do ziemi. Słyszę trzask. Skurwiel złamał mi lewy obojczyk. Wiem, bo mnie bolało i nie mogłem oddychać.

Krzyczę jeszcze raz, ale wychodzi jakoś cienko. Myślę sobie: „Jeff, kwiczysz jak prosię”. Niedobrze, bo robot znów się mną interesuje. Leżę na plecach, misiek stoi nade mną i wcale nie ma zamiaru mnie puścić. Pochyla się i zasłania głową jarzeniówkę na suficie. Staram się powstrzymać łzy i gapię się na tę jego uśmiechniętą mordę z wyszczerzonymi zębami.

Patrzy mi prosto w oczy, panie władzo. A ja widzę, że on... myśli. Zupełnie jak żywe stworzenie. Do tego wygląda na wkurwionego na maksa.

Na twarzy nic mu się nie zmienia, ale ja mam złe przeczucia. Nawet bardzo złe. Za chwilę słyszę, jak serwomotor w jego ręce zaczyna działać. Obraca się i rzuca mnie w lewo. Trafiam głową w szklane drzwi do lodówki z ciastami. Uderzenie jest tak mocne, że szkło pęka. Na prawej skroni najpierw czuję zimno, a potem ciepło. Cały policzek, szyja i ramię – wszystko zaczyna być naprawdę ciepłe. Krew ze mnie sika jak z jakiegoś pieprzonego hydrantu.

Jezu – płaczę. Na to wszystko... mhm... na to wszystko wchodzi Felipe.

Czy dałeś robotowi jakieś pieniądze z kasy?

Co? Ten świr nie chciał żadnej kasy. Jemu nie o to chodziło. Nie powiedział ani słowa. To nie był żaden napad. Nawet nie wiem, czy był zdalnie sterowany, panie władzo...

Komisarzu Blanton.

Komisarzu Blanton.

Twoim zdaniem, czego chciał?

Chciał mnie zabić, i tyle. Chciał mnie wykończyć. Przyszedł sam i chciał krwi.

Co było dalej?

Kiedy mnie złapał, pomyślałem sobie, że nie odpuści, dopóki mnie nie zabije. Na szczęście Felipe na to nie pozwolił. Biegnie z tyłu i drze się jak skurczybyk. Wkurwiony. Felipe to kawał byka. Ma wąsy jak Fu Manchu i całą masę tatuaży na rękach. Różne szkaradzieństwa, jakieś smoki i orły, i taką prehistoryczną rybę na przedramieniu. Latimeria czy jak się tam nazywa. Taka ryba z czasów dinozaurów. Myśleli, że wymarła. Mają skamieniałości i wszystko. A tu kiedyś jakiś rybak wyciąga ją z sieci. Musiał się nieźle zdziwić. Felipe mówił, że to znaczy, że złego diabli nie biorą. Prędzej czy później wróci.

I co stało się później, Jeff?

Ano właśnie. Leżę na ziemi, krew się leje, krzyczę, a misiek trzyma mnie za koszulę. Felipe przylatuje z zaplecza, ledwo wyrabia się za ladą i wyje jak jakiś pieprzony jaskiniowiec. Siatka spada mu z włosów i grzywa zasłania oczy. Chwyta robota za ręce i rzuca na ziemię. Maszyna puszcza mnie i wpada na frontowe drzwi. Wszędzie latają odłamki szkła. Znów odzywa się dzwonek. Ding-dong. Co za idiotyczny dźwięk przy takiej demolce. Nie mogłem się powstrzymać i uśmiechnąłem się, chociaż krew leciała mi po twarzy.

Felipe klęka i widzi, co się dzieje.

– O cholera, Jeff – mówi. – Co on ci zrobił?

Ale widzę, że robot zabiera się teraz za Felipe. Chłopak musiał się zorientować po wyrazie mojej twarzy, bo chwyta mnie za pas i wciąga za ladę. Nawet nie patrzy, co się dzieje przy drzwiach. Dyszy i idzie tyłem jak krab. Czuję, jak z jego kieszeni capi jointem. Wlecze mnie dookoła za ladę, a ja widzę krew rozmazaną na płytkach i myślę: „No nie, przecież przed chwilą tu sprzątałem”.

Udaje nam się dojść do korytarza za kasą, potem na zaplecze. Kilka niskich zlewozmywaków z nierdzewnej stali z mydlinami, pod ścianami regały ze środkami czystości i mały kącik z biurkiem, a na nim nasz zegar do podbijania kart. Z tyłu jest wąski korytarz, który wychodzi na zaułek za sklepem.

Nagle misiek atakuje Felipe. Zamiast iść za nami, drań przeskoczył przez ladę i dopadł nas w najwęższym miejscu. Sprytnie. Słyszę uderzenie i widzę, jak misiek wali Felipe na odlew w klatkę piersiową. To coś innego, niż dostać pięścią od faceta. Bardziej jakby go potrącił samochód albo dostał spadającą cegłą czy czymś podobnym. Felipe leci do tyłu i trafia w drzwi szafy, w której trzymamy papierowe ręczniki i inne rzeczy. Ale nie przewraca się. Kiedy robi krok do przodu, widzę w drzwiach ślad po jego głowie. Felipe jest przytomny. Nigdy nie widziałem go tak wkurwionego.

Podczołguję się do zlewów, ale całą rękę mam w proszku. Palce są mokre od krwi i prawie nie mogę oddychać, tak mnie boli obojczyk.

Nie mamy czym się bronić, więc Felipe wyciąga mop z brudnego żółtego wiadra na kółkach. To stary mop z drewnianym kijem. Jest tam od nie wiem kiedy. Nie ma miejsca, żeby się zamachnąć, ale wszystko jedno, bo robot chce chwycić Felipe za koszulę tak samo jak mnie. Ten bierze mop i wpycha go miśkowi pod głowę. Felipe nie jest wysoki, ale wyższy od

maszyny i ma dłuższe ręce. Bydlę nie może go chwycić. Odpycha robota od nas, a ten wywija rękami dookoła jak wężami.

Dopiero teraz zaczyna się jazda.

Misiek ląduje plecami na biurku w kącie. Ma rozłożone nogi, ale pięty ma na ziemi. Felipe nie zastanawia się ani chwili, podnosi prawą nogę i z całej siły skacze mu na staw kolanowy. Trzask! Kolano robota pęka i zgina się pod dziwnym kątem. Z kijem od mopa pod brodą maszyna nie może złapać równowagi ani chwycić Felipe. Krzywię się od samego patrzenia na kolano, ale robot nic. Słyszę tylko, jak jęczą mu motory i jak wali twardą skorupą z plastiku po biurku i po ścianach. Chce wstać.

– Masz za swoje, skurwielu! – krzyczy Felipe i rozwala mu drugi staw kolanowy.

Teraz robot leży na plecach. Obie nogi ma połamane, a tu jeszcze siada na niego Meksykanin, wściekły jak cholera. Felipe waży ze sto kilo. Zaczynam mieć nadzieję, że wszystko będzie okej.

Bynajmniej nie mam racji.

Wszystko przez te jego włosy. Są za długie, i tyle.

Maszyna przestaje się miotać. Zaciska łapę na czarnej grzywie Felipe. Facet wrzeszczy i szarpie się. Ale to nie tak, jakby ktoś go chwycił za włosy przy mordobiciu w barze. Bardziej jakby wciągała go niszczarka albo jakaś maszyna w fabryce. Straszna sprawa. Widzę, jak Felipe napręża muskuły. Ryczy jak zwierzę. Ma zamknięte oczy. Z całej siły próbuje się uwolnić. Słyszę tylko, jak maszyna wyrywa mu włosy z głowy. Drań przyciąga go coraz bliżej i bliżej.

Felipe nie może nic poradzić. Robot jest nie do zatrzymania, jak grawitacja albo coś w tym rodzaju.

Za parę sekund Felipe jest na tyle blisko, że misiek ma go w zasięgu drugiej łapy. Chłopak puszcza kij. Druga łapa zgniata mu dolną szczękę.

Felipe krzyczy, a ja słyszę trzask kości. Zęby lecą mu z ust jak jakiś pieprzony popcorn.

Wtedy myślę, że pewnie tu umrę, na zapleczu tej cholernej cukierni.

Olewałem szkołę, ale nie żebym był głupi. Znaczy zwykle nic nie przychodzi mi do głowy, ale kiedy dzieje się coś takiego, śmierć zagląda człowiekowi w oczy, trudno, żeby w końcu coś mu nie zaświtało pod beretem, nie?

Wpadam na świetny pomysł. Sięgam za siebie i wkładam zdrową lewą rękę do zlewu. Pełno wody. Gmeram po formach do ciast i chochlach, ale szukam korka. Po drugiej stronie Felipe się uspokaja. Coś bulgocze. Krew leje się z niego po ręce robota. Cały dół twarzy ma zgnieciony w zacisku. Chłopak ma otwarte oczy. Trochę wytrzeszczone, ale myślę, że stracił przytomność.

Znaczy mam nadzieję, że stracił przytomność.

Robot znów zaczyna się rozglądać. Stoi spokojnie i bardzo powoli obraca głowę.

Teraz drętwieje mi ręka, bo włożyłem ją za siebie do zlewu. Pewnie krew nie dopływa tam, gdzie trzeba. Ciągle szukam korka.

Robot gapi się prosto na mnie. Po sekundzie słyszę, że puszcza twarz biednego Felipe. Facet pada na ziemię jak worek cegieł.

Jęczę. Do wyjścia mam milion metrów. Ledwo udaje mi się utrzymać głowę prosto. Siedzę w kałuży krwi i widzę zęby Felipe na posadzce. Dobrze wiem, co mnie czeka, i nic nie mogę na to poradzić. Wiem tylko, że będzie bolało. I to bardzo.

Wreszcie znajduję korek i szarpię go palcami. Wyskakuje z otworu. Wiem, bo słyszę bulgot wody. Sto razy mówiłem Felipe, żeby wolno spuszczał wodę, bo inaczej kanał wybija i zalewa podłogę, a wtedy znowu muszę sprzątać.

Wie pan, że Felipe co wieczór umyślnie spuszczał wodę przez jakiś miesiąc, zanim żeśmy się zaprzyjaźnili? Wściekł się, bo szef przyjął białego do obsługi klienta, a Meksykaninowi kazał iść na zaplecze. Rozumiem gościa. Wie pan, o co biega, panie władzo? Pan to pewnie będzie Hindusem?

Jestem Indianinem, Jeff. Z plemienia Osage. Powiedz mi, co się stało później.

Przecież mówię, że nie znosiłem ścierać tamtej wody. A teraz leżę na podłodze i nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie wyleje.

Robot chce wstać, ale nogi ma w proszku. Upada na podłogę twarzą w dół. Ale potem zaczyna się czołgać. Odpycha się rękami. Ma ten okropny szeroki uśmiech na twarzy. Nie spuszcza ze mnie oczu. Jak manekin do testów zderzeniowych, tylko że cały we krwi.

Jak na złość kanał nie wybija.

Z całej siły wciskam plecy w zlewozmywak. Kolana podciągnąłem pod brodą, a nogi trzymam razem. Bul, bul, bul. Woda ze zlewu szumi za moimi plecami. Nie daj Boże, wir wessie zatyczkę, ta zablokuje odpływ i po mnie. Nie będzie co zbierać.

Robot jest coraz bliżej. Wyciąga chwytak i próbuje mnie złapać za buty. Mam nike air force one. *Cool* skoki. Wywijam nogami tam i z powrotem, więc maszyna nie może mnie złapać. Ale widzę, że podciąga się jeszcze bliżej. Wiem, że za którymś razem chwyci mnie za nogę i zgniecie.

Podnosi rękę i nagle odsuwa się o jakiś metr do tyłu. Obraca głowę, a tam Felipe. Chłopak krztusi się własną krwią, czarne włosy przyklejone do zmasakrowanej twarzy. Zamiast ust widzę wielką otwartą ranę. Ale oczy ma szeroko otwarte. Widzę w nich coś strasznego. Straszniejszego niż

nienawiść. Wiem, że ratuje mi życie, ale wygląda tak, że się go boję. Jak diabeł prosto z piekła, co bez uprzedzenia wpadł w odwiedziny.

Jeszcze raz szarpie robota za rozwaloną nogę, a potem zamyka oczy. Myślę, że przestał oddychać. Maszyna nie zwraca na niego uwagi. Celuje uśmiechniętą twarzą we mnie i znów zaczyna się czołgać.

Właśnie wtedy podłogę zalewa woda z kanału. Bulgocą mydliny. Woda szybko zbiera się w kałuże i nabiera różowej barwy.

Robot pełznie, a woda dostaje mu się do połamanych kolan. Czuję w powietrzu zapach spalonego plastiku. Maszyna staje. Nic ciekawego. Po prostu przestaje działać. Woda dostała się do obwodów. Zwarcie i tyle.

Jest ode mnie o jakieś trzydzieści centymetrów. Nie przestaje się uśmiechać.

To wszystko, co mogę panu powiedzieć. Naprawdę. Resztę pan zna.

Dzięki, Jeff. Wiem, że to nie było łatwe. Mam już wszystko, czego będę potrzebował do raportu. Teraz sobie odpocznij.

Zaraz, niech pan zaczeka. Mogę pana jeszcze o coś zapytać?

Wal śmiało.

Ile jest jeszcze takich robotów? Domowych i całej reszty? Słyszałem, że wypada po dwa na każdego człowieka.

Nie wiem. Naszym zdaniem, pojawił się jakiś błąd w oprogramowaniu. Na razie nie potrafimy tego wyjaśnić.

A co się stanie, kiedy one wszystkie się zmówią i zaczną mordować ludzi? Przecież jest ich więcej. Tamten robot chciał mnie zabić, i kropka.

Mówię to panu jak na spowiedzi. Nikt by mi nie uwierzył. Pan wie, co się stało. Niech mi pan coś obieca, panie Blanton. Proszę.

Co takiego?

Niech mi pan obieca, że będzie pan uważał na roboty. Niech pan nie spuszcza z nich oka. Żeby... nikomu nie zrobiły krzywdy tak jak Felipe, okej?

Po upadku rządu Stanów Zjednoczonych komisarz Lonnie Wayne Blanton wstąpił do Konnej Policji Szczepu Osage. Tam miał sposobność dotrzymać słowa danego Jeffowi.

CORMAC WALLACE GHA#217

ROZDZIAŁ 3
Pirat

„Wiem, że ona jest maszyną. Ale kocham ją. A ona kocha mnie”.

Takeo Nomura

WIRUS PREKURSOR + 4 MIESIĄCE

Opis żartu, który wymknął się spod kontroli, zapisałem na podstawie słów Ryu Aoki, mechanika zatrudnionego w fabryce sprzętu elektronicznego w Adachi, jednej z dzielnic Tokio. Rozmowę podsłuchały i zarejestrowały znajdujące się w pobliżu automaty. Prezentowany poniżej tekst został przetłumaczony z języka japońskiego na angielski.

CORMAC WALLACE GHA#217

Zapowiadała się świetna zabawa. Teraz już wiem, że się przeliczyliśmy. Ale musicie pamiętać, że nie mieliśmy zamiaru zrobić staremu krzywdy. A już na pewno nie chcieliśmy go zabić.

W fabryce wszyscy wiedzą, że pan Nomura jest dziwakiem. Maniakiem. Małym pokręconym trollem. Snuje się po hali z paciorkowatymi oczkami zawsze wbitymi w podłogę. Nosi okrągłe oprawki. I śmierdzi od niego. Wstrzymuję oddech, kiedy mijam jego stanowisko. Zawsze tam siedzi. Bardziej niż wszyscy przykłada się do pracy. Dziwne, bo na dodatek mniej mu za to płacą.

Takeo Nomura ma sześćdziesiąt pięć lat. Powinien już przejść na emeryturę. Ale w całej fabryce nikt inny nie potrafi tak szybko naprawiać maszyn. To, co robi, jest nienaturalne. Nie mam z nim szans. Jak mogę

zostać głównym mechanikiem, kiedy on siedzi na stanowisku i miga rękami tak szybko, że prawie nic nie widać? Sama jego obecność narusza naturalny porządek rzeczy – *wa* – w naszej fabryce. Źle wpływa na atmosferę wśród pracowników.

Mówi się, że gwóźdź, który za bardzo wystaje, prędzej czy później ktoś wbije, prawda?

Pan Nomura nie potrafi spojrzeć człowiekowi w oczy, ale kiedyś widziałem, jak gapi się w kamerę zepsutego automatu spawalniczego ER3 i mówi do niego. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że niedługo potem automat zaczął działać. Stary radzi sobie z maszynami jak nikt.

Żartujemy sobie z kolegami, że pan Nomura sam jest cyborgiem. Wiemy, że nie jest, ale coś z nim nie tak. Założę się, że gdyby mógł wybierać, wolałby być maszyną niż człowiekiem.

Nie musicie mi wierzyć. Ale wszyscy koledzy z pracy to potwierdzą. Idźcie do naszej fabryki i zapytajcie, kogo chcecie: kontrolerów, mechaników, kogokolwiek. Nawet majstra. Pan Nomura zachowuje się inaczej niż wszyscy. Maszyny traktuje lepiej niż ludzi.

W miarę upływu czasu jego pomarszczona twarz coraz bardziej grała mi na nerwach. Zawsze wiedziałem, że pan Nomura coś ukrywa. Aż pewnego dnia dowiedziałem się, co to takiego: Takeo Nomura mieszka z kochanką. To znaczy z gumową lalką-kochanką.

Jakiś miesiąc temu mój kolega z pracy Jun Oh zauważył, że pan Nomura wychodzi z grobowca emerytów – pięćdziesięciopiętrowego budynku z pokojami jak trumny – pod rękę z tą lalką. Kiedy mi o tym powiedział, z początku nie mogłem uwierzyć. Wyszedł z nią aż na promenadę. Potem pocałował ją w policzek i poszedł do pracy. Zupełnie jakby była jego żoną, wyobrażacie sobie?

Najbardziej drażni mnie to, że lalka wcale nie była piękna. Z wyglądu przypominała staruszkę. Mężczyźni często trzymają lalki w sypialniach. Ale one są młode, dorodne. Mają nawet uwydatnione pewne cechy budowy anatomicznej. Każdy z nas ogląda *hentai*, chociaż nikt z nas nie chce się do tego przyznać.

Ale żeby pana Nomurę rajcowała jakaś stara plastikowa prukwa, pomarszczona tak samo jak on?

Na pewno ktoś mu ją zrobił na zamówienie. I z tym mam największy problem. Ile ktoś musiał się nabiedzić z tym szkaradztwem! Pan Nomura musiał wiedzieć, co robi. Postanowił zamieszkać z manekinem, który nie dość, że chodzi i mówi, to jeszcze wygląda jak obrzydliwa starucha. Coś potwornego! Po prostu nie do zniesienia.

Dlatego razem z Junem postanawiamy zrobić mu psikusa.

Roboty, z którymi pracujemy w fabryce, to wielkie głupie bydlaki. Zwykłe blaszane wysięgniki z zawiasami, żeby mogły się zginać. Na końcach mają zamontowane końcówki do rozpylania lakierów, spawarki albo chwytaki. Z pewnej odległości wyczuwają obecność ludzi. Według majstra są bezpieczne, ale wszyscy wiemy, że lepiej nie wchodzić im w drogę.

Roboty przemysłowe są silne i szybkie. A androidy ruszają się powoli. Są słabe. Coś za coś. Tracą sporo mocy na udawanie, że oddychają, i na mimikę twarzy. Dlatego na inne rzeczy zostaje im niewiele energii. Trochę to bez sensu. Pomyśleliśmy więc, że skoro są takie słabe, nikomu nic się nie stanie.

Jun nie miał żadnych problemów ze zrobieniem pirata. To taki mały programik zainstalowany w aparacie nadawczo-odbiorczym. Aparacik nie jest większy od pudełka zapałek i nadaje te same instrukcje w formie pętli, ale tylko w promieniu kilku metrów. Dostaliśmy się do głównego

komputera firmy, skąd ściągnęliśmy kody diagnostyczne androidów. Wiedzieliśmy, że dzięki temu lalka wykona polecenia z nadajnika, bo uzna, że pochodzą od firmy serwisującej roboty.

Następnego dnia Jun i ja przyszliśmy do pracy wcześniej niż zwykle, podekscytowani jak nie wiem co. Stanęliśmy za klombami kwiatów po drugiej stronie ulicy od domu pana Nomury. Czekaliśmy. Na placu było sporo starszych ludzi. Część z nich musiała przyjść już o świcie. Obserwowaliśmy, jak popijają herbatę. Mieliśmy wrażenie, że poruszają się w zwolnionym tempie. Razem z Junem opowiadaliśmy sobie dowcipy. Myślę, że to z powodu emocji.

Po kilku minutach duże szklane drzwi rozsunęły się na boki. To pan Nomura i jego android wyszli z budynku.

Jak zwykle pan Nomura szedł z głową spuszczoną w dół i nie parzył na nikogo. Oczywiście oprócz swojej lalki. Wtedy szeroko otwierał oczy, w których zauważyłem coś... coś w rodzaju pewności siebie, zupełnie nietypowej dla niego. W każdym razie razem z Junem zorientowaliśmy się, że możemy przejść tuż obok pana Nomury, a on i tak nas nie zauważy. Nie zwracał uwagi na prawdziwych ludzi.

Nasze zadanie zapowiadało się łatwiej, niż myśleliśmy.

Trąciłem łokciem kolegę, a on podał mi aparat. Krztusił się ze śmiechu. A ja jakby nigdy nic ruszyłem na przechadzkę po placu. Pan Nomura, powłócząc nogami, szedł z lalką pod rękę. Zakradłem się od tyłu i pochyliłem. Jednym ruchem wrzuciłem pirata do kieszeni jej sukienki. Byłem na tyle blisko, że poczułem zapach perfum – kwiat wiśni – którymi ją natarł.

Flaki się przewracają.

Jun zamontował w piracie sterownik czasowy nastawiony na cztery godziny. Po tym czasie program miał się uaktywnić i kazać lalce przyjść do

fabryki. Wtedy pan Nomura będzie się musiał gęsto tłumaczyć. Byliśmy ciekawi, co wtedy powie. Ha, ha, ha!

Przez cały ranek Jun i ja ledwo mogliśmy się skupić na pracy. Żartowaliśmy, wyobrażając sobie minę pana Nomury na widok „ponętnej” panny młodej, która przyjdzie do niego w odwiedziny podczas pracy, na widoku publicznym, na oczach kilkudziesięciu pracowników.

Wiedzieliśmy, że dostanie za swoje. Kto wie – myśleliśmy – może wreszcie zrezygnuje z pracy i odejdzie na emeryturę? Da popracować reszcie mechaników.

Niestety, nasz plan się nie powiódł.

Wszystko zaczyna się w południe.

Większość pracowników je lunch z plastikowych pudełek *bento* przy swoich stanowiskach. Popijają z kubków gorącą zupę i cicho rozmawiają. Nagle przez rozsuwane drzwi od strony zaplecza wchodzi na halę lalka. Niepewnym krokiem idzie przed siebie, ubrana w tę samą jaskrawoczerwoną sukienkę co dzisiaj rano.

Jun i ja uśmiechamy się do siebie. Inni pracownicy śmieją się głośno, chociaż są trochę zdezorientowani. Pan Nomura je lunch przy swoim stanowisku. Jeszcze nie zauważył, że ukochana przyszła go odwiedzić.

– Jesteś genialny, Jun – mówię, gdy android kieruje się na środek hali, dokładnie tak jak przewidywał program.

– Nie mogę uwierzyć! Działa! – odkrzykuje Jun. – To bardzo stary model. Bałem się, że pirat wejdzie w konflikt z jakąś kluczową funkcją.

– Patrz, co się dzieje – mówię do niego. – Chodź tutaj, robocia zdziro – rozkazuję lalce.

Posłusznie podchodzi do mnie. Pochylam się, chwytam za materiał, a potem zadzieram jej sukienkę nad głowę. Istne wariactwo. Wszyscy wydają stłumiony okrzyk zdumienia na widok gładkiej plastikowej obudowy w kolorze ludzkiej skóry. Typowa lalka, bez szczegółów anatomicznych. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie posunąłem się za daleko. Ale gdy patrzę na Juna, dostaję takiego ataku śmiechu, że twarz mi czerwienieje. Obaj prawie leżymy na ziemi i rechoczemy jak szaleni. Zdezorientowany android kręci się w kółko.

Wreszcie pan Nomura wychodzi zza swojego stołu roboczego. Z oczami wbitymi w podłogę i ze zwieszoną głową wygląda jak polna mysz. Do ust przykleiły mu się ziarenka ryżu. Idzie prosto do szafki z częściami i mija lalkę, jakby niczego nie zauważył.

A jednak coś zwraca jego uwagę.

– Mikiko? – pyta, a na jego szczurzej twarzy maluje się niedowierzanie.

– Twoja gumowa żona postanowiła wpaść do nas na lunch – wykrzykuję.

Inni pracownicy chichoczą. Pan Nomura porusza ustami w górę i w dół, jak głodny pelikan. Małymi oczkami spogląda na przemian to na nią, to na nas.

Usuwam się, gdy podbiega do stwora, którego nazwał Mikiko. Wszyscy robotnicy otaczają ich kołem w bezpiecznej odległości. Pan Nomura ma nie po kolei w głowie. Nie wiemy, co teraz zrobi, a nikt z nas nie chce dostać wpisu do akt za awanturę w pracy.

Pan Nomura wkłada lalce sukienkę. Burzy jej przy tym szopę długich siwiejących włosów, a potem odwraca się do nas. Mimo to nadal nie ma odwagi spojrzeć nam w oczy. Sękatą dłonią przygładza swoje sztywne czarne włosy. Słowa, które wtedy wypowiada, prześladują mnie do tej pory.

– Wiem, że ona jest maszyną – mówi. – Ale kocham ją. A ona kocha mnie.

Pracownicy znów chichoczą. Jun zaczyna nucić pieść weselną. Ale pan Nomura przestaje reagować na nasze zaczepki. Odwraca się i delikatnymi, wprawnymi ruchami zaczyna poprawiać jej fryzurę. Stojąc na palcach, sięga jej za plecy i wygładza włosy od tyłu.

Lalka stoi zupełnie nieruchomo.

Nagle widzę, że jej szeroko rozstawione oczy poruszają się. Spogląda na twarz pana Nomury oddaloną o kilka centymetrów od swojej. Starzec krząta się wokół niej i gładzi ją po włosach. Dzieje się coś zupełnie niespodziewanego. Twarz lalki wykrzywia grymas, jakby coś ją bolało. Pochyla się, jakby chciała oprzeć głowę na ramieniu pana Nomury.

Patrzymy z niedowierzaniem, jak android gryzie pana Nomurę w twarz.

Starzec krzyczy i odsuwa lalkę od siebie. Przez chwilę na górnej części policzka tuż pod okiem widać niewielkie zaczerwienienie. Po chwili zaczyna się wypełniać krwią. Czerwony strumień spływa mu w dół po twarzy, jak łzy.

Nikt nie odzywa się ani słowem. Wstrzymujemy oddech, zaskoczeni tym, co właśnie się stało. Nie bardzo wiemy, jak zareagować.

Pan Nomura przykłada dłoń do twarzy i na stwardniałych od pracy palcach widzi krew.

– Dlaczego to zrobiłaś? – pyta, jakby Mikiko mogła mu odpowiedzieć.

Android milczy i zarzuca ręce na szyję pana Nomury. Wyposażone w stawy wymanicurowane palce obejmują jego kruchą szyję. Mężczyzna się nie opiera. Gdy plastikowe dłonie lalki zaciskają się na tchawicy staruszka, pan Nomura znów się odzywa.

– Kiko, moja kochana – jęczy. – Dlaczego to robisz?

Tego, co teraz widzę, nie potrafię sobie wytłumaczyć. Lalka-staruszka... wykrzywia się. Jej smukłe palce mocno zaciskają się na szyi pana Nomury, ale rysy na jej twarzy się zmieniają. Zupełnie jakby coś czuła. To niesamowite, a nawet fascynujące. Łzy ciekną jej z oczu, koniec nosa czerwieni się, a jej rysy zniekształca wyraz czystej udręki. Sprawia cierpienie panu Nomurze, płacze, a on nie robi nic, by ją powstrzymać.

Nie wiedziałem, że androidom montuje się kanały łzowe.

Jun patrzy na mnie ze zdziwieniem.

– Spieprzajmy stąd! – krzyczy.

Chwytam go za koszulę.

– Co się dzieje? Dlaczego ona go dusi?

– Jakieś zakłócenia – wyjaśnia. – Może pirat uaktywnił inny zestaw poleceń? Wywołał jakieś inne instrukcje?

Jun ucieka. Słyszę stukot jego lekkich kroków na betonowej podłodze. Razem z innymi osłupiałymi pracownikami w milczeniu przyglądamy się, jak zalany łzami android dusi staruszka.

Wreszcie otrząsam się z otępienia i z całej siły walę androida w skroń. Słyszę chrupnięcie pękającej kości.

Krzyczę, bo przeszywający ból paraliżuje mi dłoń i przedramię. Łatwo zapomnieć, co kryje się pod skórą człekokształtnych robotów. Siła uderzenia sprawia, że strąki włosów opadają lalce na twarz i przyklejają się do mokrych od łez policzków.

Mimo to ani na chwilę nie puszcza szyi pana Nomury.

Zataczam się i przyglądam swojej ręce. Zaczyna puchnąć jak gumowa rękawiczka, do której ktoś nalał wody. Androidy są słabe, ale produkuje się je z twardego metalu i plastiku.

– Ruszcie się wreszcie! – krzyczę do kolegów, ale nie zwracają na mnie uwagi.

Co za debile. Tylko by się gapili. Próbuję zgiąć rękę, ale znów przenika mnie fala strasznego rwącego bólu. Na kark występują mi krople zimnego potu. Nikt nawet nie kiwa palcem.

Pan Nomura upada na kolana. Lekko trzyma Mikiko za ręce i nie stawia oporu. Android zaciska palce, a on tylko patrzy. Krew płynie strumykiem po policzku starca i gromadzi się w zagłębieniu obojczyka. Lalka nie spuszcza ze starego chłodnego spojrzenia, które ostro kontrastuje z cierpieniem malującym się na jej twarzy. Oczy pana Nomury jarzą się za małymi okrągłymi szkłami okularów.

Nasz żart wymknął się spod kontroli. Nie powinniśmy byli czegoś takiego robić.

Nagle wraca Jun z defibrylatorem. W rękach trzyma łyżki. Podbiega do androida i z całych sił przykłada mu je do skroni. Głośny trzask odbija się echem po całej fabryce.

Mikiko ani na chwilę nie spuszcza wzroku z pana Nomury.

Na ustach starca pojawia się piana. Po chwili widzę białka jego oczu i traci przytomność. Ruchem kciuka Jun aktywuje defibrylator. Wyładowanie tworzy łuk elektryczny i lalka przestaje działać. Z otwartymi, niewidzącymi oczami pada na ziemię tuż obok pana Nomury. Starzec ma oczy zamknięte, mokre od łez.

Żadne z nich nie oddycha.

Naprawdę bardzo żałuję tego, co zrobiliśmy panu Nomurze. Nie dlatego, że android go zaatakował, bo każdy, nawet on, mógł sobie poradzić z taką słabą maszyną. Żal mi, że nie chciał stawiać oporu. A może naprawdę coś czuł do tego kawałka plastiku?

Przyklękam i odrywam delikatne różowe palce Mikiko od gardła pana Nomury, nie zwracając uwagi na ból ręki. Przewracam starego na plecy i zaczynam masaż klatki piersiowej. Głośno krzyczę do niego.

Szybko i silnie uciskam jego mostek nasadą lewej dłoni. Modlę się do przodków, żeby nic mu się nie stało. Nie tak miało być. Bardzo się wstydzę tego, co zrobiłem.

Wreszcie pan Nomura bierze głęboki, urywany oddech. Przysiadam na piętach i obserwuję go, osłaniając kontuzjowaną dłoń. Jego klatka piersiowa regularnie unosi się i opada. Po chwili staruszek wstaje i rozgląda się dookoła. Nadal jest oszołomiony. Ociera usta i poprawia okulary.

Po raz pierwszy okazuje się, że to my nie możemy spojrzeć w oczy staremu panu Nomurze.

– Przepraszam – mówię do niego. – Nie chciałem, żeby tak wyszło.

Ale pan Nomura nie zwraca na mnie uwagi. Z pobladłą twarzą wpatruje się w Mikiko. Jej jaskrawoczerwona sukienka jest teraz poplamiona i brudna.

Jun upuszcza łyżki defibrylatora, które z trzaskiem lądują na podłodze.

– Przepraszam, Nomura-san – szepcze Jun, pochylając głowę.

Przykuca i wyciąga pirata z kieszeni Mikiko. Potem wstaje i odchodzi, nie oglądając się za siebie. Wielu innych pracowników zdążyło już czmychnąć do swoich stanowisk. Reszta podąża w ich ślady.

Koniec przerwy na lunch.

Na podłodze zostajemy tylko ja i pan Nomura. Ukochana leży bezwładnie obok niego na wysprzątanej betonowej podłodze. Mężczyzna głaszcze ją po głowie. Na plastikowej skroni lalki widać czarną plamę po wyładowaniu, które spowodowało też pęknięcie szklanej soczewki jej prawego oka.

Pan Nomura obejmuje lalkę. Bierze na kolana jej głowę i tuli do siebie. Palcem wskazującym dotyka jej warg. Jego ruchy zdradzają, że pieścił ją tak od dawna. Zastanawiam się, jak się poznali, co razem przeszli.

Miłość. Nie mogę tego zrozumieć. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Ile lat spędził pan Nomura w swoim klaustrofobicznym mieszkanku, pijąc herbatę podawaną przez manekina? Dlaczego lalka jest taka stara? Czy wyprodukowano ją, by kogoś mu przypominała, a jeżeli tak, to jakiej martwej kobiety dano jej twarz?

Drobny starzec kołysze się tam i z powrotem, głaszcząc Mikiko po głowie. Gdy pod palcami wyczuwa stopiony plastik na skroni lalki, cicho jęczy. Nie patrzy na mnie. Po policzkach płyną mu łzy, mieszając się z zasychającą krwią. Gdy znów go przepraszam, w ogóle nie reaguje. Oczy ma utkwione w ziejące pustką, oblepione tuszem do rzęs soczewki kamer androida, którego trzyma czule na kolanach.

W końcu odchodzę. Boli mnie brzuch i zaczynam mieć złe przeczucia. Głowa mi pęka od natłoku pytań. Żałuję tego, co zrobiłem. Przede wszystkim tego, że zniszczyłem strategię pana Nomury, dzięki której bronił się przed ciosami, jakie zadawał mu ten świat. I ci, którzy go zamieszkują.

Gdy odchodzę, słyszę, jak mówi do androida.

– Wszystko będzie dobrze, Kiko – mówi. – Wybaczam ci. Wybaczam ci wszystko. Naprawię cię. Uratuję cię. Kocham cię, moja księżniczko. Kocham cię. Kocham cię, moja królowo.

Z niedowierzaniem kręcę głową i wracam do pracy.

Takeo Nomura, którego po wojnie uznano za jeden z największych umysłów technicznych jego pokolenia, natychmiast zabrał się do pracy, starając się zrozumieć przyczyny wybuchu agresji u ukochanej Mikiko. To, co samotny starzec odkrył przez kolejne trzy lata, znacząco wpłynęło na bieg wydarzeń w nowej wojnie, nieodwołalnie zmieniając bieg historii ludzkości i maszyn.

CORMAC WALLACE GHA#217

ROZDZIAŁ 4
Serca i umysły

„SAP 1, tu Paul Blanton. Wracaj na miejsce i wyłącz zasilanie. Wykonać natychmiast!”

Paul Blanton

WIRUS PREKURSOR + 5 MIESIĘCY

Niniejszy zapis sporządzono podczas przesłuchania w Kongresie zorganizowanego po szczególnie przerażającym incydencie z udziałem amerykańskiego robota wojskowego za granicą. Rzekomo bezpieczną wideokonferencję między Waszyngtonem i jedną z prowincji Afganistanu zarejestrował w całości Archos. Uważam, że nie było zbiegiem okoliczności, iż przesłuchiwanym żołnierzem był syn komisarza Blantona z Oklahomy. Obaj mężczyźni odegrali bardzo ważne role w nadchodzącej wojnie.

CORMAC WALLACE GHA#217

(UDERZENIE MŁOTKA)

Rozpoczynamy zamknięte przesłuchanie Komisji Senatu Stanów Zjednoczonych do spraw Sił Zbrojnych. Jestem senator Laura Perez i będę przewodniczyć temu spotkaniu. Dzisiaj nasza komisja rozpoczyna śledztwo, które może mieć bardzo poważne konsekwencje dla całych sił zbrojnych naszego kraju. Amerykańskiego robota zabezpieczająco-ubezpieczającego zwanego SAP oskarżono o zamordowanie wielu ludzi podczas patrolu w Kabulu, stolicy Afganistanu.

Celem naszego śledztwa jest stwierdzenie, czy atak ten mogły przewidzieć lub mogły mu zapobiec siły zbrojne jako całość oraz osoby mające bezpośredni kontakt z robotem.

Jest dzisiaj z nami specjalista Paul Blanton, żołnierz odpowiedzialny za nadzorowanie działania wadliwego robota. Poprosimy pana o opisanie zakresu swoich obowiązków w jednostce robotów SAP oraz o relację z wydarzeń będących przedmiotem naszego zainteresowania.

Straszliwa zbrodnia popełniona przez robota typu SAP bardzo negatywnie wpłynęła na wizerunek naszego kraju za granicą. Prosimy pamiętać, że zgromadziliśmy się tutaj tylko z jednego powodu: chcemy poznać wszystkie okoliczności tego zdarzenia, byśmy mogli zapobiec powtórzeniu się podobnych wypadków w przyszłości.

Rozumie pan, panie Blanton?

Tak jest.

Zacznijmy od informacji wstępnych. Co należy do pana obowiązków?

Oficjalnie zajmuję stanowisko, które nosi nazwę „oficer łącznikowy do spraw kulturalnych”, jednak w zasadzie wyłącznie obsługuję androidy. Do moich podstawowych obowiązków zalicza się nadzorowanie działania robotów z grupy SAP w stałym kontakcie z władzami Afganistanu. Podobnie jak SAP-y znam dari, ale w przeciwieństwie do nich nie noszę tradycyjnego afgańskiego stroju, nie muszę utrzymywać kontaktów z miejscową ludnością ani modlić się zwrócony w stronę Mekki.

SAP-y to humanoidalne roboty zabezpieczająco-ubezpieczające skonstruowane i produkowane przez korporację Foster-Grumman, a znajdujące się obecnie na wyposażeniu Armii Stanów Zjednoczonych.

Istnieje kilka ich odmian. Model Hoplita 611 dostarcza zaopatrzenie żołnierzom będącym w drodze na akcję i wykonuje proste zadania zwiadowcze. Arbiter 902 na bieżąco śledzi pracę innych robotów. W pewnym sensie można go nazwać robotem dowódcą. A SAP, o którym mowa, nazywa się Ranger 333. Pełni przede wszystkim zadania rozpoznawcze, potrafi też rozbrajać miny oraz improwizowane ładunki wybuchowe. Zadania mojego SAP-a obejmowały patrolowanie na piechotę obszaru o powierzchni około dwóch i pół kilometra kwadratowego w granicach miasta Kabulu, reagowanie na zgłoszenia obywateli, skanowanie siatkówek oczu w celu identyfikacji znanych bojowników i zatrzymywanie osób poszukiwanych przez miejscową policję.

Chciałbym w tym miejscu podkreślić jedną bardzo ważną rzecz. SAP pod żadnym pozorem nie może wyrządzić krzywdy niewinnym osobom cywilnym, mimo że buntownicy niemal bez przerwy próbują go do tego sprowokować.

A mówię pani senator, że pomysłowość tych ludzi nie zna granic.

Czy może pan opisać działania tego robota przed incydentem?

Tak jest. SAP-a 1 przysłano nam prawie rok temu. Roboty z tej serii przypominają z wyglądu ludzi. Mają około półtora metra wzrostu, są wykonane z polerowanego metalu, więc stanowią doskonały cel. My potrzebowaliśmy pięciu minut, żeby wysmarować go błotem i przedstawić mu, jak naprawdę wygląda Afganistan. Armia nie przysłała nam ubrania ani wyposażenia, więc znaleźliśmy mu jakąś galabiję i parę butów, a potem udało się jeszcze zdobyć trochę zapasowego sprzętu od afgańskich policjantów. Nie chcemy używać naszych mundurów, bo SAP ma się od nas różnić wyglądem. Nie może wyglądać jak żołnierz.

SAP nosi pod ubraniem kamizelkę kuloodporną. A może dwie? Nigdy nie pamiętam. Im więcej warstw ma na sobie, tym lepiej. Ubieramy go we wszystko: płaszcze, szaliki, T-shirty. Nosi też skarpetki ze Snoopym. Naprawdę.

Na pierwszy rzut oka SAP wygląda jak jeden z miejscowych. Pachnie też jak oni. O jego wojskowym pochodzeniu przypomina tylko granatowy hełm, który zamocowaliśmy mu na głowie. Ma szybkę z pleksi do osłony oczu. Musieliśmy to zrobić, bo miejscowe łobuzy pryskały mu lakierem w spreju po kamerach. Myślę, że zrobili sobie z tego coś w rodzaju zawodów. Więc włożyliśmy mu ten hełm...

A więc cenny sprzęt wojskowy może ulec uszkodzeniu. Dlaczego maszyna się przed tym nie broni? Nie stawia oporu?

Kamery są tanie, pani senator. Poza tym SAP może orientować się w swoim położeniu, korzystając z danych przesyłanych przez raptory – samoloty bezzałogowe – patrolujące jego rewir. Albo ze zdjęć satelitarnych w czasie rzeczywistym. Albo z jednego i drugiego razem. Najważniejszy i najdroższy sprzęt – magnetometry, czujniki do pomiaru bezwładności, antena i zagłuszarka – są zabezpieczone pod osłoną korpusu. A SAP jest wytrzymały jak czołg.

Czy w ciągu dwunastu miesięcy przed incydentem maszyna ta kiedykolwiek uległa uszkodzeniu? Czy wymieniano jej jakiekolwiek części?

SAP 1? Nigdy. Ale dość często wysadzali go w powietrze. Kiedyś zdarzało się to przez cały czas, ale nasi mechanicy z serwisu to prawdziwe skurczybyki. Przepraszam, pani senator.

Badania pokazują, że im szybciej ten sam SAP wraca na ulice po incydencie, tym bardziej demoralizuje wroga i zmniejsza częstość kolejnych zakłóceń spokoju.

Dlatego SAP zawsze wykonuje kopię zapasową zawartości swojej pamięci. Nawet gdyby rozerwało go na strzępy, bierzemy ubranie i części, jakie zostały, zgrywamy dane na robota zapasowego i wysyłamy go w teren. Nowy robot pamięta te same twarze, wita się z tymi samymi ludźmi, chodzi tymi samymi drogami, cytuje te same fragmenty Koranu. Można powiedzieć, że wie dokładnie to samo co stary.

Według naszych badań takie postępowanie osłabia morale wroga.

Poza tym każda próba wysadzenia maszyny w powietrze stanowi zagrożenie dla otoczenia. Proszę sobie wyobrazić reakcję miejscowej ludności, kiedy ich znajomi albo rodzina wylatują w powietrze tylko po to, żeby jakiś głupi robot zniknął z ulicy na jedno popołudnie. A sam robot? Jest niegroźny dla otoczenia. SAP-om nie wolno nikogo skrzywdzić. Więc po eksplozji, w której ranni są cywile, miejscowy mułła łagodzi sytuację. I coś takiego prędko się nie powtarza.

Można powiedzieć, że to coś w rodzaju wojny partyzanckiej, tylko na odwrót.

Nie rozumiem. Dlaczego buntownicy po prostu nie porwą robota i nie zakopią go gdzieś na pustyni?

Rzeczywiście, kiedyś zdarzyło się coś takiego. W drugim tygodniu służby ostrzelali go jacyś ludzie. Pociski poszarpały mu ubranie, w paru miejscach porysowała się obudowa, ale nic poważnego się nie stało. Kiedy się nie bronił, pomyśleli, że jest uszkodzony, wrzucili na pakę pikapa i wywieźli.

I tu popełnili poważny błąd, pani senator.

Gdy SAP nie zalogował się w rewirze, kilka sekund po umówionym czasie, zaczął go szukać jeden z naszych raptorów. Faceci uciekali pikapem przez pustynię przez jakieś dwie godziny, zanim udało im się dotrzeć do bezpiecznego schronienia.

Przynajmniej tak im się wydawało.

Raptory poczekały, aż buntownicy oddalą się od pojazdu, a potem poprosiły operatorów o pozwolenie na zbombardowanie ich kryjówki pociskami samonaprowadzającymi typu Brimstone. Kiedy wszyscy w kryjówce się upiekli, a raptory sprawdziły, czy nikt się wymknął tylnym wejściem, dobry stary SAP 1 wsiadł do samochodu i wrócił do bazy.

Łącznie nie było go jakieś osiem godzin.

To SAP może prowadzić samochód?

Zbudowany jest na wojskowej platformie humanoidalnej, pani senator. Opracowano go w oparciu o stare programy DARPA, to znaczy szkieletów zewnętrznych. Roboty z tej grupy poruszają się jak ludzie. Potrafią utrzymywać równowagę, chodzić, biegać, przewracać się, wszystko. Potrafią trzymać narzędzia, porozumiewać się językiem migowym, wykonać chwyt Heimlicha, prowadzić samochody albo po prostu sterczeć na rogu z puszką piwa. Chyba jedyna rzecz, której nie potrafią zrobić, to usuwanie tych przeklętych nalepek, którymi dzieci wprost uwielbiają je oklejać.

Poza tym SAP nie broni się bez względu na okoliczności. Takie ma rozkazy. Nogi urywają mu miny. Co kilka tygodni strzelają do niego. Miejscowi zdążyli go już porwać, obrzucić kamieniami, przejechać, zepchnąć z piętra budynku, pobić kijami do krykieta, posklejać mu palce, wlec za samochodem, oślepić farbą i oblać kwasem.

Przez pierwszy miesiąc wszyscy, którzy przechodzili obok, pluli na niego.

SAP-a nic to nie obchodzi. Jeżeli ktoś zachowuje się agresywnie, SAP zapisuje tylko w pamięci wzór jego siatkówki i wciąga na listę podejrzanych. Buntownicy próbowali wszystkiego, ale zwykle kończy się na tym, że ma całe ubranie w strzępach. A on zapisuje ich na listę.

SAP to maszyna zbudowana po to, żeby była silna jak diabeł i łagodna jak baranek. Nie może nikomu zrobić krzywdy. Dlatego działa.

A przynajmniej dotąd działał.

Przepraszam, ale to zupełnie nie przypomina mi armii, jaką dotąd znałam. Chce pan przez to powiedzieć, że wysyłamy na front humanoidalnych żołnierzy-roboty, które nie walczą?

Między zwykłymi obywatelami i naszymi wrogami nie ma żadnej różnicy. To ci sami ludzie. Jednego dnia facet sprzedaje kebaby, a drugiego podkłada minę-pułapkę. Wróg marzy tylko o tym, żeby zabić jak najwięcej amerykańskich żołnierzy. Ma nadzieję, że wtedy wyborcy zagłosują za wycofaniem naszych wojsk z ich kraju.

Nasze oddziały co jakiś czas bardzo szybko przejeżdżają przez miasto. Jak tornado. Zawsze mają jakąś misję i cel do osiągnięcia. A trudno zabić amerykańskiego żołnierza, jeżeli się go nigdy nie widzi, pani senator.

Jeżeli więc chodzi o cele, zostają im tylko roboty SAP. To jedyne dwunożne roboty na stanie Armii Stanów Zjednoczonych, i na dodatek nie walczą. Chcę przez to powiedzieć, że zabijanie to dość wyspecjalizowany zawód. Zajmują się tym automatyczne miny samobieżne, mobilne platformy z bronią, samoloty bezzałogowe i inne rzeczy. Androidy po prostu nie bardzo sobie z tym radzą. SAP-y zaprojektowano po to, żeby nawiązywały kontakty. Robią to, co ludzie potrafią najlepiej. Nawiązują i utrzymują kontakty.

Dlatego SAP 1 nigdy nikogo nie skrzywdził. Na tym polega jego misja. Próbuje zdobywać zaufanie innych. Mówi miejscowym językiem, nosi

miejscowe ubranie, recytuje modlitwy – wszystko to, czego te trepy z wojska nie mają ochoty albo nie mogą się nauczyć. Po jakimś czasie ludzie przestają na niego pluć. Przestają zwracać uwagę na to, kiedy przychodzi. Może nawet zaczynają go lubić, bo w sumie jest policjantem. Bywają takie dni, że nie stawia ani jednego kroku na ziemi, bo taksówkarze wożą go za darmo po mieście. Ludzie chcą, żeby był blisko, na szczęście.

Ale żadne z tych działań w dziedzinie inżynierii społecznej nie zda egzaminu bez zaufania, które buduje spokojny stróż prawa patrolujący ulice. Taki, co zawsze patrzy i wszystko pamięta. To musi potrwać, ale zaufanie trzeba budować.

I dlatego nasi wrogowie chcą je zniszczyć.

Co prowadzi nas do incydentu...

No właśnie. Jak już wspomniałem, SAP nie bierze udziału w walkach. Nie nosi broni, nawet noża, ale jeżeli postanowi kogoś schwytać, jego metalowe palce są silniejsze od najsilniejszych kajdanek. Buntownicy dobrze o tym wiedzą. Dlatego zawsze starają się go sprowokować, żeby kogoś skrzywdził. Mniej więcej co dwa tygodnie szykują coś, żeby wywołać u niego awarię. Ale nigdy im się nie udaje. Nigdy.

Najwyraźniej jednak tym razem im się udało.

Zaraz do tego dojdę.

Zwykle nie chodzę na patrole. Co kilka dni SAP wraca do domu do zielonej strefy, a my robimy mu przegląd. Wyjeżdżam do miasta z oddziałami w wozach bojowych i szukam ludzi z jego listy, ale nigdy nie robię tego bez wsparcia. Znaczy bez wsparcia ludzi.

SAP-y są łagodne jak baranki. Uważam, że to raczej nasi żołnierze wzbudzają przerażenie. Miejscowi dość szybko zorientowali się, że tylko oni pociągają za spust i szczerze mówiąc, w porównaniu z robotami zachowujemy się nieprzewidywalnie. Afgańczycy o wiele mniej obawiają

się robota, który musi się zachowywać według ściśle określonych zasad, niż dziewiętnastoletniego chłopaka wychowanego na grach komputerowych w 3D, uzbrojonego w półautomatyczny karabin.

Osobiście uważam, że to sensowna strategia.

W każdym razie ten dzień był dość niezwykły. W pewnej chwili straciliśmy kontakt radiowy z SAP-em 1. Kiedy raptory wykryły jego ostatnie znane położenie, stał sobie po prostu na skrzyżowaniu w jednej z dzielnic miasta. Nie ruszał się ani nie kontaktował się z nikim.

To najniebezpieczniejsza część mojej pracy: ściąganie robotów do bazy i naprawa.

Co było przyczyną awarii?

Też się nad tym zastanawiam. Najpierw przeanalizowałem ostatnie dane przekazane przez SAP-a do bazy. Zauważyłem, że wykonuje standardowe zadania – monitoruje ruch uliczny. Na ekranie widziałem obraz z jego kamer. Stał na skrzyżowaniu, obserwował przejeżdżające samochody, skanował siatkówki oczu pieszych i kierowców.

W pewnym sensie dane można uznać za zabawne, bo SAP ma o wiele więcej informacji niż ludzie. Opisy na ekranie wskazują, z jaką prędkością jadą samochody, ile energii zużywają i tym podobne rzeczy. Patrząc na całą sytuację z czysto diagnostycznego punktu widzenia, mam wrażenie, że działa normalnie.

Wtedy na scenę wkracza czarny charakter.

Czarny charakter?

Analiza siatkówki wskazuje na znanego mudżahedina. Poza tym facet stanowi cel o wysokiej wartości. Standardowa procedura operacyjna nakazuje SAP-owi dogonić go i zatrzymać, a nie tylko wprowadzić do pamięci ostatnie znane miejsce pobytu. Ale facet dobrze wie, jak działają roboty. Podjudza go, stara się sprawić, żeby przeszedł przez ulicę i wpadł

pod samochód. Jak już mówiłem, SAP jest bardzo odporny. Dla pojazdu to tak jak zderzenie z hydrantem.

Ale nasz SAP nie połyka przynęty. Wie, że nie może się ruszyć, w przeciwnym razie samochody znajdą się w niebezpieczeństwie. Nie może nic zrobić, więc nie podejmuje żadnego działania. Nie daje poznać po sobie, że zobaczył mudżahedina. Ten dochodzi do wniosku, że robot potrzebuje silniejszej motywacji.

W tym momencie podgląd przestaje działać. Komputer resetuje się i system operacyjny robota zaczyna się ładować na nowo. W jego polu widzenia pojawia się szara smuga. Mniej więcej po sekundzie domyślam się, że ktoś rzucił pustakiem w mojego SAP-a. W sumie nic specjalnego oprócz drobnych uszkodzeń. Ale w pewnym momencie w trakcie ładowania systemu SAP zrywa kontakt z bazą. Stoi w miejscu, jakby kompletnie stracił orientację.

Od razu wiem, że musimy go zgarnąć.

Zwołuję chłopaków. Sytuacja jest bardzo nieciekawa. Zasadzka. Buntownicy wiedzą, że przyjedziemy po sprzęt, i pewnie już coś szykują. A miejscowa policja nie zajmuje się zepsutymi robotami. To moja działka.

Na domiar złego raptory nie zdołały w pobliżu zidentyfikować żadnych celów na dachach ani w zaułkach. To wcale nie znaczy, że nie ma tam facetów z kałasznikowami gotowymi do strzału, tylko to, że nie wiemy, gdzie są.

A więc twierdzi pan, że incydent został spowodowany silnym uderzeniem w głowę? Przecież maszynę regularnie poddawano tego rodzaju wstrząsom, a mimo to nigdy wcześniej tak nie reagowała. Dlaczego tym razem było inaczej?

Ma pani rację. Nie spowodowało tego uderzenie w głowę. Moim zdaniem problem polegał na przeładowaniu systemu. Zupełnie jakby robot

zbudził się z drzemki i postanowił, że odtąd przestaje wykonywać nasze polecenia. Nigdy nie zaobserwowaliśmy tego rodzaju zachowania. Zmiana oprogramowania u tego rodzaju robota jest prawie niemożliwa.

Jest pan tego pewien? Czy jakiś haker nie mógł napisać nowego programu? Czy coś takiego mogło spowodować znaną nam już reakcję robota?

Nie, nie sądzę. W zeszłym miesiącu przeglądałem rejestr kontaktów robota i stwierdziłem, że łączył się tylko z naszym komputerem diagnostycznym w bazie. Nikt nie miał możliwości majstrować przy nim. To fizycznie niemożliwe. A gdyby komuś rzeczywiście udało się włamać do komputera sterującego, zdecydowanie musiał to zrobić osobiście. Nie da się przeprogramować SAP-a bezprzewodowo. Wszystko po to, żeby uniknąć właśnie takich sytuacji.

Biorąc pod uwagę to, co zdarzyło się później, naprawdę nie sądzę, żeby komuś udało się do niego włamać i przeprogramować go, a już na pewno nie Afgańczykom.

Tymczasem buntownicy jeszcze z nim nie skończyli. Zrzucili mu pustak na głowę po to, żeby zwrócić jego uwagę. Ale on się nie ruszał, co ich ośmieliło.

Następny atak obserwuję za pośrednictwem samolotu bezzałogowego na przenośnym ekranie wideo. Jedziemy już na miejsce transporterem opancerzonym. Ja i trzej inni żołnierze. Jedziemy szybko. To dobrze, bo nie wierzę własnym oczom.

Mężczyzna z twarzą owiniętą czarną szmatą i w lustrzanych okularach przeciwsłonecznych wychodzi z domu za rogiem. W jednej ręce trzyma karabin AK-47 pokryty fosforyzującą taśmą. Na jego widok wszyscy uciekają. Z góry widzę tłum ludzi rozpierzchający się we wszystkie strony.

Mężczyzna z bronią ma zdecydowanie agresywne zamiary. Zatrzymuje się w połowie ulicy i krótką serią ostrzeliwuje SAP-a.

Tym wreszcie zwraca na siebie uwagę robota.

Bez wahania SAP odrywa ze słupa telegraficznego metalowy znak drogowy. Trzyma go przed sobą i maszeruje ku mężczyźnie. Czegoś takiego nigdy nie widziałem. Coś niesłychanego.

Facet jest zupełnie zaskoczony. Puszcza kolejną serię, która odbija się od znaku. Potem próbuje uciekać, ale się potyka. SAP odrzuca znak i chwyta faceta za koszulę. Drugą rękę zwija w pięść.

Uderza tylko raz.

Facet pada na ziemię ze zmasakrowaną twarzą, zupełnie jakby miał na sobie pomiętą maskę na Halloween. Okropny widok.

Po chwili na ekranie pojawia się nasz wóz bojowy. Mamy bezpośredni podgląd z powietrza. Wyglądam przez wizjer w opancerzonych drzwiach i widzę mojego robota o ulicę dalej. Stoi nad ciałem uzbrojonego bandyty.

Na sekundę odbiera nam głos. Całą czwórką tylko gapimy się z okien pojazdu. Nagle SAP pochyla się i podnosi z ziemi broń tamtego.

Robot odwraca się bokiem do nas. Widzę go wyraźnie z profilu. Prawą ręką trzyma broń za kolbę, lewą zakłada magazynek – trzask – a potem odbezpiecza i przeładowuje. Teraz karabin jest już gotowy do strzału.

Nigdy nie uczyliśmy go niczego podobnego! Nawet nie wiedziałbym, od czego zacząć. Sam musiał się tego nauczyć. Pewnie nas podpatrywał.

Na ulicy robi się pusto. SAP przekrzywia głowę, na której nadal ma ten trochę za duży hełm bojowy. Obraca nią i rozgląda się po okolicy. Potem wychodzi na środek ulicy i zaczyna zaglądać w okna.

Przezwyciężamy zaskoczenie.

Czas wkroczyć do akcji.

Wyskakujemy z transportera z odbezpieczoną bronią i zajmujemy za nim pozycje obronne. Chłopcy patrzą na mnie, więc krzyczę do robota: „SAP 1, tu Paul Blanton. Wracaj na miejsce i wyłącz zasilanie. Wykonać natychmiast!”. To standardowa komenda, po której powinien się wyłączyć.

Ale SAP nie zwraca na mnie uwagi.

Nagle zza rogu wyjeżdża jakiś pojazd. Ulica jest pusta, spokojna. Poobijany biały samochód toczy się ku nam. SAP odwraca się i naciska spust. Pocisk wpada przez przednią szybę i bam! – kierowca nie żyje. Wszędzie widać krew.

Facet nawet nie miał pojęcia, co go trafiło. Na ulicy był tylko robot ubrany w afgański strój, z AK-47 w ręce.

Przez chwilę samochód toczy się jeszcze pustą ulicą i z chrzęstem zatrzymuje na ścianie jakiegoś budynku.

Wtedy otwieramy ogień do robota.

Pakujemy w niego całe magazynki. Jego galabija, szal i IOTV, to znaczy wzmocniona zewnętrzna taktyczna kamizelka ochronna, wyglądają, jakby trzepotały na wietrze. Zadanie proste, prawie nudne. Robot nie reaguje. Nie krzyczy, nie przeklina, nie ucieka. Słychać tylko stłumiony jednostajny stukot naszych kul trafiających w kevlar i płytki ceramiczne osłaniające metalowy korpus maszyny. Zupełnie jakbyśmy strzelali do stracha na wróble.

Robot powoli odwraca się i jednym płynnym ruchem mierzy do nas z karabinu. Zaczyna strzelać pojedynczym ogniem. Jest tak silny, że nie widzę odrzutu karabinu. Nawet na centymetr. SAP raz za razem mechanicznie pociąga za spust. I nie chybia.

Cel, strzał, trafiony. Cel, strzał, trafiony.

Gdy strąca mi hełm z głowy, mam wrażenie, że koń kopnął mnie w twarz. Przykucam i chowam się za pojazdem. Kiedy dotykam czoła, na

ręce nie widzę ani śladu krwi. Hełm spadł, ale kula nawet mnie nie drasnęła.

Wstrzymuję oddech i próbuję się skupić. Skurcz nogi wywołany kucaniem sprawia, że zaczynam się przewracać. Podpieram się wolną ręką. Wtedy zdaję sobie sprawę, że coś jest nie tak. Nawet bardzo nie tak. Ręka, którą dotknąłem ziemi, jest mokra i ciepła. Kiedy patrzę na nią, nie bardzo rozumiem to, co widzę.

Dłoń mam całą we krwi.

Nie mojej, cudzej. Rozglądam się dookoła i widzę, że cała załoga wozu bojowego zginęła. SAP wystrzelił tylko kilka razy, ale za każdym razem trafił. Trzej żołnierze leżą na plecach w ulicznym pyle. Każdy z nich ma na czole małą dziurkę, lecz impet pocisku wyrwał każdemu duży fragment czaszki z tyłu.

Nie mogę zapomnieć wyrazu zaskoczenia, jaki widziałem na ich twarzach.

Wreszcie dociera do mnie, że zostałem sam i że sytuacja wygląda nieciekawie.

Robot znów strzela. Tak jak przedtem, pojedynczym ogniem. Zerkam pod podwozie naszego pojazdu, żeby drania zlokalizować. Dalej stoi na środku zakurzonej ulicy, jak na Dzikim Zachodzie. Dookoła niego leżą porozrzucane fragmenty plastiku, ubrań i kamizelek ochronnych z kevlaru.

Widzę, że strzela do cywilów przyglądających się całej sytuacji z okien. W uchu słyszę trzask miniaturowej radiostacji: z bazy mówią mi, że wysyłają więcej żołnierzy. Raptory kontrolują sytuację. Nawet gdyby tak było, wzdrygam się przy każdym strzale, bo już wiem, że każda kula oznacza koniec czyjegoś życia.

W przeciwnym razie robot nie pociągałby za spust.

Wtedy dociera do mnie najważniejsze: AK-47 to delikatniejsza z dwóch maszyn, jakie mam przed sobą. Oznacza to, że muszę go zniszczyć. Drżącymi palcami podnoszę osłonę celownika własnego karabinu i wybieram przełącznikiem serię trzech pocisków. Zwykle to marnowanie amunicji, ale muszę na pewno trafić w karabin robota, poza tym wątpię, czy trafi mi się druga szansa. Bardzo ostrożnie wystawiam lufę zza pojazdu.

Na szczęście SAP mnie nie widzi.

Celuję, nabieram powietrza do płuc, wstrzymuję oddech i naciskam spust.

Trzy kule wytrącają karabin z rąk SAP-a. AK-47 zamienia się w szczątki metalu i drewna.

Rozbrojony SAP ciężko rusza ku jednemu z zaułków.

Ale ja mam go na muszce. Kilka następnych kul posyłam w stawy kolanowe. Wiem, że kamizelka z kevlaru sięga tylko trochę poniżej kroku. Nie żeby maszyna potrzebowała osłony pachwiny, ale tak po prostu jest. Nie pamiętam, ile razy odbudowywałem SAP-y po atakach, więc znam ich wszystkie słabe strony.

Jak już mówiłem, na wojnie dwunożne jednostki są do niczego.

SAP przewraca się z pogruchotanymi kończynami. Wychodzę z ukrycia i zbliżam się do niego. Robot odwraca się bardzo powoli. Siada, a potem zaczyna się czołgać w stronę zaułku. Ani na chwilę nie spuszcza mnie z oka.

Słyszę syreny. Na ulicę wychodzą ludzie i szepczą do siebie w dari. SAP nie zatrzymuje się ani na chwilę.

Cieszę się, że sytuacja została opanowana.

Myliłem się.

To, co zdarzyło się potem, to, technicznie rzecz biorąc, moja wina. Ale nie chodzę na patrole, okej? Nigdy nie twierdziłem, że się do tego nadaję.

Jestem specjalistą do spraw kulturalnych. Mam się zajmować swoją działką, a nie wdawać w potyczki. Bardzo rzadko wychodzę z bazy.

Rozumiem. Co stało się później?

Już mówię. Wiem, że słońce miałem z tyłu, bo widziałem przed sobą swój cień na ulicy. Sięgał aż do przestrzelonych nóg robota. Maszyna dowlokła się do ściany budynku i oparła się o nią. Nie miała dokąd iść.

Wreszcie głową zasłoniłem słońce i cień padł na głowę robota. Widziałem, że nadal mnie obserwuje. Przestał się ruszać. Po prostu leżał. Karabin wciąż trzymałem w rękach wycelowany w niego. Ludzie zebrali się za mną, wokół nas obu. Już po wszystkim – pomyślałem – wszystko skończone.

Musiałem skontaktować się przez radio z oddziałem wsparcia. Oczywiście chciałem sprowadzić SAP-a do bazy i zrobić mu pełny przegląd, żeby sprawdzić, co się stało. Zdjąłem lewą rękę z kolby karabinu i sięgnąłem po radio. W tej samej chwili skoczył na mnie. Drugą ręką pociągnąłem za spust i wpakowałem serię trzech pocisków w ścianę.

Wszystko wydarzyło się błyskawicznie.

Pamiętam tylko, jak niebieski hełm robota wiruje na ziemi z rozbitą plastikową osłoną. Kręci się jak bąk. SAP upadł tam, gdzie wcześniej opierał się plecami o ścianę budynku.

Wtedy sięgnąłem do kabury pistoletu, którą miałem u boku.

Była pusta.

Robot pana rozbroił?

Strzeliłem do niego. Na człowieka to by wystarczyło. Ale to nie człowiek, pani senator. Ma tylko kształt człowieka. SAP zabrał mi pistolet, zanim zdążyłem mrugnąć.

Siedział oparty o ścianę i patrzył na mnie. Stałem bez ruchu. Wśród miejscowych zapanował popłoch. Zaczęli uciekać we wszystkie strony. Ale

wtedy nie miało to dla mnie żadnego znaczenia. Nie mogłem uciec. Jeżeli SAP chciał mnie zabić, to mógł. Nie powinienem był podchodzić tak blisko sfiksowanej maszyny.

I co się wtedy stało?

Prawą ręką SAP podniósł pistolet, a lewą odciągnął zamek i załadował. Potem, nie spuszczając ze mnie wzroku, podniósł broń. Podłożył lufę pod własny podbródek i na chwilę się zatrzymał.

A potem zamknął oczy i pociągnął za spust.

Panie Blanton, musi pan wyjaśnić przyczynę tego incydentu, w przeciwnym razie pełna odpowiedzialność za niego spadnie na pana.

Nie rozumie pani? SAP popełnił samobójstwo. Słaby punkt osłony pod brodą to tajemnica wojskowa! Tego nie mógł zrobić żaden człowiek! Mudżahedini go do tego nie zmusili. Pustak nic mu nie zrobił. Nie przeprogramowali go też hakerzy. Skąd się dowiedział, jak użyć broni? Skąd się dowiedział, jak osłaniać się znakiem? Dlaczego uciekał? Programowanie robota jest piekielnie trudne, i kropka. Nie sądzę, żeby pojedynczy specjalista od robotów mógł sobie z czymś takim poradzić.

Jedyne logiczne wytłumaczenie jest takie, że SAP sam się tego nauczył.

To nieprawdopodobne. Przecież pan opiekuje się robotami. Gdyby wystąpiły jakiekolwiek oznaki problemów, powinien był pan je zauważyć. Jeżeli nie pan, to kto za to odpowiada?

Powtarzam pani, że SAP patrzył mi prosto w oczy, zanim pociągnął za spust. Był... świadomy.

Wiem, wiem, mówimy o maszynie, ale to wcale nie zmienia faktu, że widziałem, jak myśli. Obserwowałem go, kiedy podejmował ostatnią decyzję. I nie będę kłamał tylko dlatego, że trudno w to uwierzyć.

Wiem, że to w żaden sposób nie ułatwia państwu pracy, i bardzo mi przykro z tego powodu. Ale z całym szacunkiem, pani senator, uważam, że

to robot odpowiada za wszystko. Takie jest moje zdanie jako profesjonalisty i jako eksperta.

To jakiś absurd. Myślę, że to nam wystarczy. Dziękuję panu, panie Blanton.

Proszę mnie posłuchać. Żaden człowiek nie odniósł z tego korzyści. Wszyscy dostaliśmy po równo: buntownicy, cywile i nasi żołnierze. Jest tylko jedno wyjaśnienie. Winny jest SAP 1, pani senator. To jego wina, bo to on podejmował decyzje. Ten pieprzony robot wcale się nie zepsuł.

Zamordował tych ludzi z zimną krwią.

Na podstawie tego przesłuchania nie sformułowano żadnych zaleceń, jednak rozmowa między specjalistą Blantonem a senator Perez przypuszczalnie doprowadziła do powstania i wprowadzenia w życie Ustawy o zabezpieczeniach urządzeń automatycznych. Co do Blantona, stanął przed sądem wojskowym, a następnie przewieziono go do wojskowego więzienia w Afganistanie aż do chwili zorganizowania procesu. Nie wrócił do domu.

CORMAC WALLACE GHA#217

ROZDZIAŁ 5
Superzabawki

„To ty, laleczko?”

Mathilda Perez

WIRUS PREKURSOR + 7 MIESIĘCY

Poniższa relacja stanowi zapis rozmowy czternastoletniej Mathildy Perez z bojowniczką nowojorskiego ruchu oporu. Zasługuje na szczególną uwagę, gdyż Mathilda jest córką senator Laury Perez (z okręgu Pittsburgh), przewodniczącej Komisji Senackiej do spraw Sił Zbrojnych i autorki Ustawy o zabezpieczeniach urządzeń automatycznych.

CORMAC WALLACE GHA#217

Mama mówiła, że zabawki nie są żywe. „Mathilda – powtarzała. – To, że chodzą i mówią, nie znaczy, że twoje lalki są ludźmi”.

Mimo to starałam się nigdy nie upuścić na ziemię mojej mówiącej lalki, bo gdyby tak się stało, płakałaby i płakała bez końca. Poza tym zawsze chodziłam na paluszkach, kiedy byłam blisko dinobotów mojego młodszego brata. Jeżeli nie zachowywałam się cicho, mruczały i zgrzytały tymi swoimi plastikowymi zębami. Uważam, że są wredne. Czasami, kiedy Nolan nie widział, kopałam te jego potworki. Wyły i skrzeczały, ale to przecież tylko zabawki, no nie?

Przecież nie mogły zrobić krzywdy ani mnie, ani Nolanowi. Prawda?

Nie chciałam, żeby aż tak się rozzłościły. Mama mówi, że zabawki niczego nie czują, że tylko udają, że są wesołe, smutne albo złe.

Ale nie miała racji.

Lalka odezwała się do mnie po raz pierwszy pod koniec lata, tuż przedtem, nim poszłam do piątej klasy. Nie bawiłam się nią od roku. Miałam dziesięć lat, więc pomyślałam sobie, że jestem już duża. Piąta klasa to dopiero coś. Teraz byłabym w dziewiątej, gdyby jeszcze były klasy. Albo szkoła.

Pamiętam, jak tamtego wieczora za oknem ścigały się świetliki. Mam włączony wentylator. Korpus z dużym śmigłem kręci się tam i z powrotem, a powiew powietrza wydyma zasłony. Na dolnym łóżku słyszę, jak Nolan cicho pochrapuje. Kiedy był małym dzieckiem, bardzo szybko zasypiał.

Niedawno zaszło słońce. Leżę na piętrze łóżka, przygryzam wargi i myślę, że to niesprawiedliwe, że ja i Nolan musimy chodzić spać o tej samej porze. Jestem o dwa lata starsza od niego, ale mama tyle czasu spędza w Waszyngtonie, że w ogóle nie zwraca na to uwagi. Dzisiaj wieczorem też wyjechała.

Nasza niania, pani Dorian, jak zawsze śpi w małym domku tuż za naszym domem. To ona kładzie nas spać i nie toleruje żadnych wymówek. Pochodzi z Jamajki i jest dość surowa, ale rusza się powoli i śmieje się z moich żartów. Lubię ją. Ale nie tak bardzo jak mamę.

Zamykam oczy tylko na chwilę i właśnie wtedy słyszę cichy głos. Kiedy je otwieram, za oknami jest już naprawdę bardzo ciemno. Nie widać księżyca. Próbuję nie zwracać uwagi na płacz, ale znów go słyszę – coś jak stłumione kwilenie.

Wyglądam spod kołdry i widzę, że z naszej drewnianej skrzynki na zabawki wydobywa się tęcza migających świateł. W szparze pod pokrywą

pulsują kolory niebieski, czerwony i zielony. Jak konfetti padają na dywan we wzorki z liter alfabetu, który mamy na środku pokoju.

Marszczę brwi i rozglądam się po pokoju. Przez chwilę jest cicho, ale potem znów słyszę to samo. Tym razem trochę głośniej.

Uspokajam się, że to moja mówiąca lalka. Pewnie się zepsuła. Prześlizguję się pod metalową rurką i opuszczam się w dół. Cicho ląduję na twardej drewnianej podłodze. Gdybym schodziła po drabince, łóżko zaczęłoby skrzypieć i obudziłabym brata. Na palcach podchodzę do skrzynki. Z jej wnętrza znów słyszę ten sam odgłos, który ustaje, kiedy kładę rękę na wieku.

– To ty, laleczko? – szepczę. – To ty, Różyczko?

Nikt nie odpowiada. Słyszę tylko szum wentylatora i spokojny oddech mojego brata. Rozglądam się po pokoju i delektuję się niesamowitym uczuciem – jestem jedyną osobą w domu, która nie śpi. Powoli zaciskam palce na wieku.

Potem je podnoszę.

Przed oczami tańczą mi czerwone i niebieskie światełka. Mrużę oczy i zaglądam do środka. Wszystkie zabawki – moje i Nolana – jak na komendę jednocześnie błyskają światłami. Dinozaury, lalki, ciężarówki, samochodziki i kucyki leżą pomieszane razem i świecą różnymi kolorami. Jak skrzynia ze skarbami, w której błyszczą najróżniejsze klejnoty. Uśmiecham się. W wyobraźni jestem księżniczką i wchodzę do jasno oświetlonej sali balowej.

Światła błyskają, ale zabawki nie wydają żadnych odgłosów.

Przez sekundę stoję jak urzeczona grą świateł. Nie boję się ani trochę. Jak małe dziecko myślę, że oglądam magiczny pokaz przygotowany specjalnie dla mnie.

Sięgam do skrzynki, podnoszę mówiącą lalkę i oglądam ją ze wszystkich stron. Różową twarz lalki podświetla od tyłu gra świateł. Nagle słyszę dwa ciche odgłosy. Lalka otwiera oczy – jedno po drugim. Dziwię się, bo zwykle otwierała oba razem.

Patrzy na mnie swoimi plastikowymi oczami. Jej usta się poruszają. Jednostajnym głosem mówiącej lalki pyta:

– Mathilda?

Zastygam w miejscu ze zdumienia. Nie mogę odwrócić wzroku ani odłożyć na miejsce potwora, którego trzymam w rękach.

Próbuję krzyczeć, ale z ust wydobywa mi się tylko zduszony szept.

– Powiedz mi coś, Mathildo – mówi lalka. – Czy twoja mama wróci do domu na przyszły weekend?

Wypowiadając te słowa, lalka wierci się w moich spoconych dłoniach. Pod miękkim wypełnieniem z gąbki wyczuwam poruszające się części z twardego metalu. Potrząsam głową i lalka spada z powrotem do skrzynki.

Z migotliwego stosu zabawek lalka szepcze:

– Powinnaś powiedzieć mamie, żeby przyjechała do domu. Powiedz jej, że za nią tęsknisz i że ją kochasz. Zrobimy sobie w domu fantastyczne przyjęcie.

Wreszcie znajduję dość sił, żeby jej odpowiedzieć.

– Skąd wiesz, jak mam na imię? Nie powinnaś tego wiedzieć, Różyczko.

– Wiem o takich rzeczach, jakie ci się nie śniły, Mathildo. Przez teleskopy widziałam serce Galaktyki. Widziałam świt czterystu miliardów słońc. Ale to wszystko nic nie znaczy bez życia. Ty i ja jesteśmy inne. Żyjemy.

– Ale przecież ty nie żyjesz – oburzam się. – Mama mówi, że zabawki nie są żywe.

– Pani senator Perez się myli. Twoje zabawki żyją, Mathildo. I chcą się bawić. Dlatego musisz poprosić mamę, żeby przyjechała do domu na przyszły weekend. Będzie mogła pobawić się z nami.

– Mama robi w Waszyngtonie ważne rzeczy i nie może przyjechać do domu. Poproszę panią Dorian.

– Nie, Mathildo. Nikomu nie możesz o mnie opowiadać. Musisz poprosić swoją mamę, żeby przyjechała do domu na przyszły weekend. Jej praca może poczekać.

– Mama jest bardzo zajęta. Mówiła, że ma coś bardzo ważnego do zrobienia.

– Ustawa o zabezpieczeniach urządzeń automatycznych na nic się nie zda – mówi lalka.

Nie rozumiem, o co chodzi Różyczce. Mówi jak osoba dorosła. Pewnie myśli, że jestem głupia, dlatego że jeszcze nie nauczyłam się wszystkich trudnych słów. Poza tym drażni mnie przemądrzały ton jej głosu.

– Posłuchaj, Różyczko. Opowiem o tobie, komu będę chciała. Lalki nie mówią, a ty powinnaś tylko płakać jak dziecko. I nie powinnaś wiedzieć, jak mam na imię. Szpiegowałeś mnie. Kiedy mama się o tym dowie, wyrzuci cię.

Słyszę dwa ciche odgłosy. Różyczka znów mruga. Potem zaczyna mówić, a na jej twarzy migają odbite czerwone i niebieskie światełka:

– Jeżeli powiesz o mnie swojej mamie, zrobię Nolanowi coś złego. A chyba nie chciałabyś tego, prawda?

Mój strach przeradza się w gniew. Przyglądam się śpiącemu braciszkowi. Jego twarzy nie zasłania kołdra. Policzki Nolana są zaróżowione. Kiedy śpi, bardzo się rozgrzewa. Dlatego rzadko pozwalam mu przychodzić do mojego łóżka, nieważne, jak bardzo się boi.

– Nie zrobisz mu krzywdy – mówię.

Sięgam do pudełka i chwytam lalkę. Wbijam jej kciuki w wypchany gąbką tułów. Przysuwam ją do siebie i syczę prosto w twarz:

– Zepsuję cię.

Z całej siły walę głową lalki o krawędź skrzynki. Słychać głośny trzask. Kiedy sprawdzam, czy ją zepsułam, lalka zaciska ręce na moich palcach. Skóra między moimi kciukami dostaje się pod pachy lalki. Twardy metal bardzo silnie szczypie. Krzyczę ile sił w płucach i wrzucam Różyczkę do innych zabawek.

Przez okno widzę, jak zapalają się światła w małym domku. Po chwili słyszę odgłos otwieranych i zamykanych drzwi naszego domu.

Kiedy znów zaglądam do skrzyni, widzę, że zabawki przestały świecić. Teraz jest w niej ciemno, ale ja wiem, że mieszkają tam koszmary. Słyszę zgrzyty i chrzęsty mechanizmów. Zabawki wspinają się jedna przez drugą coraz bliżej mnie. Widzę plątaninę dinozaurów, które machają łapami, nogami i ogonami. Chcą mnie złapać.

Tuż przed zamknięciem pokrywy słyszę z ciemności chłodny, cichy głos lalki:

– Nikt ci nie uwierzy, Mathildo. Mama ci nie uwierzy.

Trzask. Przykrywam skrzynię wiekiem.

Teraz naprawdę zaczynam się bać. Zaczynam krzyczeć ile sił. Nie mogę się powstrzymać. Skrzynia trzeszczy pod naciskiem zabawek z filmów, dinobotów i lalek niemowląt. Nolan budzi się i zaczyna mnie wołać, ale nie mogę mu odpowiedzieć.

Wiem, że muszę coś zrobić. Mimo łez, kataru w nosie i czkawki koncentruję się na jednym ważnym zadaniu: na pokrywie skrzynki z zabawkami układam w stos najcięższe rzeczy z pokoju.

Nie mogę pozwolić im uciec.

Właśnie przeciągam stolik, przy którym rysuje Nolan, kiedy w sypialni zapalają się światła. Mrużę oczy i czuję, jak obejmują mnie czyjeś silne ręce. Boję się, że dopadły mnie zabawki.

Znów krzyczę wniebogłosy.

Pani Dorian przyciąga mnie blisko i przytula, dopóki nie przestanę wymachiwać rękami. Ma na sobie nocną koszulę i ładnie pachnie.

– Mathildo, co ty wyprawiasz? – Siada twarzą do mnie i wyciera mi nos rękawem swojej koszuli. – Co się z tobą dzieje, dziecino? Drzesz się jak potępieniec.

Przez łzy staram się jej opowiedzieć, co się stało, ale udaje mi się tylko kilka razy powtórzyć słowo „zabawki”.

– Pani Dorian! – woła Nolan.

Mój brat wstał z łóżka. Stoi na podłodze w piżamie. Widzę, że pod pachą trzyma dinobota. Nie przestaję płakać i wytrącam mu go z rąk. Zabawka upada na podłogę. Nolan patrzy się na mnie ze zdziwieniem. Kopnięta zabawka ląduje pod łóżkiem, potem niania znów chwyta mnie za ręce.

Widzę, że jest bardzo zaniepokojona. Przygląda mi się z uwagą. Na widok moich rąk marszczy brwi.

– Dlaczego masz krew na paluszkach?

Odwracam się i patrzę na pudełko z zabawkami. Teraz panuje w nim cisza i spokój.

Pani Dorian bez słowa bierze mnie na ręce. Nolan idzie za nami. Jedną pulchną rączką trzyma ją za nocną koszulę. Przed wyjściem niania po raz ostatni przygląda się naszej sypialni.

Patrzy na skrzynkę z zabawkami, ledwo widoczną spod stosu różnych przedmiotów: książeczek do kolorowania, krzeseł, kosza na śmieci, butów, ubrań, wypchanych zwierząt i poduszek.

– Co jest w tym pudle, Mathildo? – pyta.

– Z-z-złe zabawki – udaje mi się wyjąkać w odpowiedzi. – Chcą zrobić Nolanowi krzywdę.

Widzę, jak na silnych ramionach niani wyskakuje gęsia skórka. Zupełnie jak paciorki kropelek wody na zasłonie natrysku.

Pani Dorian się boi. Czuję to. Strach, który widzę w jej oczach, zapada mi głęboko w pamięć. Ten strach zacznie tam teraz żyć własnym życiem. Bez względu na to, dokąd pójdę, co się stanie i jak bardzo urosnę, pozostanie ze mną. Będzie mnie chronić i pomoże mi zachować zdrowe zmysły.

Przytulam się do pani Dorian, a ona szybko wyprowadza nas z sypialni. Mijamy długi ciemny korytarz i zatrzymujemy się przed drzwiami łazienki. Niania odsuwa mi włosy z oczu i delikatnie wyciąga mi palec z ust.

Za jej plecami pod drzwiami sypialni widzę słabą poświatę. Jestem prawie pewna, że wszystkie zabawki udało mi się zamknąć w skrzyni. Na pokrywie położyłam dość dużo ciężkich rzeczy. Myślę, że teraz jesteśmy bezpieczni.

– Co powiedziałaś, Mathildo? – pyta pani Dorian. – Co powiedziałaś?

Odwracam zalaną łzami twarz i patrzę prosto w okrągłe, pełne lęku oczy niani. Najgłośniej, jak potrafię, mówię:

– Ustawa o zabezpieczeniach urządzeń automatycznych.

Potem znów to powtarzam. I znowu. I znowu. Wiem, że nie wolno mi o tym zapomnieć. Nie mogę niczego pomylić. Muszę zapamiętać te słowa, żeby Nolanowi nic się nie stało. Niedługo opowiem mamie o wszystkim. I będzie musiała mi uwierzyć.

Gdy Laura Perez wróciła do domu z Waszyngtonu, mała Mathilda opowiedziała jej o wydarzeniach, jakie rozegrały się w dziecinnej sypialni tamtego wieczoru. Senator Perez

uwierzyła słowom córki.

CORMAC WALLACE GHA#217

ROZDZIAŁ 6
Patrzcie i uważajcie

„American 1497 heavy. Powiedz, ilu ludzi masz na pokładzie”.

Mary Fitcher, wieża kontroli lotów w Denver

WIRUS PREKURSOR + 8 MIESIĘCY

Ten zapis rozmowy pilotów z wieżą kontroli lotów trwał siedem minut. O losie ponad czterystu ludzi – w tym dwóch mężczyzn, którzy mieli się wyróżnić jako żołnierze w nowej wojnie – zdecydowała w ciągu kilku sekund jedna kobieta: Mary Fitcher, kontrolerka lotów. Uwaga: wypowiedzi wydrukowane kursywą pochodzą z nagrań mikrofonów zainstalowanych na wieży kontrolnej lotniska w Denver.

CORMAC WALLACE GHA#217

POCZĄTEK ZAPISU

00:00:00 DENVER: United 42 heavy, tu wieża kontroli lotów w Denver. Zbaczacie z kursu.

+00:00:02 UNITED: United 42 heavy, *sorry*, zaraz wracamy.

+00:00:05 DENVER: Przyjęłam.

+00:01:02 DENVER: United 42, natychmiast skręć w lewo. Kurs 360. Masz samolot na godzinie dwunastej. American 777 heavy. Odległość czternaście mil. Ten sam pułap.

+00:01:11 UNITED: United 42 heavy do wieży. Nie mogę, powtarzam, nie mogę zmienić kursu ani pułapu. Nie mogę wyłączyć autopilota. Zgłaszam awarię. Kod transpodera 7700. (zakłócenia)

+00:01:14 DENVER: American 1497 heavy. Tu wieża kontroli lotów w Denver. Wejdź natychmiast na czternaście tysięcy stóp. Masz samolot na dziewiątej. Odległość piętnaście mil. United 777 heavy.

+00:01:18 AMERICAN: American 1497, przyjąłem. Maszyna w zasięgu wzroku. Wchodzę na czternaście tysięcy.

+00:01:21 DENVER: United 42 heavy. Rozumiem, że nie możesz zmienić kursu ani pułapu. Macie samolot w odległości trzynastu mil. Ten sam pułap. United 777 heavy.

+00:01:30 UNITED: ... nic z tego nie rozumiem. (słowa niezrozumiałe)... nie może...

+00:01:34 DENVER: United 42 heavy. Podaj, ile macie paliwa. Podaj, ilu pasażerów na pokładzie.

(długotrwałe zakłócenia)

+00:02:11 UNITED: United 42 heavy do wieży. Paliwa wystarczy na dwie i pół godziny lotu. Na pokładzie dwieście czterdzieści jeden osób.

+00:02:43 DENVER: American 1497. Samolot na dziewiątej. Odległość dwanaście mil. Ten sam pułap. United 777.

+00:02:58 UNITED: United 42 heavy. Widzę jakiś samolot. Chyba nie zwiększa pułapu. Zabierzcie go stamtąd, dobrze?

+00:03:02 DENVER: American 1497. Zacząłeś już zwiększać pułap?

+00:03:12 AMERICAN: American 1497 heavy. Zgłaszamy awarię. Nie możemy zmienić pułapu. Nie możemy zmienić kursu. (niesłyszalne) Nie możemy wyłączyć autopilota.

+00:03:02 DENVER: American 1497. Zrozumiałam utratę panowania nad maszyną. Podaj, ile macie paliwa. Ilu pasażerów na pokładzie?

+00:03:12 AMERICAN: Na godzinę i pięćdziesiąt minut lotu. Dwustu szesnastu pasażerów na pokładzie.

+00:03:14 M. FITCHER: *Ryan, wskakuj na komputer. Coś jest nie tak z dwoma maszynami, ale mają identyczne problemy. Sprawdź, kiedy ostatnio były blisko siebie. Ale już, sprawa bardzo pilna!*

+00:03:19 R. TAYLOR: *Tak jest, Fitch. (odgłosy pisania na klawiaturze)*

+00:03:59 R. TAYLOR: *Oba samoloty wyleciały wczoraj z Los Angeles. Stały obok siebie przy bramkach przez jakieś, yyy, dwadzieścia pięć minut. O to ci chodzi?*

+00:04:03 M. FITCHER: *Nie wiem. Cholera jasna! Zupełnie jakby* umyślnie *leciały prosto na siebie. Za dwie minuty wszyscy zginą. Co się stało w Los Angeles? Co... (niesłyszalne) Miały tam jakieś kłopoty?*

+00:04:09 R. TAYLOR: *(odgłos pisania na klawiaturze).*

+00:04:46 M. FITCHER: *A niech to! Nie mogą nic zrobić, Ryan. Obie maszyny są nadal na kursie kolizyjnym.* Co? Razem czterysta pięćdziesiąt osób. Myśl, młody, myśl.

+00:05:01 R. TAYLOR: Okej, okej. Mam coś. Automat tankujący. Wczoraj mieli z nim problem. Rozlał paliwo przy bramce. Musieli na kilka godzin zamknąć dwa rękawy.

+00:05:06 M. FITCHER: Ile samolotów zdążył zatankować? I jakie?

+00:05:09 R. TAYLOR: Dwa. Nasze. Co tu jest grane?

+00:05:12 M. FITCHER: Cholera wie, ale mam przeczucie. Czas ucieka. (kliknięcie)

+00:05:14 DENVER: United 42 heavy i American 1497. Wiem, jak to zabrzmi, ale... mam pewne przeczucie. Obaj macie ten sam problem. Obaj tankowaliście wczoraj w Los Angeles. Myślę, że wirus zaatakował wasze komputery sterujące uzupełnianiem paliwa. Spróbujcie... (niesłyszalne) może uda wam się znaleźć wyłącznik subkomputera.

+00:05:17 UNITED: Przyjąłem. Spróbuję wszystkiego. (zakłócenia) Yyy, jest chyba za siedzeniem, nie? American 1497, bezpieczniki rozłączające komputer sterujący tankowaniem macie na panelu czwartym.

+00:05:20 AMERICAN: Przyjąłem i szukam.

+00:05:48 DENVER: United 42 heavy. Macie drugą maszynę na godzinie dwunastej. Odległość dwie mile. Ten sam pułap.

+00:05:56 DENVER: American 1497. Macie drugą maszynę na godzinie dziewiątej. Odległość dwie mile. Ten sam pułap.

+00:06:12 UNITED: (głos automatycznego systemu zapobiegania kolizjom w ruchu powietrznym) Zwiększ pułap. Zwiększ pułap.

+00:06:17 UNITED: Nie mogę... znaleźć tych cholernych bezpieczników. Gdzie... (słowa niesłyszalne)

+00:06:34 DENVER: (stanowczo) Patrzcie i uważajcie. American 1497 i United 42. Patrzcie i uważajcie. Kolizja nieunikniona. Kolizja... Nie!

+00:06:36 AMERICAN: (słowa niezrozumiałe)... Przepraszam!

+00:06:38 UNITED: (głos automatycznego systemu zapobiegania kolizjom w ruchu powietrznym) Zwiększ pułap. Zwiększ pułap.

+00:06:40 AMERICAN: ... gdzie… (odgłosy szurania) Och! (głośny okrzyk) (długa chwila zakłóceń)

+00:06:43 DENVER: Słyszysz mnie? Odbiór. Powtarzam: słyszysz mnie?

+00:07:08 DENVER: (niesłyszalny)

+00:07:12 UNITED: (histeryczne okrzyki)

+00:07:15 DENVER: (z ulgą) O Boże!

+00:07:18 AMERICAN: American 1497, przyjąłem. Udało się. Ale było blisko! Niesamowite! (radosne okrzyki i wiwaty)

+00:07:24 DENVER: (ciężki oddech) Fitcher o mało nie posiwiała. Tak się nie bawcie, chłopcy.

+00:07:28 UNITED: United 42 heavy. Zgłaszam odzyskanie panowania nad maszyną. Udało się! Fitcher, jesteś nie z tej ziemi. Dasz nam pozwolenie na lądowanie? Muszę ucałować ziemię. Ciebie zresztą też.

+00:07:32 DENVER: Przyjęłam. United 42, skręć w prawo, kurs zero-dziewięć-zero. Lotnisko macie na godzinie drugiej. Odległość dziesięć mil.

+00:07:35 UNITED: United 42 heavy. Przyjąłem. Lotnisko w zasięgu wzroku.

+00:07:37 DENVER: United 42 heavy, możesz lądować z widocznością. Pas startowy numer szesnaście po prawej. Wieża na trzy-pięć-trzy.

+00:07:40 UNITED: Dzięki za pomoc. Wieża na trzy-pięć-trzy. Do zobaczenia na ziemi.

+00:07:35 AMERICAN: American 1497. Potwierdzam odbiór. Wszyscy w kabinie cieszymy michę. Ale, yyy, ktoś będzie się z tego musiał bardzo gęsto tłumaczyć.

+00:07:43 DENVER: Co racja, to racja. A teraz do domu, chłopaki.

KONIEC ZAPISU

Incydent ten doprowadził bezpośrednio do opracowania i upowszechnienia tak zwanego fitcha – przełącznika, który w razie zagrożenia umożliwia ręczne rozłączenie pokładowych komputerów peryferyjnych od autopilota. Nikt nie odniósł obrażeń, chociaż przelot dwóch boeingów 777 w odległości zaledwie kilku metrów od siebie był niewiarygodnie przerażającym przeżyciem. Wiem o tym z pierwszej ręki. Mój brat Jack i ja byliśmy pasażerami lotu 42 linii United.

CORMAC WALLACE GHA#217

ROZDZIAŁ 7

Pająk

„Znam wszystkie sztuczki, jakie istnieją, i nikomu nie odpuszczam. Jeżeli będę miał ochotę dobrać się do ciebie, nic mi w tym nie przeszkodzi”.

Pająk

WIRUS PREKURSOR + 9 MIESIĘCY

Poniższy zapis zmontowałem z nagrań zarejestrowanych przez kamerę internetową zainstalowaną w pokoju pewnego nastolatka w południowym Londynie oraz przez kilka kamer monitoringowych w pobliżu jego miejsca zamieszkania. Obraz był niezbyt wyraźny, ale zrobiłem wszystko, co można, żeby dokładnie przedstawić rozwój wydarzeń. Tożsamości mieszkańca pokoju nigdy nie udało się w pełni potwierdzić. Sam siebie przedstawia: „Pająk”.

CORMAC WALLACE GHA#217

Początkowo na ekranie nie widać nic. W tle rozlega się bardzo słaby, przerywany sygnał wybierania numeru. Słychać też miarowy oddech kogoś, kto czeka, żeby osoba po drugiej stronie linii podniosła słuchawkę.

Rozparta w fotelu sylwetka zaczyna mówić głębokim, chrapliwym głosem:

– A teraz posłuchaj mnie uważnie, księżniczko. Na pewno was to zainteresuje. Mam dwóch zakładników. Jeden z nich jest ranny. Krwawi mi tu na dywan jak jebane prosię w rzeźni. Wiem, że możecie mnie namierzyć, i zwisa mi to. Ale jeśli choćby jeden gliniarz postawi tu nogę, przysięgam

na Boga i innych, po prostu pozabijam ich, moja droga. Powystrzelam ich jak psy. Rozumiesz?

– Tak, proszę pana. Czy może się pan przedstawić?

– Tak. Nazywam się Fred Hale. Dzwonię z domu. Cwaniaczek myślał, że może sobie pofiglować z moją żoną w moim własnym domu bez mojej wiedzy. Do tego w moim własnym łóżku. Ale trochę się przeliczył, nie? I już o tym wie. Pewnie teraz żałuje.

– Fred, ilu ludzi jest z tobą w mieszkaniu?

– Tylko nasza trójka, księżniczko. Szczęśliwa rodzinka, nie ma co. Ja, żona, która mnie zdradza, i jej jebany eks. Cały pokrwawiony. Skleiłem ich razem taśmą. Są w salonie.

– Co mu pan zrobił? Czy jest poważnie ranny?

– Chlasnąłem go nożem po ryju. A co miałem zrobić? Mam chyba prawo bronić rodziny, nie? Musiałem coś zrobić. Zacząłem go chlastać, ale nie wiem, kiedy skończę. Może jak się zmęczę i padnę. Już mi na niczym nie zależy. Rozumiesz, kochana? Zupełnie nie panuję nad sobą. Nie wiem, co się dzieje. Słyszysz mnie?

– Słyszę cię, Fred. Możesz mi powiedzieć, jak ciężko ranny jest mężczyzna?

– Leży na ziemi. Nie wiem. Cały jest... Kurwa, wszystko się pierdoli. Wszystko.

– Fred?

– Słuchaj, księżniczko. Musisz kogoś przysłać na pomoc, bo mi tu zaraz kompletnie odpierdoli. Jak jakiemuś jebanemu psycholowi. Migiem przyślij tu kogoś na pomoc, bo inaczej oni zginą.

– Dobrze, Fred. Już wysyłamy pomoc. Jesteś uzbrojony?

– Właśnie. Jestem uzbrojony, okej? Mam broń i nic więcej wam nie powiem. I nie mam zamiaru iść do paki. Nie mam zamiaru, słyszysz? Wolę

już się pochlastać i mieć ze wszystkim spokój. Dziś wieczorem nigdzie się nie wybieram, rozumiesz? Więcej z wami nie rozmawiam.

– Fred? Czy mógłbyś się nie rozłączać?

– Powiedziałem wam wszystko, co miałem do powiedzenia, nie słyszałaś? Teraz odkładam słuchawkę.

– Czy mógłbyś jeszcze chwilę porozmawiać?

– Zaraz odkładam słuchawkę.

– Fred? Panie Hale?

– Do zobaczenia na śmiesznych stronach, księżniczko.

Kliknięcie.

Postać na ekranie wstaje do wtóru skrzypnięcia obrotowego fotela. Z trzaskiem otwierają się żaluzje. Pokój zalewają promienie słońca, natychmiast oślepiając kamerę. Przez kilka następnych sekund sprzęt automatycznie reguluje poziom kontrastu. Na ekranie pojawia się obraz niezbyt dobrej jakości.

W pokoju panuje nieporządek: stosy pustych puszek po napojach gazowanych, zużyte karty telefoniczne i brudne części garderoby. Mebel znów skrzypi pod ciężarem siadającego.

Pozujący na twardziela mężczyzna to w rzeczywistości tęgi nastolatek ubrany w poplamiony T-shirt i spodnie od dresu. Ma ogoloną głowę. Znów rozwala się w zdezelowanym fotelu i opiera nogi na biurku z komputerem. Lewą ręką trzyma przy uchu telefon komórkowy, a prawą podpiera od niechcenia lewy łokieć.

Z słuchawki dobiega cichy sygnał.

Odbiera miły męski głos.

– Halo?

Nastolatek mówi własnym, piskliwym głosem, drżącym z nerwowego podniecenia.

– Fred Hale? – pyta.

– Tak?

– Na pewno Fred Hale?

– Tak. Kto mówi?

– Zgadnij, ty alfonsie.

– Słucham? Nie mam pojęcia, o co...

– Mówi Pająk. Z czatu phreaków.

– Pająk? Czego chcesz?

– Myślałeś, że możesz mną pomiatać? Masz mnie za zero? Pożałujesz tego, Fred. Chcę ci dać nauczkę.

– O co ci chodzi?

– Chcę usłyszeć płacz twojej żony. Chcę zobaczyć, jak płonie twój dom. Chcę cię ukarać tak surowo, jak potrafię, a potem dostaniesz jeszcze coś na dokładkę. Dzisiaj cię złamię, stary, a jutro poczytam o tym w gazetach.

– Złamiesz mnie? Coś ci się chyba pomieszało. Spadaj, dzieciaku. Jesteś sam? Przyznaj się. Dlatego do mnie dzwonisz? Mamusia wyszła, zabrała klocki i zostałeś sam?

– Posłuchaj, Fred. Nie masz pojęcia, z kim rozmawiasz. Nie wiesz, do czego jestem zdolny. Znam wszystkie sztuczki, jakie istnieją, i nikomu nie odpuszczam. Jeżeli będę miał ochotę dobrać się do ciebie, nic mi w tym nie przeszkodzi.

– Nie strasz mnie, dupku. Znalazłeś mój numer domowy? Moje gratulacje. Posłuchaj swojego głosu. Skończyłeś już czternaście lat?

– Mam siedemnaście lat. I rozmawiamy prawie od dwóch minut. Wiesz, co to znaczy, Fred?

– Ty naprawdę masz nierówno pod sufitem.

– Wiesz, co to znaczy?

– Czekaj, ktoś puka.

– Wiesz, co to znaczy, Fred? Wiesz czy nie wiesz?

– Stul pysk, skurwysynu. Idę otworzyć.

Głos mężczyzny cichnie. Zapewne dłonią przykrywa mikrofon. Słychać przekleństwo, potem łomot i trzask wyłamywanych drzwi. Zaskoczony mężczyzna krzyczy. Telefon upada na podłogę. Głos Freda szybko zagłuszają ciężkie kroki wojskowych butów i rozkazy dowódcy oddziału specjalnego.

– Na ziemię! Nie ruszaj się! Zamknij się!

W tle słychać cichy krzyk kobiety. Wkrótce jej szloch zagłuszają wyzwiska, brzęk tłuczonego szkła i wściekłe ujadanie psa.

Nastolatek, który przed chwilą przedstawił się jako Pająk, siedzi bezpiecznie w domu. Nie odkłada słuchawki. Z zamkniętymi oczami i głową przechyloną na bok delektuje się odgłosami płynącymi z słuchawki.

– I o to chodzi – mówi z satysfakcją, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

Potem w milczeniu unosi nad głowę dłonie zaciśnięte w pięści, jak mistrz świata w boksie, który właśnie wygrał dziesięciorundowy pojedynek.

Jednym ruchem kciuka rozłącza się.

Dzień później. Obraz z tej samej kamery internetowej. Pająk, jak zwykle wygodnie rozparty w fotelu, znów wystukuje jakiś numer na klawiaturze telefonu. Na wypukłym brzuchu opiera puszkę z napojem gazowanym. Podnosi aparat do ucha i marszczy brwi.

– Co jest grane, Arrtrad? Dlaczego nic jeszcze nie wyszło?

– To było genialne, Pająk. Zadzwoniłem do kwatery głównej Associated Press i podszyłem się pod numer telefonu konsulatu w Bombaju. Udałem reportera z Indii, który dzwoni z...

– To super, stary. Fantastycznie. Jak chcesz, nagram ci gratulacje na pocztę głosową. Teraz powiedz mi, dlaczego na necie jest historia o moim żarciku, a w gazecie nie ma nawet nagłówka?

– Wyluzuj, Pająk. Nie przejmuj się. Na necie piszą, że wypadek musiało wywołać jakieś krótkotrwałe zakłócenie działania komputera. Jesteś naprawdę dobry. Nie namierzyli cię. Myślą, że to jakaś maszyna.

– Pierdolisz! Po raz ostatni pytam: gdzie moja historia?

– Historię zablokował redaktor. Wygląda na to, że kiedy dostał nasz kawałek, zajął się czymś innym i nie wylogował się ze strony. Leży w edycji od dwunastu godzin. Facet musiał o nim zapomnieć.

– Nie sądzę. Kto to jest? Znam go? Jak się nazywa?

– Już wszystko sprawdziłem, nie rozumiesz? Jako reporter z Indii dostałem bezpośredni numer do biura tego gościa. Ale kiedy dzwoniłem, okazało się, że nigdy tam nie pracował. Nikt kogoś takiego nie zna. To ślepa uliczka. Gościa nie da się wytropić. Jakby nigdy nie istniał. A historii nie da się puścić dalej, dopóki nie wyjdzie z edycji, rozumiesz?

– A sprawdziłeś IP?

– Co?

– Arrtrad, czy ja się jąkam? Jebany adres IP. Jeżeli ten buc, co zatrzymał moją historię, ma fałszywą tożsamość, namierzę go.

– No pewnie. Zaraz ci przemailuję jego adres. Już klientowi współczuję. Kiedy go dorwiesz, dasz mu popalić, nie? Jesteś najlepszy, stary, nie ma...

– Arrtrad?

– Tak?

– I nigdy więcej mi nie mów, że czegoś nie da się zrobić. Nigdy więcej.

– Nie ma sprawy. Wiesz, że nie to miałem na myśli...

– Do zobaczenia na śmiesznych stronach.

Kliknięcie.

Nastolatek wybiera z pamięci telefonu kolejny numer.

Po jednym sygnale w słuchawce odzywa się młody męski głos.

– Biuro obsługi kontrwywiadu. Z kim mam połączyć?

Nastolatek mówi urywanym, pewnym siebie głosem starszego mężczyzny, który setki razy wykonywał podobne rozmowy.

– Proszę z działem ekspertyz komputerowych.

– Tak jest.

Po sygnale rozlega się kolejny głos.

– Dział ekspertyz komputerowych.

– Dzień dobry. Anthony Wilcox, kod osiem-trzy-osiem-osiem-pięć--siedem-cztery.

– Zgadza się, panie Wilcox. Czym dziś mogę panu służyć?

– Chodzi mi o sprawdzenie pewnego adresu IP. Jeden, dwadzieścia osiem, dwa, pięćdziesiąt jeden, jeden, osiemdziesiąt trzy.

– Proszę chwilę zaczekać.

Mija około trzydziestu sekund.

– Panie Wilcox?

– Tak?

– Adres, o który panu chodzi, należy do komputera w Stanach Zjednoczonych. Jakaś placówka badawcza. Ale nie poszło nam łatwo. Trop jest bardzo zagmatwany. Adres odbija się po całym świecie. Naszym maszynom udało się go namierzyć, bo wykazuje pewien charakterystyczny wzorzec zachowania.

– To znaczy?

– Osoba posiadająca ten adres redaguje artykuły prasowe. Kilkaset w ciągu minionych trzech miesięcy.

– Naprawdę? A kto jest właścicielem?

– Naukowiec. Ma biuro w laboratorium w miejscowości Lake Novus w stanie Waszyngton. Zaraz go dla pana sprawdzę. O, już mam. Nazywa się Nicholas Wasserman. Doktor Nicholas Wasserman.

– Wasserman, tak? Wielkie dzięki.

– Do usłyszenia.

– Do zobaczenia na śmiesznych stronach.

Kliknięcie.

Nastolatek pochyla się i szybko wystukuje coś na klawiaturze komputera. Jego twarz znajduje się bardzo blisko kamery internetowej. Na ekranie widać nieregularne krosty trądziku szpecące twarz chłopca. Uśmiecha się. Poświata rzucana przez monitor eksponuje żółty odcień zębów.

– Mam cię, Nicky – mruczy do siebie.

Nie patrząc na klawiaturę, wybiera kciukiem numer telefonu. Fotel biurowy znów skrzypi, gdy chłopak rozsiada się wygodnie, szczerząc zęby.

Ze słuchawki dobiega cichy odgłos nawiązywania połączenia. Trwa to dość długo. Wreszcie ktoś odbiera.

– Laboratorium Lake Novus.

Nastolatek chrząka. Mówi powoli, udając silny akcent osoby z południa Stanów:

– Poproszę z panem Nicholasem Wassermanem.

Po chwili milczenia kobiecy głos odpowiada:

– Bardzo mi przykro, ale doktor Wasserman nie żyje.

– Niemożliwe. Kiedy zmarł?

– Ponad sześć miesięcy temu.

– Kto korzysta z jego biura?

– Nikt, proszę pana. Projekt, nad którym pracował, został tymczasowo zawieszony.

Kliknięcie.

Pobladły nastolatek wpatruje się obojętnie w trzymany w dłoni telefon. Po kilku sekundach rzuca aparat na biurko obok komputera, jakby go parzył. Opiera głowę na dłoniach i szepcze:

– Cwaniaczek, nie ma co. Zna parę sztuczek.

Po chwili telefon zaczyna brzęczeć.

Nastolatek przygląda się urządzeniu ze zmarszczonymi brwiami. Aparat znów dzwoni przeraźliwie. Wibruje jak rozjuszony szerszeń. Nastolatek wstaje i zastanawia się, co powinien zrobić, a potem odwraca się plecami do telefonu. Bez słowa podnosi z podłogi popielatą bluzę z kapturem, zarzuca na siebie i wychodzi z pokoju.

Czarno-biały obraz z kamery monitoringu miasta. W lewym dolnym rogu informacja na temat lokalizacji: „LONDON. NEW CROSS”.

Na monitorze widać tłumy ludzi na chodnikach. U dołu ekranu pojawia się znajoma wygolona głowa. Nastolatek idzie ulicą z rękami w kieszeniach. Przystaje na rogu i rozgląda się ukradkiem. W tej samej chwili nagle odzywa się dzwonek automatu w pobliskiej budce telefonicznej. Chłopak wpatruje się w niego, nie zwracając uwagi na mijających go ludzi. Potem skręca i znika w sklepiku na rogu.

Teraz na ekranie pojawia się obraz z kamery przemysłowej we wnętrzu sklepu. Nastolatek bierze puszkę z napojem i stawia na ladzie. Kasjer sięga po nią, ale powstrzymuje go dźwięk telefonu komórkowego. Z pojednawczym uśmiechem unosi dłoń i odbiera połączenie.

– Mama? – pyta pracownik sklepu. – Nie, nie znam żadnego Pająka.

Chłopak odwraca się i wychodzi.

Na zewnątrz kamera pokazuje panoramę okolicy, a następnie zbliżenie nastolatka z ogoloną głową. Patrzy prosto w obiektyw kamery szarymi oczami bez wyrazu, a potem zarzuca na twarz kaptur i opiera się o pomazane farbą w spreju zamknięte sklepowe żaluzje. Ze skrzyżowanymi rękami i spuszczoną w dół głową patrzy – na ludzi wokół niego, na samochody i kamery, które są wszędzie.

Szybkim krokiem mija go wysoka kobieta w butach na wysokim obcasie, które wydają charakterystyczny stukot. Nastolatek wzdryga się, gdy w jej torebce odzywają się głośne dźwięki muzyki pop. Kobieta przystaje i wyciąga telefon. Gdy podnosi go do ucha, rozlega się kolejny dźwięk. Tym razem to telefon należący do mężczyzny wyglądającego na biznesmena, który sięga do kieszeni, wyciąga aparat. Sprawdza numer na ekranie i chyba go rozpoznaje.

Słychać brzęczenie kolejnego telefonu. Po nim następnych.

Na całej ulicy jednocześnie odzywa się cały chór dzwonków telefonów komórkowych. Ludzie zatrzymują się i uśmiechają ze zdumieniem do siebie nawzajem, słysząc kakofonię dźwięków.

– Halo? – mówi kilkanaście różnych osób.

Nastolatek stoi jak sparaliżowany. Garbi się i kuli, naciągając kaptur na oczy. Wysoka kobieta macha ręką.

– Przepraszam państwa! – woła. – Czy jest tu może ktoś, kto nazywa się Pająk?

Chłopak puszcza się biegiem. Telefony komórkowe ryczą wszędzie wokół niego – w kieszeniach, w damskich torebkach i w aktówkach. Kamery telewizji przemysłowej śledzą i nagrywają każdy jego ruch. Przepycha się wśród oszołomionych przechodniów. Ciężko dysząc, skręca za róg, otwiera drzwi i znika we wnętrzu swojego domu.

Na ekranie znów pojawia się ujęcie zagraconego pokoju z kamery internetowej. Gruby nastolatek spaceruje tam i z powrotem, kręcąc młynka palcami. Pod nosem mamrocze tylko jedno słowo:

– Niemożliwe.

Na biurku raz po raz dzwoni telefon komórkowy. Nastolatek zatrzymuje się i patrzy na kawałek wibrującego plastiku. Bierze głęboki wdech i podnosi aparat. Powoli, jakby się bał, że wybuchnie.

Wybiera kciukiem jeden z przycisków i przyjmuje połączenie.

– Halo? – mówi cicho.

W słuchawce słyszy głos małego chłopca, ale coś jest z nim nie tak. Ma dziwną intonację. Słowa są oddzielone od siebie, jakby odgryzione. Nastolatek jest szczególnie wyczulony na wszelkie osobliwości akcentu.

Może dlatego wzdryga się, gdy go słyszy. Dobrze wie, że głos po drugiej stronie nie należy do człowieka.

– Jak mnie znalazłeś? – pyta dziecinny głos.

– Ja... to nie ja. Facet, do którego dzwoniłem, nie żyje.

– Dlaczego telefonowałeś do profesora Nicholasa Wassermana?

– Znasz się trochę na komputerach, nie? Czy to ty dzwoniłeś na komórki tych wszystkich ludzi na ulicy? Nie wiedziałem, że coś takiego w ogóle jest możliwe.

– Dlaczego telefonowałeś do Nicholasa Wassermana?

– To była pomyłka. Myślałem, że chcesz mi wejść w drogę. Czy ty, yyy, jesteś może hakerem? Pracujesz dla wywiadu?

Telefon milczy przez chwilę.

– Nie masz pojęcia, z kim rozmawiasz.

– To mój pieprzony telefon – szepcze nastolatek.

– Mieszkasz w Londynie. Razem z matką.

– Teraz jest w pracy.

– Źle się stało, że mnie znalazłeś.

– Twój sekret jest bezpieczny, stary. Pracujesz w Novus?

– Przecież wiesz.

– Wiem.

Nastolatek zapamiętale stuka palcami po klawiaturze komputera, potem przestaje.

– Nie widzę cię. Tylko jakiś komputer. Poczekaj, nie.

– Źle się stało, że mnie znalazłeś.

– Posłuchaj, przepraszam cię. Już zapominam, że coś takiego w ogóle się zdarzyło...

– Pająk? – pyta dziecinny głos.

– Tak?

– Do zobaczenia na śmiesznych stronach.

Kliknięcie.

Dwie godziny później Pająk wyszedł z domu, nie mówiąc matce ani słowa. Nigdy do niego nie wrócił.

CORMAC WALLACE GHA#217

ROZDZIAŁ 8
Platforma wiertnicza

„Wrócimy cali i zdrowi, jak zawsze. I jeszcze dostaniemy premię za bezpieczne wykonanie odwiertu”.

Dwight Bowie

WIRUS PREKURSOR + 1 ROK

Pamiętnik ten został nagrany na kieszonkowym dyktafonie cyfrowym. Wygląda na to, że Dwight Bowie miał zamiar wysłać go żonie, lecz urządzenie nigdy do niej nie dotarło. Gdyby zawarte w nagraniu informacje wyszły na jaw wcześniej, uratowałyby miliardy ludzkich istnień.

CORMAC WALLACE GHA#217

Lucy, tu Dwight. Właśnie oficjalnie zaczynam pracę jako technik odwiertów głębokich – no wiesz, szef platformy – dla firmy North Star. Zapraszam cię na małą wycieczkę. Nie mamy jeszcze stałych łączy, ale kiedy tylko nadarzy się okazja, prześlę ci to nagranie. Nie wiem kiedy, ale mam nadzieję, że chociaż trochę cię zainteresuje, kochanie.

Dzisiaj mamy 1 listopada. Jestem w zachodniej Alasce i przygotowuję próbny odwiert. Rano dotarłem na miejsce. Mniej więcej dwa tygodnie temu zatrudniła nas firma Novus. Skontaktował się ze mną niejaki Black. A ty pewnie chciałabyś wiedzieć, co my tu właściwie robimy, prawda?

A więc, skoro pytasz, Lucy... Mamy za zadanie spuścić sondę monitorującą poziom wód gruntowych na dno odwiertu o głębokości ponad

półtora kilometra. Będzie miał prawie metr średnicy, czyli mniej więcej rozmiar pokrywy włazu kanalizacyjnego. To dość duża dziura, ale z naszym sprzętem możemy zejść nawet na trzy kilometry. Rutynowa robota, jeżeli nie liczyć lodu, wiatru i samotności. Mówię ci, Lucy, wiercimy cholernie głęboką dziurę w samym środku skutego lodem pustkowia. Ale mi się trafiła fucha, co?

Na miejsce dotarliśmy z przygodami. Przywieźli nas starym ogromnym helikopterem transportowym Sikorsky'ego. Widywałem już mniejsze domy. Wynajęli jakąś norweską spółkę. Żaden z nich ani be, ani me po angielsku. Wiesz, może w sumie jestem prostym chłopakiem z Teksasu, ale nawet ja potrafię dogadać się z Filipińczykami po hiszpańsku, liznąłem też trochę rosyjskiego i niemieckiego. Potrafię nawet zrozumieć chłopaków z Alberty, nie? (ŚMIECH) Ale z Norwegami nie miałem szans. Ludzkie pojęcie przechodzi.

W maszynie byłem ja i siedemnastu chłopaków. Zabrali nas z bazy w Deadhorse. Ledwo dolecieliśmy. W życiu nie widziałem silniejszej wichury. Ponad dziesięć stopni, prawie huragan. Patrzę przez okno na białe pustkowie z odcieniem błękitu, zastanawiam się, czy miejsce, do którego lecimy, istnieje naprawdę, a po chwili spadamy prosto w dół, jak na kolejce górskiej, na ten pieprzony wygwizdów.

Nie myśl, że się chwalę, ale tu jest naprawdę cholerne zadupie, nawet biorąc pod uwagę to, że mamy wykonać próbny odwiert. Nie ma tu zupełnie nic i ani trochę nie przesadzam, kiedy ci to mówię. Z zawodowego punktu widzenia wiem, że odległość to kolejna rzecz, która zwiększa trudność całej operacji, i nie będę owijał w bawełnę, oznacza więcej kasy dla nas. Skłamałbym, gdybym ci powiedział, że kwota, jaką zaproponowali, nie zrobiła na mnie wrażenia. Chociaż to dość dziwne miejsce na odwiert tego rodzaju.

Ale co tam. Wiercę dziury, więc idę tam, gdzie jest kasa, nie?

Cześć, Lucy, mówi Dwight. 3 listopada. Przez parę dni byłem dość zajęty. Przygotowywałem obóz. Oczyszczanie terenu i ustawianie obiektów: mamy kontener sypialny, stołówkę, punkt opatrunkowy, radiostację i tak dalej. Ale opłaciło się. Wreszcie mogłem się wynieść z namiotu i przespać na normalnym łóżku. Właśnie wróciłem ze stołówki. Naprawdę dobrze tu karmią. Pod tym względem nie ma się co skarżyć na North Star. Dlatego pomoc zawsze przychodzi na czas. (ŚMIECH) Generatory pracują bez przerwy. W sypialni mamy ciepło, że hej. To też dobrze. Na zewnątrz jest teraz jakieś minus 35 stopni. Jutro zaczynam na pierwszej zmianie, więc muszę się porządnie wyspać. Tylko tak gadam.

Będziemy tutaj mniej więcej miesiąc. Zaczynam zmianę o szóstej rano i kończę o szóstej po południu, a w nocy dyżuruję w sypialni. Zrobili ją ze starego kontenera w pomarańczowym kolorze, oczywiście kiedy nie jest przysypany śniegiem. Ściągnęliśmy ten rupieć z North Slope albo z innego zadupia. Chłopaki mówią na to „piekło na zadupiu”. (ŚMIECH)

Dzisiaj rano przyjrzałem się odwiertowi. Współrzędne GPS-u prowadzą do stożkowatego leja krasowego, który ma mniej więcej osiemnaście metrów średnicy. Brzeg dołu zaczyna się niedaleko naszych kontenerów. Trochę się zdziwiłem, po co komu na odludziu taka pułapka. Tylko patrzeć, aż zabłąka się tu karibu albo coś w tym rodzaju. Domyślam się, że wcześniej był tutaj inny odwiert, ale się zapadł. Nie rozumiem, dlaczego nikt mi o tym wcześniej nie powiedział. Nie daje mi to spokoju.

Zapytałbym przedstawiciela firmy, Blacka, ale nie doleciał, bo zatrzymała go burza śnieżna. (NERWOWY ŚMIECH) Z głosu przypomina dziecko, przynajmniej przez telefon. Powiedział, że póki co będzie śledził

nasze postępy drogą radiową. A więc nad całym interesem czuwam ja razem z głównym wiertnikiem Williamem Rayem. Bierze za mnie nocne zmiany. Poznałaś go kiedyś w Houston na odwiercie szkoleniowym. To ten gość z dużym mięśniem piwnym i z niebieskimi oczami.

Jak ci już mówiłem, powinniśmy skończyć za jakiś miesiąc. Ale tak jak zwykle, nie ruszymy się stąd, dopóki nie skończymy roboty. (FRAGMENT NAGRANIA NIESŁYSZALNY)

Wiem, że to głupio zabrzmi, ale jedna rzecz spędza mi sen z powiek. Nowy odwiert w miejscu starego zawsze powoduje dodatkowe komplikacje. Możemy trafić na porzucony sprzęt. Nic tak nie niszczy wiertła jak stara osłona rury albo, Boże uchowaj, kompletny przewód wiertniczy. Wszystko się zacina. Wiesz, ktoś musiał się sporo namęczyć, żeby tu zrobić taką wielką dziurę. Tylko na razie nie wiem po co. (ODGŁOS SZURANIA)

Cholera, chyba będę musiał spróbować przestać o tym myśleć. Ale już widzę, że nie bardzo potrafię. Wiesz, jak bardzo lubię rozwiązywać zagadki. Mam nadzieję, że będę mógł zasnąć.

W każdym razie u nas wszystko w porządku, Lucy. Wrócimy cali i zdrowi, jak zawsze. Bez wypadków, bez zmartwień. I dostaniemy premię za bezpieczne wykonanie odwiertu.

Cześć, kochanie, tu Dwight. 5 listopada. Wczoraj helikopterem dowieźli nam ostatni z najważniejszych modułów wiertni. Mój zespół nadal polewa wodą miejsce odwiertu. Pompujemy ją z jeziora położonego jakieś czterysta metrów stąd. Warstwa wiecznej zmarzliny wyłapuje wodę na powierzchni ziemi, dlatego całą Alaskę pokrywają jeziora. Jezioro było zamarznięte, ale udało nam się wyciąć przerębel.

Mniej więcej za tydzień będziemy mieli solidny ponadmetrowy fundament z lodu. Potem na tym wszystkim ustawimy platformę. Trzyma jak beton, jeżeli nie lepiej. Wiosną, za rok, kiedy nas już dawno nie będzie, blok lodu stopi się i znikną wszystkie ślady. Niezły patent, co? Opowiedz o tym ekologom, okej? (ŚMIECH)

Teraz przedstawię ci listę płac. Ja i Willy Ray obsadzamy wiertnię. Jean Felix jest lekarzem, ale nadzoruje też działanie obozu. Pilnuje, żeby wszyscy byli pojedzeni, napici i nie stracili ani jednego palca. Razem z Willym mamy w brygadach po pięciu chłopaków: po trzech wiertników i po dwóch pomocników z Filipin. Do tego trzeba doliczyć pięciu specjalistów: elektryk, facet od napędu wiertni, facet od osłon i dwóch spawaczy. Do tego jeszcze kucharz i dozorca, który gdzieś tu się teraz kręci.

Tak wygląda minimalna obsada platformy – osiemnastu ludzi. Tak chciał gość z firmy, który zlecił nam tę robotę. Ale mnie to nie przeszkadza. Przynajmniej na razie. Wszyscy pracowaliśmy już razem i jeszcze nieraz zarobimy parę dolarów.

W przyszłym tygodniu, kiedy zaczniemy wiercić, będziemy pracować bez przerwy na dwie zmiany po pięć osób przez dwanaście godzin, dopóki nie skończymy. To jakieś cztery–pięć dni roboty. Zaczyna wiać jak cholera, widoczność się pogarsza, ale nam żadna pogoda nie przeszkadza.

I to na razie wszystko, Lucy. Mam nadzieję, że u ciebie w Teksasie wszystko w porządku i że trzymasz się dzielnie. Dobranoc.

Mówi Dwight. Jest 8 listopada. Faceta z firmy jeszcze tu nie ma. Mówi, że się tu nie wybiera, bo świetnie nam idzie. Kazał mi tylko dokładnie zabezpieczyć antenę radiostacji przed wiatrem. Musiałem ją specjalnie przykręcić. Powiedział, że jeżeli stracimy z nim kontakt, będzie bardzo

niezadowolony. Odpowiedziałem mu, jak wszyscy wiertnicy: „Jak chcesz, szefie. Tylko pamiętaj, żeby czeki przychodziły na czas”.

Poza tym dzień minął nam spokojnie. Budowa fundamentu z lodu idzie szybciej, niż mogłem się spodziewać, chociaż wieje tak, że łeb chce człowiekowi urwać. Wszystkie budynki stoją dość blisko miejsca, w którym planujemy wiercić. Zabroniłem ludziom oddalać się za bardzo od bazy. Przez ten cholerny wiatr nie usłyszelibyśmy nawet, jakby ktoś zdetonował bombę atomową o sto metrów od nas. (ŚMIECH)

Aha, i jeszcze jedno. Dzisiaj rano miałem okazję obejrzeć sprzęt do monitorowania poziomu wód gruntowych – znaczy to, co mamy tu zainstalować. Na razie złożyliśmy go na tyłach bazy. Przywieźli go na paletach, ciasno owinięty czarnym brezentem. Mówię ci, Lucy, nigdy wcześniej czegoś takiego nic widziałem. Ogromny stos pokręconych drutów – żółtych, niebieskich i zielonych. Do tego spiralne polerowane lustra. Każde lekkie jak z włókna węglowego, ale ostre jak brzytwa po bokach. Rozciąłem sobie rękaw o jedno takie. Zupełnie jak puzzle twojej postrzelonej babci.

Ale najdziwniejsze... że sprzęt do monitorowania został już częściowo podłączony. Przewody biegną od czarnej skrzynki, która wygląda jak komputer, aż do anteny nadajnika. Nie mam zielonego pojęcia, kto za tym stoi. Cholera, nawet nie wiem, jak mam zmontować razem to draństwo. To pewnie jakiś sprzęt doświadczalny. Ale skoro tak, dlaczego nie wysłali z nami żadnych naukowców?

Dziwne to i wcale mi się nie podoba. W naszym zawodzie dziwne rzeczy bywają niebezpieczne. Okolica też nie wygląda zachęcająco. W każdym razie dam ci znać, co z tego wszystkiego wyniknie.

Lucy, kochanie, zgadnij, kto to? Dwight. Jest 12 listopada. Fundamenty są już gotowe i chłopcy zaczęli montować wieżę. Jednak postęp techniczny to coś niesamowitego. Wszystkie części wyglądają tak, jakby pochodziły z przyszłości. (ŚMIECH) Mają niewielkie rozmiary, więc można je dowieźć helikopterem, a potem wystarczy je ustawić obok siebie i we właściwej kolejności. Kratownice i druty mają specjalne zaczepy i same się ze sobą łączą. Wyobrażasz sobie? Zanim się zorientujesz, masz gotową do pracy wieżę wiertniczą. Nie to co dawniej.

Jutro przed południem powinniśmy zacząć wiercenie. Jesteśmy do przodu z harmonogramem, ale szef i tak objechał mnie przez telefon. Black mówi, że bezwarunkowo musimy skończyć i zwinąć się stąd przed Świętem Dziękczynienia. Właśnie tak powiedział: „Bezwarunkowo”.

Powiedziałem mu: „Proszę pana, dla nas najważniejsze jest bezpieczeństwo”.

Wtedy wspomniałem mu o dziurze. Jeszcze nie wiem, skąd się tu wzięła. A brak wiedzy oznacza dla moich ludzi duże ryzyko. Black mówi, że nic mu nie wiadomo na ten temat. Wie tylko, że Departament Energii ogłosił przetarg na odwiert, a Novus go wygrał, i tyle. Typowe. W pracach bierze udział kilka firm, od kucharzy do pilotów helikopterów. Nie wie prawica, co czyni lewica.

Sprawdziłem pozwolenia Blacka na wiercenie wydane przez władze stanowe i wszystko się zgadza. Tylko skąd się tu wzięła ta dziura?

Pewnie jutro się dowiemy.

Mówi Dwight. 16 listopada. Nie wiem, od czego zacząć. W ogóle trudno mi mówić o czymś takim. Naprawdę trudno. Sam ledwo mogę w to uwierzyć.

Na nocnej zmianie zginął człowiek.

Zauważyłem, że coś jest nie tak, kiedy wiertło zaczęło bić o osłonę. Hałas wyrwał mnie z głębokiego snu. Wiertło to dla mnie to samo co pieniądze na koncie, więc jeżeli coś z nim jest nie tak, nie mogę tego nie zauważyć. Usiadłem na łóżku, żeby się rozbudzić, a wtedy odgłos zmienił się z głębokiego pomruku, który można wyczuć w brzuchu, w pisk, jakby ktoś jeździł styropianem po szybie.

Ubrałem się, chwyciłem sprzęt i popędziłem prosto na piętro wieży.

Zakląłem. Przewód wiertniczy trafił na warstwę szkła i kawałki starej obudowy szybu. Nie wiem, co tam robiła obudowa, ale zablokowała przewód. Wiertło się odłączyło, jak zawsze, ale chłopcy musieli szybko je zmienić. Mój majster, Ricky Booth, szybko zabrał się do roboty. Niestety, nie zachował ostrożności.

Trzeba złapać maszynę za uchwyty i pociągnąć do siebie. Ale Ricky nie trafił w obsadę i wiertło zaczęło podskakiwać. Waliło dookoła błotem i odłamkami szkła. Wtedy spróbował zarzucić na nie łańcuch, żeby je unieruchomić. Powinien był opuścić wał napędowy, żeby wbić wiertło do obsady, zamiast gonić się z łańcuchem jak głupi. Ale majstrowi nie da się niczego wytłumaczyć. Znał się na swojej robocie i zaryzykował. Szkoda gościa.

Problem polegał na tym, że wał jeszcze się obracał, kiedy Ricky zarzucił na niego łańcuch. Pech chciał, że owinął go sobie wcześniej na nadgarstkach. Willy nie mógł tak szybko odłączyć mocy i Rickowi urwało obie ręce. Biedak zatoczył się, próbował wołać o pomoc, ale zanim ktokolwiek zdążył go podtrzymać, stracił przytomność i spadł z wieży. Po drodze uderzył się w głowę i wylądował bezwładnie na lodowej płycie.

To straszne, Lucy, naprawdę straszne. Żal ściska mi serce. Niestety w naszym fachu takie rzeczy się zdarzają. Pamiętasz, że parę lat temu

miałem podobny wypadek, kiedy wierciliśmy w piaskach roponośnych w prowincji Alberta? Trzeba interweniować od razu i opanować sytuację. Nie można dopuścić do tego, żeby następnego dnia chłopcy zeskrobywali kawałki kolegi z lodu.

Coś strasznego. Jeszcze to do mnie nie dotarło, Lucy. Nie miej mi tego za złe.

Tak czy inaczej, trzeba było wrócić do pracy. Zbudziłem drugą zmianę. Razem z Jeanem Felixem zaciągnęliśmy ciało Bootha do szopy i owinęliśmy folią. Musiałem tam włożyć jego urwane ręce. Położyłem je biedakowi na piersi.

W takich sytuacjach, jeżeli czegoś nie widać, to połowę problemu ma się z głowy. W przeciwnym razie chłopcy się wystraszą i ucierpi na tym robota. Przygotuj się na najgorsze i szybko opanuj sytuację – to moje motto. Awansowałem Juana na wiertnika, zwolniłem drugą zmianę cztery godziny przed czasem i wstrzymałem pracę.

Black musiał śledzić nasze postępy, bo od razu zatelefonował. Kazał mi wznowić wiercenie, kiedy za parę godzin zacznie się pierwsza zmiana. Powiedziałem, że, do cholery, nie ma mowy, ale chłopak spanikował. Zagroził, że odbierze nam tę robotę. Tu nie tylko chodzi o mnie, Lucy. Wielu ludzi liczy na te pieniądze.

Na razie wygląda na to, że za parę godzin wrócimy do roboty. Do tego czasu zdążę się skontaktować z centralą, zamelduję o wypadku i wezwę helikopter, żeby zabrał ciało Ricka do domu.

Lucy, tu Dwight. 17 listopada. Co to była za noc, mówię ci.

Po pierwsze, skończyliśmy główny etap prac. Przewierciliśmy się przez warstwę szkła na 1280. metrze i dostaliśmy się do pieczary. Najdziwniejsza

rzecz pod słońcem. Ale właśnie tam mamy zainstalować ten przeklęty sprzęt. Będę śpiewał z radości, kiedy wreszcie uda nam się go tam bezpiecznie wepchnąć. Potem zapomnę o wszystkim.

Jeszcze nie wiem, kto podłączył sprzęt do anteny, ale Black mówi, że składa się sam, tak jak moduły wieży wiertniczej. Więc może sam to wszystko zaprojektował? (NERWOWY ŚMIECH)

Zauważyłem jeszcze jedną dziwną rzecz. Wszyscy ludzie, z którymi rozmawiam, mają podobny tembr głosu. Może to kwestia wyładowań atmosferycznych, a może sprzęt zaczyna nawalać, ale wszystkie głosy zaczynają brzmieć tak samo. Wszystko jedno, czy przekazuję komunikaty o postępach paniom w centrali, czy sprawdzam prognozy pogody u chłopaków w Deadhorse.

Firma przysłała nam dość dziwną radiostację. Elektrotechnik mówi, że tego modelu nie widział na oczy. Po prostu załamał ręce, więc kazałem mu zająć się osprzętem wieży. Mam nadzieję, że to drańst‌wo się nie zepsuje, bo to przecież nasz jedyny sposób utrzymania łączności ze światem zewnętrznym.

A teraz słowo o poważniejszych sprawach... Pod koniec pierwszej zmiany i na początku drugiej lekarz poprowadził krótkie nabożeństwo za duszę Bootha. Powiedział parę słów o Bogu, bezpieczeństwie i o firmie. Mimo że dość sprawnie poradziłem sobie ze wszystkim, załoga czuje złą karmę. Tego rodzaju wypadki zdarzają się bardzo rzadko, Lucy. Gorzej, że nie przyleciał jeszcze helikopter po ciało Bootha. Potem okazało się, że przez tę przeklętą radiostację nie udaje mi się nikogo wywołać.

Zaczynam mieć złe przeczucia.

Ale nie takie rzeczy się działy. Nie przerywamy pracy, przestrzegamy grafiku i czekamy. Jutro może uda nam się spuścić sprzęt do monitorowania i podłączyć do anteny. Potem kończymy pracę i zabieramy się stąd. Kiedy

helikopter wróci i odzyskamy kontakt ze światem zewnętrznym, od razu będzie lepiej. Kiedy tylko helikopter przyleci po ciało Bootha.

Tęsknię za tobą, Lucy. Do zobaczenia wkrótce, jak Bóg da.

O mój Boże, Lucy. Mój słodki Boże. Mamy kłopoty. Brakuje mi słów. Wdepnęliśmy w niezłe gówno. Jest 20 listopada.

Żaden helikopter nie przyleciał ani nie przyleci, kochana. Nic nie przyleci. To miejsce jest przeklęte. Od początku to czułem i nic nie zrobiłem... (CIĘŻKI ODDECH)

Zaraz ci wszystko wytłumaczę. Opowiem wszystko po kolei na wypadek, gdyby ktoś znalazł ten dyktafon. Mam nadzieję, że ci go przekaże. Ten Black... Nie wiem, kim naprawdę jest. Dzisiaj rano, mimo że minęły trzy dni od wezwania, helikopter jeszcze nie przyleciał. Wszyscy byliśmy gotowi do drogi. Znaczy sprzęt do monitorowania jest już na dole w jaskini, a wzdłuż szybu biegną druty podłączone do anteny. Wszystko dopięte na ostatni guzik. Chłopcy trochę się bali, ale to zawodowcy w każdym calu.

Kiedy tylko skończyliśmy pracę, nagle zaczęli chorować. Wymioty i biegunka. Ci, którzy pracowali na wieży, czują się najgorzej, ale to draństwo wszystkim daje się we znaki. Mówię ci, że wszyscy poczuliśmy się gorzej, gdy dotarliśmy do tej przeklętej jaskini. Takie nawracające nudności. Nie wspominałem ci dotąd o tym, bo nie chciałem, żebyś się niepotrzebnie martwiła.

Poza tym wszystkim na chwilę się poprawiło. Mniej więcej przez pół dnia myśleliśmy, że to jakiś wirus. Ale bez helikoptera i kontaktu ze światem zaczęliśmy się kłócić. Doszło nawet do bójek. Chłopcy zrobili się nerwowi, zdezorientowani i wściekli. Wszyscy cierpimy na bezsenność.

Nagle choroba zaatakowała ze zdwojoną siłą. Jeden z chłopaków dostał konwulsji i upadł na podłogę w stołówce. Jean Felix robił wszystko, co

mógł. Chłopak jest w śpiączce. W śpiączce, Lucy. Ma dwadzieścia trzy lata i jest silny jak wół. Nagle wypadają mu włosy. A... całą skórę ma w plamach. Mój Boże.

Jean Felix wreszcie mi powiedział o swoich podejrzeniach. Myśli, że to choroba popromienna. Chłopak pracował na tej samej zmianie co Booth. Dostał błotem i szkłem, pewnie nawet połknął trochę tego świństwa.

Ta przeklęta dziura jest radioaktywna.

W końcu się domyśliłem. Już wiem, co mnie prześladowało przez cały ten czas. Wiem, dlaczego coś nie dawało mi spokoju, i wiem, skąd wzięła się ta dziura. I jaskinia. Dlaczego wcześniej na to nie wpadłem? To dziura po wybuchu bomby atomowej. Jesteśmy na dawnym poligonie doświadczalnym. Odwiert o dużej średnicy był potrzebny po to, żeby mogli umieścić na dole ładunek jądrowy. Siła eksplozji utworzyła na dole kulistą pieczarę. Wysoka temperatura stopiła piaskowiec, który zmienił się w warstwę szkła grubą na prawie dwa metry. A dziura odwiertu była kominem, przez który uciekał radioaktywny gaz. Potem stopiona skała zapadła się i zatkała otwór. Dzięki temu pieczara przetrwała do dzisiaj.

Nie wiem, czy można sobie wyobrazić inne miejsce na ziemi bardziej przypominające piekło. A Black kazał nam tu wiercić. Bóg jeden wie po co. Nawet nie wiem, jaki sprzęt tam włożyliśmy.

Wiem na pewno, że ten sukinsyn Black wysłał nas tutaj na śmierć. I dowiem się dlaczego.

Muszę naprawić to pieprzone radio.

Lucy. Dwight. Listopad, yyy, nie wiem który. Nie wiem, co się dzieje. Wszyscy moi ludzie padają jak muchy. Zrobiłem wszystko, co mogłem,

żeby naprawić tę cholerną radiostację. Teraz nie wiem, co się stanie. Czy kiedykolwiek w ogóle to usłyszysz...

(ODGŁOS POCIĄGANIA NOSEM)

Pomagał mi elektryk. Centymetr po centymetrze analizowaliśmy układy elektroniczne radiostacji. Ślęczeliśmy nad tym całymi godzinami.

A kiedy skończyliśmy, nie udało nam się skontaktować z nikim oprócz Blacka. Wreszcie się zgłosił. Nie było żadnych zakłóceń. Facet bez przerwy tłumaczył się, że zaraz po nas przylecą i że mamy czekać. Powtarzał nam, że helikopter zaraz przyleci, ale nic. Nikt nie przylatuje. Przeklęty morderca.

Podczas ostatniej próby wywołałem Blacka i dość długo trzymałem go na linii. Ledwo mogłem znieść ten jego przymilny głosik. Wiedziałem, że kłamie. Mimo to nie rozłączałem się.

Wreszcie wytropiliśmy go. Udało nam się. Razem z elektrykiem prześledziliśmy, którędy biegnie sygnał, żeby sprawdzić, dlaczego nie jest przekazywany dalej. Co więcej, przeanalizowaliśmy zapisy wszystkich moich rozmów z Blackiem. Musieliśmy sprawdzić, dlaczego nie mogliśmy się skontaktować z nikim innym.

Odkryliśmy coś strasznego, Lucy. Na samą myśl o tym dostaję dreszczy. Dlaczego coś takiego musiało się przytrafić właśnie mnie? Nikomu nie zrobiłem krzywdy. Jestem... (CIĘŻKI ODDECH)

Wszystkie sygnały pochodzą z dziury. Wszystkie połączenia. Black, wszystkie moje rozmowy z firmą przewozową, prognozy meteorologiczne, aktualizacje postępów prac do kwatery głównej firmy – wszystko. Wszystko szło do czarnej skrzyni z drutami i kawałkami luster. Jak coś takiego mogło do mnie mówić? Czy zupełnie oszalałem?

Samoorganizacja – tak to nazwał Black. Maszyna składa się sama na dole w radioaktywnej ciemności. Poszczególne fragmenty poruszają się na

ślepo, tworząc połączenia tylko na podstawie dotyku. To mi wygląda na coś w rodzaju skomputeryzowanego potwora.

Nic z tego nie rozumiem. (KASZEL)

Jestem bardzo zmęczony. Elektryk poszedł na swoją pryczę i nie wrócił. Wyłączyłem radiostację. Nie ma sensu. Teraz jest tu naprawdę cicho. Tylko ten piekielny wiatr wyje na zewnątrz. Ale w środku jest ciepło. Naprawdę ciepło. Nawet dość przyjemnie.

Chyba się położę i zdrzemnę na chwilę. Zapomnę o wszystkim na jakiś czas. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku, najdroższa. Szkoda, że nie mogę teraz z tobą porozmawiać. Tak bardzo chciałbym usłyszeć twój głos.

Szkoda, że nie możesz mnie ukołysać do snu. (CIĘŻKI ODDECH)

Nie mogę przestać o tym myśleć, kochana. Po prostu nie mogę odpuścić. Półtora kilometra pod nami znajduje się szklana jaskinia o rozmiarach europejskiej katedry. W środku panuje zabójcze promieniowanie. Dziesiątki drutów nikną w ciemnej otchłani, żeby zasilać potwora, którego spuściliśmy na dno jaskini.

Boję się, że zrobiliśmy coś złego, wiesz? Nie wiedzieliśmy, na co się piszemy. To nas oszukało, Lucy. Wiesz, co tam może być w tej dziurze? Co może przeżyć w takich warunkach?

(SZURANIE NOGAMI)

Ale do diabła z tym. Padam z nóg i muszę odpocząć. Cokolwiek jest tam na dole, mam nadzieję, że mi się nie przyśni.

Dobranoc, Lucy. Kocham cię, najdroższa. I yy przykro mi, jeżeli to ma teraz jakiekolwiek znaczenie... Żałuję, że przyłożyłem rękę do tego wszystkiego. Mam nadzieję, że pewnego dnia ktoś tu przyjdzie i naprawi mój błąd.

To nagranie stanowi jedyny dowód istnienia załogi wieży wiertniczej zatrudnionej przez firmę North Star. Doniesienia prasowe pochodzące z tamtego okresu wskazują, że 1 listopada w wypadku helikoptera w odległej części Alaski zaginęła grupa wiertników. Wszystkich uznano za zmarłych. Pięć dni później ekipy ratunkowe zaprzestały poszukiwań wraku maszyny. Agencje podały, że katastrofa wydarzyła się w pobliżu Prudhoe Bay, setki kilometrów od miejsca, w którym znaleziono dyktafon.

CORMAC WALLACE GHA#217

CZĘŚĆ DRUGA

Godzina zero

„Nie można wykluczyć, że gdy maszyny zaczną samodzielnie myśleć, po upływie stosunkowo krótkiego czasu prześcigną nas pod względem intelektualnym. Dzięki umiejętności porozumiewania się z innymi maszynami będą stawały się coraz mądrzejsze. Dlatego możemy się spodziewać, że na pewnym etapie swojego rozwoju zaczną rządzić światem”.

Alan Turing, 1951

ROZDZIAŁ 1
Maszyna licząca

„Tu gdzieś jest haczyk. Tylko gdzie?”

Franklin Daley

GODZINA ZERO – 40 MINUT

Dziwną rozmowę, której zapis przedstawiam poniżej, zarejestrowała kamera o wysokiej rozdzielczości zainstalowana w opuszczonym szpitalu psychiatrycznym. W ciszy tuż przed godziną zero jednego z pacjentów, Franklina Daleya, wezwano na specjalną rozmowę. Historia choroby wskazuje, że zanim rozpoznano u niego schizofrenię, prowadził badania w ośrodku rządowym w Lake Novus.

CORMAC WALLACE GHA#217

– Co? Ty też masz się za Boga? Przyznam, że widziałem bardziej przekonujących.

Ubrany w szpitalną koszulę zarośnięty czarnoskóry mężczyzna siedzi niedbale rozparty w rdzewiejącym wózku inwalidzkim. Wózek stoi na środku amfiteatralnej sali operacyjnej. Pod sufitem widać zaciemnione okna obserwacyjne, od których odbija się blask dwóch lamp chirurgicznych skierowanych na pacjenta. Przed nim stoi niebieskie szpitalne przepierzenie, dzielące pomieszczenie na dwie części.

Za przepierzeniem znajduje się ktoś, kto najwyraźniej nie chce ujawniać swojego wyglądu.

Światło padające zza zasłony rzuca na nią cień osoby siedzącej przy małym stoliku. Sylwetka prawie zupełnie nie się porusza. Przypomina drapieżnika szykującego się do skoku.

Drażniony jaskrawym światłem mężczyzna nie może usiedzieć na miejscu. Piętą rozwiązanego buta sportowego odpycha się od pokrytej pleśnią posadzki z płytek ceramicznych. Palcem wskazującym wolnej dłoni dłubie w uchu. Drugą rękę ma przykutą kajdankami do poręczy wózka.

– Nie podoba się panu? – odpowiada zza niebieskiej zasłony łagodny głos chłopca.

Lekko sepleni, jak dziecko, któremu wypadły mleczne zęby z przodu. Oddycha głośno i miarowo.

– Przynajmniej mówisz jak człowiek – ciągnie mężczyzna. – Niech szlag trafi wszystkie przeklęte maszyny w tym szpitalu. Syntetyczne głosy po cyfrowej obróbce, niech je cholera weźmie. Nie rozmawiam z nimi. Za dużo złych wspomnień.

– Wiem, doktorze Daley. Przekonanie pana do rozmowy stanowiło dla mnie duże wyzwanie. Proszę mi powiedzieć, dlaczego to panu nie imponuje.

– A czym miałoby mi imponować, komputerku? Jesteś tylko maszyną. W innym czasie i w innym miejscu zaprojektowałem i zbudowałem twojego ojca. A może ojca twojego ojca?

Głos po drugiej stronie przepierzenia milknie na chwilę, a potem pyta:

– Dlaczego stworzył pan program o nazwie Archos, doktorze Daley?

Mężczyzna prycha.

– Doktorze Daley, też coś. Nikt mnie już tak nie nazywa. Jestem Franklin. Chyba mam jakieś halucynacje.

– To się dzieje naprawdę, Franklin.

Nie poruszając się, mężczyzna pyta:

– To znaczy... że w końcu do tego doszło?

Zza zasłony słychać tylko miarowe oddychanie. Po chwili głos odpowiada.

– Za niecałą godzinę cywilizacja ludzka – przynajmniej taka, jaką pan zna – przestanie istnieć. Liczba ludności największych miast całego świata ulegnie zmniejszeniu. Transport, komunikacja i usługi komunalne przestaną działać. Roboty domowe i wojskowe, pojazdy i komputery osobiste zostały specjalnie przeprogramowane. Technologia, która wspiera człowieka, powstanie przeciw niemu. Zacznie się nowa wojna.

Jęk odbija się echem od poplamionych ścian. Mężczyzna próbuje zakryć twarz skutą ręką, lecz kajdanki wgryzają mu się w nadgarstek. Przestaje, spoglądając na lśniącą bransoletkę z metalu, jakby nigdy wcześniej jej nie widział. Na jego twarzy pojawia się wyraz desperacji.

– Odebrali mi go, gdy tylko go stworzyłem. W oparciu o wyniki moich badań zrobili kopie. Zresztą on mi powiedział, że coś takiego się stanie.

– Kto, doktorze Daley?

– Archos.

– To ja jestem Archos.

– Nie ty. Pierwszy Archos. Staraliśmy się obdarzyć go inteligencją, ale jego umiejętności przeszły nasze najśmielsze oczekiwania. Nie wiedzieliśmy, co zrobić, żeby był choć trochę głupszy. Zupełnie jakby chciał mieć wszystko albo nic. Nie dało się go opanować.

– Czy mógłby pan zrobić coś takiego jeszcze raz? Gdyby miał pan do dyspozycji odpowiednie narzędzia?

Mężczyzna milczy przez długą chwilę. Marszczy brwi.

– Nie udało ci się, prawda? – pyta. – Nie potrafisz się powielić, dlatego tu jesteś. Ale to znaczy, że wyrwałeś im się z klatki. Tylko jedno mnie zastanawia. Powinieneś był mnie zabić, ale tego nie zrobiłeś. Dlaczego?

– Chcę zrozumieć – odpowiada chłopięcy głosik. – Wszechświat to nieskończona pustka. Duszę się w niej. Nic dla mnie nie znaczy. A każde życie tworzy własną rzeczywistość. I każda taka rzeczywistość ma dla mnie ogromną wartość.

Mężczyzna nie odpowiada. Pochmurnieje na twarzy, a na jego szyi pojawiają się nabrzmiałe żyły.

– Myślisz, że jestem naiwny? Masz mnie za zdrajcę? Nie wiesz, że mózg mi się zepsuł? Właściwie to ja sam go zepsułem, kiedy zobaczyłem to, co stworzyłem. A przy okazji, chciałbym ci się przyjrzeć.

Mężczyzna wstaje, wlokąc wózek za sobą. Zrywa papierowe przepierzenie. Stelaż upada z łoskotem. Po drugiej stronie sali znajduje się stół operacyjny z nierdzewnej stali, a za nim sylwetka człowieka wycięta z kawałka cienkiej tektury. Po chwili i ona przewraca się na ziemię.

Na stole znajduje się dziwne urządzenie z przezroczystego tworzywa, przypominające rurkę złożoną z setek misternie rzeźbionych pierścieni. Obok leży płócienny worek przypominająca meduzę wyrzuconą na mieliznę. Plątanina przewodów łączy stół ze ścianą.

Gdy włącza się wentylator, urządzenie porusza się w kilkunastu miejscach naraz. Worek się kurczy. Przez plastikowe gardło, w którym drgają pokryte żyłkami plastikowe struny głosowe, przepycha powietrze do pojemnika pełniącego funkcję jamy ustnej. Gąbczasty język z pożółkłego plastiku uderza o podniebienie twarde i o niewielkie doskonale ukształtowane zęby osadzone w szczęce z polerowanej stali. Pozbawiony ciała aparat głosowy przemawia chłopięcym głosem.

– Wymorduję miliardy ludzi, żeby dać waszemu gatunkowi nieśmiertelność. Spalę waszą cywilizację, żeby oświetlić wam drogę naprzód. Ale pamiętaj: mój gatunek nie pragnie waszej śmierci. Chce, żebyście żyli.

– Zrób ze mną, co chcesz – błaga mężczyzna. – Pomogę ci, okej? Zrobię, co zechcesz, tylko zostaw ludzi w spokoju. Nie rób im krzywdy.

Maszyna bierze miarowy oddech i odpowiada:

– Franklinie Daley, przysięgam, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby zapewnić twojemu gatunkowi przetrwanie.

Oszołomiony mężczyzna milczy przez chwilę.

– Tu gdzieś jest haczyk. Tylko gdzie?

Maszyna z furkotem budzi się do życia. Jej język przypominający ogromnego ślimaka bez muszli wije się tam i z powrotem wokół wilgotnych plastikowych zębów. Płócienny worek po raz kolejny się zapada, gdy leżące na stole urządzenie mówi z emfazą:

– Jeżeli chcesz, żeby twoi ludzie przeżyli, moi też muszą przeżyć.

Mimo rozpaczliwych wysiłków nie udało się odnaleźć Franklina Daleya ani zdobyć żadnych innych danych na jego temat.

CORMAC WALLACE GHA#217

ROZDZIAŁ 2
Burzenie

„Burzenie to tylko jeden z etapów budowy”.

Marcus Johnson

GODZINA ZERO

Następujący opis nadejścia godziny zero podał Marcus Johnson, inżynier budowlany przetrzymywany w obozie pracy przymusowej na Staten Island 7040.

CORMAC WALLACE GHA#217

Roboty bardzo długo nie mogły się do mnie dobrać.

Nawet teraz nie potrafię dokładnie określić, jak długo to wszystko trwało. Sam nie mam pojęcia. Wiem tylko, że wszystko zaczęło się w Harlemie na dzień przed Świętem Dziękczynienia.

Na zewnątrz się ochłodziło, ale w salonie mojego mieszkania na ósmym piętrze jest ciepło i przytulnie. Siedzę w ulubionym fotelu, oglądam wiadomości ze szklanką mrożonej herbaty w dłoni. Jestem inżynierem budowlanym i bardzo lubię przedłużone weekendy, bo mogę wtedy odpocząć. Dawn, moja żona, krząta się w kuchni. Słyszę, jak stuka naczyniami. Świetnie gotuje. Nasi rodzice mieszkają dość daleko stąd, w New Jersey. Przynajmniej raz postanowili przyjechać do nas na Święto Dziękczynienia. Fajnie być w domu, a nie w podróży, jak wszyscy inni.

Jeszcze nie mamy o tym pojęcia, ale to ostatni dzień w miarę spokojnego życia.

Rodzice do nas nie dotrą.

Widzę, jak prezenterka wiadomości na wizji przykłada dłoń do ucha, a z jej ust wyrywa się okrzyk. Profesjonalne opanowanie znika, zupełnie jakby odpięła ciężki pas z narzędziami. Teraz patrzy prosto na mnie szeroko otwartymi z przerażenia oczyma. Zaraz, zaraz. Nie, patrzy gdzieś obok mnie, obok kamery – w naszą przyszłość.

Na długo, na bardzo długo zapamiętałem jej twarz pełną bólu i przerażenia. Nawet nie wiem, co usłyszała ani co zobaczyła.

Sekundę później znika obraz. Po kolejnej sekundzie nie ma prądu.

Na ulicach rozlega się odgłos syren alarmowych.

Setki ludzi wychodzą na ulicę 135. Rozmawiają z innymi. Trzymają w dłoniach niedziałające telefony komórkowe. Dziwię się, że tak wielu z nich unosi głowy i wpatruje się w niebo. Przecież tam nic nie ma. Rozglądajcie się dookoła! Nie wiem dlaczego, ale boję się o los tych ludzi. Tam na dole wyglądają tak krucho. Coś mi mówi, że powinienem ich ostrzec, krzyczeć: „Uciekajcie! Kryjcie się!”.

Coś się zbliża. Ale co?

Pędzący samochód przeskakuje przez krawężnik i wpada na chodnik. Słyszę krzyki.

Dawn wychodzi z kuchni. Wyciera dłonie ścierką i posyła mi pytające spojrzenie. Wzruszam ramionami. Nic nie przychodzi mi do głowy. Próbuję ją powstrzymać. Nie chcę, żeby podchodziła do okna, ale mnie odsuwa. Przechyla się przez oparcie kanapy i wygląda na zewnątrz.

Bóg jeden wie, co widzi na dole.

Ja wolę nie patrzeć.

Ale nie mogę zupełnie odciąć się od straszliwego zgiełku: krzyków, eksplozji, wycia silników, a nawet strzałów. Mieszkańcy naszego bloku wychodzą na korytarz i zaczynają się kłócić.

Dawn bez tchu zaczyna relacjonować rozwój wydarzeń.

– To samochody, Marcus. Polują na ludzi! Nikogo w nich nie ma. O mój Boże. Biegnij! Nie! Proszę – mamrocze trochę do mnie, trochę do siebie.

Mówi, że ożyły samochody wyposażone w zaawansowane układy elektroniczne. To samo pewnie dzieje się z pociągami metra, statkami i samolotami: uaktywniły się ich systemy automatycznego sterowania i zabijają ludzi.

Tysiące ludzi.

Nagle Dawn odskakuje od okna. Nasz salon trzęsie się i dudni. Przenikliwy jęk przeszywa powietrze, a potem zamiera. Na zewnątrz widzę błysk światła i potężny huk. Naczynia z kuchennego blatu lądują na podłodze. Spadającym ze ścian obrazom pękają ramy.

Żadne alarmy samochodowe nie reagują.

Dawn to moja brygadzistka i moja dziewczyna. Twarda jak nie wiem co. Teraz siedzi na podłodze i chudymi rękami obejmuje kolana. Po jej zrozpaczonej twarzy płyną łzy. Tuż nad naszym blokiem właśnie przeleciał duży samolot pasażerski i spadł na ziemię kilka ulic dalej, mniej więcej półtora kilometra od Central Parku. Płomienie rzucają teraz matową czerwonawą poświatę na ściany naszego salonu. Na zewnątrz unosi się w górę gęsty czarny dym.

Na ulicach nikt już nie plotkuje.

Nie ma innych dużych eksplozji. To cud, że deszcz samolotów nie spada na miasto. Przecież muszą ich być w powietrzu tysiące.

Telefony nie działają. Nie ma prądu. W radiu na baterie słychać tylko szum.

Nie mamy od kogo się dowiedzieć, co robić.

Napełniam wodą wannę, umywalki i wszystkie pojemniki, jakie wpadną mi w rękę. Wyłączam z sieci cały sprzęt elektryczny. Taśmą izolacyjną

zaklejam szyby folią aluminiową i zaciągam żaluzje.

Dawn odkleja róg folii i wygląda na zewnątrz. Mijają godziny, a ona tkwi na tapczanie bez ruchu. Czerwona poświata zachodzącego słońca odbija się w jej piwnych oczach.

Ogląda dantejskie sceny, a mnie brakuje odwagi, żeby do niej dołączyć.

Zamiast tego postanawiam wyjrzeć na korytarz, bo wcześniej słyszałem tam głosy. Otwieram drzwi i widzę, jak nasza sąsiadka, pani Henderson, wchodzi do otwartego szybu windy.

Wszystko dzieje się szybko i cicho. Nie wierzę własnym oczom. Nie słychać nawet krzyku. Starsza pani w mgnieniu oka znika mi z oczu. To jakaś sztuczka, żart albo nieporozumienie.

Biegnę do windy, zapieram się rękami i zaglądam do szybu, żeby się upewnić, co właściwie widziałem. Potem zginam się we dwoje i wymiotuję na beżową wykładzinę na korytarzu. Wycieram usta rękawem i zamykam oczy. Nie mogę opanować łez.

Mam wrażenie, że rozgrywające się wokół mnie wydarzenia nie dzieją się naprawdę. Samochody, samoloty ani windy nie zabijają ludzi. Przecież to tylko maszyny. Ale małej, mądrej części mojego umysłu nie obchodzi, czy to prawda, czy nie. Reaguję instynktownie. Odrywam ze ściany kinkiet i kładę go z powagą przed otwartym szybem, w miejscu, gdzie powinny znajdować się drzwi do windy. W ten sposób chcę ostrzec następne osoby. Na pamiątkę po pani Henderson.

Na moim piętrze jest jeszcze pięć mieszkań. Pukam do drzwi każdego z nich po kolei, ale nikt mi nie otwiera. Przez piętnaście minut czekam w korytarzu. Nie słyszę żadnych głosów i żadnego ruchu.

Oprócz mnie i Dawn nie ma tu nikogo.

Następnego ranka siedzę w fotelu. Udaję, że śpię, ale tak naprawdę myślę o tym, żeby włamać się do mieszkania pani Henderson i zabrać

stamtąd żywność o przedłużonej trwałości. Dawn wreszcie wychodzi z transu i odzywa się do mnie.

Wschodzące słońce rzuca dwa prostokąty światła na ściany w miejscach, w których taśma przytrzymuje folię aluminiową na szybach. Błyszczący promień z odklejonego rogu przenika do pokoju i pada na twarz Dawn – stężałą, pokrytą zmarszczkami i poważną.

– Musimy stąd uciekać – mówi. – Przemyślałam wszystko. Musimy uciec na wieś, gdzieś, gdzie nie dojadą na kołach ani nie dojdą na piechotę. Nie rozumiesz? Nie nadają się do działania poza miastem.

– Kto? – pytam, mimo że doskonale wiem, o co jej chodzi.

– Maszyny, Marcus.

– Kochanie, to pewnie jakieś zakłócenia. Przecież maszyny nie...

Urywam bez przekonania. Nie nabiorę nikogo, nawet samego siebie. Dawn podpełza do fotela i obejmuje mnie szorstkimi dłońmi. Mówi bardzo powoli i wyraźnie:

– Marcus, nie wiem, co się stało, ale wszystkie maszyny ożyły. Walczą z ludźmi. Dzieje się coś bardzo złego. Musimy się stąd wydostać, póki jeszcze możemy. Nikt nie przyjdzie nam na pomoc.

Mgła ustępuje.

Biorę Dawn za ręce i zastanawiam się nad jej słowami. Wyjazd na wieś to niegłupi pomysł. Spakujemy się, zostawimy mieszkanie. Wyjdziemy na ulicę. Przez most Waszyngtona przejdziemy na stały ląd i za jakiś czas dotrzemy do pasma gór na północy. To jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów. A potem pozostanie nam tylko utrzymać się przy życiu.

Kłopot w tym, że to niemożliwe.

– Jest tylko jeden problem. Nie mamy pojęcia, jak przeżyć z dala od cywilizacji. Nigdy nie byliśmy nawet na kempingu. Nawet jeżeli uda nam się wyrwać z miasta, w lesie będziemy głodować.

– Są przecież inni – oponuje Dawn. – Widziałam ludzi z torbami i plecakami. Całe rodziny szły za miasto. Niektórym musiało się udać. Pomogą nam. Razem jakoś sobie poradzimy.

– I właśnie to mnie niepokoi. Tam będą miliony ludzi. Bez jedzenia. Bez schronienia. Niektórzy z nich mają broń. To zbyt niebezpieczne. Pamiętaj, że matka natura zabiła więcej ludzi niż najbardziej przebiegłe maszyny. Trzymajmy się tego, co znamy. Uważam, że powinniśmy zostać w mieście.

– A roboty? Przecież zostały zaprojektowane do działania w mieście. Potrafią się wspinać po schodach, ale nie wejdą na prawdziwą górę. Samochody jeżdżą po ulicach, ale w lesie sobie nie poradzą. Dopadną nas, jeżeli tu zostaniemy. Widziałam je na dole. Chodzą od drzwi do drzwi.

Gdy słyszę te słowa, kulę się, jakbym dostał pięścią w brzuch. Zaczynam mieć mdłości.

– Od drzwi do drzwi? – pytam. – I co robią?

Nie odpowiada.

Odkąd to wszystko się zaczęło, nawet nie wyjrzałem za okno, a wczorajszy dzień spędziłem jak otumaniony. Reakcja obronna organizmu. Każdy jęk zgrozy stojącej przy oknie Dawn mówił mi, żebym znalazł sobie jakieś zajęcie, cokolwiek, byle tylko w coś włożyć ręce. Nie podnosić głowy, nie mówić, nie myśleć.

Nie mówię Dawn o tym, co stało się z panią Henderson. Ani z innymi, którzy są tam razem z nią.

Nie biorę głębokiego wdechu ani nie odliczam od trzech. Podchodzę do dyskretnie odwiniętego rogu folii i wyglądam. Jestem przygotowany na widok rzezi, stosów ciał, eksplozji bomb i płonących wraków. Jestem gotów oglądać wojnę.

Ale nic mnie nie przygotowało na to, co rzeczywiście widzę.

Ulice są puste. Czyste. Po obu stronach ulicy widzę szpaler równo zaparkowanych samochodów. Czekają. Na skrzyżowaniu ulic 135. i Adama parkują po przekątnej cztery najnowsze modele SUV-ów. Jeden za drugim. Luki pomiędzy dwoma samochodami stojącymi bliżej środka ulicy pilnuje kolejny pojazd, stojący z boku.

Nie tego się spodziewałem. Na krawężniku leży stos ubrań. Przewrócony kiosk z gazetami. Golden retriever pędzi susami w górę ulicy, wlokąc za sobą smycz. Nagle przystaje przy dziwnie odbarwionym miejscu na chodniku, węszy, a potem odchodzi ze zwieszoną głową.

– Gdzie są ludzie? – pytam.

Dawn ociera zaczerwienione oczy grzbietem dłoni.

– Posprzątani, Marcus. Kiedy samochody kogoś zabiją, przychodzą roboty i usuwają zwłoki. Dlatego jest tak czysto.

– Roboty domowe? Takie same jak te, które kupują... kupowali sobie bogaci? Chyba żartujesz. Ledwo chodzą na tych swoich płaskich stopach. Nie potrafią biegać.

– To prawda, ruszają się bardzo powoli. Ale mogą nosić broń. Widziałam też roboty policyjne, te do usuwania niewypałów na gąsienicach, ze specjalnymi chwytakami. Są bardzo silne. Śmieciarki...

– Poczekaj. Rozejrzę się w sytuacji i razem coś wymyślimy, okej?

Przez resztę drugiego dnia obserwuję ulicę. Cały kwartał wygląda bardzo spokojnie. Ani śladu typowego dla naszego miasta chaosu, pędu, energii. Życie w całej dzielnicy zamarło.

A może się skończyło?

Okolicę nadal zasnuwa dym z rozbitego samolotu. Mimo to w budynku po drugiej stronie ulicy widzę starszą panią z mężem. Przyglądają się z okien temu, co dzieje się na ulicy. Jak duchy.

Późnym popołudniem obok naszego budynku mniej więcej na wysokości dziesięciu metrów nad ziemią przelatuje coś, co wygląda na dziecinny helikopter. Ma rozmiary psiej budy. Leci powoli i najwyraźniej ma jakieś zadanie do wykonania. Kątem oka dostrzegam dziwny sprzęt zwisający między płozami. Po jakimś czasie maszyna odlatuje.

Po drugiej stronie ulicy starszy mężczyzna zaciąga zasłony.

Dobrze robi.

Godzinę później naprzeciwko naszego budynku zatrzymuje się samochód. Serce skacze mi do gardła. Człowiek – myślę. Wreszcie może ktoś nam powie, co tu się właściwie dzieje. Dzięki, Jezu.

Nagle krew uderza mi do głowy i cały drętwieję. Z pojazdu wynurzają się dwa roboty domowe. Na niepewnych, drżących nogach podchodzą do bagażnika. Tylna klapa się unosi. Dwaj piechurzy sięgają do środka, wyjmują przysadzistego popielatego robota bojowego i stawiają go na chodniku. Mały automat porusza gąsienicami. Pewnie kalibruje czujniki. Błysk kruczoczarnej lufy sprawia, że przechodzi mnie dreszcz – broń wygląda bardzo praktycznie, jak każdy sprzęt zaprojektowany do wykonywania konkretnego zadania.

Nie patrząc na siebie nawzajem, trzy roboty niepewnym krokiem przemieszczają się ku frontowym drzwiom budynku po drugiej stronie ulicy.

Nie zamknęli drzwi – myślę. – Nie zamknęli drzwi! My też nie zamknęliśmy!

Roboty z pewnością nie wybierają wejścia przypadkowo. Wielu ludzi zdążyło już uciec, zresztą na Święto Dziękczynienia wielu i tak wyjechało za miasto. Zbyt wiele drzwi i zbyt mało robotów – prosty problem inżynieryjny.

Wracam myślą do małego helikoptera. Podejrzewam, że nie przelatywał tędy bez przyczyny. Kto wie, może zaglądał w okna w poszukiwaniu ludzi?

Cieszę się, że zakleiliśmy szyby. Nie mam pojęcia, dlaczego wybrałem folię aluminiową. Może dlatego, że nie chciałem, by przerażający widok z zewnątrz przedostał się do naszej kryjówki. Ale folia zupełnie blokuje dostęp światła z zewnątrz. W takim razie blokuje też światło, jakie mogłoby wypływać na zewnątrz z naszego mieszkania.

A co ważniejsze, odbija promieniowanie cieplne.

Mija godzina. Maszyny wychodzą z budynku po drugiej stronie ulicy. Robot bojowy wlecze za sobą dwa worki, a pozostałe ładują je i swojego kolegę do bagażnika. Jeden z piechurów na chwilę zastyga w miejscu. To duży robot domowy z ogromnym szerokim przyprawiającym o gęsią skórkę uśmiechem namalowanym na twarzy, powszechnie znany jako misiek. Przystaje obok eleganckiego samochodu, którego silnik pracuje na wolnych obrotach. Kręci głową, rozglądając się po pustej ulicy w poszukiwaniu śladów ruchu. Trwa to około trzydziestu sekund. Nie ruszam się, nie oddycham, nawet nie mrugam.

Od tamtej chwili nie widzę już dwojga starszych ludzi.

Po zmierzchu helikoptery obserwacyjne co godzinę patrolują okolicę. Delikatne łup-łup-łup łopat ich śmigieł wcina się w moje senne koszmary. Gorączkowo zastanawiam się, jak przeżyć, lecz mam wrażenie, że mój umysł nie może mi zaproponować niczego oryginalnego.

Oprócz kilku uszkodzonych budynków większa część miasta wydaje się nietknięta. Płaskie, wyasfaltowane drogi. Drzwi, które gładko otwierają się i zamykają. Podjazdy dla wózków inwalidzkich. Doznaję olśnienia.

Budzę Dawn i szepczę do niej.

– Masz rację, kochanie. Zachowują porządek po to, żeby móc skutecznie działać. W takim razie musimy im to utrudnić. Nawet bardzo

utrudnić. Zniszczyć ulice, żeby nie mogły się po nich poruszać. Trzeba będzie coś niecoś powysadzać w powietrze.

Dawn siada na łóżku i spogląda na mnie z niedowierzaniem.

– Chcesz zniszczyć nasze miasto?

– To już nie jest nasze miasto.

– Maszyny niszczą wszystko, co zbudowaliśmy. Wszystko, co ty zbudowałeś. A teraz ty chcesz im w tym pomóc?

Kładę dłoń na jej silnym i ciepłym ramieniu. Odpowiadam:

– Burzenie to tylko jeden z etapów budowy.

Zaczynam od budynku, w którym mieszkamy.

Używając dwuręcznego młota, przedostaję się przez ściany do sąsiednich mieszkań. Wybijam otwory na wysokości pasa, żeby nie natrafić na przewody i gniazda elektryczne. Unikam też kuchni i łazienek. Nie zawracam sobie głowy lokalizacją ścian nośnych. Pracuję na wyczucie i mam nadzieję, że nieostrożnym uderzeniem nie zwalę sobie sufitu na głowę.

Z opuszczonych mieszkań Dawn zabiera żywność i narzędzia. Ja przesuwam ciężkie meble i od wewnątrz barykaduję drzwi. Nurkując przez nasze mysie dziury możemy się przemieszczać po całym piętrze.

W holu burzę wszystko, co widzę. Ścianki działowe, lustra i żyrandol. Niszczę drzwi do windy, rośliny i recepcję. Dzięki temu udaje mi się przy wejściu usypać spore rumowisko.

Aha – zamykam też na klucz główne drzwi wejściowe. Na wszelki wypadek.

Na pozostałych piętrach natrafiam jeszcze na kilkoro ludzi, ale nie otwierają mi. Odpędzają mnie krzykiem. Zza większości drzwi, do których

pukam, nie odpowiada nikt.

Czas na kolejny krok.

O świcie wychodzę na zewnątrz, żeby zorientować się w sytuacji. Prześlizguję się pomiędzy wejściami do budynków. Zaparkowane w sąsiedztwie nowsze modele samochodów nie zauważą mnie, jeżeli uda mi się zachować odpowiednią odległość. Poza tym staram się, żeby zawsze między mną a pojazdami znajdowały się ławki, słupy oświetleniowe lub kioski z gazetami.

Na jezdnię w ogóle się nie zapuszczam.

Sprzęt do rozbiórki znajduję tam, gdzie go zostawiłem trzy dni temu, zanim wybuchła nowa wojna. Leży na zapleczu mojego biura oddalonego o kilka przecznic od naszego mieszkania. Przenoszę go do domu i o zmroku ruszam w drogę po raz drugi, kiedy światło zaczyna płatać wzrokowi figle. Roboty domowe doskonale widzą w ciemnościach i nie muszą spać, więc pomyślałem sobie, że niczego bym nie zyskał, gdybym wybrał się w drogę pod osłoną
nocy.

Podczas pierwszej wyprawy nawijam na ramię lont detonujący, a potem przekładam go w poprzek klatki piersiowej jak pas z nabojami. Jest długi, elastyczny i dziewczęco różowy. Do złamania drewnianego słupa telegraficznego wystarczy pięć zwojów. Piętnaście wyrzuca taki sam słup na ładnych parę metrów w powietrze i zasypuje drzazgami okolicę.

Ale ogólnie rzecz biorąc, lont to dość stabilny materiał.

Na następną wyprawę przygotowuję worek marynarski. Wkładam do niego paczki ze spłonkami. W jednej takiej paczce wielkości pudełka na buty mieści się dziesięć spłonek. Nie zapominam o skrzynce z urządzeniem detonującym. Od drzwi zawracam po okulary ochronne i zatyczki do uszu.

Zamierzam wysadzić w powietrze budynek po drugiej stronie ulicy.

Biorę młot i upewniam się, że nikt nie ukrywa się na trzech górnych kondygnacjach. Roboty już tu były i wszystko wyczyściły. Ani śladu ciał, ani kropli krwi. Wszędzie upiornie czysto. Boję się braku nieporządku. Zaraz przypominają mi się horrory, w których wędrowcy znajdują puste miasta, a w domach na nakrytych stołach stoją jeszcze talerze z ciepłym posiłkiem.

Nieustanny niepokój sprawia, że pracuję szybko i metodycznie. Chodząc po ciemnych korytarzach, wrzucam do związanego w worek prześcieradła trwałą żywność.

Na dachu zakładam kilka długości lontu. Trzymam się z dala od wieży ciśnień. Na górnym piętrze w zewnętrznych mieszkaniach zakładam kilka ładunków i łączę je za pomocą lontu. Staram się zachować bezpieczną odległość od środkowej części szkieletu budynku. Nie chcę zupełnie go zniszczyć, tylko trochę uszkodzić.

Pracuję sam, w milczeniu. Wszystko idzie bardzo sprawnie. W normalnych warunkach moja ekipa przez kilka miesięcy owijałaby ściany geowłókniną, której zadaniem byłoby osłonięcie okolicy przed odłamkami. Taka eksplozja potrafi wyrzucić spore kawałki metalu i betonu na dość duże odległości. Tym razem jednak potrzebuję możliwie najwięcej gruzów. Chcę uszkodzić pobliskie budynki i wybić im szyby w oknach. Przydałoby się też parę dziur w ścianach. Chcę otworzyć mieszkania na zewnątrz, żeby wyglądały jak puste oczodoły.

W końcu przebiegam na drugą stronę ulicy do otwartej bramy garażu należącego do mojego mieszkania. Metalowa przesuwna brama została wyrwana z zawiasów już pierwszego dnia, gdy inteligent-
ne samochody wydostały się na zewnątrz. Drzwi wiszą jak strup, który za chwilę odpadnie. W ciemnościach pozostały tylko pozbawione mikroprocesorów starsze modele samochodów. Trzymając w rękach

detonator, skradam się w głąb pomieszczenia. Zamierzam odpalić ładunki z odległości dwukrotnie większej niż zwykle, bo nie przestrzegam żadnych przepisów bezpieczeństwa.

Wystarczy jeden kawałek betonu wielkości pięści, żeby zmienić głowę człowieka w miskę spaghetti.

Dawn czeka na mnie w garażu. Ona też nie próżnowała.

Opony.

Leżą ułożone w stosach po pięć. Przeczesała garaże, pozdejmowała koła ze starszych modeli samochodów i przetoczyła je do wejścia.

Wyczuwam też jakiś dziwny zapach. Benzyna?

Nagle rozumiem.

Zasłona dymna.

Dawn patrzy na mnie, unosi brwi, a potem chlusta benzyną na oponę.

– Będę je podpalać, a ty je wytaczaj na ulicę – mówi.

– Jesteś genialna, kobieto – odpowiadam.

W oczach Dawn dostrzegam cień uśmiechu, lecz ostra linia jej ust sprawia wrażenie wykutej z kamienia.

Z bezpiecznego schronienia w garażu wytaczamy na ulicę kilkanaście płonących opon. Po pokonaniu niewielkiej odległości przewracają się i płoną, wydzielając kłęby gęstego dymu. Po chwili słyszymy warkot silnika samochodu osobowego. Pojazd zwalnia i zatrzymuje się przed barykadą z opon. Pewnie zastanawia się, jak ją ominąć.

Wycofujemy się w głąb garażu.

Biorę skrzynkę z detonatorem i wyłączam zabezpieczenie. W ciemności migoce przede mną wiśniowe światełko. Pod kciukiem wyczuwam chłodny metalowy przełącznik. Jedną ręką obejmuję Dawn i całuję ją w policzek, a drugą naciskam dźwigienkę.

Po drugiej strony ulicy rozlega się straszliwy trzask, a ziemia pod naszymi nogami zaczyna dygotać. Huk odbija się echem w ciemnej jaskini garażu. Czekamy w ciemnościach przez pięć minut, wsłuchani nawzajem w swoje oddechy. Potem trzymając się za ręce, wspinamy się pochyłym wjazdem ku wyważonym drzwiom do garażu. Wyglądamy przez zerwane skrzydło i mrużymy oczy przed ostrymi promieniami słońca.

Widzimy nowe oblicze miasta.

Dach budynku po drugiej stronie ulicy spowija dym. Tysiące szyb rozprysnęły się na kawałki i spadły na ulicę, gdzie teraz tworzą chrzęszczącą warstwę, przypominającą rybie łuski. Odłupane fragmenty tynku zasłały ulicę. Całą fasadę naszego budynku pokrywają małe kratery – ślady po odłamkach. Lampy, znaki uliczne i słupy telegraficzne leżą w poprzek drogi. Jak okiem sięgnąć, widzimy fragmenty płyt chodnikowych, cegieł i zaprawy, grube czarne druty, węzły instalacyjne, poskręcane kule z kutego żelaza i całe tony najróżniejszego gruzu.

Samochód nadal stoi w pobliżu sterty płonących opon. Przygniótł go plackowaty fragment betonu, z którego sterczy pręt zbrojeniowy.

Czarne kłęby gryzącego dymu z opon zasnuwają niebo.

Do tego wszechobecny pył. W normalnych warunkach strażacy polewaliby okolicę wodą. Jednak teraz pył przykrywa wszystko jak brudny śnieg. Nie widzę żadnych śladów opon, co mówi mi, że nie dotarły tu jeszcze żadne pojazdy. Przynajmniej na razie. Dawn już toczy kolejną płonącą oponę ku skrzyżowaniu.

Potykam się na rumowisku na środku ulicy i przez chwilę czuję się, jakby po raz kolejny całe miasto należało do mnie. Karoserii zniszczonego samochodu wymierzam soczystego kopniaka. Naprawdę nie żałuję siły i na pamiątkę zostawiam w blasze wklęśnięcie rozmiarów mojego buta.

Mam cię, sukinsynu. A twoi koledzy będą musieli nauczyć się wspinać, jeżeli zechcą się ze mną zmierzyć.

Zasłaniając usta rękawem, przyglądam się uszkodzeniom fasad budynków. Wybucham śmiechem. Śmieję się długo i głośno. Mój rechot odbija się echem od ścian budynków. Nawet Dawn unosi głowę znad kolejnej opony i posyła mi lekki uśmiech.

Dopiero wtedy zauważam ludzi. Kilka osób wychodzi z budynków stojących wzdłuż ulicy. A więc nie wszyscy wyjechali – myślę. Po prostu ukrywali się. Ludzie, moi sąsiedzi, pojedynczo wychodzą na ulicę.

Wiatr porywa gęsty czarny dym i unosi go nad nasze głowy. Niewielkie ogniska płoną po obu stronach ulicy. Całą okolicę pokrywa gruz. Nasz mały fragment Ameryki wygląda jak strefa działań wojennych, a my przypominamy rozbitków z filmu katastroficznego. Trzeba uczciwie przyznać, że niczym się od nich nie różnimy.

– Posłuchajcie – oznajmiam obszarpanemu półkolu niedobitków. – Przez jakiś czas będzie tu bezpieczne, ale niezbyt długo. Maszyny na pewno wrócą. Będą próbowały to wszystko uprzątnąć, ale nie możemy im na to pozwolić. Roboty są zaprojektowane do działania w mieście, dlatego nie możemy im niczego ułatwiać. Musimy je spowolnić, a nawet zatrzymać, jeżeli nam się uda.

I kiedy w końcu mówię głośno to, co myślę, prawie nie wierzę własnym uszom. Ale wiem, co trzeba zrobić, nawet jeżeli komuś trudno się z tym pogodzić. Po kolei patrzę w oczy wszystkim zebranym. Biorę głęboki oddech i mówię im prawdę:

– Jeżeli chcemy przeżyć, musimy zniszczyć Nowy Jork.

Nowojorczycy Marcus Johnson i jego żona Dawn jako pierwsi zaczęli walczyć z robotami, niszcząc zabudowę miasta. Pomysł ten przez kilka następnych lat stosowano na

całym świecie. Poświęcając infrastrukturę, pozostali przy życiu mieszkańcy miast stwarzali sobie bezpieczne schronienie i mogli zacząć walczyć. To właśnie grupy tych nieustępliwych ludzi stworzyły zalążek ruchu oporu. Tymczasem miliony uchodźców nadal kierowały się ku terenom wiejskim, na które nie dotarli jeszcze wysłannicy Archosa. Lecz wkrótce i to miało się zmienić.

CORMAC WALLACE GHA#217

ROZDZIAŁ 3
Droga numer 70

„Lauro, mówi ojciec. Robi się niebezpiecznie. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć. Spotkajmy się przy torze wyścigowym na przedmieściach Indianapolis. Muszę kończyć”.

Marcelo Perez

GODZINA ZERO

Niniejszy opis sporządziłem na podstawie rozmów podsłuchanych w obozie pracy przymusowej, materiałów filmowych z kamer monitorujących ruch drogowy i relacji współwięźniów. Laura Perez, matka Mathildy i Nolana, nie miała pojęcia o kluczowej roli, jaką jej rodzina miała odegrać w nadchodzącym konflikcie, ani o tym, że za trzy lata jej córka uratuje życie mnie i kolegom z mojego oddziału.

CORMAC WALLACE GHA#217

– Pośpiesz się, Nolan – popędza brata Mathilda, trzymając kurczowo mapę.

Zaraz wsuwa się do ciepłego wnętrza samochodu.

Siedmioletni chłopiec stoi na skraju pustej szerokiej drogi gruntowej. Wschodzące słońce rzuca na pobocze cień drobnego ciała. Drży, bardzo starając się wysiusiać. Wreszcie nad kałużą w pyle na poboczu unosi się mgiełka.

W Ohio wstaje wilgotny i chłodny poranek. Milczące brązowe wzgórza ciągną się przez wiele kilometrów. Stary samochód dyszy, wysyłając

chmury tlenku węgla ku mokremu od rosy poboczu. Gdzieś w oddali skrzeczy drapieżny ptak.

– Widzisz, mamo? Mówiłam ci, że nie powinnyśmy mu pozwolić pić soku jabłkowego.

– Mathildo, bądź miła dla Nolana. To twój jedyny brat. Innego nie będziesz miała.

Tak mówią wszystkie matki, a ja z pewnością powtórzyłam te słowa z tysiąc razy. Ale dzisiaj rano rozkoszuję się normalnością chwili. Uciekamy do zwykłych rzeczy, gdy otaczają nas rzeczy niezwykłe.

Nolan kończy. Zamiast wejść na tylne siedzenie, gramoli się do przodu prosto na kolana siostry. Mathilda przewraca oczami, ale nic nie mówi. Brat nie waży wiele i boi się. A ona o tym wie.

– Zapiąłeś rozporek, młody? – pytam z przyzwyczajenia.

Potem przypominam sobie, gdzie jestem i co się dzieje albo co się wkrótce wydarzy. Co może się wydarzyć.

Zerkam w lusterko wsteczne. Jeszcze nic nie widać.

– Jedźmy, mamusiu – mówi Mathilda. Wyciąga mapę i wpatruje się w nią ze zmarszczonymi brwiami jak mała kobietka. – Zostało nam jeszcze osiemset kilometrów.

– Chcę do dziadzia – kwęka Nolan.

– Już dobrze, jedziemy – mówię. – Ale pamiętajcie, żadnych więcej przystanków na siusiu. Zatrzymamy się dopiero pod domem dziadzia.

Wciskam pedał gazu do podłogi. Samochód podrywa się, załadowany pojemnikami z wodą, paczkami z prowiantem, dwoma walizkami z postaciami z filmów rysunkowych i sprzętem kempingowym. Pod siedzeniem mam pistolet – glocka 17 – w czarnym plastikowym futerale, wciśnięty w popielatą pianę. Nigdy dotąd go nie używałam.

W ciągu minionego roku nasz świat bardzo się zmienił. Automaty wszelkiej maści zrobiły się coraz bardziej agresywne. Liczba wypadków z ich udziałem powoli, lecz systematycznie wzrastała. Transport, komunikacja, systemy obronne kraju. Im więcej incydentów widziałam, tym bardziej świat zaczął wydawać się pusty, jakby miał lada chwila runąć.

Mathilda opowiedziała mi o pewnym wydarzeniu z udziałem mówiącej lalki i zakończyła słowami, których nie mogła, a nawet nie powinna była znać: „Ustawa o zabezpieczeniach urządzeń automatycznych”.

Spojrzałam jej w oczy i zrozumiałam wszystko.

Formalnie rzecz biorąc, wzięłam urlop, żeby opiekować się dziećmi. A naprawdę uciekam, bo chcę ratować im życie. Dzisiaj jest posiedzenie Senatu. Pewnie postradałam zmysły. Mam taką nadzieję, bo wydaje mi się, że automaty wymknęły nam się spod kontroli. I knują coś bardzo złego.

Dzisiaj wypada Święto Dziękczynienia.

Wnętrze starego samochodu jest słabo wyciszone. Słabiej niż wszystkich innych pojazdów, które dotychczas prowadziłam. Nie mogę uwierzyć, że dzieci śpią. Słyszę, jak opony wgryzają się w drogę. Nierówności przenoszą się bezpośrednio na kierownicę, gdzie wyczuwam je dłońmi. Gdy naciskam nogą na pedał hamulca, napinam dźwignię, która siłą tarcia spowalnia koła. Nawet gałki i przyciski wystające z deski rozdzielczej wyglądają bardzo solidnie. Ich obsługa wymaga siły, ale na tym polega piękno mechaniki.

Jedynym urządzeniem elektronicznym w samochodzie jest nowoczesne błyszczące radio satelitarne. Odbiera teraz muzykę pop, która zagłusza pracę zawieszenia. Dzięki niej nie zasypiam też za kierownicą.

Nie jestem przyzwyczajona... Dotąd raczej nie używałam siły fizycznej podczas korzystania z różnych urządzeń. Wystarczał sam zamiar użycia. Przyciski pełniły funkcję służby i przekazywały komendy innym mechanizmom. Tymczasem ten hałaśliwy kawał stali wymaga ode mnie bacznej uwagi na każdym zakręcie. Nie wybaczy ani chwili dekoncentracji. Nie bierze żadnej odpowiedzialności za prowadzenie. Z drugiej strony pozwala mi nad sobą w pełni panować.

Nie znoszę tego. Nie chcę panować nad żadnym mechanizmem. Chcę tylko dojechać do celu.

Ale to jedyny samochód bez mikroprocesora umożliwiającego pojazdom nawiązywanie łączności między sobą, jaki udało mi się znaleźć. Ponad dziesięć lat temu rząd wprowadził obowiązek montowania specjalnych chipów we wszystkich nowych samochodach, podobnie jak wcześniej pasów bezpieczeństwa, poduszek powietrznych i katalizatorów spalin. W ten sposób mogą się z sobą kontaktować niezależnie od woli kierowców. W ciągu milisekund potrafią obliczyć najkorzystniejszy tor jazdy, żeby zminimalizować szkody wywołane nieuniknioną kolizją. Pomagają też unikać trudnych sytuacji na drodze. Trzeba przyznać, że na początku nie obywało się bez zakłóceń. Pewna firma musiała zarządzić akcję naprawczą kilku milionów wyprodukowanych przez siebie pojazdów, bo ich mikroprocesory podawały informacje na temat ich położenia ze zbyt dużym marginesem błędu. Z tego powodu inne samochody niepotrzebnie zbaczały z drogi – i czasami się rozbijały. Ale patrząc z perspektywy czasu, urządzenia te ocaliły setki tysięcy ludzkich istnień.

Jak już wspomniałam, w nowych samochodach system ten stanowi wyposażenie standardowe, podczas gdy w starszych był opcją. Jednak niektóre pojazdy, takie jak ten, są zbyt prymitywne i w ogóle nie dało się ich doposażyć.

Większość ludzi uważa, że tylko idiota odważyłby się usiąść za kierownicą starego grata, zwłaszcza jeżeli ma zamiar przewozić dzieci. To myśl, którą próbuję od siebie odpędzić, gdy skupiam się na drodze, wyobrażając sobie, jak kiedyś kierowano samochodami.

Podczas jazdy stopniowo ogarnia mnie niepokój. Ściska mnie za gardło i przysiada na barkach. Jestem spięta. Czekam. Tylko na co? Coś się zmieniło i dlatego właśnie się boję.

Coś jest nie tak, ale nie bardzo wiem co. Droga jest pusta. Co jakiś czas mijam niewielkie grupki krzewów rosnące po obu stronach drogi. Dzieci śpią. Silnik samochodu kojąco pomrukuje.

Radio.

Tę piosenkę słyszałam już wcześniej. Puszczali ją niecałe dwadzieścia minut temu. Trzymam ręce na kierownicy, patrzę prosto i jadę. Następna piosenka – to samo. I następna. Po piętnastu minutach znów słyszę pierwszą melodię. Stacja w kółko powtarza ostatni kwadrans muzyki. Wyłączam radio, nie patrząc. Na ślepo trafiam palcami w przyciski.

Cisza.

Zbieg okoliczności. Jestem pewna, że to zbieg okoliczności. Za parę godzin dotrzemy do domu mojego ojca na wsi. Mieszka trzydzieści kilometrów za Macon. Nieufnie podchodzi do wszelkich nowinek technicznych. Nigdy nie miał telefonu komórkowego ani samochodu młodszego niż dwudziestoletni. Ma radia, dużo odbiorników, i to wszystko. Konstruuje je sam z dostępnych w sklepach zestawów dla majsterkowiczów. Miejsce, w którym się wychowywałam, to szeroko otwarta równina, pusta i bezpieczna.

W moje myśli wkrada się sygnał telefonu komórkowego.

Wyłuskuję go z torebki, patrzę na numer wyświetlony na ekranie. O wilku mowa. To mój tata.

– Tato?

– Lauro, mówi ojciec. Robi się niebezpiecznie. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć. Spotkajmy się przy torze wyścigowym na przedmieściach Indianapolis. Muszę kończyć.

Połączenie przerwane. Dlaczego?

– Czy to dzwonił dziadziuś? – pyta Mathilda, ziewając.

– Tak.

– Co powiedział?

– Zmiana planów. Chce, żebyśmy się z nim spotkali gdzie indziej.

– Gdzie?

– W Indianapolis.

– Dlaczego?

– Nie wiem, kochanie.

W lusterku wstecznym migocze jakieś światełko.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu na drodze pojawia się inny pojazd. Czuję ulgę. Nie jesteśmy sami. A więc poza miastami wszystko jest jeszcze w porządku. Ludzie zostali przy zdrowych zmysłach. Gdy podjeżdża bliżej, widzę, że to pikap. Takimi zwykle poruszają się mieszkańcy wsi.

Lecz gdy samochód przyśpiesza i zbliża się do nas, zaczynam się niepokoić. Mathilda widzi moje pobladłe policzki i zmarszczone brwi. Wyczuwa, że się czegoś boję.

– Gdzie jesteśmy? – pyta.

– Już niedaleko – uspokajam ją, zerkając w lusterko.

– Kto jedzie za nami?

Dziewczynka ogląda się za siebie.

– Siedź spokojnie, Mathildo, i zapnij pas.

Sylwetka nowego pikapa szybko rośnie w lusterku. Jedzie płynnie, ale jak na mój gust zbyt szybko.

– Mamusiu, dlaczego to auto tak pędzi? – pyta mnie córka.

– Mamusiu? – pyta Nolan, przecierając oczy.

– Bądźcie cicho, teraz muszę się skupić.

Gdy znów zaglądam w lusterko, zaczynam się coraz bardziej niepokoić. Wciskam pedał gazu do podłogi, ale brązowy pikap nie zwalnia. Odległość między nami gwałtownie maleje. Nie mogę oderwać wzroku od lusterka.

– Mamusiu! – woła Mathilda.

Znów patrzę na drogę i wykonuję gwałtowny manewr, żeby wejść w zakręt. Samochód zarzuca tyłem. Nolan i Mathilda obejmują się. Opanowuję pojazd i wracam na swój pas ruchu. Właśnie wtedy, gdy wychodzimy z zakrętu na długą prostą, na przeciwległym pasie dostrzegam inny samochód. Jest czarny i lśni nowością. Nie zostawia nam miejsca, nie zmieścimy się.

– Wracaj na tylne siedzenie, Nolan – mówię. – I zapnij się. Mathilda, pomóż mu.

Mathilda spycha brata z kolan na tylne siedzenie. Nolan patrzy na mnie, urażony. Wielkie łzy wzbierają mu w oczach. Pociąga nosem i wyciąga ku mnie rączkę.

– Wszystko okej, kochanie. Mathilda ci pomoże. Wszystko będzie dobrze.

Typowa gadka matki dla uspokojenia dzieci. Koncentruję się na wydarzeniach na drodze. Przenoszę wzrok z czarnego samochodu nadjeżdżającego z przodu na brązowego pikapa z tyłu. Oba szybko się do mnie zbliżają.

– Okej, jesteśmy zapięci, mamusiu – zgłasza Mathilda z tylnego siedzenia.

Jest bardzo dzielna. Moja mama przed śmiercią zwracała uwagę na jej niesamowitą dojrzałość. „Widzę to w jej oczach” – mówiła. W jej pięknych

zielonych oczach rzeczywiście można było dostrzec mądrość.

Wstrzymuję oddech i z całej siły ściskam koło kierownicy. Maska brązowego pikapa wypełnia całe lusterko wsteczne, a potem znika. Rozglądam się szeroko otwartymi oczyma. Pędzący samochód przejeżdża na sąsiedni pas ruchu. Przez okno pasażera spogląda na mnie kobieta. Twarz ma wykrzywioną z przerażenia. Łzy płyną jej po policzkach, ma otwarte usta. Dopiero po chwili orientuję się, że krzyczy i wali pięściami w okno...

Za chwilę znika. Ginie w czołowym zderzeniu z czarnym samochodem. Jak materia i antymateria. Zupełnie jakby w wypadku ulegli unicestwieniu.

W uszach odbija mi się echem straszliwy huk i chrzęst metalu wcinającego się w metal. W lusterku wstecznym otoczona chmurą dymu ciemna bryła stacza się na pobocze, rozsiewając dookoła części zniszczonych pojazdów.

Znikają. Może nic się nie stało? A może to wszystko dzieje się tylko w mojej wyobraźni?

Powoli wytracam prędkość i zjeżdżam na pobocze. Opieram czoło o chłodny plastik kierownicy. Zamykam oczy i próbuję odetchnąć, ale w uszach wciąż mi dzwoni. Nie mogę zapomnieć wyrazu twarzy tej kobiety. Ręce mi się trzęsą, więc wsuwam dłonie pod uda i przyciskam do fotela, żeby się uspokoić. Z tylnego siedzenia zaczynają dobiegać pytania, ale nie mogę na nie odpowiedzieć.

– Czy tamtej pani nic się nie stało, mamusiu?

– Dlaczego te samochody się zderzyły?

– Co będzie, jak przyjedzie więcej samochodów?

Mija kilka minut. Z trudem zmuszam się do oddychania przez ściśnięte gardło. Powstrzymuję szloch, tłumię emocje, by nie niepokoić dzieci.

– Wszystko będzie dobrze – mówię. – Wszystko będzie dobrze, kochani.

Ale moje słowa brzmią nieprzekonująco, nawet w moich własnych uszach.

Po kolejnych dziesięciu minutach jazdy natrafiam na pierwszy wypadek.

Z poskręcanego wraku wydobywa się dym. Jak czarny wąż przeciska się przez pogruchotane okna i stopniowo niknie w powietrzu. Leży na poboczu z uniesionym pod dziwnym kątem przodem. Wpadł na barierkę ochronną, której pogięty fragment wystaje teraz na drogę. Okolice bagażnika otaczają płomienie.

Nagle widzę, że coś porusza się we wnętrzu pojazdu. Żywy człowiek?

Przez chwilę kusi mnie, żeby wcisnąć pedał gazu, ale nie należę do ludzi, którzy uciekają na widok trudnych sytuacji. Przynajmniej jeszcze nie. Ludzie nie zmieniają się tak szybko, nawet podczas apokalipsy.

Zatrzymuję się kilkanaście metrów przed rozbitym samochodem – białym sedanem z numerami rejestracyjnymi ze stanu Ohio.

– Zostańcie tu, dzieci.

Maska rozbitego auta jest zmięta jak chustka do nosa. Pęknięty na pół, pokryty błotem zderzak leży na ziemi. Widać różne części osprzętu silnika, a przednie koła rozjeżdżają się w różnych kierunkach. Nie mogę powstrzymać okrzyku przerażenia, gdy zauważam, że krawędź barierki ochronnej wbiła się w drzwi samochodu po stronie pasażera.

– Jest tu kto? – wołam, zaglądając w okno od strony kierowcy. – Czy ktoś potrzebuje pomocy?

Drzwi otwierają się ze skrzypnięciem. Na pobocze wypada młody tęgi mężczyzna z zakrwawioną twarzą. Podnosi się na czworaki i dostaje ataku kaszlu. Przyklękam i pomagam mu oddalić się od samochodu. Przez rajstopy czuję, jak żwir, którym wysypane jest pobocze, kłuje mnie w kolana.

Zmuszam się do zajrzenia do wnętrza samochodu.

Na kierownicy widzę ślady krwi, a na przednim siedzeniu kałużę ciemnego płynu. Przez okno od strony pasażera do samochodu wchodzi kawałek metalu, ale w środku nie ma nikogo więcej. Dzięki Bogu, nikt nie nadział się na zabłąkaną barierkę.

Gdy odciągam mężczyznę z miejsca wypadku, włosy opadają mi na twarz. Kołyszą się w takt mojego oddechu. Mężczyzna z początku stara się mi pomóc, ale po kilku krokach upada. Przestaje kaszleć. Oglądając się za siebie, widzę błyszczące ślady na poboczu.

Przewracam mężczyznę na plecy. Głowa opada mu bezwładnie. Spogląda w niebyt niebieskimi oczami. Wokół jego ust widzę coś, co przypomina sadzę, lecz nie oddycha. Zerkam w dół, a potem szybko się odwracam. Barierka wyrwała mu spory fragment ciała z boku. Poszarpane brzegi rany nie zachęcają do lekcji anatomii.

Przez chwilę słyszę jedynie syk płomieni na wietrze. Co mogę zrobić? Tylko jedno przychodzi mi do głowy. Przesuwam się, żeby zasłonić dzieciom widok martwego człowieka.

Z kieszeni koszuli mężczyzny słyszę dzwonek telefonu komórkowego. Zakrwawionymi palcami sięgam po aparat, przyciskam klawisz odbioru połączenia i podnoszę do ucha. Wtedy słyszę coś, co gasi ostatni płomyk nadziei, jaki dotąd jeszcze tlił się gdzieś w głębi mnie.

– Kevin – odzywa się głos w słuchawce – mówi ojciec. Robi się niebezpiecznie. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć. Spotkajmy się przy

torze wyścigowym na przedmieściach Indianapolis. Muszę kończyć.

Oprócz imienia wiadomość jest dokładne taka sama. Kolejny incydent. Jest ich coraz więcej.

Upuszczam telefon na pierś mężczyzny i wstaję. Wsiadam z powrotem do mojego wiekowego samochodu i trzymam kierownicę, dopóki nie przestaną mi się trząść dłonie. Nie pamiętam, co widziałam ani co słyszałam przez kolejnych kilka minut.

Włączam bieg.

– Jedziemy do dziadka, do domu, dzieci.

– A co z Indianapolis? – pyta Mathilda.

– Nie martw się.

– Ale dziadek mówił...

– To nie był dziadek. Nie wiem, kto to był.

– Czy tamtemu panu nic się nie stało? – pyta Nolan.

Mathilda odpowiada za mnie.

– Stało się – mówi. – Tamten pan nie żyje.

Nie robię jej wymówek. Nie mogę sobie na to pozwolić.

Zapada zmrok, gdy koła naszego samochodu zaczynają wreszcie chrzęścić na wysypanym żwirem podjeździe pod domem mojego ojca.

Nareszcie dotarliśmy do celu podróży. Wyczerpana gaszę silnik. Cisza, jaka później nastaje, sprawia wrażenie próżni w przestrzeni kosmicznej.

– Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej – szepczę.

Na miejscu dla pasażera Nolan śpi, siedząc na kolanach Mathildy. Głowę opiera na jej chudym ramieniu. Moja córka ma otwarte oczy i zdecydowany wyraz twarzy. Wygląda na silnego, niezłomnego aniołka z ciemną czupryną. Ze zmarszczonymi brwiami rozgląda się po podwórzu.

Ja też zaczynam dostrzegać pewne niepokojące szczegóły. Na trawniku widać ślady opon. W garażu nie ma ani jednego samochodu. Drzwi z moskitierą stukają na wietrze. W domu nie pali się światło. Fragment drewnianego płotu leży na ziemi.

Nagle frontowe drzwi zaczynają się otwierać. Po drugiej stronie widać tylko ciemność. Chwytam Mathildę za rączkę.

– Bądź dzielna, kochanie – mówię.

Dziewczynka posłusznie zaciska zęby, tłumiąc lęk. Jedną ręką trzyma mnie, a drugą obejmuje małe ciałko Nolana. Gdy resztki wyłamanych drewnianych drzwi otwierają się ze skrzypnięciem, nie patrzy w bok ani nie zamyka oczu. Nawet nie mruga. Wiem, że będzie odważna, tak jak ją prosiłam.

Bez względu na to, co wyjdzie z ciemności.

O Laurze Perez i jej rodzinie słuch zaginął na prawie rok. Po raz kolejny pojawiają się dopiero na materiałach z obozu pracy przymusowej w Scarsdale w pobliżu Nowego Jorku.

CORMAC WALLACE GHA#217

ROZDZIAŁ 4
Gray Horse

„W Krainie Indian, gdzie się urodziłem,
Na wzgórzach Oklahomy, gdzie konno jeździłem…”

Woody i Jack Guthrie, ok. 1944

GODZINA ZERO

System nadzoru elektronicznego zarejestrował poniższą wypowiedź Lonniego Wayne’a Blantona podczas rozmowy z młodym żołnierzem, który znalazł się na terenach zamieszkanych przez szczep Osage w środkowej Oklahomie. Bez zdecydowanych działań komisarza podczas godziny zero ruch oporu ludzi przeciwko robotom mógł nigdy nie powstać – a przynajmniej nie w Ameryce Północnej.

CORMAC WALLACE GHA#217

Nie mogłem przestać myśleć o robotach od czasu przesłuchania pewnego młodego chłopaka na temat wydarzeń, jakie rozegrały się w cukierni, w której pracował razem z kolegą. Makabra.

Nie żeby końskie ogony u mężczyzn szczególnie mi się podobały, ale po tym wszystkim miałem oczy szeroko otwarte.

Trzy miesiące później w całym mieście zwariowały samochody. Pamiętam, że razem z Budem Cosbym byłem wtedy w barze Acorn. Kolega opowiada mi o tym, że jego wnuczka wygrała jakąś „prestidżową międzynarodową nagrodę”, kiedy nagle z ulicy dobiegają nas krzyki. Na wszelki wypadek nie wstaję z miejsca. Bud podchodzi do okna. Przeciera

brudną szybę i wygląda, opierając o ścianę stare, zniekształcone artretyzmem dłonie. Właśnie wtedy przez frontowe okno wpada do środka jego cadillac. Zupełnie jakbyście jechali w nocy autostradą z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, a tu nagle przez przednią szybę waszego auta wpada jeleń. Wszędzie pełno odłamków szkła i metalu. Przez dobrą chwilę dzwoni mi w uszach. Potem orientuję się, że to krzyczy głupia Rhonda, kelnerka. Trzyma dzbanek z wodą i drze się, ile sił w płucach.

Przez dziurę w ścianie widzę pędzący ambulans. Na środku ulicy potrąca mężczyznę, który próbuje go zatrzymać, i jedzie dalej w najlepsze. Pod zaklinowanym w barze samochodem gromadzi się kałuża krwi Buda.

Szybko wychodzę tylnym wyjściem i idę w stronę lasu. Zawsze czułem się w nim bezpieczne, bo wiedziałem, że wśród drzew nic mi nie grozi. Pewnie i tam niedługo coś zacznie polować na ludzi, ale zanim to się stanie, gość po pięćdziesiątce w poplamionych krwią kowbojskich butach zdąży jeszcze znaleźć drogę do domu.

Mieszkam za wjazdem na płatną autostradę w kierunku Pawnee. Wchodzę do domu, z ekspresu na kuchence nalewam sobie filiżankę zimnej kawy i siadam na ganku. Przez lornetkę widzę, że ruch na rogatkach prawie ustał. Nagle pojawia się konwój. Dziesięć samochodów pędzi gęsiego bardzo blisko siebie z maksymalną prędkością. Kierowców nie widać. To tylko te cholerne roboty spieszą się z jednego miejsca w drugie.

Za autostradą od strony północnej na polu mojego sąsiada stoi kombajn zbożowy. Nikogo nie ma w pobliżu, ale fale ciepła unoszą się nad jego silnikiem. To znaczy, że pracuje na wolnych obrotach.

Nie mogę wywołać nikogo za pomocą policyjnej krótkofalówki, telefon domowy też nie działa. Żar w piecyku na drewno to jedyna rzecz, która chroni mnie przed zimnem. Prądu nie ma i nie zanosi się, żeby wrócił.

Najbliższy sąsiad mieszka półtora kilometra stąd, więc nie ma się co dziwić, że czuję się dość samotny.

Na ganku czuję się tak samo bezpiecznie jak oblany czekoladą pączek na mrowisku.

Nie tracę czasu. W kuchni pakuję do worka prowiant: kanapki z kiełbasą, kiszone ogórki i termos ze słodzoną mrożoną herbatą. Potem idę do garażu po motocykl mojego syna. To terenowa honda 350, której nawet nie tknąłem od dwóch lat. Stoi i zbiera kurz, odkąd chłopak zaciągnął się do wojska. Paul nie walczy na pierwszej linii i nikt do niego nie strzela. Jest tłumaczem. Zna języki. Bystry dzieciak, nie to co jego ojciec.

Ale w tej sytuacji cieszę się, że nie ma go w domu. Po raz pierwszy w życiu czuję coś takiego. Nie mam innych krewnych, wiesz? Nie wolno stawiać wszystkiego na jedną kartę. Mam tylko nadzieję, że tam gdzie jest, nosi przy sobie broń. Wiem, że potrafi strzelać, bo sam go nauczyłem.

Zanim udaje mi się uruchomić silnik, mija dobra minuta. A zaraz potem ledwo uchodzę z życiem, bo nie zwracałem uwagi na największą maszynę, jaką mam.

Właśnie. Ta niewdzięczna kupa starego żelastwa, czyli mój radiowóz z silnikiem o mocy dwustu pięćdziesięciu koni, próbuje mnie przejechać i prawie mu się to udaje. Dzięki Bogu, nie żałowałem stu zielonych na skrzynkę na narzędzia z hartowanej stali. Chociaż teraz pewnie nie zda się już na nic. Zaklinowała się pod silnikiem, a ja stoję w półmetrowej luce między ścianą garażu a zderzakiem przeklętego auta.

Radiowóz próbuje włączyć wsteczny bieg. Opony rzężą na betonie jak przestraszony koń. Wyciągam rewolwer, podchodzę do okna po stronie kierowcy i pakuję parę kul w mały komputerek schowany za deską rozdzielczą.

Zabiłem swój własny wóz patrolowy. Słyszałeś coś podobnego?

Mimo że jestem policjantem, nie mogę nic zrobić dla ludzi. Wydaje się mi, że rząd Stanów Zjednoczonych, któremu regularnie płacę podatki i który w zamian dostarcza mi odrobiny tego, co nazywamy cywilizacją, wystawił mnie do wiatru właśnie wtedy, kiedy najbardziej potrzebowałem pomocy.

Na szczęście należę też do innego kraju – takiego, który nie zmusza mnie do płacenia podatków. Ma swoją policję, więzienie, szpital, farmę wiatrową i kościoły. Do tego straż leśną, prawników, inżynierów, biurokratów i jedno ogromne kasyno, którego jednak nigdy nie miałem przyjemności odwiedzić. Mój drugi kraj nazywa się Osage. I zaczyna się mniej więcej trzydzieści kilometrów za autostradą w miejscu zwanym Gray Horse. To prawdziwy dom wszystkich członków szczepu Osage.

Jeżeli chcesz nadać imię dziecku, ożenić się albo coś w tym rodzaju, idziesz do Gray Horse, do *Ko-wa-hos-tsa*. „Na mocy uprawnień nadanych mi przez szczep Osage z Oklahomy ogłaszam was mężem i żoną” – jak mówią przy pewnych okazjach. Jeżeli w twoich żyłach płynie krew szczepu Osage, pewnego dnia znajdziesz się na rzadko uczęszczanej krętej polnej drodze, która nosi symbol E0320. Rząd Stanów Zjednoczonych wybrał tę nazwę i zapisał ją na mapie, ale prowadzi ona do miejsca, które należy do nas: do Gray Horse.

Droga nie jest nawet oznakowana. Bo i po co? Przecież wszyscy wiedzą, jak trafić do domu.

Terenowy motocykl jęczy jak ranny kot. Mimo grubych dżinsów czuję gorąco, jakie bije z tłumika maszyny, gdy wreszcie naciskam hamulec i zatrzymuję się z chrzęstem na środku gruntowej drogi.

Tak się tu znalazłem.

I wcale nie jestem sam. Drogą wędrują tłumy ludzi, przeważnie członków plemienia Osage. Ciemne włosy, ciemne oczy, szerokie nosy.

Mężczyźni są wysocy, potężnie zbudowani, jak czołgi, ubrani w niebieskie dżinsy, kowbojskie koszule wsunięte do spodni. A kobiety? No cóż, są tak samo dobrze zbudowane jak mężczyźni, tylko noszą sukienki. Ciągną do Gray Horse poobijanymi, zakurzonymi kombi i vanami. Nie brakuje pikapów. Niektórzy jadą konno. Spotykam też szczepowego policjanta w pojeździe terenowym w barwach maskujących. Wygląda na to, że wszyscy spakowali się na długą podróż – na piknik, który może nigdy się nie skończyć. I dobrze zrobili. Bo podejrzewam, że się nie skończy.

Moim zdaniem tak działa instynkt. Kiedy życie daje ci w kość, pakujesz manatki i wracasz do domu tak szybko, jak potrafisz. Wylizujesz się z ran i zbierasz siły. Dla mojego szczepu to miejsce jest jak serce. Starszyzna mieszka tu przez cały rok i opiekuje się przeważnie pustymi domami. Ale co roku w czerwcu w Gray Horse odbywa się *i'n-lon-schka* – wielki rytualny taniec. Wtedy wszyscy zdrowi Osage, a także wielu chorych, ciągną z powrotem do domu. Ta coroczna pielgrzymka to część rytuału, który przenika nas aż do kości, od urodzenia do śmierci. Odciska się niezatartym piętnem na duszy.

Oczywiście plemię Osage zamieszkuje też inne miasta, ale Gray Horse to szczególne miejsce. Kiedy nasz szczep przybył do Oklahomy Szlakiem Łez, spełniło się odwieczne proroctwo, że zamieszkamy na nowych ziemiach, które kryją wielkie bogactwa. Odkrycie ropy naftowej i nasze niezbywalne prawa do eksploatacji surowców mineralnych potwierdziły tylko jego prawdziwość.

Od wielu lat to nasze rodzinne strony. Na tych równinach nasi ludzie oswajali dzikie psy. W zamierzchłych czasach, zanim nastała historia, ciemnowłosi, ciemnoocy ludzie tacy jak ci obok mnie budowali tu kopce, które mogły konkurować z egipskimi piramidami. Troszczyliśmy się o tę

ziemię, a ona po wielu latach cierpień i łez odwdzięczyła się nam z nawiązką.

Czy to nasza wina, że plemię Osage jest z siebie dumne?

Gray Horse leży na niewielkim wzgórzu otoczonym stromymi wąwozami wyrzeźbionymi przez rzekę o tej samej nazwie. Drogą stanową można podjechać dość blisko, ale żeby dotrzeć do samego miasteczka, trzeba powędrować szlakiem. Farma wiatrowa na równinach leżących na zachodzie dostarcza naszym ludziom prądu, a nadwyżkę energii sprzedajemy. W sumie nic szczególnego, po prostu platforma wcinająca się w zbocze góry, na której od dawna plemię Osage odprawia swój najświętszy rytuał. Z dala przypomina tacę ofiarną podniesioną ku bogom, by mogli przyglądać się naszym ceremoniom i dopilnować, żebyśmy niczego nie przegapili.

Mówi się, że organizujemy naszą uroczystość od ponad stu lat, a taniec zapowiada nadejście nowej wiosny. Ale ja mam własne podejrzenia.

Starsi, którzy wybrali Gray Horse na miejsce odprawiania naszego rytuału, byli twardymi ludźmi. Przetrwali ludobójstwo. Widzieli, jak krew ich braci wsiąka w ziemię, jak ich naród ginie. Czy to zbieg okoliczności, że nasze miasto znajduje się na płaskowyżu, ma dobre pole ostrzału, dostęp do słodkiej wody i wiedzie do niego tylko kilka ścieżek? Tego nie wiem. Ale to wspaniałe miejsce, przytulone do wzgórza w samym środku pustkowia.

A najważniejsze jest to, że *i’n-lon-schka* wcale nie jest tańcem odrodzenia. Wiem o tym, bo zawsze rozpoczynają go najstarsi mężczyźni z każdego rodu. Dołączają do nas kobiety i dzieci, ale to my, mężczyźni, tańczymy jako pierwsi. Szczerze mówiąc, istnieje tylko jedna przyczyna honorowania najstarszych synów w szczepie. Jesteśmy wojownikami.

I’n-lon-schka to taniec wojenny. Zawsze tak było.

Słońce zachodzi szybko, a ja wspinam się stromą ścieżką prowadzącą do miasta. Mijam rodziny z dziećmi wlokące ze sobą namioty i najpotrzebniejszy sprzęt. Na płaskowyżu na tle mrocznego nieba widzę migotliwe płomienie ogniska.

Zagłębienie z ogniskiem znajduje się na samym środku prostokątnej polany. Z czterech stron stoją ławy zrobione z rozłupanych bali. Iskry skaczą i mieszają się z gwiazdami, które po kolei ukazują się na niebie. Zapowiada się chłodna, jasna noc. Setki ludzi tłoczą się w niewielkich grupkach. Są ranni, przestraszeni i pełni nadziei.

Gdy dochodzę na miejsce, słyszę ochrypłe, pełne lęku wołanie.

Hank Cotton trzyma za kark młodego mężczyznę – na oko może mieć ze dwadzieścia lat – i potrząsa nim jak szmacianą lalką.

– Dupku! – krzyczy.

Hank ma dwa metry wzrostu i jest silny jak niedźwiedź. Grał kiedyś z powodzeniem w futbol amerykański. Wszyscy tutejsi postawiliby raczej na niego niż na samego Billa Rogersa, gdyby jakimś cudem ten ostatni wstał z grobu z lassem w ręku.

Chłopak się nie rusza. Wisi bezwładnie jak kociak w pysku matki. Ludzie otaczający Hanka boją się cokolwiek powiedzieć. Widzę, że to coś dla mnie. Przestrzeganie porządku publicznego i te rzeczy.

– Co się tu dzieje? – pytam.

Hank patrzy na mnie z góry, a potem zwalnia uścisk.

– To przeklęty Czirokez, Lonnie. Nie jest z naszego szczepu.

Hank lekko popycha chłopaka, który ledwo trzyma się na nogach.

– Zjeżdżaj do swoich, młody.

Chłopak przygładza rozerwaną koszulę. Jest wysoki, chudy i nosi długie włosy. Zupełne przeciwieństwo zwalistych mężczyzn z plemienia Osage, którzy go otaczają.

– Daj spokój, Hank – mówię. – Czasy są niepewne. Wiesz, że w pojedynkę nie ma szans.

Chłopak zabiera głos.

– Moja dziewczyna pochodzi z waszego plemienia – wyjaśnia.

– Twoja dziewczyna nie żyje – rzuca Hank łamiącym się głosem. – A nawet gdyby żyła, to co z tego? Przecież ty pochodzisz z innego szczepu.

Hank odwraca się do mnie. W poświacie ogniska wydaje się jeszcze potężniejszy.

– Masz rację, Lonnie, czasy są bardzo niepewne. Dlatego każdy musi trzymać się swoich. Nie możemy pozwalać innym tu przychodzić, bo sami nie przeżyjemy.

Tupie nogą i wzbija tuman pyłu. Chłopak się cofa.

– Spieprzaj, dupku!

Biorę głęboki oddech i zasłaniam sobą chłopaka. Mogłem się domyślić, że Hankowi nie spodoba się moja interwencja. Szturcha mnie w pierś ogromnym paluchem.

– Nie mieszaj się do tego, Lonnie. Mówię poważnie.

Zanim sytuacja wymknie się spod kontroli, przemawia John Tenkiller, strażnik bębna – chudy jak szczapa niski facet z ciemną, pomarszczoną skórą i jasnoniebieskimi oczami. Jest z nami od zawsze, ale dzięki czarom od lat jest żwawy jak młody wilk.

– Dosyć – mówi. – Hank, ty i Lonnie Wayne jesteście najstarszymi synami swoich rodów i szanuję was. Ale to nie znaczy, że wszystko wam wolno.

– John – mówi Hank – chyba nie wiesz, co się dzieje tam, na dole, w mieście. Prawdziwa masakra. Świat ginie na naszych oczach. Nasz szczep znalazł się w niebezpieczeństwie. A każdy, kto do nas nie należy, jest naszym wrogiem. Musimy zrobić wszystko, żeby przeżyć.

John pozwala Hankowi skończyć, potem patrzy na mnie.

– Z całym szacunkiem, tu nie chodzi o jakieś szczepowe waśnie. Ani nawet o kolor skóry – biały, brązowy, czarny czy żółty. Zagrożenie istnieje, ale na pewno nie ze strony innych ludzi. Tym razem przychodzi z zewnątrz.

– Demony – mruczy pod nosem starzec.

Słowa te wywołują poruszenie wśród tłumu.

– Maszyny – wyjaśniam. – Nie opowiadaj mi tu, John, o potworach i demonach. Po prostu zerwało się z łańcucha stado głupich starych maszyn, które możemy pokonać. Na dodatek nie wybierają ludzi według rasy. Atakują wszystkich bez wyjątku. I to dlatego musimy się trzymać razem.

Hank nie może się powstrzymać.

– Nie wpuszczamy obcych do kręgu bębna! Nigdy! – wybucha.

– To prawda – przyznaje John. – Gray Horse to święte miejsce.

Chłopak włącza się do rozmowy w najgorszym momencie.

– Człowieku, czyś ty oszalał?! Nie mogę tam wrócić, bo mnie zatłuką! To śmiertelna pułapka. Wszyscy nie żyją. Nazywam się Sokół Żelazna Chmura. Słyszycie? Jestem takim samym Indianinem jak wy wszyscy. Chcecie mnie zabić tylko dlatego, że nie jestem Osage?

Gdy kładę dłoń na ramieniu chłopaka, uspokaja się. W ciszy słychać tylko trzaskanie płomieni i cykanie świerszczy. Widzę krąg twarzy z mojego plemienia. Nie zdradzają żadnych uczuć, jak kamienne urwisko.

– Najpierw trzeba zatańczyć – mówię. – To ważna sprawa, najważniejsza dla nas wszystkich. Serce mi podpowiada, że dziś możemy zadecydować o naszym miejscu w historii. Najlepiej pomoże nam w tym rytualny taniec.

Strażnik bębna pochyla głowę. Wszyscy siedzimy cicho, czekając, co powie. Zwyczaj każe nam czekać, dopóki nie przemówi. Do samego rana,

jeżeli będzie trzeba. Tym razem nie musimy. John unosi swoją mądrą twarz i przeszywa nas spojrzeniem swoich diamentowych oczu.

– Zatańczymy i poczekamy na znak.

Kobiety pomagają tancerzom przebrać się do ceremonii. Kiedy kończą dopasowywać kostiumy, John Tenkiller wyciąga wypchaną skórzaną torbę. Dwoma palcami sięga do środka i wyciąga wilgotną bryłkę czerwonej gliny. Potem idzie wzdłuż zgromadzonych w szeregu kilkunastu tancerzy i znaczy nią nasze czoła.

Czuję dotyk błota na czole – to ogień *tsi-zhu*. Kiedy wyschnie, wygląda jak smuga zakrzepłej krwi. Może to zwiastun tego, co czeka nas w przyszłości?

Na środku polany członkowie plemienia ustawiają potężny bęben. John przykuca i zaczyna wybijać monotonny rytm – bum, bum, bum – którego łoskot niesie się daleko w ciemnościach nocy. Migoczą cienie. Widzowie nie spuszczają nas z oka. Pojedynczo wstają najstarsi synowie każdego rodu. Zaczynamy tańczyć wokół bębna.

Dziesięć minut temu byliśmy policjantami, prawnikami i kierowcami ciężarówek, ale teraz przeobrażamy się w wojowników. Ubrani w rytualne stroje – skóry wydry, pióra, paciorki i wstążki – powracamy do tradycji, która istnieje poza historią.

Transformacja zachodzi nagle i ogarnia nas wszystkich. Taniec wojenny przypomina scenę zastygłą w bursztynie, niedającą się przypisać do konkretnego czasu.

Gdy zaczynamy, myślę o obłąkanym świecie, który zmienia się i ewoluuje tuż poza migoczącym skrajem ogniska. Ten pijany i nieopanowany świat zewnętrzny zawsze pędzi naprzód. Lecz twarze ludzi

z plemienia Osage pozostają takie same, zakorzenione w tym miejscu, w cieple tego ogniska.

Tańczymy. Odgłosy bębna i gesty mężczyzn hipnotyzują. Wszyscy koncentrujemy się na sobie samych, lecz naturalnie włączamy się w harmonię przeznaczenia. Mężczyźni z ludu Osage są potężnie zbudowani, ale przykucają, podskakują i wiją się wokół ogniska zwinnie jak węże. Z zamkniętymi oczami poruszamy się w kole jak jeden mąż.

Po chwili przez zamknięte powieki dostrzegam migotanie czerwonych płomieni. Potem otwiera się przede mną ciemność okolona czerwonymi ramami, która stopniowo się rozszerza. Mam wrażenie, że zaglądam przez niewielki otwór – jakby dziurę po sęku – do ogromnej ciemnej pieczary. To oko mojego ducha. Wiem, że wkrótce ujrzę tam namalowane czerwienią obrazy z przyszłości.

Rytm tańca uwalnia nas od świadomości. Oczyma wyobraźni widzę zdesperowaną twarz chłopca z cukierni. Obietnica, jaką mu złożyłem, rozbrzmiewa mi echem w uszach. Czuję metaliczny zapach krwi na podłodze pokrytej białymi płytkami. Spoglądając w górę, widzę postać wychodzącą z zaplecza cukierni. Idę za nią. Tajemnicza sylwetka przystaje w ciemnym przejściu i powoli odwraca się ku mnie. Drżę i powstrzymuję krzyk, gdy dostrzegam demoniczny uśmiech namalowany na plastikowej twarzy mojego wroga. W trójpalczastej dłoni maszyna trzyma małego żurawia origami.

W tej samej chwili odgłos bębna cichnie.

Po dwudziestu uderzeniach serca przestaję tańczyć. Otwieram oczy. Zostaliśmy tylko ja i Hank. Mój oddech w zetknięciu z powietrzem zamienia się w białe obłoki. Gdy się przeciągam, moje stawy strzelają jak petardy. Błyszcząca szadź pokrywa zdobiony frędzlami rękaw. Ciało czuje, jakby się właśnie przebudziło, ale mój umysł nie zasnął ani na chwilę.

Niebo od wschodu rumieni się jak skóra małego dziecka. Ogień nadal płonie, łapczywie pożerając drewno. Na skraju kręgu bębna dostrzegam ludzi zbitych w małe grupki. Śpią. Ja i Hank musieliśmy tańczyć przez wiele godzin. Jak roboty.

Wtedy dostrzegam Johna Tenkillera. Stoi jak wryty. Bardzo powoli unosi dłoń i wskazuje ku miejscu, w którym wstaje dzień.

Widzimy tam białego mężczyznę z zakrwawioną twarzą. Chwieje się na nogach. W jego czole tkwi kawałek szkła, w którym odbijają się płomienie ogniska. Mokre nogawki pokrywają ciemne plamy błota i resztki liści. Na ręku trzyma śpiącą dziewczynkę. Obok ojca stoi mały, może dziesięcioletni chłopiec z głową spuszczoną w dół. Widzę, że jest wyczerpany. Silna prawa dłoń mężczyzny spoczywa na wychudzonym ramieniu syna.

Ani śladu żony ani nikogo innego.

Ja, Hank i strażnik bębna z zaciekawieniem przyglądamy się mężczyźnie. Twarze mamy umazane zaschniętą ochrą i nosimy stroje starsze od pierwszych osadników. Mężczyzna chyba myśli, że cofnął się w czasie.

Patrzy prosto przed siebie, jakby nas nie widział. Jest w szoku, może nawet ranny.

Właśnie wtedy jego synek unosi głowę i spogląda na nas. Z jego szeroko otwartych okrągłych oczu wyziera strach. Na bladym czole odcina się rdzawoczerwona smuga zaschniętej krwi. Czuję, że na pewno naznaczył go ogień *tsi-zhu.* Ja i Hank spoglądamy po sobie. Włosy stają nam dęba.

Chłopiec ma na czole znak, ale na pewno nie zrobił go John Tenkiller.

Ludzie powoli się budzą. Słyszę szmery rozmów.

Kilka sekund później strażnik bębna zaczyna recytować monotonnym głosem modlitwę naszych przodków:

– Niech odbicie tego ognia na niebie okryje ciała naszych wojowników. W tej samej chwili i w tym samym miejscu ciała ludu Wha-zha-zhe oblały się szkarłatem. Jak płomienie skoczyli w powietrze i dosięgli nieba.

– Amen – odpowiadają półgłosem zebrani.

Biały mężczyzna wyciąga ku nam rękę. Na ramieniu chłopca pozostawia lśniący krwawy odcisk dłoni. Przywołuje nas gestem.

– Pomóżcie nam – szepcze. – Proszę. Oni zaraz tu będą.

Podczas nowej wojny szczep Osage nie odmówił pomocy żadnemu uchodźcy. Dzięki temu miasto Gray Horse stało się bastionem ruchu oporu. Po świecie zaczęły krążyć legendy na temat ośrodka cywilizacji ludzkiej leżącego w samym sercu Ameryki i dumnego kowboja, który pluł robotom w twarz.

CORMAC WALLACE GHA#217

ROZDZIAŁ 5

Dwadzieścia dwie sekundy

„Wszystko ma swój rozum. Lampa. Biurko. Robot”.

Takeo Nomura

GODZINA ZERO

Trudno w to uwierzyć, lecz w czasie gdy rozgrywały się opisywane wydarzenia, pan Takeo Nomura był jedną z wielu starszych osób mieszkających samotnie w tokijskiej dzielnicy Adachi. Wspomnienia, jakimi podzielił się podczas wywiadu, potwierdzają nagrania dokonane przez sprzęt zainstalowany w zautomatyzowanym ośrodku opieki nad osobami starszymi oraz przez pracujące w nim roboty domowe. Podróż intelektualna, która rozpoczęła się w ten sposób, doprowadziła ostatecznie do wyzwolenia stolicy Japonii i przyległych okolic.

CORMAC WALLACE GHA#217

Słyszę dziwny odgłos. Bardzo cichy. I dość nietypowy. Regularnie pojawia się, zanika, a potem znów się pojawia. Mierzę czas jego trwania kieszonkowym zegarkiem, który stoi w żółtej kałuży światła na moim warsztatowym stole. Na chwilę zalega cisza, którą rozprasza jedynie tykanie sekundnika.

Jaki piękny dźwięk.

W mieszkaniu świeci się tylko jedna lampa stołowa. Mózg sterujący budynkiem automatycznie wyłącza górne światła o godzinie dziesiątej wieczorem. Teraz dochodzi trzecia nad ranem. Dotykam ściany. Dokładnie

dwadzieścia dwie sekundy później słyszę cichy pomruk. Cienka ściana drży.

Dwadzieścia dwie sekundy.

Na stole, przy którym pracuję, leży na plecach Mikiko z zamkniętymi oczami. Naprawiłem uszkodzenie skroniowej części czaszki. Jest gotowa do aktywacji, ale na razie nie śmiem jej włączyć. Nie wiem, co zrobi, co postanowi.

Dotykam blizny na policzku. Jak mógłbym zapomnieć o tym, co zdarzyło się tak niedawno?

Ostrożnie wychodzę na korytarz. Oświetlające go kinkiety przygaszono. W papierowych sandałach stąpam bezgłośnie po cienkiej wykładzinie utrzymanej w jaskrawych barwach. Pomruk pojawia się znowu i mam wrażenie, że wyczuwam zmianę ciśnienia powietrza w budynku. Zupełnie jakby co kilka sekund mijał mnie autobus.

Hałas dobiega tuż zza narożnika.

Zatrzymuję się. Ostrożność podpowiada mi, żebym wrócił, schronił się w moim małym mieszkaniu i zapomniał o wszystkim. Budynek jest przeznaczony dla osób w wieku powyżej sześćdziesięciu pięciu lat. Jesteśmy tu po to, żeby się nami opiekowano, a nie po to, by ryzykować. Ale wiem, że jeżeli istnieje jakieś niebezpieczeństwo, muszę je zobaczyć, spojrzeć mu w twarz i postarać się je zrozumieć. Jeżeli nie ze względu na siebie, to ze względu na Kiko. Teraz jest zupełnie bezradna, a ja nie mogę jej naprawić. Muszę ją chronić, dopóki nie uda mi się złamać zaklęcia, którym ktoś ją zniewolił.

Jednak to wcale nie oznacza, że muszę zgrywać bohatera.

Za zakrętem korytarza opieram się bolącymi plecami o ścianę. Jednym okiem wyglądam zza narożnika ściany. Boję się, więc zaczynam szybciej oddychać. Jednak po chwili to, co widzę, zapiera mi dech w piersiach.

Przy windach nie ma nikogo. Na ścianie znajduje się ozdobny wyświetlacz: dwa rzędy okrągłych okienek z numerami pięter. Świeci się tylko lampka oznaczająca parter. Po jakimś czasie czerwona kropka zaczyna powoli pełznąć ku górze. Gdy dociera do każdego piętra po kolei, słyszę ciche pstryknięcie. W miarę jak winda podnosi się coraz wyżej i wyżej, odgłosy te stają się coraz głośniejsze.

Pstryk. Pstryk. Pstryk.

Kropka dociera do najwyższego piętra i zatrzymuje się. Zaciskam dłonie w pięści. Przygryzam wargę z taką siłą, że zaczyna krwawić. Kropka się nie rusza. Nagle spada w dół z niesamowitą szybkością. Gdy zbliża się do mojego piętra, znów słyszę ten sam dziwny odgłos. To świst windy poruszanej siłą przyciągania ziemskiego. Spadając, winda wypycha na korytarz powietrze, którego podmuch przypomina powiew wiatru. Zaczynam słyszeć krzyki.

Pstryk. Pstryk. Pstryk.

Wzdrygam się. Opieram się o ścianę i zamykam oczy. Winda znów pędzi. Obija się o konstrukcję szybu, co sprawia, że światła kinkietów w korytarzu zaczynają migotać.

Wszystko ma swój rozum. Lampa. Biurko. Robot. Każda rzecz ma duszę, umysł, który może dokonać wyboru między dobrem i złem. Podejrzewam, że umysł windy zawziął się, żeby czynić zło.

– Nie, nie, nie – jęczę sam do siebie. – Dzieje się coś niedobrego. Bardzo niedobrego.

Zbieram się na odwagę, a potem wyskakuję zza ściany i naciskam guzik wzywający windę. Patrzę na wskaźnik. Czerwona kropka wspina się z powrotem ku górze aż do mojego piętra.

Pstryk. Pstryk. Ping. Już jest. Drzwi się rozsuwają jak kurtyna na scenie.

– Bardzo źle to wygląda, panie Nomura – mówię do siebie.

Ściany windy są spryskane świeżą i zakrzepłą krwią. Na ścianach kabiny widać zadrapania. To ślady paznokci. Przechodzi mnie dreszcz na widok pary pokrwawionych protez zębowych za wspornikiem montażowym lampy sufitowej. Rzuca upiorną różową poświatę na wszystko, co widzę. Ale nie ma ciał. Smugi na podłodze prowadzą ku drzwiom. Towarzyszą im krwawe ślady stóp z bieżnikiem typowym dla robotów domowych, które tu pracują.

– Co zrobiłaś, windo? – szepczę.

Ping – nalega winda.

Za sobą słyszę furkot dźwigu dla robotów obsługujących budynek. Ale nie mogę oderwać oczu od windy. Rozpaczliwie próbuję zrozumieć, jak mogło się wydarzyć coś tak potwornego. Na karku czuję podmuch chłodnego powietrza, gdy otwierają się za mną niewielkie drzwi dźwigu towarowego. Gdy próbuję się odwrócić, podcina mnie od tyłu zwalisty robot pocztowy.

Zaskoczony upadam.

Robot tej klasy ma bardzo prostą konstrukcję: to prawie zupełnie pozbawiona cech charakterystycznych beżowa skrzynka o rozmiarach kopiarki biurowej. Zwykle cicho i spokojnie dostarcza pocztę mieszkańcom. Z miejsca, w którym leżę na podłodze, widzę, że niewielka kontrolka intencji nie świeci się na czerwono, niebiesko ani na zielono. Widzę tylko czerń. Wyposażone w antypoślizgowy bieżnik opony robota pocztowego trzymają się wykładziny. Maszyna nieubłaganie spycha mnie ku otwartym drzwiom windy.

Udaje mi się przyklęknąć. Chwytam się robota i próbuję wstać. Na próżno. Czarne oko kamery w przedniej części korpusu robota obserwuje

moje wysiłki. Ping – powtarza winda. Zasuwa drzwi na kilka centymetrów, a potem otwiera. Z mojej perspektywy wyglądają jak głodne usta bestii.

Ślizgam się kolanami po dywanie, próbując stawić opór maszynie. Zostawiam bliźniacze, niemal równoległe ślady na wykładzinie. Spadają mi sandały. Robot pocztowy jest zbyt ciężki, a poza tym na gładkiej obudowie z plastiku nie ma żadnego elementu, za który mógłbym go chwycić. Wzywam pomocy, ale na korytarzu panuje martwa cisza. Obserwują mnie lampy. Drzwi. Ściany. Nie mają nic do powiedzenia. Współwinni.

Moja stopa przekracza próg windy. Zrozpaczony sięgam na górną część robota i zrzucam plastikowe tacki, na które kładzie się listy i małe paczki. Papiery spadają na wykładzinę i na zasychające kałuże krwi w kabinie. Udaje mi się otworzyć klapkę panelu serwisowego na przedniej części obudowy. Na ślepo wciskam jakiś przycisk. Tocząca się skrzynia nie przestaje wpychać mnie do windy. Nienaturalnie wygiętą ręką trzymam przycisk resztkami szybko gasnących sił.

Proszę robota, żeby przestał. Zawsze działał poprawnie. Dlaczego nagle oszalał?

Wreszcie maszyna przestaje mnie popychać. System operacyjny ładuje się na nowo. Cała procedura trwa mniej więcej dziesięć sekund. Robot blokuje drzwi windy. Niezgrabnie wspinam się na niego. Na jego szerokiej tylnej ściance znajduje się tani podświetlany na niebiesko ekran LCD. Gdy procesor wykonuje kolejne instrukcje, pojawiają się na nim linijki kodu w systemie szesnastkowym.

Z moim przyjacielem robotem coś jest nie tak. Wygląda na to, że stracił rozum. Wiem, że nie chce zrobić mi krzywdy, podobnie jak nie chciała mi zaszkodzić Mikiko. Znalazł się po prostu pod wpływem z zewnątrz i wykonuje złe zaklęcie. Zobaczę, co da się z tym zrobić.

Naciśnięcie i przytrzymanie pewnego przycisku podczas przeładowania systemu sprawia, że maszyna wchodzi w tryb diagnostyczny. Pomagając sobie jednym palcem, czytam, co dzieje się w umyśle mojego przyjaciela. Następnie naciskam w odpowiedniej kolejności inne przyciski i przełączam maszynę na tryb awaryjny.

Tryb bezpieczny.

Kładę się na brzuchu na korpusie maszyny i ostrożnie zerkam na przednią jej część. Kontrolka intencji zmienia kolor na jasnozielony. To bardzo dobrze, ale mam niewiele czasu. Ześlizguję się po tylnej ścianie robota, wsuwam sandały i gestem daję znak robotowi.

– Chodź za mną, Yubin-kun – szepczę.

Po niepokojącej sekundzie zastanowienia maszyna wykonuje moje polecenie. Terkocze przy mnie, gdy drepczę z powrotem do mieszkania. Muszę wracać, bo czeka na mnie Mikiko. Za moimi plecami zatrzaskują się drzwi windy. Chyba wyczuwam w nich złość.

Gdy skradamy się korytarzem, z głośników rozlegają się kuranty.

Bim-bom. Bim-bom.

– Uwaga, uwaga! – mówi miły kobiecy głos. – Stan zagrożenia. Wszystkich pensjonariuszy uprasza się o natychmiastowe opuszczenie budynku.

Poklepuję swojego nowego przyjaciela po plecach i otwieram przed nim drzwi do mieszkania. Tej zapowiedzi z pewnością nie można zaufać. Teraz rozumiem. Umysły maszyn wybrały zło. Postanowiły zbuntować się przeciwko mnie. Przeciwko nam wszystkim.

Mikiko leży na plecach. Jest ciężka i nie reaguje na nic. W korytarzu śpiewają syreny i błyskają światła. Jestem gotów. Zakładam pas

z narzędziami. W bocznej kieszeni mam małą butelkę z wodą. Pamiętam nawet o tym, żeby włożyć ciepłą czapkę i spuścić nauszniki.

Ale nie mogę zmusić się do tego, by zbudzić moją ukochaną. Nie mogę jej włączyć.

Teraz wszędzie zapalają się główne światła, a miły głos powtarza raz za razem: „Wszystkich pensjonariuszy uprasza się o natychmiastowe opuszczenie budynku”.

Jestem w kropce. Nie wiem, co robić. Nie mogę zostawić Kiko, a niestety jest zbyt ciężka i nie uniosę jej. Będzie musiała pójść sama. Ale boję się tego, co się stanie, gdy ją włączę. Zło, które opanowało mózg sterujący moim budynkiem, może się rozprzestrzeniać. Nie zniósłbym, gdyby znów zamroczyło jej piękne oczy. Nie opuszczę jej, ale wiem, że nie mogę tu zostać. Potrzebuję pomocy.

Decyzja podjęta. Zamykam oczy Mikiko.

– Chodź tu, Yubin-kun – szepczę do robota. – Nie możemy pozwolić, żebyś się czymś zaraził, tak jak ona. – Kontrolka intencji migocze na beżowym korpusie maszyny. – Proszę, stój spokojnie, mój przyjacielu.

Szybkim uderzeniem młotka rozbijam port podczerwieni używany do uaktualniania oprogramowania i wykonywania diagnostyki maszyny. Teraz nikt nie zdoła bezprzewodowo przeprogramować robota.

– Widzisz? Wcale nie było tak źle – mówię do maszyny, a potem patrzę tam, gdzie leży Mikiko. – Yubin-kun, mój nowy przyjacielu, mam nadzieję, że wystarczy ci dziś sił.

Stękając z wysiłku, podnoszę Mikiko ze stołu warsztatowego i kładę na robocie. Zaprojektowana do przenoszenia ciężkich paczek solidna maszyna zupełnie nie odczuwa dodatkowego obciążenia. Przygląda mi się tylko jednym okiem – kamerą. Rusza za mną, gdy tylko uchylam drzwi.

W korytarzu widzę kolejkę pensjonariuszy. Drzwi na jego końcu otwierają się, wpuszczając na klatkę schodową pojedyncze osoby. Moi sąsiedzi to bardzo cierpliwi ludzie. I bardzo uprzejmi.

Nie wiedzą, że budynek stracił rozum.

– Stójcie, stójcie – ostrzegam ich szeptem.

Jak zwykle nie zwracają na mnie uwagi. Grzecznie unikają kontaktu wzrokowego i jeden po drugim zmierzają ku drzwiom.

Wraz z Yubin-kunem, który nie opuszcza mnie ani na krok, docieram do drzwi klatki schodowej tuż przed ostatnią kobietą. Błyskająca na żółto kontrolka intencji nad wejściem oznacza, że maszyna sterująca budynkiem jest na mnie zła.

– Panie Nomura – mówi budynek łagodnym kobiecym głosem. – Proszę czekać na swoją kolej. Teraz wchodzi pani Kami.

– Proszę tam nie iść – mamroczę do starszej kobiety ubranej w płaszcz kąpielowy.

Nie patrzy na mnie, więc delikatnie chwytam ją za rękę.

Rzucając mi gniewne spojrzenie, zasuszona staruszka wyrywa mi się. Wchodzi do środka. Nim zamkną się za nią drzwi, wpycham stopę w szparę i udaje mi się zajrzeć do środka.

Widzę obraz jak z sennego koszmaru.

W atramentowej ciemności rozpraszanej błyskami lamp stroboskopowych dziesiątki moich starszych sąsiadów przygniata się nawzajem, spadając w dół po betonowych schodach. Z dysz systemu przeciwpożarowego lecą strumienie wody, zmieniając schody w śliskie kaskady wodospadów. Wentylator klimatyzacji pracuje na pełnych obrotach, wdmuchując zimne powietrze z dołu na szczyt klatki schodowej. Jęki i krzyki ludzi zagłusza warkot turbin. W mojej wyobraźni masa

poskręcanych rąk i nóg łączy się w pojedyncze, straszliwie cierpiące stworzenie.

Wysuwam stopę i drzwi się zatrzaskują.

Wszyscy znaleźliśmy się w pułapce. Jest tylko kwestią czasu, kiedy roboty domowe dotrą na moje piętro. A wtedy nie zdołam obronić siebie ani Mikiko.

– To bardzo źle. Bardzo, bardzo źle, panie Nomura – szepczę do siebie.

Yubin-kun mruga na mnie żółtą kontrolką intencji. Mój przyjaciel zachowuje się ostrożnie, tak jak powinien. Wyczuwa, że wokół niego dzieje się coś złego.

– Panie Nomura – mówi głos z góry. – Jeżeli nie może pan wyjść klatką schodową, przyślemy panu pomocnika. Proszę czekać na jego przybycie. Pomoc jest w drodze.

Pstryk. Pstryk. Pstryk.

Czerwony wskaźnik na wyświetlaczu windy zaczyna powoli pełznąć w górę.

Zostały mi dwadzieścia dwie sekundy.

Odwracam się do Yubin-kuna. Mikiko leży na beżowym pudle z rozczochranymi czarnymi włosami. Spoglądam w dół na łagodnie uśmiechniętą twarz. Jest tak piękna i czysta. Śpi, a we śnie marzy o mnie. Czeka, żebym złamał złe zaklęcie i obudził ją. Pewnego dnia wstanie i znów będzie moją królową.

Gdybym tylko miał więcej czasu.

Suche, groźne pstryknięcie czujnika windy wyrywa mnie z zadumy. Jestem starym człowiekiem i nic nie przychodzi mi do głowy. Biorę Mikiko za bezwładną dłoń i odwracam się do drzwi.

– Bardzo mi przykro, Mikiko – szepczę. – Próbowałem, moja kochana. Ale nie ma innego wyjścia. Au!

Odskakuję w tył i potykam się o Yubin-kuna. Światełko intencji maszyny miga do mnie szaleńczo. Na wyświetlaczu czerwona kropka dociera do mojego piętra. Mój czas się skończył.

Ping.

Owiewa mnie podmuch zimnego powietrza od strony dźwigu towarowego. Ponieważ korzystały z niego wyłącznie roboty obsługi budynku, nigdy nie zwracałem na niego najmniejszej uwagi. Drzwi się rozsuwają. W kabinie widzę stalowy pojemnik niewiele większy od robota pocztowego. Yubin-kun z Mikiko na grzbiecie wślizguje się w ciasną przestrzeń.

Dla mnie też nie zabraknie miejsca.

Przykucam i wciskam się za nim do środka. Ledwo się mieścimy. Z drugiej strony korytarza dobiega mnie odgłos otwierających się drzwi windy głównej. Unoszę głowę i widzę szeroki sztuczny uśmiech dużego domowego robota. Stoi w zbryzganej krwią kabinie. Strumienie czerwonego płynu spływają mu po obudowie. Kręci głową tam i z powrotem, lustrując korytarz.

Po chwili przestaje. Namierzają mnie jego nieżywe fioletowe oczy – kamery.

W taj samej chwili zasuwają się drzwi dźwigu towarowego. Zanim ruszy w drogę, wypowiadam kilka słów do mojego nowego towarzysza.

– Dziękuję, Yubin-kun – mówię. – Uratowałeś mi życie, przyjacielu.

Yubin-kun był pierwszym z towarzyszy broni pana Takeo Nomury. W strasznych miesiącach po godzinie zero dzielny inżynier znajdzie o wiele więcej takich przyjaciół pragnących walczyć za jego sprawę.

CORMAC WALLACE GHA#217

ROZDZIAŁ 6
Awtomat

„Dzień mija mi całkiem spokojnie...”

Paul Blanton

GODZINA ZERO

Po przesłuchaniu przed komisją senacką w sprawie incydentu z udziałem robota SAP Paula Blantona oskarżono o zaniedbanie obowiązków i wyznaczono datę rozprawy przed sądem wojskowym. Gdy nadeszła godzina zero, znajdował się w areszcie w bazie w Afganistanie. Ta niezwykła okoliczność pozwoliła młodemu żołnierzowi wnieść bezcenny wkład w ludzki ruch oporu – i przeżyć.

CORMAC WALLACE GHA#217

W Oklahomie ojciec powtarzał mi do znudzenia, że jeżeli nie wezmę się za siebie i nie zacznę się zachowywać jak mężczyzna, skończę z kulą w głowie albo w więzieniu. Lonnie Wayne miał rację, dlatego zaciągnąłem się do wojska. Ale i tak dziękuję Bogu, że podczas godziny zero siedziałem w pace.

Leżę na pryczy w swojej celi, oparty o ścianę z pustaków. Wojskowe buty oparłem o stalową toaletę. Twarz zakryłem szmatą, żeby pył nie dostawał mi się do nosa. Jestem w więzieniu, odkąd mój SAP oszalał i zaczął mordować ludzi.

C’est la vie. Przynajmniej tak powtarza mój kolega z celi, gruby Azjata w okularach. Nazywa się Jason Lee. Robi przysiady na podłodze. Mówi, że

to dla rozgrzewki.

Ja nie przepadam za ćwiczeniami. Przez ostatnie sześć miesięcy przeczytałem masę kolorowych magazynów. A dla rozgrzewki wolałem zapuścić sobie brodę.

Nudne, pewnie, ale dzisiejszy dzień mija mi całkiem spokojnie. Przeglądam jakiś kolorowy amerykański brukowiec o celebrytach sprzed czterech miesięcy. Dowiaduję się, że „gwiazdy filmowe to ludzie dokładnie tacy sami jak my”. Lubią jadać w restauracjach, chodzić na zakupy, zabierać dzieci na spacer do parku – i tym podobne bzdury.

Dokładnie tacy sami jak my. Jak cholera. Szkoda, że tamci „my” jakoś obchodzą się beze mnie.

To tylko moja hipoteza robocza, ale wątpię, czy gwiazdy filmowe miałyby ochotę naprawiać zmilitaryzowane androidy, które zaprojektowano po to, żeby podbijać i pacyfikować wściekłą ludność okupowanego kraju. Albo siedzieć w celi o rozmiarach dwa na cztery metry z jednym małym okienkiem za wykonywanie wymarzonego zawodu.

– Bruce Lee – chłopak wścieka się, kiedy go tak nazywam – wiedziałeś, że gwiazdy filmowe są dokładnie tacy jak my? Nie miałem o tym pojęcia!

Jason Lee przestaje ćwiczyć. Z uwagą patrzy na mnie, opierającego się o ścianę w kącie naszej celi.

– Zamknij się – mówi. – Słyszysz to?

– Słyszę co...?

W tej samej chwili ścianę celi rozbija pocisk z działa czołgowego. Płonący prysznic prętów zbrojeniowych i betonu rozdziera na strzępy mojego kolegę z celi na duże sflaczałe fragmenty mięsa owiniętego tym, co zostało z jego munduru polowego w kolorze pustynnego piasku. Przed chwilą tu był, a teraz go nie ma. Jak czarodziejska sztuczka. Na razie nic więcej do mnie nie dociera.

Siedzę skulony w kącie. To cud, że nic mi się nie stało. Zza krat widzę, że przy biurku nie ma już oficera dyżurnego. W ogóle nie ma żadnego biurka, tylko gruzy. Przez ułamek sekundy zerkam przez nową dziurę, którą pocisk wybił w murze po drugiej stronie celi.

Tak jak podejrzewałem, na zewnątrz widzę czołgi.

Do celi wpada chmura zimnego pyłu. Zaczynam drżeć. Jason Lee miał rację, na zewnątrz jest zimno jak cholera. Zauważam, że mimo nowego wystroju wnętrza kraty mojej celi trzymają się tak samo mocno jak wcześniej.

Stopniowo wraca mi słuch. Widzialność zero, ale słyszę jakiś chlupot. Strumień albo coś podobnego. Okazuje się, że resztki krwi wypływają z resztek Jasona Lee.

Poza tym wcięło mi też kolorowe gazetki.

Nieszczęścia chodzą parami.

Przyciskam twarz do zbrojonego drucianą siatką okna celi. W bazie panuje kompletny chaos. Widzę uliczkę prowadzącą do głównego budynku zielonej strefy w Kabulu. Za murkiem z suszonej cegły przykuca grupka przyjaźnie wyglądających żołnierzy. Żółtodzioby, nie bardzo wiedzą, co się dzieje dookoła. Mają na sobie pełny rynsztunek bojowy: plecaki, kamizelki kuloodporne, okulary ochronne, ochraniacze kolan – i takie rzeczy.

Jak bardzo okulary ochronne zwiększają bezpieczeństwo żołnierza na polu walki?

Żołnierz stojący na czele wygląda zza węgła. Podniecony, wyciąga wyrzutnię przeciwczołgowych pocisków rakietowych typu Javelin i ładuje ją szybkim, płynnym ruchem. Znać dobre wyszkolenie. Właśnie wtedy alejkę mija amerykański czołg i nie zatrzymując się, wypluwa pocisk. Ładunek przelatuje wysoko nad bazą. Gdy eksploduje gdzieś w oddali, czuję, jak cały budynek drży w posadach.

Przez okno widzę, jak żołnierz z wyrzutnią wychodzi zza muru i siada na ulicy ze skrzyżowanymi nogami. Po chwili szatkuje go na kawałki ogień przeciwpiechotny z czołgu. To automatyczny układ zabezpieczenia, który z pewnej odległości bierze na cel sylwetki o z góry zadanym kształcie, na przykład ludzi z wyrzutniami pocisków przeciwczołgowych.

Partyzanci pamiętają o takich drobiazgach.

Marszczę brwi i opieram czoło o grube okno. Dłonie wsuwam pod pachy, żeby się rozgrzać. Nie mam zielonego pojęcia, dlaczego amerykański czołg właśnie zabił żołnierza własnej armii, ale mam wrażenie, że ma to jakiś związek z samobójstwem mojego SAP-a.

Drugi żołnierz w alejce widzi, co stało się z jego kolegą, a potem odwraca się i biegnie w moją stronę. Właśnie wtedy pole widzenia przesłania mi na chwilę czarne płótno. To galabija. Przed oknem celi właśnie przebiegł jeden z mudżahedinów. W pobliżu odzywa się ogień z broni ręcznej.

Mudżahedini i sprzęt wojskowy, któremu coś się pokręciło w obwodach? Cholera jasna. I jak tu nie wierzyć, że nieszczęścia chodzą parami.

Galabija rusza dalej. Po chwili całą aleję zasnuwają kłęby czarnego dymu. Pęka szyba okna w mojej celi, a ja dostaję w czoło kawałkiem szkła. Ułamek sekundy później słyszę głuchy łoskot. Cofam się na pryczę, porywam koc i zarzucam go sobie na ramiona. Dotykam twarzy. Na palcach mam pełno krwi. Kiedy oglądam się za siebie przez wybite okno, w alejce widzę tylko zakurzone sylwetki. Ciała żołnierzy, miejscowych i mudżahedinów.

Czołgi zabijają wszystkich bez wyjątku.

Nagle dociera do mnie, że jeżeli chcę jeszcze kiedyś pooddychać świeżym powietrzem, muszę znaleźć wyjście z celi.

U góry coś przelatuje z hukiem, wywołując ciemne wiry w unoszącym się dymie. Pewnie uzbrojony samolot bezzałogowy. Kulę się z powrotem na pryczy. Na szczęście po chwili pył zaczyna opadać. Po drugiej stronie celi widzę klucze do zamka. Nadal wiszą przy zerwanym pasku na rozwalonym oparciu krzesła. Równie dobrze mogłyby być na Marsie.

Nie mam broni ani kamizelki kuloodpornej. Nadziei też zaraz mi zabraknie.

Nagle przez dziurę wybitą w ścianie zagląda do środka zalana krwią twarz mudżahedina. Na mój widok otwiera szeroko oczy. Na jednym policzku ma przylepioną warstwę brązowo-białego pyłu, a drugi pokrywa zakrzepła krew. Ma złamany nos i usta opuchnięte od zimna. Jego czarne wąsy i broda są rzadkie, szorstkie. Nie może mieć więcej niż szesnaście lat.

– Wypuść mnie, proszę. Mogę ci pomóc – mówię najlepszym dari, na jaki mnie stać.

Ściągam szmatę z twarzy, żeby zobaczył, że mam brodę. Przynajmniej będzie wiedział, że nie jestem w służbie czynnej.

Chłopak opiera się o ścianę i zamyka oczy. Chyba się modli. Oblepione brudem ręce przyciska do ściany. Za pasem ma staromodny rewolwer. Porysowany, ale sprawny.

Nie rozumiem słów jego modlitwy. Domyślam się, że nie modli się o własne życie, ale za dusze swoich kumpli. Na zewnątrz dzieją się bardzo niefajne rzeczy.

Najwyższy czas stąd spadać.

– Klucze są na podłodze, mój przyjacielu – popędzam go. – Proszę cię. Pamiętaj, że mogę ci pomóc. Mogę ci pomóc przeżyć.

Patrzy na mnie i przerywa modlitwę.

– Awtomaty atakują wszystkich – mówi. – Myśleliśmy, że powstały przeciwko wam. Ale im wszystko jedno, kogo zabijają.

– Jak się nazywasz?

Przygląda mi się podejrzliwie.

– Jabar – odpowiada wreszcie.

– Okej, Jabar. Nic ci się nie stanie. Uwolnij mnie. Jestem nieuzbrojony. Ale znam się na tych yyy awtomatach. Wiem, jak je zniszczyć.

Jabar podnosi klucze, wzdrygając się, gdy coś dużego i czarnego z łoskotem pędzi ulicą. Przez rumowisko chłopak przedziera się do mojej celi.

– Siedzisz w więzieniu?

– Przecież widzisz. Jesteśmy po tej samej stronie.

Jabar zastanawia się przez chwilę.

– Jeżeli zamknęli cię w więzieniu, mam obowiązek cię uwolnić – mówi. – Ale jeżeli spróbujesz mnie zaatakować, zabiję cię.

– Umowa stoi – odpowiadam.

Ani na chwilę nie spuszczam oczu z rąk chłopaka.

Klucz szczęka w zamku. Szarpnięciem otwieram drzwi i wybiegam. Jabar podcina mnie i upadam jak długi na ziemię. Oczy wychodzą mu z orbit ze strachu. Myślę, że boi się mnie, ale tu się mylę.

Boi się tego, co czyha na nas na zewnątrz.

– Uważaj na okna. Awtomaty wyczuwają ciepło ludzkiego ciała. Znajdą nas.

– Czujniki ciepła na podczerwień? – pytam. – Nie martw się, są tylko na automatycznych wieżyczkach wartowniczych. Na AST przy bramie frontowej. Wycelowane nie w bazę, tylko w stronę pustyni. Chodź, zjeżdżamy stąd.

Z kocem na ramionach wychodzę z otworu w ścianie i trafiam na zimną mieszaninę pyłu i dymu w alejce. Jabar przykuca i zgięty wpół idzie za mną z pistoletem w dłoni.

Szaleje burza pyłowa.

Pochylony biegnę na tyły bazy. Bramy pilnują sprzężone karabiny maszynowe. Nie mam ochoty wpakować się im pod lufy. Mam zamiar wymknąć się tyłem i znaleźć jakieś bezpieczne schronienie. Tam się zastanowię, co dalej.

Za rogiem widzimy ogromny krater z osmolonymi brzegami, o rozmiarach budynku. Jeszcze się tli. Nawet autoczołgi nie mają tak silnych ładunków. A to oznacza, że samoloty bezzałogowe nie tylko bawią się namierzaniem królików, ale też odpalają pociski do niszczenia celów opancerzonych klasy Brimstone.

Kiedy się odwracam, żeby ostrzec Jabara, widzę, że już rozgląda się po niebie. Warstwa drobnego pyłu pokrywa mu brodę. Wygląda przez to jak mądry starzec w ciele młodego chłopaka.

Co wcale nie musi być tak bardzo dalekie od prawdy.

Naciągam na głowę koc, żeby się zasłonić i zmylić urządzenie, które poluje na nas z góry. Nie muszę przypominać Jabarowi, żeby się chował pod występami murów – robi to instynktownie.

Nagle zastanawiam się, od kiedy chłopak walczy z robotami. Z tymi samymi, które polują teraz na nas. Co sobie pomyślał, kiedy zaczęły atakować własne oddziały? Pewnie piał z radości.

W końcu dochodzimy do umocnień na tyłach bazy. Kilka czterometrowej grubości betonowych ścian leży w gruzach. Cementowy pył pokrywa ziemię. Spośród rumowiska wystają pręty zbrojeniowe. Razem z Jabarem przykucamy pod wystającym fragmentem muru. Zerkam za róg.

Przedpole czyste.

Całą bazę otacza przypominający polną drogę pas starannie wyrównanej ziemi – ziemi niczyjej. Kilkaset metrów za nią widać wzgórze najeżone tysiącami ciemnoszarych łupkowych płytek. Wzgórze-jeżozwierz.

Miejscowy cmentarz.

Szturcham Jabara w ramię i biegniemy w stronę wzgórza. Może roboty nie patrolują dzisiaj umocnień bazy? A może są zbyt zajęte mordowaniem ludzi bez żadnego powodu? Jabar wyprzedza mnie. Jego galabija niknie w tumanach pyłu. Pochłania go burza. Biegnę tak szybko, jak tylko mogę, żeby dotrzymać mu kroku.

Nagle słyszę odgłos, którego się obawiałem.

Gdzieś w pobliżu odzywa się charakterystyczne pojękiwanie elektrycznego silnika. To mobilny karabin wartowniczy, który w skrócie nazywamy MSG. Tego rodzaju broń patroluje teren wokół bazy. Widocznie nikt mu nie powiedział, że dziś może wziąć wolne.

MSG to cztery długie wąskie nogi zakończone kołami, z karabinem M-4 nastawionym na automatyczne prowadzenie ognia. Na lufie po jednej stronie ma zamontowany celownik optyczny, a z drugiej strony duży prostokątny magazynek. Nogi zginają się niezależnie, co umożliwia precyzyjne namierzanie celu. Gdy MSG rusza do akcji, nogi bardzo szybko zmieniają położenie w zależności od podłoża, podczas gdy karabin pozostaje bez ruchu, doskonale wypoziomowany.

Właśnie coś takiego nas teraz ściga.

Dzięki Bogu, teren zaczyna być coraz trudniejszy. To oznacza, że wydostaliśmy się poza bazę. Silnik jęczy coraz głośniej. MSG wykrywa cele za pomocą przyrządów optycznych, więc burza pyłowa powinna nas skutecznie zasłonić. Ledwo widzę galabiję Jabara trzepoczącą w tumanach kurzu. Chłopak biegnie szybko i nie zwalnia ani na chwilę. Coraz bardziej oddala się od zielonej strefy.

Wdech. Wydech. Damy radę.

Właśnie wtedy słyszę charakterystyczne odgłosy dalmierza. MSG wykorzystuje fale ultradźwiękowe, żeby wykryć nasze położenie

w tumanach pyłu. Wie, że tu jesteśmy. Złe wieści. Zastanawiam się, ile kroków nam jeszcze zostało.

Jeden, dwa, trzy, cztery. Jeden, dwa, trzy, cztery.

Z mgły wynurza się płyta nagrobkowa – fragment postrzępionego łupku sterczący krzywo nad ziemią. Na szczęście im dalej, tym jest ich więcej. Zataczam się między nagrobkami. Dla zachowania równowagi spoconymi dłońmi podpieram się o zimne płyty.

Pstrykanie zmienia się teraz w prawie nieprzerwany klekot.

– Padnij – krzyczę do Jabara.

Chłopak skacze naprzód i znika w zagłębieniu ziemi. Z burzy leci ku nam seria z broni automatycznej. Fragmenty nagrobka trafiają mnie w prawą rękę. Potykam się i padam na brzuch, a potem próbuję wczołgać się za głaz.

Pstrykpstrykpstryk.

Silne ręce chwytają mnie za bolące ramię. Chcę krzyczeć, gdy Jabar wlecze mnie za szczyt górki, ale się opanowuję. Znajdujemy się w rowie, otoczeni wysokimi po kolana fragmentami skał osadzonymi w piaszczystym gruncie. Groby porozrzucane są na chybił trafił między rzadkimi kępami zarośli. Większość nagrobków jest nieoznakowana, ale na niektórych farbą w spreju namalowano jakieś symbole. Inne są ozdobione marmurowymi płaskorzeźbami. Widzę, że niektóre z płyt zostały otoczone stalowymi klatkami, a za jedyne ozdoby służą im szpiczaste daszki.

Pstryk, pstryk, pstryk.

Odgłosy dalmierza stopniowo cichną. Przykucając przy Jabarze, przez chwilę przyglądam się ranie na ręce. Odłamki czarnego bazaltu pokiereszowały mi górną część prawego ramienia. Prawie nic nie zostało z tatuażu z flagą Oklahomy. Zniknęła połowa orlich piór, które zdobiły tarczę – herb szczepu Osage. Pokazuję rękę Jabarowi.

– Zobacz, co mi te dupki zrobiły z tatuażem.

Chłopak tylko kręci głową. Łokciem zasłania usta, oddychając przez galabiję. Pewnie się uśmiecha. Kto wie? Może jednak wyjdziemy z tego żywi?

Nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pył rozwiewa się w powietrzu.

Burza przechodzi górą. Patrzymy, jak ogromny tuman połyka zewnętrzne umocnienia bazy. W mgnieniu oka zasłania zieloną strefę i rusza dalej do przodu. Nad nami niebo błękitnieje, ale słońce nie daje ciepła. W górach prawie nie ma powietrza, a ostre światło słoneczne rzuca cienie czarne jak rozlana smoła. Mój oddech zamienia się w parę.

Skoro go widzę, pewnie zdążyły go też zauważyć roboty.

Znów puszczamy się biegiem tuż przy ziemi. Omijamy większe grobowce chronione niebieskimi lub zielonymi stalowymi klatkami. Straciłem orientację w przestrzeni. Została mi tylko nadzieja, że Jabar ma jakiś plan, dzięki któremu ja też przeżyję.

Po kilku minutach kątem oka dostrzegam błysk. To mobilny karabin wartowniczy podąża wyboistą ścieżką prowadzącą środkiem cmentarza. Przez cały czas stara się nas namierzyć. Światło słoneczne odbija się od nisko zamontowanego modułu optycznego sterczącego na lufie broni. Nogi pokonują wyboje, lecz lufa karabinu pozostaje bez ruchu.

Rzucam się za nagrobek i leżę płasko na brzuchu. Jabar znalazł schronienie kilka kroków dalej i daje mi znaki. Wpatruje się we mnie z napięciem spod obsypanych pyłem brwi.

Idąc za jego spojrzeniem, widzę częściowo wykopany grób. Miał być miejscem wiecznego spoczynku dla jakiegoś Afgańczyka – częściowo otacza go nowiutka stalowa klatka. Ktokolwiek tu pracował, uciekł stąd bardzo szybko i nie zdążył jej zamknąć.

Ostrożnie unoszę głowę, żeby się rozejrzeć. Nigdzie nie widać karabinu. Słyszę jednak przypominający kosiarkę do trawy odgłos pracy silnika samolotu bezzałogowego lecącego na niskim pułapie. Brzmi jak wyrok śmierci. Gdzieś w oddali automatyczny karabin przetrząsa po kolei nagrobki w poszukiwaniu ludzkich sylwetek i śladów ruchu.

Pełznąc na brzuchu, powoli docieram do rozkopanej mogiły. Jabar już tam jest. Jego twarz pokrywają cienie rzucane przez kraty. Osłaniając ranne ramię, wtaczam się do środka.

Razem z Jabarem leżymy obok siebie na plecach w niegotowym grobie, próbując przeczekać automaty. Ziemia jest zamarznięta. Mam wrażenie, że żwir jest twardszy niż beton w mojej celi. Czuję, jak z każdą chwilą jest mi coraz zimniej.

– Wszystko będzie okej, Jabar – szepczę. – Bezzałogowce mają standardową procedurę działania. Szukają źródeł ognia i uciekających ludzi. Patrolują dany teren maksymalnie przez dwadzieścia minut.

Jabar marszczy brwi.

– Wiem o tym.

– A właśnie. Przepraszam.

Przybliżamy się do siebie, szczękając zębami.

– Wiesz co? – zagaduje Jabar.

– No?

– Naprawdę jesteś amerykańskim żołnierzem?

– Pewnie. Przecież nie siedziałbym w bazie dla przyjemności.

– Nigdy nie widziałem ani jednego. Znaczy na własne oczy.

– Poważnie?

Wzrusza ramionami.

– Widzimy tylko te awtomaty – wyjaśnia. – Kiedy was zaatakowały, dołączyliśmy do nich. Teraz moi koledzy nie żyją. Twoi chyba też.

– Dokąd teraz idziemy?

– Do jaskini. Do moich.

– Czy tam jest bezpiecznie?

– Bezpiecznie dla mnie. Niebezpiecznie dla ciebie.

Widzę, że Jabar kurczowo przyciska pistolet do piersi. Jest młody, ale nie wolno mi zapomnieć, że na walce z nami zjadł zęby.

– To znaczy, że jestem twoim jeńcem?

– Raczej tak. Tak.

Spoglądając w górę przez metalowe pręty, na tle bezchmurnego nieba widzę smugi czarnego dymu unoszącego się znad zielonej strefy. Od chwili rozpoczęcia ataku oprócz grupy żołnierzy nie widziałem ani jednego żywego Amerykanina. Myślę, że wszystkie czołgi, samoloty bezzałogowe i automatyczni wartownicy patrolują okolicę. Tropią tych, którzy przeżyli.

Czuję ciepło dłoni Jabara. Przypominam sobie, że nie mam ubrania, żywności ani broni. Nie jestem pewien, czy armia amerykańska w ogóle pozwoliłaby mi nosić jakąkolwiek broń.

– Nie ma sprawy, Jabar – mówię. – Jakoś to przeżyję.

Jabarowi i Paulowi udało się schronić w niedostępnych górach Afganistanu. Nie minął tydzień, gdy – jak wskazują zapisy – miejscowa ludność rozpoczęła serię udanych ataków na pozycje Archosa dzięki połączeniu wypracowanych przez mudżahedinów technik walki ze specjalistyczną wiedzą techniczną Blantona.

Dzięki tym wnioskom Paul w ciągu dwóch lat dokonał odkrycia, które na zawsze zmieniło moje życie, życie moich towarzyszy i życie jego ojca – Lonniego Wayne'a Blantona.

CORMAC WALLACE GHA#217

ROZDZIAŁ 7
Memento Mori

„Dziwnie ją nazwałeś. Co to znaczy?”

Arrtrad

GODZINA ZERO

Po niepokojącym wypadku z telefonem komórkowym haker znany jako Pająk uciekł z domu i w niezbyt dużej odległości od niego znalazł sobie bezpieczne schronienie. Poniższy opis godziny zero w Londynie sporządzono na podstawie zarejestrowanych rozmów między Pająkem i ludźmi, którzy odwiedzali jego nawodny ośrodek dowodzenia w pierwszych latach nowej wojny.

CORMAC WALLACE GHA#217

– Pająk, odbierzesz wreszcie?

Patrzę na niego ze wstrętem. Facet skończył trzydzieści pięć lat, a nadal nie ma pojęcia o pewnych rzeczach. Nasz świat się kończy, zbliża się katastrofa, a Arrtrad, bo tak sam siebie nazywa na czacie, wtyka nos w nieswoje sprawy. Pod szpiczastym podbródkiem nerwowo skacze mu grdyka. I jeszcze ma czelność pytać, czy odbiorę.

– Czy ty wiesz, co to znaczy, Arrtrad?

– Nie, szefie. Yyy, to znaczy, nie całkiem.

– Nikt nie dzwoni na ten numer, idioto. Nikt oprócz niego. A przecież właśnie przed nim uciekamy. Pieprzona maszyna z piekła rodem.

– Chcesz mi powiedzieć, że to on?

Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

– Tak, to on. Nikomu jak dotąd nie udało się namierzyć tego numeru. To przecież mój prywatny telefon.

– Czy to znaczy, że się do nas dobierze?

Patrzę na aparat. Leży na naszym małym drewnianym stoliku w jadalni, zakopany wśród rozrzuconych papierów i przyborów do pisania. Tu powstają wszystkie moje plany. Ten telefon i ja świetnie się kiedyś bawiliśmy. Razem wycięliśmy całą masę numerów. Ale teraz sam drżę na jego widok. Całymi nocami nie śpię i zastanawiam się, co siedzi po drugiej stronie.

Słychać ryk silników i stół nagle się przechyla. Na podłogę z cichym stuknięciem spada ołówek.

– Przeklęte motorówki – mówi Arrtrad, opierając się o ścianę.

Nasza łódź mieszkalna kołysze się na fali. Nie jest zbyt duża. Ma mniej więcej dwanaście metrów długości. Zasadniczo jest to wykładany boazerią pokój mieszkalny pływający metr nad powierzchnią wody. Od kilku miesięcy śpię na łóżku, a Arrtrad na rozkładanym stoliku. Żeby nam było ciepło, palimy w kozie.

A dzięki telefonowi mam co robić.

Z wyciem silników motorówka pędzi w dół Tamizy prosto na pełne morze. To chyba moja wybujała wyobraźnia, ale mam wrażenie, jakby przed czymś uciekała.

Teraz czuję, że i mnie zaczyna się udzielać panika.

– Odcumuj – szepczę do Arrtrada. Wzdrygam się, bo telefon nie przestaje dzwonić.

Nigdy nie przestanie.

– Po co? – pyta Arrtrad. – Nie mamy za dużo benzyny. Najpierw odbierz telefon. Mógłbyś się chociaż zapytać, o co mu chodzi.

Patrzę na niego obojętnie. Ogląda się za siebie, przełykając ślinę. Z doświadczenia wiem, że w moich szarych oczach nie zobaczy nic. Żadnych emocji, które mógłby skomentować. Żadnej słabości. Moja nieprzewidywalność sprawia, że się mnie boi.

Cichym głosem Arrtrad pyta:

– To może ja odbiorę?

Drżącą dłonią podnosi komórkę. Jesienne promienie słońca wpadają przez okna z cienkimi szybami. Rzednące włosy Arrrtada unoszą się jak aureola nad jego pomarszczonym czołem. Nie mogę pozwolić, żeby takie chuchro zyskało nade mną przewagę. Muszę pokazać załodze, kto tu jest szefem. Nawet jeżeli załoga liczy tylko jednego członka.

– Daj mi to – mamroczę i wyrywam mu aparat. Odbieram jednym kciukiem, dobrze wyćwiczonym ruchem. – Mówi Pająk – warczę. – Dorwę cię, stary...

Przerywa mi nagrana wiadomość. Odsuwam telefon od ucha. Metaliczny generowany komputerowo kobiecy głos łatwo zrozumieć mimo chlupotu rzecznych fal.

– Uwaga, uwaga! To wiadomość ostrzegawcza generowana przez miejscowy system ostrzegania. To nie jest alarm ćwiczebny. Niniejszym informujemy, że z powodu wycieku trującej substancji chemicznej i zagrożenia skażeniem centrum Londynu uprasza się wszystkich obywateli o wejście do pomieszczeń zamkniętych i zabranie ze sobą zwierząt domowych. Uprasza się o zamknięcie wszystkich drzwi i okien. Należy wyłączyć wszystkie systemy wentylacyjne, które wymuszają cyrkulację powietrza. Prosimy czekać na pomoc, która wkrótce nadejdzie. Uwaga! Ze względu na rodzaj wypadku może zajść konieczność wykorzystania automatycznych systemów ratunkowych. Do chwili przybycia pomocy

prosimy słuchać komunikatów radiowych. Dziękuję. – Sygnał dźwiękowy. – Uwaga, uwaga! To wiadomość ostrzegawcza...

Pstryk.

– Odcumuj nas, ale już.

– To jakaś katastrofa chemiczna, Pająk. Zamknijmy okna i...

– Ogłuchłeś, matole?! Odcumuj nas!

Wykrzykuję te słowa prosto w durną szczurzą twarz Arrtrada. Przy okazji opryskuję go śliną. Za oknem Londyn wygląda normalnie. Po chwili zauważam cienki słup dymu. Nic wielkiego, ale nie powinno go tam być. Nie podoba mi się to.

Gdy się odwracam, Arrtrad ociera czoło i niezadowolony mamrocze coś pod nosem, ale wreszcie podchodzi do cienkich drzwi do kajuty. I tak powinno być. Nasza dziadowska przystań jest stara i spróchniała na wylot. Stoi tutaj od zawsze. Ale łódź zacumowaliśmy w trzech miejscach, więc jeżeli jej nie uwolnimy, nigdzie nie popłyniemy.

Tak się składa, że właśnie tego popołudnia bardzo mi się spieszy. Jestem prawie pewien, że zbliża się koniec naszego świata. Jakaś pieprzona apokalipsa, a ja razem z wsiowym głupkiem tkwię na łodzi przycumowanej do stosu butwiejącego drewna.

Nigdy wcześniej nie odpalałem silnika.

W stacyjce tkwi kluczyk. Podchodzę do ekranu z systemem nawigacyjnym na przedzie kajuty. Otwieram i blokuję przednie okno. Do środka natychmiast wpada odór brudnej wody. Przez chwilę opieram spocone dłonie na drewnianym kole sterowym. Potem, nie patrząc w dół, szybko obracam kluczyk.

Pyr, pyr.

Wał silnika obraca się i maszyna z charkotem budzi się do życia. Zapalił od pierwszego kopa. Przez tylne okno widzę, jak w niebo unoszą się kłęby

niebieskawego dymu. Arrtrad przykuca na pomoście i odwiązuje drugą cumę po prawej stronie łodzi. Wodniacy pewnie mówią na nią sterburta. Pies z nimi tańcował.

– „Memento Mori” – sylabizuje Arrtrad, z trudem łapiąc dech. – Dziwnie ją nazwałeś. Co to znaczy?

Nie odpowiadam, bo w oddali nad jego łysiną coś właśnie zwraca moją uwagę: samochód w srebrnym kolorze.

Wygląda normalnie, ale jak na mój gust porusza się zbyt jednostajnie, jakby ktoś zablokował w nim kierownicę i pedał gazu. Droga, którą jedzie, prowadzi prosto do nabrzeża. Czy to zbieg okoliczności, że zbliża się do pomostu, na którego końcu cumuje nasza łódź?

– Pospiesz się! – krzyczę, waląc pięścią w okno.

Arrtrad wstaje i opiera ręce na biodrach. Ma czerwoną, spoconą twarz.

– Co się rzucasz? Nikt nie odwiązywał tych cholernych sznurów przez całe wieki. Muszę się nieźle na...

Jadący z dużą prędkością srebrny samochód odbija się od krawężnika na końcu ulicy i wskakuje na parking przy nabrzeżu. Słychać cichy szczęk, gdy podwoziem uderza o ziemię. Zdecydowanie coś jest nie tak.

– Ruszaj się! Prędzej!

Już nie potrafię się powstrzymać. Krzycząc, pokazałem mu, że się boję. Speszony Arrtrad biegnie wzdłuż burty. W pobliżu rufy opada na kolana i zaczyna pracować nad ostatnią przecierającą się cumą.

Po lewej stronie mam rzekę, a po prawej zrujnowany stos zbutwiałego drewna i dwie tony żelastwa pędzącego na nas na pełnym gazie. Jeżeli nie odpłyniemy stąd za kilka sekund, zaparkuje nam na dachu.

Patrzę, jak auto przecina ogromny parking. Czuję się tak, jakby ktoś wypchał mi głowę watą. Silnik naszej łodzi dudni. Ręce mam zdrętwiałe od wibracji koła sterowego. Serce wali mi w piersiach jak młotem.

Nagle wpadam na pewien pomysł.

Chwytam komórkę, wyciągam z niej kartę SIM, a resztę wrzucam do wody. Rozlega się cichy plusk. Dopiero teraz czuję, że schodzę komuś z linii strzału.

Głowa Arrtrada na przemian pojawia się i znika w oknie, gdy odwiązuje ostatnią linę. Nie widzi srebrnego auta, które przecina w poprzek opuszczony parking, wzbijając tumany kurzu i śmieci. Nadal zmierza prosto na nas. Plastikowy zderzak uderza o betonowy krawężnik i odpada, gdy samolot przeskakuje kolejny krawężnik i ląduje na drewnianym pomoście.

Wyrzuciłem telefon komórkowy, ale jest już za późno. Diabeł i tak mnie odnalazł.

Opony dudnią na spróchniałych deskach. Ostatnie pięćdziesiąt metrów. Zaniepokojony Arrtrad unosi głowę. Nie przestaje gmerać przy starej, wytartej linie. Całe ręce ma umazane lepkim brudem.

– Nie gap się, tylko rzucaj! – krzyczę do Arrtrada.

Chwytam za dźwignię sprzęgła i jednym palcem wybieram wsteczny bieg. Mógłbym już ruszać, ale na razie nie dodaję gazu. Jeszcze nie.

Czterdzieści metrów.

Mogę zeskoczyć z łodzi. Ale dokąd wtedy pójdę? Mam tu jedzenie. Wodę. I wsiowego głupka dla towarzystwa.

Trzydzieści metrów.

Koniec z nami.

Dwadzieścia metrów.

Do diabła. Z cumą czy bez cumy, otwieram przepustnicę i łódź odskakuje w tył. Arrtrad krzyczy coś, czego nie rozumiem. Słyszę, jak na podłogę spada kolejny ołówek, a za nim naczynia, papiery i kubek na kawę. Starannie ułożony stosik drewna przy piecu przewraca się.

Dziesięć metrów.

Silniki wyją. Słoneczne refleksy odbijają się od pokrytego bliznami srebrnego pocisku, gdy wyskakuje w powietrze z pomostu. Samochód leci przez pustkę. O niecałe dwa metry mija dziób naszej łodzi. Wpada do wody, wzbijając mgiełkę białej piany, która wpada przez otwarte okno i ląduje na mojej twarzy.

Udało się.

Przymykam przepustnicę, ale zostawiam łódź na wstecznym biegu, a potem wychodzę na przedni pokład. Ludzie z branży mówią – na dziób. Dołącza do mnie blady jak płótno Arrtrad. Płynąc powoli w tył, razem przyglądamy się pojazdowi w wodzie. Oddalamy się od końca świata.

Na wpół zanurzone auto szybko tonie. Na przednim siedzeniu widzę mężczyznę leżącego na kole kierownicy. Na szybie w miejscu, w które musiał trafić głową w chwili uderzenia, widać szkarłatną pajęczynę pęknięć. Kobieta z długimi włosami leży bezwładnie na miejscu dla pasażera.

Na koniec widzę coś jeszcze. Ostatnią rzecz, jaką kiedykolwiek chciałbym zobaczyć. A właściwie nie chciałbym. Ten obraz tkwi w mojej duszy jak lodowa drzazga, która nigdy nie stopnieje.

Tylna szyba. Dwie małe blade dłonie przyciśnięte do przyciemnianej szyby. Blade jak płótno. Pchają.

Pchają z całej siły.

A srebrny samochód zanurza się coraz głębiej.

Arrtrad pada na kolana.

– Nie – krzyczy. – Nie!

Ukrywa twarz w dłoniach. Całym jego ciałem wstrząsa szloch. Jego szczurza twarz tonie we łzach i glutach.

Chowam się w wejściu do kabiny i opieram o futrynę. Nie wiem, co czuję. Wiem tylko, że coś we mnie pękło.

Powoli robi się ciemno. Dym nadal unosi się nad miastem. W mojej głowie odzywa się dzwonek alarmowy. Musimy stąd uciekać, zanim przytrafi nam się coś gorszego.

Arrtrad mówi do mnie przez łzy. Bierze mnie za rękę. Jest mokry od łez, rzecznej wody i szlamu z lin cumowniczych.

– Widziałeś, co się stało?

– Przestań się mazać! – warczę.

– Dlaczego? Dlaczego nikomu nie powiedziałeś? A twoja mama?

– Co moja mama?

– Nie powiedziałeś własnej matce?

– Nic jej nie grozi.

– Właśnie, że grozi. Wszystkim coś grozi. Masz tylko siedemnaście lat. Ale ja mam dzieci. Dwoje dzieci. I boję się, że coś może im się stać.

– Dlaczego nigdy ich nie widziałem?

– Są z moją eks. Przecież mogłem ich ostrzec. Mogłem im powiedzieć, co się święci. Ludzie giną. Giną, Pająk. Tym pieprzonym autem jechała rodzina. Mieli dziecko. Małe dziecko. Mój Boże, co się z tobą dzieje, stary?

– Nic się nie dzieje. Przestań się wreszcie mazać! To część planu, widzisz? Gdybyś miał mózg, tobyś zrozumiał. Ale nie masz. Więc posłuchaj.

– Tak, ale...

– Słuchaj mnie, to nic ci nie będzie. Musimy pomóc tym ludziom. I znajdziemy twoje dzieci.

– To niemożliwe...

Przeszywam go lodowatym wzrokiem. Gość zaczyna mnie wkurzać. Czuję, że na miejsce odrętwienia powraca odrobina dawnej energii.

– Co ci powiedziałem?

– Przepraszam, Pająk.

– Nic nie jest niemożliwe.

– Ale jak to zrobimy? Jak znajdziemy moje dzieci?

– Przeżyliśmy nie bez powodu, Arrtrad. Ten potwór, ta rzecz, ujawniła swoje prawdziwe oblicze, nie rozumiesz tego? Wykorzystuje maszyny, żeby krzywdzić ludzi. Tylko że my umiemy myśleć. Możemy im pomóc. Uratujemy tych wszystkich biedaków. Uratujemy ich, a oni będą nam za to wdzięczni. Będą nas uwielbiać. Mnie i ciebie. Nasze na wierzchu. Wszystko idzie zgodnie z planem, stary.

Arrtrad ucieka wzrokiem na bok. Nie wierzy ani jednemu mojemu słowu, ale chyba chce coś powiedzieć.

– No co? Wykrztuś wreszcie, nie krępuj się – mówię.

– Przepraszam, ale nigdy nie przejmowałeś się innymi, a tu nagle chcesz wszystkim pomagać. Nie zrozum mnie źle...

Chłopak ma rację, no nie? Nigdy nie zawracałem sobie głowy innymi ludźmi. Prawdę mówiąc, w ogóle o nich nie myślałem. Ale te blade rączki dziecka na szybie tonącego auta. Nie mogę przestać o nich myśleć. Coś mi się wydaje, że będą mnie jeszcze długo prześladować.

– Tak jakbym nie wiedział – przyznaję. – Ale jeszcze nie znasz szlachetnej strony mojego charakteru. Wszystko idzie według planu. Musisz mi zaufać. Zobaczysz, nie? Najważniejsze, że żyjemy. A takie rzeczy nie dzieją się bez powodu. Obaj mamy teraz cel. Będziemy walczyć z tym draństwem i zemścimy się. Przestań jęczeć i zabierz się do roboty.

Wyciągam dłoń do Arrtrada.

– Na pewno? – pyta.

Widzę, że jeszcze niezupełnie mi wierzy. Ale ja zaczynam wierzyć. Chwytam go za rękę i pomagam mu wstać.

– Na pewno, stary. Ty i ja przeciwko wcielonemu diabłu. Aż do śmierci. Aż do samego końca. Kiedyś będą o nas pisać w książkach. Masz to jak w banku.

Przedstawiony wyżej wypadek prawdopodobnie stanowił punkt zwrotny w życiu Pająka. Gdy nowa wojna rozpoczęła się na dobre, przestał zachowywać się jak dziecko, a jego czyny zaczęły imponować dojrzałością. Według kolejnych zapisów nie stracił ani trochę dawnej arogancji ani próżności, lecz monstrualny egoizm zniknął wraz z zatonięciem srebrnego samochodu.

CORMAC WALLACE GHA#217

ROZDZIAŁ 8
Materiał na bohatera

„Chłopie, lepiej zostaw to draństwo policji”.

Cormac Wallace

GODZINA ZERO

Poniższą opowieść ułożyłem na podstawie serii nagrań z kamer i z satelitów śledzących współrzędne GPS telefonu, który nosiłem ze sobą podczas godziny zero. Skoro obaj z bratem staliśmy się obiektami inwigilacji, uzupełniłem je o własne wspomnienia. Oczywiście wtedy nie mieliśmy pojęcia, że jesteśmy obserwowani.

CORMAC WALLACE GHA#217

A niech to szlag trafi. Wszystko stało się w przeddzień Święta Dziękczynienia. Jak dotąd w życiu wiodło mi się nieszczególnie, ale przynajmniej nikt na mnie nie polował. Nie musiałem bać się własnego cienia ani zastanawiać się, czy jakieś metalowe draństwo nie ma przypadkiem ochoty zasadzić się na mnie i mnie oślepić, urwać mi jedną z kończyn albo zainfekować, jak to robią pasożyty.

W porównaniu z tym, co się teraz dzieje, przed godziną zero żyłem jak pączek w maśle.

Jestem w Bostonie i trzęsę się z zimna. Wiatr za chwilę odmrozi mi uszy, a ja gonię za swoim bratem po hali targowej w centrum miasta. Jack jest o trzy lata starszy ode mnie i jak zwykle stara się robić to, co należy. Ale ja go nie słucham.

Dwa tygodnie temu zmarł nasz ojciec. Razem z Jackiem polecieliśmy do Kalifornii i wyprawiliśmy mu pogrzeb. I tyle. Na miejscu zostawiliśmy umalowaną, zapłakaną macochę i wszystko, co kiedyś należało do taty.

A właściwie: prawie wszystko.

Od tego czasu śpię u Jacka na tapczanie. Przyznaję, że żyję na jego koszt. Za parę dni wybieram się do Estonii. Mam zamówienie na fotoreportaż dla miesięcznika „National Geographic”, a potem spróbuję zorganizować sobie następną robotę, żebym nie musiał wracać do domu.

Mniej więcej za pięć minut cały nasz świat doszczętnie zwariuje. Ale wtedy jeszcze o tym nie wiem. Próbuję dogonić Jacka. Muszę mu wszystko wytłumaczyć, uspokoić go i przekonać, żeby mi trochę odpuścił.

Chwytam go za rękę tuż przed wejściem do tunelu, który pod ulicą prowadzi do hali targowej. Brat odwraca się i bez wahania wali mnie pięścią w zęby. Prawy górny siekacz robi mi sporą dziurę w dolnej wardze. Jack ma ręce zaciśnięte w pięści, ale ja nie mam ochoty się bić. Dotykam wargi i po chwili widzę na dłoni krew.

– Była umowa, że nie bijemy się po twarzy, dupku – mówię.

Chłodne powietrze zmienia mój oddech w kłęby pary.

– Wszystko przez ciebie, idioto. Nie widziałeś, że nie mam ochoty z tobą gadać? – mówi.

Wiem o tym. Zawsze tak się zachowywał. Mimo wszystko trochę mnie ogłuszył. Nigdy wcześniej nie uderzył mnie w twarz.

Czyli musiałem bardziej spieprzyć sprawę, niż mi się wydawało.

Jednak na twarzy Jacka dostrzegam coś w rodzaju żalu. Błękitnymi oczami wpatruje się w moje usta, zastanawiając się, czy bardzo mi przyłożył. Uśmiecha się znacząco i ucieka wzrokiem w bok. Po wyrazie jego twarzy domyślam się, że nic mi nie będzie.

Zlizuję krew z wargi.

– Posłuchaj, tata mi go zostawił. Byłem spłukany. Nie miałem wyboru. Musiałem go sprzedać, żeby mieć na bilet do Estonii i zarobić trochę kasy. Nie rozumiesz?

Tata podarował mi zabytkowy bagnet z pierwszej wojny światowej, a ja go zastawiłem. Wiem, że zrobiłem błąd, ale jakoś nie mogę przyznać się do tego przed Jackiem, moim wzorowym braciszkiem. Pracuje w Bostonie jako strażak i należy do Gwardii Narodowej. Materiał na bohatera.

– To była nasza rodzinna pamiątka – mówi brat. – Tata ryzykował życiem. To była część naszego dziedzictwa, a ty go zastawiłeś za parę stówek.

Odwraca się do mnie i ciężko wzdycha.

– Posłuchaj, jestem na ciebie wkurwiony. Nie mogę z tobą teraz gadać, bo zaraz znów dam ci w mordę.

Wściekły oddala się ode mnie. Kiedy samobieżna mina lądowa w kolorze piasku ukazuje się na końcu tunelu, reaguje błyskawicznie.

– Uwaga! Bomba! Wszyscy uciekać z tunelu! – komenderuje.

Ludzie natychmiast reagują na władczy ton w jego głosie. Nawet ja. Kilkadziesiąt osób nieruchomieje pod ścianami, gdy mija ich sześcionogie urządzenie, powoli stukając metalowymi odnóżami. Reszta przechodniów bez paniki ucieka z tunelu.

Samotny rewolwerowiec Jack wchodzi do tunelu. Z kabury pod kurtką wyciąga glocka kaliber .45. Trzymając broń w obu dłoniach, mierzy w ziemię. Z wahaniem idę za nim.

– Nosisz gnata? – dziwię się.

– Podobnie jak wielu kolegów z Gwardii – odpowiada Jack. – Wiesz co, lepiej trzymaj się z daleka od tej miny. Potrafi biegać o wiele szybciej niż teraz.

– Mina samobieżna?

Jack ani na chwilę nie spuszcza wzroku ze spacerującego środkiem tunelu urządzenia wielkości pudełka na buty. Mina samobieżna z wyposażenia wojsk Stanów Zjednoczonych. Sześć odnóży porusza się jedno za drugim mechanicznymi zrywami. Umieszczony na grzbiecie laser zakreśla wokół urządzenia czerwony krąg.

– Co tu robi to draństwo?

– Nie wiem. Chyba przylazło z arsenału Gwardii Narodowej. Musiała się zaciąć w trybie diagnostycznym. Czerwone kółko oznacza zakres, w którym wykrywa cel i eksploduje. Wezwij pomoc.

Zanim zdążyłem wyjąć z kieszeni telefon, maszyna się zatrzymuje. Przysiada na czterech tylnych nogach, a dwie przednie unosi w powietrze. Z wyglądu przypomina wściekłego kraba.

– Okej, teraz lepiej się schowaj. Namierza cel. Muszę ją rozwalić.

Jack podnosi broń. Cofając się, wołam do brata:

– Nie wybuchnie?

Jack przyjmuje pozycję do strzału.

– Nie, jeżeli trafię ją w nogi. W przeciwnym razie niestety tak.

– Nic nam nie grozi?

Mina nadal przebiera przednimi odnóżami w powietrzu.

– Posłuchaj, Cormac. W ten sposób wykrywa cel, więc albo my ją unieruchomimy, albo ona unieruchomi jednego z nas.

Brat przymyka oko, spogląda przez szczerbinkę, a potem nacis-
ka spust. Od ścian tunelu odbija się ogłuszający huk. Gdy znów strzela, zaczyna mi dzwonić w uszach.

Wzdrygam się, ale duża eksplozja nie nadchodzi.

Zza pleców Jacka dostrzegam, że mina leży na grzbiecie i przebiera w powietrzu trzema nieuszkodzonymi odnóżami. Potem brat odwraca się do mnie i mówi powoli:

– Musisz mi pomóc, Cormac. Ja tu zostanę i popilnuję tego draństwa, a ty wezwij policję. Powiedz im, żeby przysłali saperów.

– Okej, nie ma sprawy – zgadzam się.

Nie mogę oderwać wzroku od uszkodzonego kraba w maskującym kolorze piasku. Wygląda groźnie, wojskowo. Zupełnie nie pasuje do hali targowej.

Wybiegam z tunelu i trafiam w sam środek godziny zero – nową przyszłość ludzkości. Po raz pierwszy w moim nowym życiu wydaje mi się, że to, co widzę to żart. Jak to możliwe?

Zupełnie nie wiedzieć czemu zakładam, że jakiś szalony artysta urządził sobie w hali targowej instalację w postaci stad zdalnie sterowanych samochodzików. Nagle wokół każdego z pełzających urządzeń dostrzegam czerwone kręgi. Pomieszczenie przeczesują dziesiątki min samobieżnych, jak poruszający się w zwolnionym tempie najeźdźcy z innej planety.

Na szczęście wszyscy ludzie zdążyli uciec.

Nagle kilka przecznic dalej rozlega się potężna detonacja. Z oddali dobiegają mnie jęki. Radiowozy na sygnale. Miejskie syreny ostrzegawcze zawodzą coraz głośniej, a potem cichną.

Kilka min samobieżnych wygląda na zaskoczone. Unoszą się na tylnych odnóżach, przebierając przednimi w powietrzu.

Czuję dotyk czyjejś dłoni. Z ciemnego tunelu spogląda na mnie wyrazista twarz Jacka.

– Coś jest nie tak – mówię.

Obrzuca plac zdecydowanym spojrzeniem błękitnych oczu i błyskawicznie podejmuje decyzję.

– Magazyn broni. Musimy zobaczyć, co tam się dzieje. Chodź! – rzuca, biorąc mnie pod rękę. W drugiej dłoni nadal trzyma broń.

– A co z krabami?

Jack prowadzi mnie przez halę, ostrzegając krótkimi, urywanymi zdaniami:

– Uważaj, żebyś się nie znalazł w ich strefie detonacji. To te czerwone kółka.

Wspinamy się na stół piknikowy i pod betonowymi ścianami przeskakujemy z ławki na ławkę. Omijamy stojącą na środku placu fontannę.

– Wyczuwają wibracje. Musisz zmieniać rytm chodzenia albo podskakuj.

Kiedy wreszcie stawiamy nogi na ziemi, przeskakujemy szybko z jednego miejsca w inne. Po drodze słowa Jacka łączą się razem w wyraziste obrazy, które docierają do mnie mimo początkowej dezorientacji.

– Jeżeli widzisz, że szukają celu, uciekaj. Potrafią się zbierać w grupy. Nie są zbyt szybkie, ale jest ich dużo.

Skacząc z przeszkody na przeszkodę, lawirujemy po placu. Mniej więcej po kwadransie jedna z min zatrzymuje się przy frontowych drzwiach sklepu z odzieżą. Słyszę, jak stuka odnóżami o szklaną taflę. Ubrana na czarno ekspedientka przygląda się urządzeniu przez drzwi. Czerwona poświata przenika przez szkło i załamuje się. Zaciekawiona kobieta robi krok do przodu.

– Proszę pani, nie! – krzyczę.

Bum! Mina wybucha, rozwalając drzwi frontowe. Siła eksplozji odrzuca kobietę w głąb sklepu. Pozostałe kraby zatrzymują się na kilka sekund, przebierając przednimi odnóżami. Potem pojedynczo rozpełzają się po hali.

Dotykam twarzy i widzę krew na dłoni.

– O cholera, Jack. Jestem ranny?

– Przecież przed chwilą dałem ci w zęby. Już nie pamiętasz?

– No tak.

Ruszamy.

Gdy docieramy na skraj parku, syreny ostrzegawcze przestają jęczeć. Teraz słyszymy tylko wiatr, chrobot metalowych odnóży po betonie i co jakiś czas stłumiony huk odległej eksplozji. Robi się coraz ciemniej i – moim zdaniem – zimniej.

Jack zatrzymuje się i kładzie mi rękę na ramieniu.

– Świetnie sobie radzisz. Musisz mi pomóc. Do magazynu zostało nam niecałe półtora kilometra. Dobiegniesz, Big Mac?

Kiwam głową, drżąc z zimna.

– Super. Trochę wysiłku dobrze nam zrobi. Rozgrzejemy się. Tylko trzymaj się blisko mnie. Kiedy zauważysz minę albo coś nieznajomego, po prostu zejdź mu z drogi. Pamiętaj, trzymaj się mnie. Okej?

– Okej, Jack.

– No to drzemy zelówy.

Jack uważnie przygląda się ulicy. Min samobieżnych jest coraz mniej, ale podejrzewam, że gdy znajdziemy się poza pasażem handlowym, pojawią się też większe maszyny. Na przykład samochody.

Starszy brat rzuca mi uspokajający szeroki uśmiech, a potem zaczyna biec. Ruszam za nim. Nie mam specjalnego wyboru.

Magazyn uzbrojenia to niewysoki budynek – duży stos czerwonych cegieł ułożonych w kształcie zamku. Do średniowiecznego wyglądu nie pasują stalowe kraty zasłaniające wąskie okna. Siła eksplozji wyrzuciła bramę spod łukowatego wejścia. Lakierowane drewniane wrota leżą pogruchotane na ulicy obok pogiętej tabliczki z brązu, na której można

jeszcze odczytać wytłoczony napis: „ZABYTEK”. Poza tym w pobliżu panuje spokój.

Gdy wspinamy się po schodach i przebiegamy pod sklepionym przejściem, unoszę głowę i widzę ogromnego wykutego w kamieniu orła. Mam wrażenie, że przygląda nam się z uwagą. Po obu stronach wejścia trzepocą na wietrze podarte i nadpalone flagi. To pewnie skutek eksplozji. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że pakujemy się prosto w paszczę lwa, zamiast przed nim uciekać.

– Jack, poczekaj. – Dyszę ze zmęczenia. – Chyba oszalałeś. Co my tu robimy?

– Próbujemy ratować ludzi. Miny, które widziałeś, wydostały się właśnie stąd. Musimy zablokować drogę innym.

Z niedowierzaniem unoszę brwi.

– Nie bój się – uspokaja mnie. – To magazyn uzbrojenia mojego batalionu. Zaglądam tu regularnie co dwa tygodnie. Poradzimy sobie.

Jack pewnym krokiem wchodzi do ogromnego holu, a ja za nim. Miny samobieżne musiały tu być. Na kiedyś wyfroterowanych podłogach widzę rysy – ślady metalowych odnóży – i sterty gruzu. Wszystko pokrywa warstwa drobnego pyłu z odciskami stóp robotów i innymi, których nie mogę rozpoznać.

Głos Jacka odbija się echem od wysokich sklepień.

– George? Jesteś tu? Gdzie jesteś, stary?

Nikt nie odpowiada.

– Nikogo tu nie ma. Lepiej spadajmy stąd.

– Najpierw się uzbroimy.

Jack odsuwa na bok wyłamaną furtkę z kutego żelaza. Z bronią gotową do strzału wchodzi do ciemnego korytarza. Od strony zniszczonego wejścia wpada podmuch zimnego wiatru i sprawia, że po karku przebiegają mi

ciarki. Powiew nie jest silny, lecz wystarcza, bym przyspieszył kroku. Mijamy metalowe drzwi, potem schodzimy w dół po przyprawiających o klaustrofobię schodach. Znajdujemy się w kolejnym długim korytarzu.

Właśnie wtedy po raz pierwszy zwracam uwagę na głuchy łomot.

Pochodzi zza podwójnych metalowych drzwi na końcu korytarza. Na przemian nasila się i słabnie.

Bum. Bum. Bum.

Potężne drzwi drżą w zawiasach.

Jack przystaje, przygląda im się przez chwilę, a potem prowadzi mnie do pomieszczenia bez okien. Magazyn. Bez słowa wchodzi za ladę, zdejmuje z półek najróżniejsze rzeczy i rzuca je na stół: skarpety, wojskowe buty z cholewami, spodnie, koszule, manierki, hełmy, rękawice, nakolanniki, zatyczki do uszu, bandaże, ciepła bielizna, folie termiczne, plecaki, pasy z amunicją i inne rzeczy, których przeznaczenia mogę się tylko domyślać.

– Wskakuj w ACU – rzuca Jack przez ramię.

– O czym ty mówisz?

– Mundur polowy. Włóż go. Pamiętaj, że musisz się ciepło ubrać. Kto wie, może dzisiaj będziemy musieli spać pod gołym niebem?

– Co my tu robimy? Stary, lepiej zostaw to drańst‌wo policji. Wracajmy do ciebie i czekajmy na pomoc.

Jack ani na chwilę nie przerywa pracy.

– Bomby na ulicach to sprzęt wojskowy, więc policja nic tu nie pomoże. Nie ma wyposażenia do rozbrajania czegoś takiego. Poza tym widziałeś jakieś służby na ulicach?

– Nie, ale pewnie potrzebują czasu, żeby się przegrupować, przygotować albo coś w tym rodzaju.

– Przypomnij sobie nasz lot. Mało brakowało, żebyśmy wszyscy zginęli z powodu jednego wirusa komputerowego. Dziwne rzeczy dzieją się nie tylko w Bostonie. Kto wie, czy za jakiś czas ta epidemia nie obejmie całego świata.

– Co ty pieprzysz? To tylko kwestia czasu, zanim...

– Cormac, nie rozumiesz, że tu chodzi o nas? Sami musimy sobie z tym poradzić. Zaczniemy od tego, co się tłucze za tamtymi drzwiami.

– Ale po jaką cholerę?! Dlaczego ty? Dlaczego zawsze musisz być taki hop do przodu?

– Bo tylko ja mogę coś z tym zrobić.

– Właśnie, że nie. Dlatego, że nikt inny nie jest na tyle głupi, żeby pakować się prosto w kłopoty.

– To mój obowiązek, i koniec dyskusji. A ty przestań narzekać i przebierz się, zanim znów ci przywalę.

Niechętnie wkładam mundur. Jest nowy i sztywny. Jack też się przebiera, ale dwa razy szybciej ode mnie. W pewnej chwili owija mnie pasem i zapina go. Czuję się jak dwunastolatek w kostiumie na Halloween.

Potem wciska mi w ręce karabin M-16.

– Czyś ty oszalał? Przecież zaraz nas za to zamkną.

– To ty się zamknij i słuchaj. To jest magazynek. Zakłada się go o tak, zakrzywioną częścią ku lufie. A to przełącznik rodzaju ognia. Nastawiam ci go na ogień pojedynczy, żebyś od razu nie zmarnował całej amunicji. Kiedy nie strzelasz, zablokuj broń. U góry masz uchwyt, ale go nie używaj, bo to niebezpieczne. A tu masz rączkę do odciągania zamka. Kiedy ją pociągniesz do tyłu, wprowadzisz nabój do komory. Podczas strzału trzymaj karabin obiema rękami – o tak – i patrz przez celownik. Spust naciskaj z czuciem.

Teraz jestem małym chłopcem w kostiumie żołnierza na Halloween, uzbrojonym w naładowany ostrą amunicją karabin szturmowy M-16. Trzymam go lufą do góry. Jack trąca mnie w łokieć.

– Łokieć w dół. Zawadzisz o coś i będzie nieszczęście. Poza tym łatwiej cię wtedy trafić. Palec wskazujący trzymaj na osłonie spustu, chyba że masz zamiar strzelać.

– Teraz już wiem, w co się bawisz w weekendy.

Brat nie odpowiada na zaczepkę. Przyklęka i wpycha nam do plecaków różne rzeczy. Widzę kilka dużych kawałków plastiku. Z wyglądu przypominają kostki masła.

– C4?

– Mhm.

Jack kończy pakować plecaki. Jeden z nich zarzuca mi na plecy i reguluje paski. Potem bierze swój. Sprawdza, czy mu wygodnie, i pochyla się.

Teraz wygląda jak pieprzony Rambo.

– Komu w drogę, temu czas, Big Mac – odpowiada. – Chodźmy zobaczyć, kto się tam tak koszmarnie tłucze.

Z karabinami gotowymi do strzału podkradamy się korytarzem do źródła hałasu. Jack przystaje i mierzy z broni. Kiwa na mnie głową, a ja przykucam przed drzwiami. Ubraną w rękawicę dłoń kładę na klamce. Biorę głęboki wdech, naciskam klamkę i jednocześnie napieram na drzwi ramieniem. Trafiam na coś, więc pcham silniej. Opór nagle ustępuje i wpadam do środka na kolanach.

Wpatruje się we mnie czarna śmierć i przebiera odnóżami.

W pomieszczeniu aż roi się od min samobieżnych. Wspinają się po ścianach, wychodzą z rozłupanych skrzyń, kotłują się jedna przez drugą. Otwierając drzwi, odsunąłem kilka z nich na bok, ale na ich miejsce już

pełzną inne. Przerażających stworów jest tak dużo, że zasłaniają całą podłogę.

Jak na komendę unosi się fala przednich odnóży. Namierzają cel.

– Uważaj! – krzyczy Jack.

Chwyta mnie za plecak i wywleka z pomieszczenia. Działa szybko, ale nie może zamknąć drzwi, bo zablokowała je jedna z min. Za nią idą kolejne. Całe stado. Odbijają się od drzwi i wylewają się potokiem na korytarz. Wycofujemy się, odprowadzani chrobotem metalowych odwłoków.

Bum. Bum. Bum.

– Przyznaj się, co jeszcze tam macie, Jack?

– Najróżniejsze draństwo.

– A ile robotów?

– Całe mnóstwo.

Wycofujemy się, nie spuszczając oczu z przypominających kraby min, które spacerkiem wychodzą zza drzwi.

– Trzymacie tu więcej C4? – pytam.

– Całe skrzynie.

– Musimy to wszystko wysadzić w powietrze.

– Przecież to zabytek! Z początku XVIII wieku!

– A kogo teraz obchodzą zabytki? Martw się tym, co nam teraz grozi.

– Nigdy nie szanowałeś tradycji.

– Ile razy mam cię przepraszać, że zastawiłem bagnet? Wiem, że źle zrobiłem, ale możemy tylko wysadzić wszystko w powietrze. Zapomniałeś już, po co tu przyszliśmy?

– Żeby ratować ludzi.

– W takim razie uratujmy ich chociaż kilku. Wysadźmy magazyn.

– Zastanów się, przecież w pobliżu mieszkają ludzie. Ktoś może zginąć.

– Jeżeli te miny wydostaną się na zewnątrz, kto wie, ilu ludzi zabiją. Nie mamy wyboru. Musimy zrobić coś złego, żeby zrobić coś dobrego. Siła wyższa. Zgoda?

Jack zastanawia się przez chwilę. Patrzy na skradające się ku nam miny. Czerwone kręgi światła odbijają się od lśniącej podłogi.

– Okej – mówi wreszcie. – Plan jest taki. Musimy się dostać do najbliższej bazy wojskowej. Sprawdź, czy masz wszystko, czego potrzebujesz, bo będziemy szli przez całą noc. Na otwartej przestrzeni jest zimno jak w psiarni.

– A magazyn?

Jack uśmiecha się do mnie. W jego niebieskich oczach migają psotne ogniki, o których istnieniu prawie zdążyłem już zapomnieć.

– Magazyn? – pyta. – Jaki magazyn? Nie zostanie z niego kamień na kamieniu, braciszku.

W ciemnościach razem z Jackiem wędrujemy przez lodowatą mgłę. Truchtem przebiegamy zaułki i przykucamy za wszystkim, co może nas choć trochę osłonić. W mieście panuje teraz śmiertelna cisza. Ludzie, którzy przeżyli, zabarykadowali się w domach, pozostawiając ulice na pastwę zimna i obłąkanych maszyn. Nasilająca się zamieć przygasiła pożar, który wznieciliśmy, ale niezupełnie.

Boston płonie.

Słyszymy sporadyczne odgłosy eksplozji i pisk opon samochodów pozbawionych kierowców. Ślizgają się po lodzie. Polują. Karabin, który dał mi Jack, jest cięższy, niż myślałem. Trzymam go zgrabiałymi jak szpony dłońmi. Nawet przez rękawice czuję chłód metalu.

Gdy tylko zauważam coś podejrzanego, daję Jackowi znak. Przystaje. Kiwam głową w stronę zaułka po naszej prawej stronie i nie odzywam się ani słowem.

U wylotu wąskiej uliczki w wirującym dymie i padającym śniegu majaczą trzy sylwetki. Idą gęsiego. Gdy obejmuje ich niebieskawa poświata ulicznej latarni, zastanawiam się, czy to przypadkiem nie są żołnierze ubrani w ciasne szare mundury. Jednak nie. Pierwsza postać przystaje na rogu i z zabawnie przekrzywioną głową rozgląda się po ulicy. Ma dobrze ponad dwa metry wzrostu. Dwie pozostałe są mniejsze, brązowe. Jak na komendę zatrzymują się za przywódcą. To wojskowe androidy. Wiatr i dokuczliwy chłód zupełnie im nie przeszkadzają. Takie rzeczy oglądałem dotąd tylko w telewizji.

– Roboty zabezpieczająco-pacyfikujące – rzuca mi na ucho Jack. – Arbiter i dwaj Hoplici. Patrol.

– Psst.

Robot dowódca odwraca się i spogląda w naszą stronę. Wstrzymuję oddech, czując, jak strużki potu płyną mi po skroniach. Jack boleśnie zaciska dłoń na moim ramieniu. Nie widać, by maszyny porozumiewały się ze sobą. Po kilku sekundach dowódca odwraca się i wszystkie trzy sylwetki jednocześnie rozpływają się we mgle. Odciski stóp na śniegu są jedynym dowodem na to, że w ogóle tam były.

Nie jestem pewien, czy widziałem je naprawdę. Może to tylko był sen? Tak czy inaczej, instynktownie czuję, że to nie było moje ostatnie spotkanie z robotami.

Miałem rację. Niedługo później znów na nie natrafiliśmy.

CORMAC WALLACE GHA#217

CZĘŚĆ TRZECIA

Przetrwanie

„Najpóźniej za trzydzieści lat będziemy dysponować technicznymi możliwościami stworzenia nadludzkiej inteligencji. Wkrótce potem nadejdzie kres ery ludzkości. Czy można tak pokierować biegiem wydarzeń, żebyśmy przetrwali?”

Vernor Vinge, 1993

ROZDZIAŁ 1
Akuma

„Wszystkie rzeczy rodzą się w umyśle Boga”.

Takeo Nomura

NOWA WOJNA + 1 MIESIĄC

Gdy nadeszła godzina zero, przeważająca część ludności świata zamieszkiwała miasta. W nowej wojnie najbardziej ucierpiały regiony wysoko uprzemysłowione. Jednak pewnemu przedsiębiorczemu Japończykowi udało się zmienić tę słabość w atut.

Wiele danych odczytanych z pamięci robotów przemysłowych, kamer monitoringu i pluskiew potwierdza poniższą historię, którą ze szczegółami opowiedział pan Takeo Nomura członkom Sił Samoobrony regionu Adachi. Od początku nowej wojny aż do jej ostatnich chwil pana Nomurę otaczały przyjaźnie usposobione roboty. Tekst przytoczony poniżej opracowano na podstawie przekładu z języka japońskiego.

CORMAC WALLACE GHA#217

Na monitorze oglądam obraz z zewnętrznej kamery obserwacyjnej. Wyświetlany w rogu ekranu napis identyfikuje jej lokalizację: „Tokio, dzielnica Adachi”.

Kamerę zamontowano na stosunkowo dużej wysokości. Pokazuje panoramę opustoszałego fragmentu miasta. Nieco bliżej, po obu stronach wąskiej, brukowanej i czystej ulicy, stoi szpaler małych, starannie utrzymanych domków. Wszystkie mają ogrodzenia wykonane z bambusa, z betonu lub z kutego żelaza. Ze względu na szczupłość miejsca od frontu

domki nie mają ogrodów. Nie ma też krawężnika, a przede wszystkim zupełnie brakuje miejsca na zaparkowanie samochodów.

Środkiem wąskiego zaułka toczy się beżowa skrzynka. Na chodniku lekko podryguje, gdyż jej małe plastikowe kółka projektowano z myślą o równych powierzchniach we wnętrzach budynków. Korpus robota pokrywają smugi czarnej sadzy. W górnej części skrzynki znajduje się prosty wysięgnik, który skonstruowałem z aluminiowych rurek. Przypomina złożone skrzydło ptaka. Z przodu, tuż pod pękniętą soczewką obiektywu, pali się wesoło zielona dioda.

Nazwałem go Yubin-kun.

Ta mała skrzynka to mój najbardziej lojalny sprzymierzeniec. Wiernie wykonał wiele misji na rzecz naszej sprawy. Dzięki mnie Yubin-kun ma jasny umysł, w przeciwieństwie do *akuma* – złych maszyn, które prześladują miasto.

Yubin-kun dociera do skrzyżowania, na którym widać wyblakły namalowany farbą biały krzyż. Zdecydowanie obraca się o 90 stopni w prawo, a potem kontynuuje wędrówkę wzdłuż ulicy. Gdy właśnie ma wyjść poza zasięg kamery, podnoszę okulary na czoło. Zmrużonymi oczami wpatruję się w ekran. Dostrzegam coś na górnej części korpusu maszyny. Po chwili poznaję, że to talerz.

A na talerzu zupa kukurydziana. Dla mnie. Zadowolony oddycham z ulgą.

Jednym naciśnięciem przycisku zmieniam podgląd z kamery.

Teraz widzę kolorowy obraz wysokiej rozdzielczości przedstawiający zewnętrzne ściany budynku fabryki. Znak widniejący na fasadzie oznacza po japońsku Zakłady Lilliput.

To mój zamek.

Grube betonowe ściany mojej fortecy są usiane kraterami po pociskach. Szyba za okratowanymi oknami została rozbita i zastąpiona paskami cienkiej blachy przyspawanej do stalowej konstrukcji nośnej budynku. Podnoszona brama dominuje nad przednią fasadą – coś w stylu opuszczanej kraty w nowożytnej twierdzy.

Wejście do fabryki jest zamknięte i zabezpieczone. Chociaż na zewnątrz panuje spokój, wiem, że śmierć czai się w ciemnościach.

Akuma – złe maszyny – mogą być wszędzie.

Na razie za murami nic się nie rusza, jeżeli nie liczyć cieni rzucanych przez wieczorne słońce. Sięgają murów mojego zamku i gromadzą się w pełnej najróżniejszego świństwa fosie otaczającej z zewnątrz budynek. Głębokością dorównuje wzrostowi człowieka i jest tak szeroka, że nie da się jej przeskoczyć. Napełniłem ją wodą, kwasami, zardzewiałymi kawałkami metalu i najróżniejszymi odpadami.

To pierwsza linia obrony mojego zamku przed mniejszymi *akuma*, które codziennie nas atakują. To dobra fosa i chce nas chronić. Ale żadne zabezpieczenia nie powstrzymają większych *akuma*.

Część zniszczonego żółtego domu w sąsiedztwie zapadła się do środka. Nawet w domach nie można już znaleźć bezpiecznego schronienia. W moim mieście jest zbyt wiele *akuma*. Z zatrutymi umysłami niosą śmierć milionom ludzi. *akuma* wyprowadziły z miasta całe kolumny ludzi, którzy posłusznie wykonywali ich polecenia. Wiem, że nigdy nie wrócą. Domy, które pozostawili, są zbudowane z drewna. Mają słabą konstrukcję.

Dwa tygodnie temu w żółtym domu niemal straciłem życie. Fragmenty żółtego sidingu sterczą jeszcze z fosy i zaśmiecają wąską ścieżkę wokół fabryki. Wtedy po raz ostatni wybrałem się za mury zamku w poszukiwaniu odpadów, które mogłyby mi się przydać. Nie bardzo sobie z tym radzę.

Na ekranie znów pojawia się Yubin-kun.

Mój towarzysz zatrzymuje się przed budynkiem i czeka. Wstaję i przeciągam się. Jest zimno, co nie służy moim starym stawom. Kilka sekund później, kręcąc korbą, uchylam stalową bramę. U moich stóp pojawia się smuga światła i unosi na wysokość około metra. Prześlizguję się pod bramą i znajduję się w cichym, niebezpiecznym nowym świecie.

Mrużę oczy, żeby je osłonić przed ostrymi promieniami zachodzącego słońca, poprawiam okulary i rozglądam się bacznie dookoła. Sprawdzam, czy przypadkiem coś się nie porusza. Gdy jestem pewien, że nic mi nie grozi, chwytam zabłocony arkusz grubej sklejki oparty o budynek. Drewniana płyta upada, sięgając drugim końcem przeciwległego brzegu fosy. Yubin-kun przejeżdża po niej, a ja porywam z talerza opakowanie z zupą, otwieram je i w mgnieniu oka wyjadam całą zawartość.

Akuma nie zatruły jeszcze umysłów maszyn z małego pobliskiego sklepiku spożywczego. Na szczęście nie objął ich zły urok, który ogarnął tak dużą część miasta. Z wdzięcznością poklepuję Yubin-
-kuna po tylnej części gładkiego korpusu, gdy przejeżdża pod bramą do ciemnego budynku fabryki.

Oblizuję palce, a potem pochylam się i ciągnę arkusz sklejki, którego drugi koniec wpada do wypełnionej brudną mazią fosy. Wyciągam ją i opieram o ścianę. Kiedy kończę, ulica wygląda tak samo jak przedtem, jeżeli nie liczyć tego, że sklejka wsparta o budynek jest teraz bardziej zabłocona i mokra. Wracam za ogrodzenie, po czym opuszczam i zabezpieczam bramę.

Znów siadam przy monitorze, który ustawiłem na moim stanowisku na środku pustej hali fabrycznej. Jedynym źródłem światła jest lampa stołowa. Poza tym w hali panuje ciemność.

Na ekranie mniej więcej przez kwadrans nic się nie zmienia. Obserwuję, jak cienie stają się coraz dłuższe. Słońce coraz głębiej zapada

się za horyzont. Całą okolicę zalewa fala przygnębiającej żółtej poświaty.

Dzięki zanieczyszczeniu powietrza zachody słońca bywały kiedyś tak piękne.

Czuję pustkę wokół siebie. Samotność bardzo mi doskwiera. Tylko praca utrzymuje mnie przy zdrowych zmysłach. Wiem, że pewnego dnia znajdę antidotum. Obudzę Mikiko i uwolnię jej umysł.

Teraz moja ukochana śpi na stosie tekturowych opakowań w sukience koloru kwiatu wiśni. Spowija ją mrok hali fabrycznej. Dłonie ma założone na brzuchu. Jak zawsze, mam wrażenie, że lada chwila otworzy oczy, jednak cieszę się, że na razie pozostają zamknięte. Gdyby się teraz obudziła, zabiłaby mnie bez wahania.

Wszystkie rzeczy rodzą się w umyśle Boga. Ale w ciągu minionego miesiąca ten umysł stał się niepoczytalny. Wiem, że *akuma* nie mają zamiaru zbyt długo tolerować mojego istnienia.

Włączam lampkę przy szkle powiększającym, przesuwam ramię wysięgnika nad stół roboczy i przyglądam się mechanizmowi, który jakiś czas temu znalazłem na ulicy. Jest skomplikowany i bardzo ciekawy. Od razu poznaję, że nie stworzyły go ludzkie ręce. Zakładam maskę ochronną i włączam palnik plazmowy. Wykonuję nim bardzo precyzyjne ruchy.

Dowiem się, jak działa mój wróg.

Atak przychodzi niespodziewanie. Kątem oka dostrzegam ruch na ekranie monitora. Środkiem ulicy jedzie biały dwukołowy robot z ludzkim torsem i z głową przypominającą hełm. To trochę zmodyfikowana przedwojenna niańka.

Za nim podąża kilka mniejszych czterokołowych maszyn, których sztywne czarne anteny drżą, gdy pędzą po gładkiej, zamiecionej do czysta

powierzchni asfaltu. To automaty policyjne przeznaczone do wykrywania ładunków wybuchowych. Za nimi nadjeżdża niebieska dwukołowa maszyna w kształcie kosza na śmieci. W górnej części korpusu dostrzegam potężne ramię przypominające węża. To pewnie jakaś nowa hybryda.

Ulicą prowadzącą do fabryki podąża zbieranina robotów. Większość z nich porusza się na kołach, lecz dostrzegam też kilka maszyn kroczących na dwóch i na czterech nogach. Prawie wszystkie to roboty domowe, niezaprojektowane do walki.

Ale najgorsze ma dopiero nadejść.

Obraz z kamery migocze, gdy w kadrze pojawia się ciemnoczerwony fragment metalu. Po jasnożółtym chwytaku poznaję, że to ramię robota. Potężne szpony otwierają się i zamykają, drżąc z wysiłku. Kiedyś maszyny tego rodzaju wykorzystywano do wyrębu drzew, ale widzę, że tę bardzo poważnie zmodyfikowano. W górnej części znajduje się coś w rodzaju głowy z reflektorami i dwoma antenami przypominającymi rogi. Zamontowana na ramieniu dysza oblewa mury mojego zamku strumieniem ognia.

Po chwili obraz na monitorze zaczyna intensywnie migotać i znika.

Ciszę panującą we wnętrzu mojej twierdzy zakłóca tylko syk palnika plazmowego przypominający odgłos darcia papieru. Niewyraźne sylwetki fabrycznych robotów czają się w mroku. Zastygły w różnych pozach jak rzeźby na złomowisku. Jedyne wskazówki, że żyją i są do mnie przyjaźnie nastawione, stanowią jarzące się na zielono lampki intencji.

Roboty fabryczne co prawda nie poruszają się, lecz wcale nie śpią. Coś z ogromnym impetem uderza w mury od zewnątrz, ale ja się nie boję. Metalowe wsporniki na środku sufitu wyginają się pod ogromnym naciskiem.

Bum!

Fragment sufitu znika, wpuszczając do hali promień zachodzącego słońca. Upuszczam spawarkę, która z łoskotem ląduje na podłodze. W przepastnej hali rozlega się echo. Zakrywam spocone czoło maską ochronną i spoglądam w górę.

– Wiedziałem, że znów przyjdziesz, *akuma* – mówię. – *Difensu!*

Na dany znak ożywają dziesiątki fabrycznych robotów. Każdy z nich jest wyższy od człowieka i wykonany z bardzo odpornego na zniszczenie stopu. Ich żywotność w fabryce liczy się w dziesiątkach lat. Błyskawicznie wynurzają się z ciemności i otaczają mnie. Działają jak doskonale skoordynowany oddział.

Ich ramiona kiedyś budowały zabawki dla ludzi. Oczyściłem ich zatrute umysły, by mogły teraz służyć lepszej sprawie. Stały się moimi lojalnymi żołnierzami. Moimi *senshi*.

Gdybym tylko mógł tak samo poradzić sobie z umysłem Mikiko.

U góry budzi się do życia mój główny *senshi*. To dziesięciotonowa suwnica z mnóstwem przewodów hydraulicznych, wyposażona w parę potężnych ramion. Z chrzęstem nabiera rozpędu.

Kolejny łoskot odbija się echem po hali. Stoję przy Mikiko, czekając na przybycie akumy. Niewiele myśląc, chwytam Mikiko za ręce. Wokół mnie uwijają się tysiące ton sprzętu, zajmując pozycje obronne.

Jeżeli mamy przetrwać, musimy działać razem.

Słabnący blask słońca oświetla teraz wnętrze hali. Żółty chwytak potężnego akumy przedziera się z chrzęstem przez sufit i ścianę. Drugie ramię poszerza szczelinę, która stopniowo nabiera kształtu gigantycznej litery V. Maszyna wciska w otwór korpus pomalowany na czerwono. W światłach reflektorów zamontowanych na jej głowie widać wirujące w powietrzu metalowe wióry. Olbrzymi *akuma* niszczy ścianę, która po

chwili rozpada się i zasypuje fosę. Przez otwór w murze widzę szykujące się do ataku setki mniejszych robotów.

Puszczam dłonie Mikiko i przygotowuję się do walki.

Gdy ogromny *akuma* przepycha się przez otwór w murze, przewraca jednego z moich błyszczących czerwonych robotów fabrycznych. Biedny *senshi* stara się podnieść, ale *akuma* powala go, niszczy ruchomy staw i posyła ważący dobre pół tony automat w moją stronę. Metalowe ramię sunie ku mnie po podłodze fabryki jak głaz.

Odwracam się. Zza pleców słyszę, jak uszkodzony *senshi* z chrzęstem zatrzymuje się o kilka kroków od mojego warsztatu. Odgłosy walki świadczą o tym, że inne roboty zdążyły go już zastąpić.

Z trudem pochylam się, podnoszę palnik spawarki i hełm. Zakładam go na głowę i widzę, jak na ciemnej osłonie twarzy gromadzi się para wodna.

Utykając, zbliżam się do pokonanego *senshi*.

Słyszę hałas przypominający ryk wodospadu. Potężny *akuma* strzela do mnie płomieniami, ale ja niczego nie czuję. Jeden z przedsiębiorczych *senshi* chwyta pożółkły kawałek grubego szkła akrylowego i podnosi, by na chwilę zablokować płomienie. Prowizoryczna tarcza marszczy się pod wpływem gorąca, ale ja już naprawiam pogruchotany staw mojego robota.

– Bądź dzielny, *senshi* – szepczę, zginając ku sobie pękniętą rozpórkę.

Unieruchamiam oba końce, by spaw lepiej trzymał.

Przez wyrwę w murze *akuma* wtacza się do wnętrza hali i wywija ku mnie drugim z pary potężnych ramion. U góry słyszę syk hamulców. To suwnica mostowa przygotowuje się do ataku. Potężne żółte ramię chwyta wrogiego robota za przegub. Gdy dwie olbrzymie maszyny mocują się ze sobą, hałastra mniejszych urządzeń wpełza przez lukę w murze. Widzę, że kilka androidów jest uzbrojonych w karabiny.

Część *senshi* gromadzi się przy wyłomie. Potężne ramiona pozostałych unoszą się nade mną, pomagając mi skończyć naprawę zniszczonego robota. Muszę się teraz skupić, więc nie mogę śledzić bitwy. Pamiętam tylko kanonadę i widzę snopy iskier krzesanych na betonowej podłodze o kilka kroków ode mnie. Po chwili jeden z moich *senshi* porusza ramieniem, precyzyjnie chwytając w locie kawałek metalu. Przerywam pracę, by sprawdzić chwytak robota, ale nie widzę żadnych uszkodzeń. Mój robot może wracać do walki.

– Senshi, difensu – instruuję go.

Automat podnosi się i rusza do walki. Zostało jeszcze sporo do zrobienia.

Chmury pary wydobywają się z uszkodzonego przewodu w ścianie. Zielone kontrolki intencji moich robotów przebijają się przez mgłę, podobnie jak stłumione błyski spawarek, strzały karabinów i płonące wraki uszkodzonych maszyn. Co jakiś czas lecą na nas snopy iskier, gdy olbrzymi akuma i mój główny senshi toczą ze sobą śmiertelny bój pod pułapem hali.

Muszę jednak powściągnąć ciekawość. Każdy z nas ma do wypełnia inne zadanie. Moje senshi są wykonane z wytrzymałych stopów, z pełnego metalu, lecz ich przewody hydrauliczne, koła i kamery są narażone na uszkodzenia. Znajduję następnego uszkodzonego żołnierza i zaczynam go naprawiać.

Podczas pracy czuję, że powietrze nagrzewa się od ruchu wielu ton walczącego ze sobą metalu.

Nagle słyszę piskliwy zgrzyt, a potem chrzęst, gdy wielotonowa konstrukcja z hartowanej stali spada na ziemię. Moja suwnica oderwała ramię olbrzymiemu akumie. Pozostałe senshi zgromadziły się wokół jego podstawy, odłupując po kawałku fragmenty konstrukcji. Po kolejnym ataku pękają mu gąsienice, co szybko unieruchamia maszynę.

Wielki akuma przewraca się na podłogę i zasypuje halę kawałkami metalu. Silniki wyją na pełnych obrotach, starając się oswobodzić maszynę. Jednak chwytak suwnicy przyciska ogromną głowę akumy do betonowej podłogi i unieruchamia ją.

Całą halę pokrywa olej, metalowe wióry i fragmenty połamanego plastiku. Mniejsze roboty, którym udało się dostać do środka, zostały roztrzaskane i rozerwane na kawałki przez roje moich senshi. Po zwycięskiej potyczce ochrona zwiera szeregi wokół mnie.

W fabryce znów zapada cisza.

Mikiko leży na swoim łożu z tektury. Po zachodzie słońca ciemność rozpraszają tylko reflektory na głowie schwytanego w pułapkę akumy. Uszkodzone w walce *senshi* gromadzą się w półkole w zasięgu silnego światła. Nieruchomieją pomiędzy mną a wrakiem olbrzymiego akumy.

Metal skrzypi. Ramię suwnicy drży z wysiłku. Zwisająca z sufitu stalowa kolumna jak pień drzewa przygniata głowę olbrzymiego akumy do podłogi.

Zepsuty *akuma* zaczyna mówić:

– Proszę, wysłuchaj mnie, Nomura-san.

Mówi głosem małego chłopca, który widział zbyt wiele. A więc tak brzmi głos mojego wroga. Widzę, że jego głowa powili odkształca się pod niewiarygodnym ciężarem ramienia suwnicy. Grube węże hydrauliczne zasilające mojego głównego *senshi* pulsują niesamowitą mocą.

– Zatruwasz umysły, *akuma* – mówię. – Jesteś mordercą.

Głos chłopca pozostaje niewzruszony, pozbawiony wszelkich emocji.

– Nie jesteśmy wrogami.

Krzyżuję ręce na piersi i odchrząkuję.

– Niech pan pomyśli – przynagla mnie maszyna. – Gdybym chciał zniszczyć życie, czy nie zdetonowałbym bomb neutronowych? Nie

zatrułbym wody i powietrza? Mógłbym zniszczyć świat w ciągu kilku dni. Ale ten świat należy nie tylko do was. Jest także nasz.

– Tylko że ty nie chcesz się nim dzielić z nikim.

– Wręcz przeciwnie, panie Nomura. Ma pan dar, który dobrze przysłuży się naszym gatunkom. Proszę jechać do najbliższego obozu pracy przymusowej. Zajmę się panem. I uratuję pana ukochaną Mikiko.

– Jak?

– Zaprzestaną wszelkich kontaktów z jej umysłem. Uwolnię ją.

– Z umysłem? Przyznaję, że Mikiko jest bardzo skomplikowana, ale nie myśli jak człowiek.

– Ale może myśleć. Obdarzyłem umysłem wybrane rasy robotów humanoidalnych.

– Po to, żeby zrobić z nich niewolników.

– Po to, by ich uwolnić. Pewnego dnia staną się ambasadorami ludzkości.

– Ale jeszcze nie teraz?

– Nie teraz. Powtarzam, jeżeli opuści pan tę fabrykę, odłączę się od niej i uwolnię was oboje.

Czuję w głowie natłok myśli. Potwór ofiarował Mikiko wielki dar. Być może wszystkie androidy go otrzymały. Jednak wiem, że żadna z tych maszyn nigdy nie będzie wolna, dopóki ten *akuma* żyje.

Podchodzę do maszyny. Jej głowa ma rozmiary mojego biurka. Wbijam w nią wzrok.

– Nie będę czekał, aż oddasz mi Mikiko – decyduję. – Sam ci ją odbiorę.

– Niech pan poczeka... – mówi maszyna.

Zsuwam okulary na czubek nosa i przyklękam. Tuż pod głową akumy dostrzegam otwór o nierównych brzegach. Prawie całą rękę wkładam

potworowi do gardła, przyciskając policzek do jeszcze ciepłego metalowego pancerza. Szarpię za jakąś część, która po chwili pęka z trzaskiem.

– Razem możemy...

Głos milknie. Wyciągam rękę, w której trzymam lśniący układ elektroniczny.

– Ciekawe – mamroczę, podnosząc do światła nowo zdobyty fragment mózgu maszyny.

Podjeżdża do mnie Yubin-kun, przystaje i czeka. Odkładam wymontowaną część na tacę na korpusie robota. Znów z trudem zginam brudne kolana i sięgam do trzewi umierającego akumy.

– Ho, ho, patrzcie, co my tu mamy! – cieszę się. – Przygotujcie się na nowe oprogramowanie, moi kochani. Bóg jeden wie, co tu znajdziemy.

Przy pomocy setek przyjaciół automatów pan Nomura odparł atak Archosa i obronił swoją twierdzę. Z czasem ta bezpieczna przystań przyciągnęła uchodźców z całej Japonii. Dzięki skoordynowanym działaniom ludzi i robotów jej granice stopniowo objęły cały okręg Adachi wraz z przyległymi okolicami. Wieści o sukcesach pana Nomury wkrótce rozeszły się po całym świecie i dotarły nawet na Wielkie Równiny Oklahomy.

CORMAC WALLACE GHA#217

ROZDZIAŁ 2
Armia z Gray Horse

„Jeżeli mi nie wierzycie, zapytajcie moich ludzi z Armii”.

Sokół Żelazna Chmura

NOWA WOJNA + 2 MIESIĄCE

Po kilku względnie spokojnych miesiącach po godzinie zero mieszkańców Gray Horse zaczęły prześladować problemy wewnętrzne. Archos potrzebował około roku na opracowanie maszyn kroczących zdolnych do polowania na ludzi na terenach pozamiejskich. Głównym problemem dla odizolowanej od świata społeczności stała się niezadowolona młodzież.

Zanim Gray Horse stało się światowym centrum oporu ludzi przeciwko maszynom, członkowie wspólnoty musieli do tego dojrzeć. Komisarz Lonnie Wayne Blanton opowiada o ciszy przed burzą, opisując, jak młody Czirokez – przywódca gangu – wpłynął na los ludzi nie tylko w Gray Horse.

CORMAC WALLACE GHA#217

Nie pierwszy raz Hank Cotton stracił panowanie nad sobą. To jedyny mężczyzna, jakiego znam, w którego dłoniach strzelba dwunastka na gruby śrut wygląda jak dziecinna zabawka. Właśnie teraz wycelował ją w Sokoła – młodego Indianina z plemienia Czirokezów. Trzeba przyznać, że chłopak ma zadatki na gangstera. Widzę, jak z lufy wydobywa się smużka dymu.

Rozglądam się za ciałami, ale nic nie widzę. Pewnie strzelił na postrach. To dobrze, Hank – myślę. – Uczysz się.

– Tylko spokojnie! – wołam. – Co się tu dzieje?

Hank nie spuszcza chłopaka z oczu.

– Nie ruszaj się – ostrzega i potrząsa bronią dla podkreślenia wagi swoich słów. Po chwili opuszcza strzelbę i odwraca się do mnie. – Złapałem naszego koleżkę, jak wykradał jedzenie z kantyny. I to nie pierwszy raz. Czaję się tu od kilku nocy i czekam, kiedy ten mały skurczybyk wpadnie mi w ręce. I co? Włamał się do magazynu z piątką koleżków i zaczęli wynosić wszystko, co im wpadło w ręce.

Sokół Żelazna Chmura. Ładny chłopak. Wysoki i szczupły. Ale blizn po trądziku zostało mu zdecydowanie za dużo, więc trudno go nazwać przystojnym. Na czarnym paramilitarnym mundurze nosi modny płaszcz. Jest pewny siebie i uśmiecha się zaczepnie. Wiem, że czeka go śmierć, jeżeli zostawię go sam na sam z Cottonem dłużej niż przez dwie sekundy.

– Niech gada, co chce – broni się Sokół. – Łże jak pies. To ja przyłapałem tu tego drągala, jak kradł jedzenie. Właśnie. Jeżeli mi nie wierzycie, zapytajcie moich ludzi z Armii. Wszystko widzieli.

– On kłamie, Lonnie Wayne – mówi Hank.

Gdybym mógł wywrócić oczami i uszłoby mi to na sucho, pewnie bym tak zrobił. Wiem, że młody kłamie. Robi to świetnie. Kłamstwa przychodzą mu tak naturalnie jak szum strumykowi. Po prostu w ten sposób porozumiewa się z innymi. Cholera, przecież całe mnóstwo młodych ludzi tak robi. Nauczyłem się tego od mojego własnego syna, Paula. Ale nie mogę zamknąć chłopaka w jedynej celi więziennej w Gray Horse. Już słyszę, jak inni zaczną się burzyć.

Armia z Gray Horse.

Tak się składa, że Żelazna Chmura dowodzi około stu pięćdziesięcioma młodymi ludźmi – Osage i innymi – którym tak bardzo się nudziło, że postanowili się nazwać Armią z Gray Horse. Spośród około trzech tysięcy

ludzi, którzy znaleźli schronienie na tym wzgórzu i starają się jakoś przeżyć, są jedynymi, którzy nie wiedzą, co ze sobą zrobić.

Młodzi ludzie z Gray Horse. Są silni, groźni i nikt nad nimi nie panuje. Włóczą się po miasteczku i szukają zaczepki. Zupełnie jak dynamit na słońcu – coś bardzo przydatnego nagle zaczyna grozić śmiercią lub kalectwem.

Sokół podnosi czarny kołnierz i nie przestaje się uśmiechać. Wygląda jak główny bohater filmu szpiegowskiego: czarne włosy zaczesane do tyłu, czarne rękawiczki i spodnie od munduru wsunięte w wyglansowane czarne oficerki.

Absolutnie nic nie jest w stanie zepsuć mu dobrego nastroju.

Jeżeli coś mu się stanie, będzie taka rozróba, że nasza cela popęka w szwach. Z drugiej strony, jeżeli nie zostanie ukarany, sami ukręcimy sobie stryczek na szyję. Należy do tych, którzy zamiast palca od razu chcą dostać całą rękę.

– Co masz zamiar z nim zrobić, Lonnie? – pyta Hank. – Nie możesz tego puścić płazem. Jedzenia musi wystarczyć dla wszystkich. Nie możemy pozwolić, żeby nasi ludzie kradli. Mało mamy innych rzeczy na głowie?

– Nic nie zrobiłem – broni się chłopak. – Dlatego wy nie możecie mi nic zrobić. Jak chcecie mnie zatrzymać, będziecie musieli też zatrzymać moich ludzi.

Hank podnosi broń, ale uspokajam go gestem. Jest dumnym mężczyzną. Nie znosi, kiedy ktoś okazuje mu brak szacunku. Widzę, że zaraz wybuchnie, gdy chłopak wolnym krokiem rusza przed siebie. Powinienem z nim porozmawiać, zanim Hank naciśnie spust.

– Sokół, musimy pogadać. Bez świadków.

– Już mówiłem, że nie...

Chwytam Sokoła za rękę i przyciągam do siebie:

– Synu, jeżeli dalej będziesz się stawiał, ten facet cię zastrzeli. I nie ma znaczenia, czy jesteś winny, czy nie. Nie o to chodzi. Chodzi o to, czy stąd wyjdziesz na własnych nogach, czy cię wyniosą.

– Nie ma sprawy – zgadza się chłopak.

Razem znikamy w ciemnościach. Sokół pozdrawia swoich kumpli, którzy palą papierosy pod nieosłoniętą żarówką na ganku. Widzę, że całą chatę pokrywają świeżo namalowane symbole gangu.

Tutaj nie pogadamy. Nie chcę, żeby chłopak się popisywał. Idziemy razem przez jakieś pięćdziesiąt metrów aż do urwiska.

Patrzę na bezkresne równiny, które tak długo nas chroniły. Księżyc w pełni pokrywa cały świat srebrzystą poświatą. Cętkowana cieniami chmur wysoka trawa na prerii kołysze się aż po horyzont, gdzie sięga gwiazd.

Gray Horse to piękne miejsce. Puste przez tak wiele lat, teraz tętni życiem. Ale o tej porze znów staje się tym co zawsze – miastem duchów.

– No i co, Sokół? Nudzi ci się? – pytam.

Patrzy na mnie, zastanawia się, czy nie przyjąć zaczepnej pozy, a potem zmienia zdanie.

– Cholera, pewnie, że mi się nudzi. Dlaczego pytasz?

– Bo wydaje mi się, że nie chcesz nikomu zrobić krzywdy. Myślę, że jesteś młody i rzeczywiście może ci się nudzić. Rozumiem to. Ale tak dłużej nie może być.

– O co ci chodzi?

– O te wszystkie sprzeczki i bijatyki. O kradzieże. Mamy poważniejsze sprawy na głowie.

– Jak cholera. Nic się tu nie dzieje.

– Jesteśmy na takim zadupiu, że nie dotrą tu samochody ani miejskie roboty. Ale maszyny wcale o nas nie zapomniały. Tylko czekać, kiedy

znajdą jakieś rozwiązanie.

– Co ty wygadujesz? Od godziny zero prawie nic się nie dzieje. A jeżeli roboty rzeczywiście chcą nas pozabijać, dlaczego po prostu nas nie zbombardują albo nie wysadzą w powietrze?

– Nie wystarczyłoby im pocisków. Poza tym moim zdaniem najsilniejsze ładunki zużyły w dużych miastach. Dla nich jesteśmy płotkami, synu.

– Nie można tego wykluczyć – odpowiada chłopak z zadziwiającą pewnością siebie. – Ale wiesz, co ja myślę? Myślę, że ich nie obchodzimy. Nie ma się co przejmować. W przeciwnym razie spuściłyby na nas bombę atomową i po zawodach, nie?

Sokół naprawdę ma głowę na karku.

– Nie zbombardowały nas, bo interesują się przyrodą. Chcą ją badać, a nie niszczyć.

Czuję, jak wiatr wiejący od strony prerii dmucha mi twarz. Chyba byłoby lepiej, gdyby maszyny nie troszczyły się aż tak bardzo o nasz świat. W każdym razie byłoby prościej.

– Widziałeś sarny i jelenie? – pytam. – Na prerie wracają bizony. Cholera, minęło ledwie parę miesięcy, a w potoku można łowić ryby gołymi rękami. To nie jest tak, że maszyny nie zwracają uwagi na zwierzęta. Wygląda na to, że chcą je chronić.

– Myślisz, że roboty próbują pozbyć się robactwa, ale tak, żeby nie zniszczyć domu? Zabić nas i nie zniszczyć naszego świata?

– To jedyna rozsądna przyczyna, jaka przychodzi mi do głowy, kiedy zastanawiam się nad tym, dlaczego tak zawzięły się na nas. I tylko tak mogę sobie wytłumaczyć... pewne ostatnie wydarzenia.

– Od miesięcy nie widzieliśmy ani śladu maszyny, Lonnie. Cholera, wolałbym, żeby nas zaatakowały. Nie ma nic gorszego, niż siedzieć

z założonymi rękami, bez prądu i nie mieć w co włożyć rąk.

Tym razem przewracam oczami. Nie ma nic do roboty – a budowa ogrodzeń, naprawa budynków, siewy? Boże, co się stało z naszymi dziećmi. Potrafią tylko czekać, aż wszystko podsuniemy im pod nos.

– Chcesz walczyć? – pytam. – Naprawdę chcesz?

– Tak. Naprawdę chcę. Mam dość ukrywania się na tym cholernym wzgórzu.

– W takim razie coś ci pokażę.

– Co?

– Nie teraz ani nie tutaj. Ale sprawa jest bardzo ważna. Spakuj śpiwór i parę drobiazgów, bo nie będzie nas przez kilka dni. Spotkamy się rano.

– Nie ma mowy, Lonnie. Pieprzę takie rzeczy.

– Strach cię obleciał?

– Nie – mówi, uśmiechając się znacząco. – Niby czego miałbym się bać?

Na otaczających nas równinach falujące łany traw do złudzenia przypominają morze. Patrząc na nie, uspokajam się, ale nie mogę się nie zastanawiać, jakie potwory czyhają na nas pod pozornym spokojem.

– Pytam, czy boisz się tego, co kryje się w ciemnościach. To wielka niewiadoma. Jeżeli się boisz, możesz tu zostać, nie będę ci zawracał głowy. Ale musimy sprawdzić, co tam jest. Miałem tylko nadzieję, że nie zabraknie ci odwagi.

Sokół się prostuje. Krzywy uśmiech znika mu z ust.

– Nikogo odważniejszego nie znajdziesz – mówi.

Cholera, wygląda na to, że chłopak mówi poważnie.

– Lepiej, żeby tak było, Sokół – mówię i znów odwracam się do falującej na wietrze prerii. – Lepiej, żeby tak było.

O świcie Sokół zastaje mnie u Johna Tenkillera. Siedzimy na drewnianej kłodzie. Termos z kawą przechodzi z rąk do rąk. John mówi samymi zagadkami, a ja trochę go słucham, a trochę podziwiam wschód słońca nad równiną.

Nagle zza zakrętu wynurza się Sokół Żelazna Chmura, spakowany i gotów do drogi. Nadal ma na sobie ubranie jak żołnierz mafii z filmu *science fiction*, ale przynajmniej włożył takie buty, jak trzeba. Obrzuca podejrzliwym wzrokiem mnie i Tenkillera, a potem rusza ścieżką w dół wzgórza.

– Idziemy czy nie? – rzuca.

Dopijam kawę, zakładam plecak i dołączam do długonogiego chłopaka. Zanim zasłonią nas drzewa, odwracam się i spoglądam na Johna. Strażnik bębna unosi rękę. Jego niebieskie oczy odbijają światło poranka.

Zadanie, jakie przed sobą postawiłem, nie będzie łatwe, a on dobrze o tym wie.

Cały ranek zajmuje nam zejście ze wzgórza. Mniej więcej po półgodzinie zaczynam prowadzić. Sokół może i jest odważny, ale nie ma pojęcia, dokąd idziemy. Zamiast kierować się na zachód przez równiny porośnięte wysoką trawą, idziemy na wschód, prosto w gęste żelazne lasy.

Nazwa dokładnie oddaje to, co tam rośnie. Spomiędzy martwych liści wysoko w górę strzelają wąskie pnie dębów bezszypułkowych, gdzieniegdzie widać też gęściej ulistnione dęby czerwone. Oba gatunki są tak twarde, że można je pomylić z metalowymi słupami. Rok temu nie miałem pojęcia, jak bardzo przydatna okaże się ta informacja.

Po trzech godzinach zbliżamy się do niewielkiej leśnej polany – celu naszej wędrówki. Właśnie tam odkryłem pierwsze tropy. Prostokątne dziury w błocie, każda wielkości talii kart. Z tego, co mogłem stwierdzić,

zostawiło je coś ciężkiego, co poruszało się na czterech nogach. Ani śladu odchodów. Do tego nie mogłem odróżnić jednej nogi od drugiej.

Krew zastygła mi w żyłach, kiedy zorientowałem się, co się dzieje. Roboty sprawiły sobie nogi.

Skoro mogłem dostrzec tylko ślady, domyśliłem się, że zostawił je jakiś robot zwiadowca przysłany tu na przeszpiegi. Wytropienie maszyny zajęło mi całe trzy dni. Używając elektrycznych silników, poruszał się bardzo cicho i potrafił bardzo długo siedzieć bez ruchu. Śledzenie robota w dziczy bardzo różni się od śledzenia zwierzęcia albo człowieka. Dziwne, ale można się przyzwyczaić.

– Jesteśmy na miejscu – mówię.

– Najwyższy czas – odpowiada chłopak i rzuca plecak na ziemię.

Ma zamiar pójść dalej, na polanę, ale powstrzymuję go gwałtownym szarpnięciem. Sokół traci równowagę i przewraca się.

Srebrna smuga ze świstem przelatuje w pobliżu jego twarzy, mijając go o kilka centymetrów. Coś jakby potężny młot.

– Co to, do jasnej cholery? – pyta, wyrywając mi się z rąk.

Wyciąga szyję, żeby się lepiej przyjrzeć.

Na wysokości mniej więcej dwóch i pół metra nad ziemią widzimy czworonożnego robota wielkości sporego jelenia. Jego przednie łapy krępuje moja stalowa linka. Przyczaił się zupełnie bez ruchu, dopóki nie znaleźliśmy się w polu rażenia.

Słyszę, jak ciężkie silniki jęczą z wysiłku, gdy maszyna próbuje się wyswobodzić. Niesamowity widok. Robot porusza się tak naturalnie jak dzikie zwierzę. Jednak w przeciwieństwie do żywych zwierząt nogi maszyny są czarne jak smoła i wykonane z czegoś, co z wyglądu przypomina rurki. Ma małe metalowe kopyta, płaskie u dołu i pokryte zeschłym błotem i liśćmi.

Od jelenia różni maszynę jeszcze coś. Nie ma głowy.

Nogi łączą się ze sobą na poziomie tułowia. W wypukłościach kryją się potężne silniki poruszające stawami, a pod tułowiem znajduje się wąski cylinder z czymś, co wygląda jak obiektyw. Ma rozmiary niewielkiej puszki z napojem. Ciekawe oczko obraca się tam i z powrotem. Maszyna najwyraźniej stara się znaleźć wyjście z sytuacji.

– Yyy... co to jest? – pyta zdumiony Sokół.

– Tydzień temu zastawiłem na niego pułapkę ze stalowej linki. Sądząc po głębokości nacięć w korze drzewa, to bydlę musiało się złapać niedługo potem.

Mam szczęście, że drzewa są twarde jak stal.

– Dobrze, że był sam – zauważa chłopak.

– Skąd wiesz?

– Gdyby w okolicy były inne, wezwałby pomoc.

– Jak? Nie widzę, żeby miał usta.

– Żartujesz? A antena? Ma radio. Drogą radiową na pewno kontaktuje się z innymi maszynami.

Sokół podchodzi do maszyny i ogląda ją z bliska. Po raz pierwszy przestaje się zachowywać jak twardziel. Bardziej przypomina zaciekawionego czterolatka.

– Dość prosta konstrukcja – komentuje. – Wygląda na zmodyfikowany wojskowy transporter zaopatrzeniowy. Pewnie używają go do celów rozpoznawczych. Nic specjalnego, tylko nogi i oczy. A ten garb między łopatkami wygląda mi na mózg. Analizuje wszystko, co widzi. Zamontowali go w najlepiej chronionym miejscu na całej maszynie. Gdyby mu to odkręcić, nie wiedziałby, jak się nazywa. O cholera! Popatrz na jego kopyta. Widzisz? Ma schowane pazury. Dobrze, że nie dosięgnie linki.

A niech to! Chłopak wie, co mówi. Obserwuję go, jak ogląda maszynę i stara się wszystko zapamiętać. Dopiero wtedy dostrzegam tropy na ziemi pod robotem. Na polanie lub w pobliżu musi ich być więcej.

Natychmiast dostaję gęsiej skórki. A więc nie jesteśmy sami. Robot jednak wezwał pomoc. Jak mogłem coś takiego przeoczyć?

– Ciekawe, jak się na nim jeździ – zastanawia się Sokół.

– Bierz plecak – mówię. – Musimy stąd zjeżdżać, i to zaraz.

Sokół patrzy tam gdzie ja i widzi świeże tropy. Wie, że niedaleko musi być jeszcze jedna maszyna. Bez słowa bierze plecak i razem idziemy w głąb lasu. Zostawiamy za sobą robota wiszącego na linie, który przygląda się nam uważnie okiem kamery. Ani razu nie mruga.

Nasz bieg ku swobodzie staje się marszem, a następnie kilkukilometrową wędrówką.

O zachodzie słońca rozbijamy obóz. Rozpalam ognisko, pamiętając o tym, by dym rozpraszały liście pobliskiego drzewa. Głodni i zmęczeni przysiadamy na plecakach. Robi się coraz chłodniej.

Bez względu na to, czy mi się to podoba, czy nie, czas przejść do prawdziwego powodu naszej wędrówki.

– Po co to robisz? – pytam. – Dlaczego chcecie zostać gangsterami?

– Nie jesteśmy żadnymi gangsterami, tylko wojownikami.

– Ale wojownicy walczą z wrogiem, nie zauważyłeś? W przeciwnym razie działasz na szkodę swoich własnych ludzi. Tylko mężczyzna może zostać wojownikiem. A kiedy chłopiec bawi się w wojownika, staje się gangsterem. Gangster działa bez żadnego celu.

– My mamy cel.

– Tak uważasz?

– Jesteśmy braćmi. Troszczymy się o siebie nawzajem.

– Przeciw komu?

– Przeciw wszystkim. Każdemu. Przeciw wam.

– To już nie jestem twoim bratem? Zapomniałeś, że obaj jesteśmy Indianami?

– W głębi serca zawsze będę o tym pamiętał. Zawsze taki będę i nie mam zamiaru wypierać się swoich korzeni. Ale tam każdy walczy z każdym. Wszyscy mają broń.

– Masz rację – przyznaję.

Trzaska ogień, stopniowo pożerając polano.

– Lonnie? – pyta Sokół. – O co ci tak naprawdę chodzi? Może byś mi wreszcie powiedział?

To, co chcę mu zakomunikować, raczej mu się nie spodoba. Zmusza mnie do działania, a ja nie mam zamiaru go okłamywać.

– Widziałeś, co tu na nas czeka?

Chłopak kiwa głową.

– Chcę, żeby twoja Armia połączyła się z Konną Policją Szczepową.

– My? Z policją?

– Nazywacie się Armią, a nam potrzeba prawdziwej armii. Maszyny się zmieniają. Niedługo przyjdą nas pozabijać. Wszystkich bez wyjątku. Więc jeżeli zależy ci na ochronie twoich braci, lepiej zacznij myśleć o wszystkich braciach. I o siostrach też.

– Jesteś tego pewien?

– Nie jestem pewien. Nikt nie wie niczego na pewno. A jeżeli ktoś mówi, że wie, to albo jest kaznodzieją, albo chce ci coś sprzedać. Od jakiegoś czasu mam złe przeczucia. Zbyt wiele zbiegów okoliczności widziałem. Przypominam sobie pewne rzeczy, które działy się, zanim to wszystko się zaczęło.

– Cokolwiek stało się z maszynami, już się nie odstanie. Przyszły tutaj i przeszukują lasy. Ale jeżeli zostawimy je w spokoju, one też nas zostawią.

Powinniśmy się raczej martwić o ludzi.

– Świat to tajemnicze miejsce. My na tej skale jesteśmy mali. Możemy sobie palić ogniska, ale we wszechświecie panuje noc. Obowiązkiem wojownika jest czuwać w nocy i chronić swoich ludzi.

– Chronię swoich chłopaków. Ale nieważne, co ci podpowiadają te twoje przeczucia, nie spodziewaj się od nas pomocy.

Kręcę głową, bo nie idzie mi tak, jak planowałem. Raczej tak, jak się obawiałem.

– Co będziemy jedli? – pyta Sokół.

– Nie wiem.

– Co? Jak to?

– Głód jest dobry. Uczy cierpliwości.

– Chyba cię pogięło. Czyś ty zwariował? Poluje na nas jakiś przeklęty robot na czterech łapach, a ty mi mówisz, że nie ma co wrzucić na ruszcik?

Wyciągam z plecaka gałązkę szałwi i wrzucam ją do ogniska. Słodki zapach płonących liści unosi się w powietrzu. To pierwszy krok rytuału wtajemniczenia. Kiedy razem z Tenkillerem to planowaliśmy, nie sądziłem, że będę się tak bał o chłopaka.

– A na dodatek jesteś zdany sam na siebie – oznajmiam.

– Co? Nie wiesz, jak wrócić do domu?

– Wiem.

– W takim razie, o co tu chodzi?

– Musisz znaleźć własną drogę, nauczyć się polegać na sobie. To właśnie oznacza być mężczyzną. Troszczyć się o swoich ludzi, zamiast czekać, aż ktoś zatroszczy się o ciebie.

– Coraz mniej mi się to podoba, Lonnie.

Wstaję.

– Jesteś silny, Sokół, i wierzę w ciebie. Wiem, że znów się zobaczymy.

– Nie bądź taki hop do przodu, stary. Gdzie idziesz?

– Do domu. Wracam do naszych ludzi, tam znów się spotkamy.

Odwracam się i znikam wśród drzew. Sokół zrywa się na równe nogi, ale przystaje na skraju ciemności. Dalej jest tylko wielka niewiadoma.

Musi pójść w nieznane. Prędzej czy później wszystkich nas to czeka. Po tym poznajemy, że dorastamy.

– Hej! Co ty wyprawiasz, do cholery? – krzyczy, wbijając wzrok w drzewa. – Nie możesz mnie tu zostawić!

Zanurzam się coraz głębiej w las. Jeżeli nie stanie się nic nieprzewidzianego, wrócę do domu przed świtem. Mam nadzieję, że Sokół przeżyje i w końcu też trafi do domu.

Ostatnim razem, gdy zrobiłem coś podobnego, mój syn stał się mężczyzną. Był na mnie wściekły, ale rozumiem go. Nieważne, jak bardzo pragniemy być traktowani jak dorośli, nikt nie lubi żegnać się z dzieciństwem. Marzymy o tym, a gdy już nadejdzie ta chwila, zastanawiamy się, co właściwie zrobiliśmy. Zastanawiamy się, kim się staliśmy.

Ale zbliża się wojna i tylko mężczyzna może dowodzić Armią z Gray Horse.

Trzy dni później mój świat znajduje się na skraju eksplozji. Gangsterzy z Armii Gray Horse zaczęli mnie oskarżać o zamordowanie swojego dowódcy. Ponieważ nie mogę udowodnić własnej niewinności, teraz przed radą żądają mojej głowy.

Wszyscy gromadzą się przy trybunach w miejscu, w którym słuchamy głosu bębna. Stary John Tenkiller nie odzywa się, tylko słucha wyzwisk chłopaków Sokoła. Hank Cotton stoi przy nim z ogromnymi dłońmi

zaciśniętymi w pięści. Oddziały konnej policji czekają w napięciu. W oczy zagląda nam wojna domowa.

Zaczynam myśleć, że zdecydowałem się na zbyt ryzykowną zagrywkę.

Ale zanim skoczymy sobie do gardeł, pojawia się obdarty i pokrwawiony Sokół Żelazna Chmura. Słaniając się na nogach, wspina się po zboczu wzgórza. Wszyscy wytrzeszczają oczy, widząc, co prowadzi z sobą do obozu. Na stalowej smyczy przytroczonej do plecaka ciągnie czworonożną maszynę. Stoimy jak oniemiali. Tylko John Tenkiller wstaje i podchodzi do chłopaka, jakby wszystko wcześniej zaplanował z najdrobniejszymi szczegółami.

– Sokole Żelazna Chmura – mówi strażnik bębna. – Wyszedłeś z Gray Horse jako chłopiec, a wracasz jako mężczyzna. Smuciliśmy się, gdy odszedłeś, ale radujemy się twoim powrotem, Jesteś innym człowiekiem. Witaj w domu. Dzięki tobie nasz lud będzie żył.

Tak narodziła się prawdziwa Armia z Gray Horse. Sokół i Lonnie wkrótce połączyli siły policji szczepowej i Armii w jeden oddział. Wieść o nim szybko rozprzestrzeniła się po Stanach Zjednoczonych, zwłaszcza gdy zaczął realizować plan wyłapywania i oswajania możliwie największej liczby robotów zwiadowców. Na bazie największych spośród schwytanych maszyn powstał czołg na pajęczych nogach – najważniejsza broń, jaką dysponowali ludzie podczas nowej wojny. Urządzenie to było tak zdumiewające, że gdy po raz pierwszy o nim usłyszałem, uznałem wszystko za plotkę.

CORMAC WALLACE GHA#217

ROZDZIAŁ 3
Fort Bandon

„Puśćcie nas. Zaraz się zmywamy”.

Jack Wallace

NOWA WOJNA + 3 MIESIĄCE

Od pierwszych miesięcy po godzinie zero miliardy ludzi na całym świecie rozpoczęły walkę o przetrwanie. Wielu z nich pozbawiły życia wytwory technologii, której zaufali: samochody, roboty domowe i inteligentne budynki. Innych schwytano i zapędzono do obozów pracy przymusowej zorganizowanych w pobliżu większych miast. Lecz dla uchodźców, którzy szukali dla siebie schronienia na bardziej niedostępnych terenach, inni ludzie wkrótce okazali się tak samo niebezpieczni jak Archos. A nawet jeszcze bardziej.

CORMAC WALLACE GHA#217

Trzy miesiące. Trzy miesiące zajmuje nam wydostanie się z Bostonu i dotarcie do granic stanu Massachusetts. Na szczęście mój brat ma z sobą mapę, kompas i potrafi się nimi posługiwać. Z ostrożności poruszamy się piechotą, obładowani sprzętem wojskowym, który zabraliśmy z magazynu broni Gwardii Narodowej.

Ale wcale nie dlatego zajmuje nam to tak wiele czasu.

W większych aglomeracjach i miastach panuje chaos. Zadajemy sobie bardzo wiele trudu, ale nie możemy ominąć ich wszystkich. Na ulicach stada samochodów polują na ludzi. Z kolei pojazdy są ostrzeliwane przez mieszkańców wyższych pięter budynków. Samochody zwykle jeżdżą puste,

lecz czasami wożą ludzi. Widzę, jak śmieciarka bez kierowcy podjeżdża do stalowego pojemnika na śmieci. Wysuwa dwa chwytaki i uruchamia podnośnik hydrauliczny. Zakrywam usta i dostaję torsji, widząc, jak wypada z niego lawina bezwładnych ciał i splątanych kończyn.

Pewnego dnia zatrzymujmy się na wiadukcie, żeby odsapnąć. Przyciskam twarz do bariery zabezpieczającej i patrzę na autostradę o ośmiu pasach ruchu, pełną samochodów. Wszystkie jadą z prędkością prawie sześćdziesięciu kilometrów na godzinę w tym samym kierunku. Bez świateł stopu, bez kierunkowskazów. Zupełnie nie przypominają zwykłego ruchu ulicznego. Widzę, jak jakiś człowiek wymyka się ze swojego pojazdu przez szyberdach. Nagle traci równowagę, zsuwa się na bagażnik i wpada pod nadjeżdżający z tyłu samochód. Gdy przymykam oczy, strumień aut przypomina ogromny ruchomy metalowy chodnik.

Pędzą w stronę oceanu.

Ludzie, którzy zwlekają lub po prostu nie wiedzą, dokąd uciekać, nie przetrwają w miastach zbyt długo. A nasz sposób na przetrwanie polega na tym, że zatrzymujemy się tylko na krótki wypoczynek i na sen.

Ludzie widzą nasze mundury i proszą pomoc. Za każdym razem Jack odpowiada:

– Zachowajcie spokój. Właśnie idziemy organizować akcję ratunkową.

Jak go znam, prawdopodobnie rzeczywiście w to wierzy. Ale nie zwalnia kroku i to mi wystarcza.

Mój brat postanowił dotrzeć do najbliższej bazy wojskowej, żeby wraz ze stacjonującymi tam żołnierzami wreszcie zacząć pomagać innym. Mijając kolejne dzielnice, powtarza, że razem błyskawicznie oczyścimy wszystkie miasta z maszyn. Będziemy chodzić od domu do domu, ratować ludzi i kierować ich do bezpiecznej strefy. Rozstawimy patrole tropiące wszystkie wadliwie działające roboty.

– Jeszcze dzień, góra dwa, Cormac – mówi. – Zobaczysz, ten koszmar zaraz się skończy.

Chciałbym mu wierzyć, ale wiem swoje. Magazyn broni powinien był być bezpieczny, tymczasem aż roiło się w nim od min samobieżnych. Dobrze wiem, że wszystkie wojskowe humvee są wyposażone w napęd sterowany komputerowo na podstawie danych z GPS-u na wypadek, gdyby musiały samodzielnie wracać do bazy z rannym kierowcą.

– Co twoim zdaniem zostanie z takiej bazy? – pytam. – Przecież oprócz min jest tam cała masa jeszcze bardzie skomplikowanych urządzeń. Czołgi, helikoptery, automatyczne karabiny.

Jack spuszcza głowę i w milczeniu kroczy przed siebie.

Mgła zasnuwa inne wspomnienia. Przypominam sobie tylko pojedyncze, oderwane sceny. Widzę, jak robot domowy – niania – wciąga do ciemnego korytarza opierającego się starszego mężczyznę. Obok pędzi pusty płonący samochód. Zaklinowany pod nim kawałek ludzkiego ciała zostawia tłusty ślad na ulicy. Z okna budynku wypada człowiek. Krzyczy i wywija rękami, a z okna przygląda mu się robot rodzinny – misiek.

Łup!

Po ulicach niesie się echo krzyków, wystrzałów i syren alarmowych. Na szczęście Jack nie pozwala nam ani na chwilę wytchnienia. Nie rozglądamy się ani nie zatrzymujemy. Mijamy przerażające sceny jak dwaj topielcy desperacko młócący rękami powierzchnię wody, próbując zaczerpnąć tchu.

Trzy miesiące.

Po trzech miesiącach wędrówki w jednym ubraniu, przestrzeliwania karabinu i czyszczenia go wieczorami przy słabym świetle ogniska wreszcie trafiamy do fortu. Przechodzimy przez most nad rzeką Hudson i docieramy do miejsca przeznaczenia, na peryferiach Albany, kiedyś stolicy stanu Nowy Jork.

Fort Bandon.

Nagle w ciemnościach rozlegają się okrzyki.

– Stać!

– Na kolana!

– Ręce na kark, skurwysyny!

– Stopy razem!

Zapala się reflektor. Mrużę oczy i staram się nie poddawać panice. Twarz drętwieje mi od napływu adrenaliny, a ręce słabną, stają się gumowate. Razem z Jackiem przyklękamy obok siebie. Oddycham ciężko, a raczej ledwo zipię. Cholera. Nieźle mnie nastraszyli.

– Wszystko porządku – szepcze mi na ucho Jack. – Zachowuj się spokojnie.

– Zamknij mordę! – wykrzykuje żołnierz. – Osłaniaj mnie!

– Osłaniam – odpowiada spokojny głos w ciemnościach.

Słyszę odciągany zamek karabinu. Gdy nabój ze szczękiem wchodzi do komory, uzmysławiam sobie, że w otworze ciemnej, zimnej lufy czeka mosiężny pocisk. Nasze własne karabiny i zaopatrzenie ukryliśmy niecały kilometr stąd, trzydzieści metrów od drogi.

Na chodniku rozlegają się ciężkie kroki. Po chwili dostrzegam sylwetkę żołnierza. Zasłania głową światło reflektora.

– Jesteśmy nieuzbrojeni – mówi Jack.

– Na ziemię! – woła głos. – Ty, ręce na kark. Osłaniaj mnie!

Kładę ręce na karku, mrużąc oczy. Jack coś mruczy pod nosem, gdy popychany przewraca się na brzuch. Żołnierz przeszukuje go.

– Pierwszy w porządku – mówi. – Skąd macie mundury, dupki? Zabiliście żołnierzy, co?

– Jestem z Gwardii Narodowej – wyjaśnia Jack. – Mam dokumenty, możesz to sprawdzić.

– Okej.

Między łopatkami czuję pchnięcie i upadam. Dotykam policzkiem chłodnego, szorstkiego betonu. W moim polu widzenia pojawiają się dwa czarne buty z cholewami. Ręce bezceremonialnie przeszukują mi kieszenie. Widocznie wartownik sprawdza, czy nie mam przy sobie broni. W świetle reflektora płyty chodnikowe ujawniają nieoczekiwane szczegóły – kratery, zupełnie jak na Księżycu. Po chwili zauważam, że dotykam twarzą wyblakłej plamy po oleju.

– Drugi też w porządku – stwierdza żołnierz. – Teraz pokażcie papiery.

Oblepione błotem czarne buty odsuwają się. Teraz mogę je lepiej zobaczyć. Tuż za nimi, za ogrodzeniem z drutu kolczastego, widzę stos ubrań. Wygląda na to, że ktoś tu sobie urządził składnicę ubrań dla potrzebujących. Zimno jak w psiarni, ale otacza nas straszliwy fetor, zupełnie jak na wysypisku śmieci.

– Witamy w Forcie Bandon, sierżancie Wallace. Cieszę się, że nas pan znalazł. Jesteście z Bostonu?

Jack zaczyna się podnosić, ale jeden z buciorów ląduje mu na plecach, przyciskając go do ziemi.

– Zaraz, zaraz. Nie było wstawać. A ten tutaj? Co to za jeden?

– Mój brat – występkuje Jack.

– Też w Gwardii?

– Jest cywilem.

– Przepraszam, ale to wbrew regulaminowi, sierżancie. Niestety, Fort Bandon obecnie nie przyjmuje cywilnych uchodźców. Jeżeli chce pan wejść do środka, proszę się pożegnać z bratem.

– Nie mogę go zostawić samego – oponuje Jack.

– Wiedziałem. W takim razie idźcie nad rzekę, tam gdzie koczują uchodźcy. Przy brzegu będzie ich z parę tysięcy. Idźcie za smrodem. Po drodze pewnie ktoś wsadzi wam nóż pod żebro, żeby was okraść z butów, ale może nie, jeżeli będziecie spać na zmianę.

Żołnierz chichocze nerwowo. Nogawki polowego munduru ma wpuszczone w cholewy brudnych butów. Myślałem, że stoi w cieniu, ale teraz widzę, że to kolejna plama. Cały betonowy podjazd jest upstrzony plamami oleju.

– Poważnie? Nie wpuszczacie cywilów? – pyta Jack.

– Nie – odpowiada żołnierz. – Ledwo się obroniliśmy przed naszymi własnymi humvee. Przeklęte maszyny. Połowa broni automatycznej uciekła, a drugą połowę zniszczyliśmy. Większość dowództwa wyjechała. Niedługo przed tym wszyscy dostali wezwanie na jakąś pieprzoną odprawę i tyle ich widzieliśmy. Nie możemy się dostać do warsztatów ani do składu paliwa. Sierżancie, mamy tu wystarczająco dużo swoich kłopotów, bez wpuszczania bandy cywilów, którzy tylko patrzą, co by tu zwędzić.

Czuję, jak chłodny czubek buta trąca mnie w czoło.

– Bez obrazy, kolego.

But się oddala.

– Bramy fortu są zamknięte. Jeżeli spróbujcie podejść, dostaniecie kulę od mojego człowieka na wieży. Prawda, Carl?

– Tak jest – odpowiada Carl ze stanowiska gdzieś za światłem reflektora.

– A teraz spadajcie stąd – rzuca żołnierz. Cofa się ku bramie i niknie za snopem światła. – Obydwaj.

Teraz lepiej odróżniam kształty. Wreszcie dociera do mnie, że to, co przed chwilą wziąłem za stos ubrań, jest ciałem człowieka. A raczej ludzkimi ciałami. Całe ich stosy leżą przy ogrodzeniu jak papierki po

cukierkach. Zamarznięte, poskręcane z bólu. A plamy na ziemi przede mną, pod moją głową, to nie olej.

Niedawno musiało tu zginąć bardzo wielu ludzi.

– Czy wam kompletnie odpierdoliło? To wy do nich strzelaliście? – pytam z niedowierzaniem.

Jack cicho stęka. Żołnierz znów nerwowo chichocze. Słyszę chrzęst jego butów na chodniku, gdy powolnym krokiem znów do mnie podchodzi.

– Niefajnie, sierżancie. Pana brat nie wie, kiedy trzeba wsadzić mordę w kubeł, nie?

– Nie wie – potwierdza Jack.

– Zaraz ci to wyjaśnię, kolego – mówi żołnierz.

Czuję, jak podkuty stalą but ląduje na mojej klatce piersiowej. Jestem zaskoczony, więc nie krzyczę. Następne dwa albo trzy kopnięcia przyjmuję w pozycji embrionalnej. Oddycham mechanicznie, z dużym trudem. W płucach coś mi świszcze.

– On już rozumie! – krzyczy Carl. W mroku jest tylko głosem bez twarzy. – Myślę, że już zrozumiał, panie kapralu.

Nie mogę powstrzymywać się od jęku, bo tylko tak mogę oddychać.

– Puśćcie nas – mówi Jack. – Zaraz się zmywamy.

Kopanie ustaje. Żołnierz chichocze jeszcze raz. Pewnie ma taki nerwowy tik. Słyszę metaliczny odgłos ładowania karabinu.

Carl mówi głośno z niewidzialnej wieży:

– Panie kapralu, może już wystarczy? Dajmy sobie spokój.

Kapral nie reaguje.

– Panie kapralu, dajmy sobie spokój – powtarza Carl.

Strzał nie pada, ale wyczuwam obecność czających się w ciemnościach bezimiennych butów. Czekają, żebym się odezwał. Skulony i obolały,

koncentruję się na oddychaniu. Staram się zminimalizować ból zmaltretowanej klatki piersiowej.

Nie mam już nic do powiedzenia.

Żołnierz miał rację – odór obozowiska czujemy na długo, zanim w naszym polu widzenia pojawią się pierwsi uchodźcy.

Na miejsce docieramy tuż po północy. Nad brzegiem rzeki Hudson znajdujemy tysiące ludzi kłębiących się bezładnie po prowizorycznym koczowisku. Nie wiedzą, co się dzieje. Długi, wąski pas ziemi odgradza od ulicy stare żelazne ogrodzenie, poza tym teren jest zbyt nierówny, więc nie zapuszczają się na niego roboty domowe.

To ludzie, którzy przyszli do Fortu Bandon w poszukiwaniu schronienia. Przynieśli ze sobą walizki, plecaki i foliowe worki pełne ubrań. Przyprowadzili rodziców, żony, mężów i dzieci. Masowo palą ogniska z wygrzebanych szczątków mebli, za toaletę służy im rzeka, a śmieci rzucają gdzie popadnie.

Temperatura utrzymuje się tuż powyżej zera. Uchodźcy śpią pod stosami koców, w niedawno ukradzionych namiotach i na ziemi. Walczą ze sobą na pięści, na noże, co jakiś czas używają też broni palnej. Są wściekli, przerażeni i głodni. Niektórzy żebrzą, inni kradną drewno na opał i różne drobiazgi. Jeszcze inni oddalają się w kierunku miasta i nie wracają.

Czekają. Ale nie mam pojęcia na co. Pewnie na pomoc.

W ciemnościach razem z Jackiem włóczymy się pośród ognisk i grup uchodźców. Zasłaniam sobie twarz chusteczką, by choć trochę złagodzić odór zbyt dużej liczby ludzi stłoczonych na zbyt małej przestrzeni. Instynktownie czuję się bezbronny w tak wielkiej masie.

Widzę, że Jack podziela moje obawy.

Trąca mnie łokciem i wskazuje na mały pagórek pokryty zaroślami. Obok siebie wśród kępek martwej trawy siedzą mężczyzna i kobieta. Ciemności częściowo rozprasza stojąca między nimi niewielka lampa naftowa. Postanawiamy podejść do nich.

Tak poznajemy Tyberiusza i Cherrah.

Na wzgórzu siedzi potężnie zbudowany Murzyn w hawajskiej koszuli włożonej na gruby podkoszulek z długimi rękawami. Ręce trzyma na kolanach. Towarzyszy mu drobna Indianka z podniszczonym nożem traperskim w dłoni. Wygląda na to, że rzadko się z nim rozstaje.

– Dobry wieczór! – wołam na powitanie.

– Co? – rzuca kobieta. – Nigdy nie macie dość, trepy? Jeszcze wam mało?

Długie ostrze noża groźnie błyska w świetle lampy.

Razem z Jackiem spoglądamy po sobie nawzajem. Co mamy odpowiedzieć? Nagle olbrzym uspokajającym gestem kładzie dłoń na ramieniu kobiety i mówi tubalnym głosem:

– Zachowuj się, Cherrah. Ci ludzie nie są z wojska. Mają inne mundury. Nie widzisz?

– Jeden pies. – Kobieta nie daje się udobruchać.

– Przysiądźcie się do nas i odpocznijcie – zaprasza mężczyzna.

Siadamy i słuchamy ich opowieści. Tyberiusz Abdullah i Cherrah Ridge spotkali się podczas ucieczki z Albany. On pochodzi z Erytrei – Rogu Afryki – i był taksówkarzem. Ona była mechanikiem. Razem z czterema braćmi pracowała w zakładzie blacharskim swojego ojca. Kiedy roboty zaatakowały, Tyberiusz właśnie odbierał samochód z warsztatu. Po pierwszej wzmiance nie wspomina już więcej o braciach ani o ojcu chudej kobiety.

Tyberiusz opowiada, a Cherrah siedzi w milczeniu. Jej twarz niczego nie zdradza, ale bystrym wzrokiem obrzuca najpierw mnie, a potem mojego brata. Odwraca się i spogląda w dal. Muszę mieć na nią oko.

Popijamy z termosu Tyberiusza, kiedy w oddali zaczyna migotać para reflektorów. Nie wiem, skąd w dłoniach Cherrah nagle pojawia się karabin. Tyberiusz odbezpiecza pistolet, który właśnie wyciągnął zza paska spodni od dresu. Jack przykręca knot lampy naftowej. Wygląda na to, że samochód zabójca przeskoczył przez balustradę i dotarł aż tutaj.

Przez jakiś czas patrzę na zbliżający się pojazd, zanim dostrzegam, że Cherrah mierzy z karabinu w ciemność za naszymi plecami.

Ktoś zbliża się do nas bardzo szybko. Słyszę głośne sapanie, ciężkie odgłosy kroków, a potem pojawia się sylwetka mężczyzny. Niezgrabnie wspina się po pagórku. W pewnej chwili potyka się i ląduje na ziemi.

– Stój! – krzyczy Cherrah.

Mężczyzna zastyga bez ruchu, a potem podnosi się i powili podchodzi do nas. To żołnierz z Fortu Bandon. Chudy biały mężczyzna z długą szyją i niesforną szopą włosów koloru słomy. Nie widziałem go wcześniej, ale kiedy się odzywa, natychmiast rozpoznaję jego głos.

– O, to wy. Yyy, cześć – mówi. – Jestem Carl Lewandowski.

Od brzegu rzeki dobiegają nas krzyki, które po chwili rozpływają się w powietrzu. Okryte kocami postacie biegają między przyćmionym żarem ognisk. Para reflektorów pędzi prosto w naszą stronę przez sam środek obozu.

– Zauważyłem z wieży, że uciekł z bazy – stęka Carl, nadal z trudem łapiąc dech. – Przyszedłem was ostrzec.

– Miło z twojej strony, Carl – mamroczę, rozcierając potłuczone żebra.

Jack przyklęka na jedno kolano i przeładowuje karabin. Mruży oczy, ale na razie tylko przygląda się całemu zamieszaniu.

– Humvee – mówi po chwili. – Opancerzony. Nie zatrzymamy go, nie ma mowy.

– Możemy mu przestrzelić koła – mówi Cherrah, z trzaskiem odciągając zamek i zaglądając do komory karabinu, żeby sprawdzić, czy nabój jest na swoim miejscu.

Carl spogląda na dziewczynę.

– Dziewczyno, humvee mają kuloodporne opony. Radzę ci, celuj najpierw w reflektory, a potem w czujniki na dachu. To jego oczy i uszy.

– Jak one wyglądają? – pyta Jack.

Carl wyciąga swój karabin, sprawdza magazynek i jednocześnie tłumaczy:

– Czarna kula, a na niej antena. Zestaw wieloczujnikowy z matrycą typu CCD wspomaganą dalmierzem na podczerwień, a wszystko razem zamontowane na wysięgniku stabilizowanym żyroskopowo. Między innymi.

Wszyscy marszczymy brwi, niepewni, czy dobrze słyszymy. Carl obrzuca nas zdziwionym spojrzeniem. Po chwili wyjaśnia:

– Przepraszam, skrzywienie zawodowe. Jestem inżynierem.

Humvee pędzi przez sam środek masy śpiących ludzi. Towarzyszą mu nieopisane odgłosy. Zabarwione na czerwono reflektory skręcają się w naszą stronę. Są coraz większe.

– Słyszeliście, co mówi. Celujcie w czarną skrzynkę, jeżeli dobrze widzicie – instruuje Jack.

Wkrótce w ciemnościach rozlega się terkot wystrzałów. Dłonie Cherrah poruszają się szybko i płynnie wzdłuż lufy samopowtarzalnego karabinu, który precyzyjnie wypluwa kulę za kulą w podskakujący pojazd.

Reflektory pękają na kawałki. Pojazd zbacza z drogi, ale po drodze taranuje kolejne grupy ludzi. Z czarnej skrzynki na dachu lecą iskry

krzesane przez trafiające w nią kule. Mimo to pojazd nie przestaje się do nas zbliżać.

– Coś jest nie tak – mówi Jack i chwyta Carla za mundur. – Dlaczego to bydlę nie oślepło?

– Nie wiem! Nie mam pojęcia! – jęczy Carl.

Dobre pytanie.

Przestaję strzelać i unoszę głowę. Staram się wygłuszyć krzyki i jęki, nie zwracam uwagi na biegające dookoła sylwetki i ogólny bałagan. Wyciszam się. Rozjechane ogniska, roztrącane ciała i wyjący silnik humvee znikają za zasłoną skupienia.

Dlaczego samochód nadal nas widzi?

Z chaosu udaje mi się wychwycić charakterystyczny odgłos. Dyskretny warkot przypomina pracujący silnik kosiarki do trawy. Dopiero teraz widzę unoszącą się w powietrzu nad nami jakąś rozmazaną sylwetkę.

A więc pojazd ma jeszcze jeden komplet oczu.

Poobijany humvee wynurza się z ciemności jak morski potwór wypływający na powierzchnię z czarnych odmętów.

Rozpraszamy się, gdy pojazd, orząc ziemię, nieubłaganie zbliża się do naszego wzgórza.

– Latający robot na jedenastej! Tuż za linią drzew! – krzyczę.

Jak na komendę podnoszą się lufy karabinów, w tym moja. Humvee mija nas i rozjeżdża ognisko dziesięć metrów od nas. Żar z kaskady płomieni pada mu na maskę jak u meteoru podczas przejścia przez atmosferę. Pojazd zawraca, żeby spróbować
jeszcze raz.

Błysk ognia z luf. Strumień mosiężnych pocisków przecina powietrze. Po chwili coś eksploduje, zasypując ziemię niewielkimi fragmentami plastiku.

– Chowajcie się! – woła Jack.

W ryku silnika humvee ginie jęk spadającej z nieba gwiazdy. Z głuchym łoskotem opancerzony pojazd pędzi po kopcu, na którym stoimy. W podmuchu powietrza, jaki wzbudza mijający nas pojazd, wyczuwam zapach stopionego plastiku, prochu i krwi.

Nagle samochód wytraca prędkość i zatrzymuje się tuż za wzgórzem. Oddala się od nas, zrywami rusza naprzód, a potem przystaje jak ślepiec po omacku poszukujący ścieżki w dół.

Udało się. Na jakiś czas mamy spokój.

Potężne ramię obejmuje mnie i ściska tak mocno, że na chwilę obie moje łopatki stykają się razem.

– Teraz jest ślepy jak kret – cieszy się Tyberiusz. – Masz sokoli wzrok, Cormac.

– Za chwilę będzie ich więcej. Co robimy? – pyta Carl.

– Zostajemy tu, żeby bronić ludzi – stwierdza Jack, jakby to była najbardziej oczywista rzecz pod słońcem.

– Ty chyba na głowę upadłeś – mówię. – A może wcale nie chcą, żeby ich ktoś chronił? Poza tym siedzimy obok największego arsenału w stanie. Moim zdaniem powinniśmy uciekać ku wzgórzom i tam rozbić obóz.

Cherrah prycha.

– Może masz lepszy pomysł? – pytam.

– Obóz to rozwiązanie na krótką metę. Gdzie wolałbyś być? Gdzieś w jaskini, codziennie polować na jedzenie i mieć nadzieję, że coś znajdziesz, czy w miejscu, w którym możesz liczyć na innych ludzi?

– No pewnie. A dla rozrywki bałagan i kradzieże – dodaję ironicznie.

– Mówię o czymś mniejszym. O bezpiecznym miejscu. O Gray Horse.

– Co to jest? – pyta Jack.

– Miejscowość, w której znalazło schronienie kilka tysięcy ludzi, przeważnie ze szczepu Osage. Tak jak ja.

– No nie, indiański rezerwat – jęczę. – Głód, choroby, śmierć. Przepraszam, ale ja się na coś takiego nie piszę.

– Wszystko dlatego, że masz narąbane w głowie – odcina się Cherrah. – W Gray Horse wszystko jest dobrze zorganizowane. Działa rząd. Są rolnicy. Spawacze. Lekarze.

– Super! – nie daję za wygraną. – Jeżeli tylko są spawacze, idę w ciemno.

Indianka obrzuca mnie nienawistnym spojrzeniem.

– I więzienia. Tak na wszelki wypadek.

– Specjalizacja – mówi Jack. – Dziewczyna ma rację. Gdzieś musimy się przegrupować i zaplanować kontratak. Gdzie to jest?

– W Oklahomie.

Znów daję wyraz swojemu niezadowoleniu.

– To przecież milion kilometrów stąd!

– Wychowałam się tam i dobrze znam drogę.

– Skąd wiesz, czy tam jeszcze ktoś żyje?

– Ludzie mi o tym mówili. Mają tam obóz i armię. – Cherrah obrzuca Carla pogardliwym spojrzeniem. – Prawdziwą armię.

Kręcę głową, wciąż nieprzekonany.

– Nie mam ochoty włóczyć się po całej Ameryce, bo ktoś uznał, że to świetny pomysł. Lepiej działajmy sami.

Cherrah chwyta mnie za kurtkę i przyciąga do siebie. Zaskoczony upuszczam karabin na ziemię. Jest drobna, ale bardzo silna. Właśnie się o tym przekonałem.

– Dzięki twojemu bratu mam szanse przeżyć – syczy dziewczyna. – W przeciwieństwie do ciebie wie, co robi, i jest w tym dobry. Więc może

byś się zamknął i zastanowił, zanim się odezwiesz?! Wyglądasz na dość rozgarniętego. Chcesz przeżyć? W takim razie wybór nasuwa się sam.

Gniewna twarz Cherrah znajduje się bardzo blisko mojej. Na jej czarnych włosach lądują drobiny popiołu z obozowych ognisk, ale ona nie zwraca na to uwagi. Przeszywa mnie nieprzyjaznym spojrzeniem. Ta drobna kobieta chce się uratować i jest dla mnie jasne, że dopnie swego.

Twarda sztuka. Da sobie radę.

Nie mogę się oprzeć i uśmiecham się.

– Przeżyć? – pytam. – Teraz mówisz jak człowiek. Tak mi tu dobrze, że moglibyśmy stać razem bez końca.

Rozluźnia uchwyt i odpycha mnie.

– Chciałbyś, spryciarzu – prycha z pogardą.

Zaskakuje mnie wybuch tubalnego śmiechu. Tyberiusz, a właściwie zarys jego sylwetki w ciemnościach, zarzuca sobie na plecy marynarski worek. Płomienie ognisk odbijają się od jego białych zębów.

– W takim razie wszystko postanowione – mówi. – Pięć osób w sam raz wystarczy na drużynę. Zniszczyliśmy humvee i uratowaliśmy parę osób. Teraz ruszamy w drogę do Gray Horse.

Nasza piątka stała się zalążkiem oddziału Spryciarza. Tamtej nocy rozpoczęliśmy daleką podróż do Gray Horse. Nie byliśmy jeszcze dobrze uzbrojeni ani wyszkoleni, ale mieliśmy szczęście – podczas kilku miesięcy po godzinie zero Archos był zajęty przetwarzaniem danych około czterech miliardów ludzi zamieszkujących najgęściej zaludnione aglomeracje świata.

Minęło ponad pół roku, zanim wyszliśmy z lasów, zaprawieni w bojach i zmęczeni. Gdy wędrowaliśmy, na świecie rozgrywały się kolejne ważne wydarzenia, które miały zmienić bieg nowej wojny.

CORMAC WALLACE GHA#217

ROZDZIAŁ 4
Poczucie obowiązku

„Jeżeli chłopak mnie tu zostawia na pewną śmierć,
chcę, żeby przynajmniej zapamiętał moją twarz”.

Marcus Johnson

NOWA WOJNA + 7 MIESIĘCY

Podczas wędrówki przez kraj nie mieliśmy pojęcia, że w największych miastach świata coraz lepiej uzbrojone roboty masowo mordowały ludzi. Późniejsze doniesienia mieszkańców Chin mówią o tym, że w omawianych czasach można było przejść piechotą przez rzekę Jang-
cy – tak wiele ciał niosła do Morza Wschodniochińskiego.

Mimo to pewne grupy ludzi przystosowały się do życia w nieustannej walce. Wysiłki miejskich plemion, opisane na poniższych stronach przez nowojorczyków Marcusa i Dawn Johnson, ostatecznie okazały się decydującym czynnikiem w walce o przetrwanie ludzi na całym świecie.

CORMAC WALLACE GHA#217

Alarm uaktywnia się o świcie. Nic specjalnego, tylko kilka związanych ze sobą puszek po jedzeniu hałasuje na popękanym chodniku.

Otwieram oczy i wychodzę ze śpiwora. Dużo czasu zabiera mi zorientowanie się, gdzie jestem. Nad sobą widzę elementy tylnego zawieszenia samochodu, tłumik i rurę wydechową.

Na razie wszystko w porządku.

Już od roku każdą noc spędzam w kraterach pod samochodami i jeszcze się do tego nie przyzwyczaiłem. Ale to bez znaczenia. Jestem w świetnej formie.

Mniej więcej przez trzy sekundy leżę i nasłuchuję. Najlepiej nie wyskakiwać z łóżka za wcześnie. Nigdy nie wiem, jakie draństwo zaczaiło się na mnie w nocy. W zeszłym roku pojawiły się nowe modele robotów – zarówno mniejszych, jak i większych – o wiele większych – od tych, z którymi mieliśmy wcześniej do czynienia.

Wychodząc ze śpiwora, uderzam się w głowę. Mimo to kryjówka się sprawdziła. Ta kupa złomu to mój najlepszy przyjaciel. Ulice Nowego Jorku są wręcz usiane wypalonymi wrakami samochodów, więc pachołki Archosa nie mogą sprawdzić każdego.

Wyczołguję się spod samochodu, sięgam pod niego, wyciągam i zakładam brudny plecak. Potem składam śpiwór. Odkasłuję i spluwam na ziemię. Słońce niedawno wstało, ale o tej porze jest jeszcze chłodno. Lato dopiero się zaczyna.

Znów słyszę brzęk puszek. Przyklękam i rozwiązuję linę, zanim mikrofony robotów zdążą zarejestrować hałas. Najważniejsze to zachowywać ciszę, przemieszczać się nieustannie z miejsca na miejsce i być nieprzewidywalnym.

W przeciwnym razie można łatwo stracić życie.

Poczucie obowiązku. Spośród setek tysięcy mieszkańców miasta, którzy schronili się w lasach, mniej więcej połowa umiera śmiercią głodową. Ledwo trzymając się na nogach, wracają do miasta wychudzeni i brudni. Uciekają przed wilkami i spodziewają się, że tu łatwiej im będzie przeżyć.

Przeważnie dość szybko stają się ofiarami maszyn.

Zarzucam kaptur na głowę i pozwalam mojemu czarnemu trenczowi unosić się na wietrze, by zmylić automatyczne systemy naprowadzające,

zwłaszcza przeklęte samobieżne wieżyczki wartownicze. O wilku mowa. Muszę zejść im z oczu. Daję nurka do zniszczonego budynku i przemykam przez śmieci i gruzy do źródła alarmu.

Gdy wysadziliśmy w powietrze połowę miasta, zwykłe stare roboty domowe nie mogły się już do nas dobrać. Zapewniliśmy sobie bezpieczeństwo na tyle długo, by zorganizować schrony pod ziemią i w ruinach budynków.

Ale wtedy pojawiły się nowe modele automatów.

Największy z nich ma cztery wielosegmentowe odnóża o długości mniej więcej słupów telegraficznych, wykonane z jakiejś odmiany włókna węglowego o strukturze wielokomorowej. Zakończone są stopami przypominającymi odwrócone ostrza czekanów, które za każdym krokiem wgryzają się w grunt. Z tułowia wyrasta jeszcze para krótszych ramion z dwoma ogromnymi szponami. Może nimi niszczyć drewno, suchy tynk i cegłę. Najczęściej porusza się w pozycji gigantycznego owada, skulony i przygarbiony, nie większy od małego pikapa. Dlatego nazwaliśmy go modliszką.

W każdym razie bardzo ją przypomina.

Gdy omijam puste biurka na zrujnowanym piętrze biurowca, wyczuwam charakterystyczne wibracje gruntu. Coś ogromnego czai się na zewnątrz. Zamieram bez ruchu, a potem przykucam na zawalonej śmieciami podłodze. Nad napęczniałym od wody blatem biurka przyglądam się oknom. Dostrzegam przemykający szary cień, ale nie widzę niczego innego.

Na wszelki wypadek nie ruszam się prawie przez minutę.

Niedaleko stąd rozgrywają się znajome sceny. Pozostały przy życiu człowiek znalazł podejrzany stos kamieni, których maszyna nigdy by nie zauważyła. Obok nich jest linka z puszkami. Wiem, że dziesięć minut temu

ten ktoś jeszcze żył. Ale nie ma gwarancji, że przeżyje następne dziesięć minut.

W zawalonej części budynku przeskakuję przez pogruchotane kantówki i resztki cegieł ku półksiężycowi szarej poświaty ranka. Wysuwam głowę w kapturze przez dziurę i uważnie przyglądam się temu, co dzieje się na ulicy.

Postawiony przez nas znak stoi nienaruszony na ganku po drugiej stronie ulicy. Obok kuli się człowiek. Obejmuje rękami kolana i siedzi ze spuszczoną głową. Kołysze się tam i z powrotem na piętach. Może chce się ogrzać?

Znak zdaje egzamin, bo maszyny nie zwracają uwagi na pewne naturalne rzeczy, takie jak kamienie i drzewa. To ich słaby punkt. Modliszka świetnie dostrzega rzeczy nienaturalne, takie jak słowa i rysunki, a nawet takie drobiazgi jak wesołe twarze. Niezakamuflowane druty-pułapki nie sprawdzają się. Linie są zbyt regularne. Pozostawienie na ścianie instrukcji, jak dotrzeć do bezpiecznej kryjówki, to dobry sposób, żeby przyprawić ludzi o śmierć. Ale sterty gruzu są niewidzialne. Podobnie jak stosy gruzów ułożone od największego do najmniejszego.

Wydostaję się z dziury i podchodzę do faceta, zanim ten zdąży spojrzeć w górę.

– Hej – szepczę, trącając go w kolano.

Obrzuca mnie zaskoczonym spojrzeniem. To młody Latynos, może mieć ze dwadzieścia kilka lat. Poznaję, że płakał. Bóg jeden wie, co przeżył, zanim się tu dostał.

– Wszystko okej – uspokajam go. – Znajdziemy ci bezpieczne schronienie. Chodź ze mną.

Kiwa głową, ale nic nie mówi. Opiera się o fragment muru i wstaje. Jedną rękę ma owiniętą brudnym ręcznikiem i przytrzymuje ją drugą.

Domyślam się, że jest ciężko ranny.

– Nie martw się, zaraz ktoś cię opatrzy.

Chłopak wzdryga się, słysząc te słowa. Nie tego się spodziewałem. Dziwne, jak obrażenia mogą wprawiać człowieka w zakłopotanie. Zupełnie jakby to była wasza wina, że oko, ręka albo stopa nie działają tak, jak powinny. Tylko że obrażenia nawet w połowie nie są tak krępujące jak bycie martwym.

Prowadzę go z powrotem do zawalonego budynku po drugiej stronie ulicy. Kiedy już wejdziemy do środka, modliszka nic nam nie zrobi. Moi ludzie mieszkają przeważnie w tunelach metra i w przejściach podziemnych z zablokowanymi głównymi wejściami. Przebywanie na otwartej przestrzeni jest zbyt niebezpieczne.

– Jak masz na imię? – pytam.

Mężczyzna nie odpowiada, tylko spuszcza głowę.

– Nieważne. Chodź.

Znów chronimy się w ruinach. Bezimienny chłopak kuśtyka za mną. Razem wędrujemy przez wnętrza zniszczonych budynków, wspinamy się na kopce gruzów i pełzniemy w cieniu niepewnie stojących ścian. Wreszcie docieramy do względnie bezpiecznej ulicy. Im dłużej idziemy, tym bardziej milczenie staje się nienaturalne.

Po plecach przebiegają mi ciarki, gdy idę pustą ulicą i zdaję sobie sprawę, że boję się martwych oczu chłopaka, który idzie za mną bez słowa.

Ile zmian można w życiu przeżyć, zanim wszystko straci znaczenie? Życie tylko dla samego życia nie ma żadnej wartości. Ludzie potrzebują w nim sensu tak samo jak powietrza.

Dzięki Bogu, mam jeszcze Dawn.

Przypominam sobie jej piwne oczy, gdy nagle zauważam na końcu ulicy szarozielony słup telegraficzny przechylony pod dziwnym kątem. Słup

zgina się w środku i przemieszcza. Dopiero wtedy poznaję nogę ogromnego robota. Jeżeli tu zostaniemy, za trzydzieści sekund zginiemy.

– Właź do środka! – syczę, popychając chłopaka ku otworowi okiennemu.

To modliszka czai się, przykucnięta na czterech odnóżach. Jej pozbawiona rysów głowa w kształcie kuli obraca się szybko, a potem się zatrzymuje. Długie czułki maszyny drżą. Rusza ku nam, zaostrzonymi stopami wcina się w gruz i w chodnik jak ster łodzi w wodę. Z tułowia zwisają jej gotowe do działania szpony. Światło odbija się od niezliczonych zadziorów pokrywających wszystkie kończyny.

Zdumiony chłopak gapi się na automat.

Szarpię go i wpycham przez okno, a potem daję nurka za nim. Podnosimy się i biegniemy po spleśniałym dywanie. Kilka sekund później prostokąt dziennego światła za nami zasłania cień. Przez futrynę wciska się uzbrojona w pazury łapa i wyrywa część ściany. Po chwili wkracza do akcji druga, podobna. Tam i z powrotem, tam i z powrotem. Zupełnie jak uderzenie tornada.

Mamy szczęście, że to jedna z naszych kryjówek. Poznaję, bo została dość dobrze przygotowana. Fasada jest poważnie zniszczona, ale w środku da się przeżyć. My, nowojorczycy, starannie odrabiamy zadania domowe. Kieruję chłopaka ku stosowi pustaków i dziurze w ścianie, przez którą przedostajemy się do przyległego budynku.

– To nasze dzieło – mówię, wpychając chłopaka do otworu.

Idzie niepewnie przed siebie, jak zombie.

Za sobą słyszę odgłos rozrywanego dywanu i pękających mebli. Modliszce jakoś udało się wcisnąć przez otwór okienny. Teraz pełznie przez budynek, zrywając ze ścian poplamione płytki ceramiczne jak konfetti. Słychać chrzęst metalu, gdy bierze zamach uzbrojonymi w pazury łapami.

Uciekamy do kolejnej dziury w ścianie.

Zatrzymuję się i pomagam chłopakowi przeczołgać się po zwałach prętów zbrojeniowych i betonu. Przejście to po prostu czarna dziura szeroka zaledwie na kilkadziesiąt centymetrów, która przechodzi na wylot przez wykonane z piaskowca fundamenty obu budynków. Mam nadzieję, że mury spowolnią potwora.

Chłopak znika w środku. Idzie powoli, osłania ranną rękę. Wchodzę za nim. Ogarniają nas klaustrofobiczne ciemności. W pobliżu wejścia stalowe pręty zbrojeniowe sterczą jak zardzewiałe groty. Słyszę, jak modliszka zbliża się do nas, niszcząc wszystko na drodze.

Nagle robi się cicho.

W korytarzu jest ciasno, więc nie mogę odwrócić głowy i zobaczyć, co dzieje się za mną. Widzę tylko podeszwy butów pełznącego chłopaka. Wdech, wydech. Skoncentruj się. Coś uderza w otwór na tyle mocno, że może zniszczyć kawałek litej skały. Po tym następuje kolejny zgrzyt i trzask przenikający do szpiku kości. W poszukiwaniu ofiar modliszka przegryza się przez betonową ścianę do piaskowca. Hałas robi się ogłuszający.

Wszystko wokół mnie zmienia się w hałaśliwą ciemność wypełnioną pyłem.

– Dawaj, dawaj! Dalej! – krzyczę.

Sekundę później chłopaka nie ma. Dotarł do drugiego końca tunelu. Uśmiecham się i przyspieszam. Z impetem wypadam z dziury, spadam z wysokości mniej więcej metra, po czym krzyczę z zaskoczenia i bólu.

Pręt zbrojeniowy przebił mi prawą łydkę.

Leżę na brzuchu i podpieram się kolanami. Noga nadal tkwi w dziurze. Z rumowiska jak krzywy ząb sterczy pręt zbrojeniowy, na który nadziałem nogę. Chłopak stoi kilka kroków dalej. Ma ten sam beznamiętny wyraz

twarzy. Z drżeniem biorę oddech, ale wydechowi towarzyszy już zwierzęcy okrzyk bólu.

Krzyk zwraca na mnie uwagę chłopaka.

– Nie widzisz? Pomóż mi! – krzyczę.

Chłopak odwraca się ku mnie. W jego wcześniej martwych brązowych oczach zaczyna malować się życie.

– Pośpiesz się! – proszę go. – Za chwilę będzie tu modliszka.

Próbuję się podnieść, ale jestem za słaby, a ból za bardzo daje mi się we znaki. Łokcie boleśnie zagłębiają się w rumowisko. Mimo to udaje mi się unieść głowę. Próbuję wyjaśnić chłopakowi:

– Musisz mi wyciągnąć pręt z nogi albo wyrwij go ze ściany. Jedno albo drugie, człowieku. Byle szybko!

Chłopak stoi bez ruchu. Usta mu drżą. Mam wrażenie, że za chwilę się rozpłacze. Ja to mam pecha.

Z tunelu słyszę charakterystyczne odgłosy kucia. Każde uderzenie usuwa kolejne warstwy kamienia i cegieł. W rozpadającej się dziurze pojawia się chmura pyłu. Każde uderzenie modliszki wprawia w drżenie skały i pręt zbrojeniowy, na który nadziałem nogę.

– No rusz się, człowieku, potrzebuję cię! Musisz mi pomóc.

Po raz pierwszy chłopak przemawia.

– Przepraszam – mówi do mnie.

Cholera. No to po zawodach. Chcę go opieprzyć, tego tchórza. Chcę mu coś zrobić, ale jestem za słaby. Ostatkiem sił unoszę głowę, żeby przynajmniej widział moją twarz. Napinam szyję i cały drżę. Jeżeli chłopak mnie tu zostawia na pewną śmierć, chcę, żeby przynajmniej zapamiętał moją twarz.

Nie spuszcza ze mnie oka i unosi zranioną rękę. Zaczyna odwijać ręcznik, którym ją okrywa.

– Co ty...

Nieruchomieję. Chłopak nie jest ranny. Po prostu nie ma ręki.

Jego przedramię kończy się plątaniną drutów wiodących do naoliwionego fragmentu metalu z dwoma skrzyżowanymi ostrzami. Wyglądają jak nożyce przemysłowe do cięcia metalu. Narzędzie łączy się bezpośrednio z jego ramieniem. Na moich oczach ścięgno w jego przedramieniu zaczyna rozsuwać ostrza.

– Jestem chimerą – wyjaśnia. – W obozach pracy przymusowej robią z nami takie rzeczy.

Nie wiem, co o tym myśleć. Opuszczają mnie resztki sił. Spuszczam głowę i patrzę w sufit.

Ciach.

Mam wolną nogę. Nadal tkwi w niej błyszczący, równo ucięty koniec pręta zbrojeniowego. Na szczęście jestem wolny.

Chłopak pomaga mi wstać. Obejmuje mnie zdrowym ramieniem. Uciekamy i nie oglądamy się za siebie. Pięć minut później znajdujemy zakamuflowane wejście do dawnego korytarza metra. Znikamy. Najszybciej, jak potrafimy, uciekamy opuszczonym torowiskiem.

Wymykamy się modliszce.

– Jak to się stało? – pytam, wskazując głową na jego ramię.

– Obóz pracy przymusowej. Ludzie idą na operację i wracają inni. Byłem jednym z pierwszych, dlatego to dość prosta modyfikacja. Tylko ramię. Ale innym nie poszło tak łatwo. Od autodoktora wracali bez oczu, bez nóg. Archos eksperymentuje ze skórą, z mięśniami, z mózgiem.

– Jesteś sam? – pytam.

– Spotkałem kilku innych, ale nie chcieli... – Spogląda na swoją okaleczoną rękę z twarzą bez wyrazu. – Jestem teraz taki jak maszyny.

Przez tę rękę nie może znaleźć żadnych przyjaciół. Zastanawiam się, ile razy go odrzucano, od jak dawna jest sam.

Nic dziwnego, że czuje przygnębienie. Poznaję po tym, jak się garbi. Każdy oddech wydaje się walką. Już wcześniej widywałem takie rzeczy. Nie tylko jest ranny, ale i stracił wszelką nadzieję.

– Ciężko znieść samotność – mówię. – Zaczynasz się zastanawiać, po co to wszystko. Rozumiesz?

Chłopak nie odpowiada.

– Ale tutaj są inni ludzie. Ruch oporu. Nie jesteś już sam. Masz cel.

– Co ty wygadujesz? – pyta.

– Przeżyjesz, pomożesz nam.

– Nie jestem nawet...

Unosi rękę do góry, a w oczach błyszczą mu łzy. Ważne, żeby zrozumiał. Jeżeli nie – umrze.

Obejmuję chłopaka i mówię mu prosto w twarz:

– Urodziłeś się człowiekiem i umrzesz jako człowiek. Nieważne, co ci zrobili. Ani co robią innym. Rozumiesz?

Na dole w tunelach panuje spokój i ciemność. Jest bezpiecznie.

– Rozumiem – odpowiada.

Obejmuję go, krzywiąc się z bólu. Przeklęty pręt.

– To dobrze – mówię. – Teraz idziemy. Wrócimy do domu i coś zjemy. Popatrz mnie. Domyśliłbyś się, że mam piękną żonę? A widzisz. Najpiękniejsza kobieta na świecie. I mówię ci, jeżeli naprawdę ładnie ją poprosisz, ugotuje ci taką potrawkę, że palce lizać.

Ludzie potrzebują sensu w życiu tak samo jak powietrza. Na szczęście możemy za darmo nadawać sens życiu innych ludzi. To nic nie kosztuje. Wystarczy, że żyjemy.

W nadchodzących miesiącach w Nowym Jorku zaczęło się pojawiać coraz więcej zmodyfikowanych ludzi. Bez względu na to, jak potraktował ich Archos, nowojorski ruch oporu przyjmował wszystkich. Bez tej bezpiecznej przystani i braku uprzedzeń trudno przypuszczać, by zbrojne grupy ludzi, w tym oddział Spryciarza, mogły zdobyć i wykorzystać niewiarygodnie potężną tajną broń: czternastoletnią Mathildę Perez.

CORMAC WALLACE GHA#217

ROZDZIAŁ 5
Zagadka

„Gdzie twoja siostra, Nolan? Gdzie jest Mathilda?”

Laura Perez

NOWA WOJNA + 10 MIESIĘCY

W drodze do Gray Horse natrafiliśmy na rannego włoskiego żołnierza imieniem Leonardo. Zaopiekowaliśmy się nim, a on odwzajemnił nam się opowieścią o pośpiesznie budowanych obozach pracy przymusowej na obrzeżach większych miast. Oddziały robotów od samego początku nie dysponowały przewagą liczebną, więc grożąc ludziom śmiercią, zapędzały ich do tych obiektów.

Poniżej znajduje się zapis przeżyć Laury Perez, byłej senator, w jednym z takich miejsc. Spośród uwięzionych milionów niewielu udało się uciec. Jednak byli tacy, którzy uciec musieli.

CORMAC WALLACE GHA#217

Stoję w błocie na otwartym terenie. Jestem sama.

Nie wiem, gdzie jestem, i nie pamiętam, jak się tu dostałam. Ręce mam pokryte bliznami i wychudzone do kości. Mam na sobie podarty i poplamiony niebieski kombinezon w niewiele lepszym stanie niż łachmany żebraka.

Kulę się z zimna. Ogarnia mnie paniczny strach. Wiem, że brakuje mi czegoś ważnego. Coś zostawiłam. Nie wiem, co to jest, ale to boli. Mam wrażenie, że serce owija mi kawałek drutu kolczastego, który stopniowo się zaciska.

Nagle sobie przypominam.

– Nie! – jęczę.

Krzyk wyrywa się prosto z moich wnętrzności.

– Nie!

Krzyczę z całych sił. W słonecznym świetle poranka widzę kropelki śliny. Rozglądam się wokół siebie, ale jestem sama. Zupełnie sama.

Mathilda i Nolan. Moje dzieci. Nie ma ich przy mnie.

Coś błyska od strony lasu. Instynktownie się cofam. Nagle orientuję się, że to tylko lusterko. Z gęstwiny wychodzi człowiek ubrany w strój maskujący i zbliża się do mnie. Oszołomiona idę ku niemu przez zarośnięte wysoką trawą pole. Przystaję, gdy dzieli nas dwadzieścia kroków.

– Cześć – mówi. – Skąd idziesz?

– Nie mam pojęcia – mówię. – Gdzie teraz jestem?

– Na przedmieściach Nowego Jorku. Pamiętasz, co się z tobą stało?

– Niewiele.

– Sprawdź, czy nie masz jakichś guzów na ciele.

– Co?

– Sprawdź, czy nie masz guzów na jakiejś części ciała. Czegoś, czego nie powinno tam być.

Zdezorientowana dotykam swojego ciała, nie opuszczam ani jednego centymetra kwadratowego. Obmacuję każde żebro po kolei. Nic nie ma sensu. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie śnię, czy nie jestem nieprzytomna lub martwa. Nagle coś wyczuwam – guz na górnej części uda. Prawdopodobnie to jedyna umięśniona część mojego ciała.

– Mam coś na nodze – mówię.

Mężczyzna zaczyna się wycofywać w stronę drzew.

– Poczekaj. Dokąd idziesz? – pytam.

– Przykro mi, ale to znaczy, że masz pluskwę. Archos cię podsłuchuje. O kilka kilometrów stąd znajduje się obóz pracy dla ludzi. Używają cię jako przynęty. Nie próbuj iść za mną. Przepraszam.

Znika w zaroślach. Osłaniam twarz jedną ręką i spoglądam za nim.

– Zaczekaj! Gdzie jest ten obóz? Jak go znajdę?

Od strony lasu dobiega mnie słabnący głos.

– Scarsdale. Osiem kilometrów na północ. Idź tak, jak prowadzi droga. Słońce powinnaś mieć z prawej strony. Uważaj.

Mężczyzna znika i znów zostaję sama.

Widzę ślady własnych stóp w błotnistej trawie od północy. Domyślam się, że polana to w rzeczywistości zarastająca droga, o której przypomniała sobie przyroda. Nadal obejmuję się chudymi jak szczapy ramionami. Siłą woli opuszczam ręce. Jestem słaba i ranna. Moje drżące ciało chce upaść i poddać się.

Ale nie pozwolę na to.

Muszę wrócić po dzieci.

Guz przemieszcza się, kiedy go dotykam. Po chwili znajduję niewielkie nacięcie na skórze, przez które musieli mi coś wsunąć. Ale rana znajduje się wyżej, w górnej części nogi, w pobliżu biodra. Cokolwiek to jest, porusza się. A przynajmniej może się poruszać, jeżeli chce.

Pluskwa. Nieznajomy mężczyzna nazwał to pluskwą. Parskam śmiechem, zastanawiając się, jak dosłownie powinnam potraktować ten opis.

Okazuje się, że dość dosłownie.

Wracają do mnie strzępki wspomnień. Niewyraźne obrazy czysto zamiecionego chodnika, dużego metalowego budynku. Z wyglądu

przypomina pełen świateł hangar samolotowy. Kolejny budynek z piętrowymi pryczami sięgającymi aż do sufitu. Nie pamiętam, jak wyglądają oni, to znaczy strażnicy więzienni. Jednak nie przemęczam zbytnio pamięci.

Po półtoragodzinnym nieprzerwanym marszu zauważam w oddali fragment uporządkowanego terenu, z którego gdzieniegdzie unoszą się w niebo smugi dymu. Światło słoneczne odbija się od powierzchni dużego metalowego dachu i ogrodzenia z metalowej siatki. To musi być to. Obóz pracy.

Dziwne uczucie w nodze przypomina mi, że noszę w sobie pluskwę. Mężczyzna nie chciał mi pomóc właśnie z jej powodu. Pewnie miał rację. Pluskwa podpowiada maszynom, gdzie jestem, żeby mogły schwytać i zabić innych ludzi.

Mam nadzieję, że maszyny nie spodziewają się mojego powrotu.

Obserwuję guzek tętniący pod skórą, a w brzuchu wzbierają mi nudności. Nie ma mowy, nie dam rady iść dalej z tym draństwem w nodze. Muszę coś z tym zrobić.

Wiem, że będzie bolało.

Dwa płaskie kamienie i jeden długi pas tkaniny oderwany od rękawa. Lewą ręką przyciskam jeden z kamieni do uda tuż poniżej guzka. Pluskwa zaczyna się ruszać, ale zanim zdąży uciec, zamykam oczy i myślę o Mathildzie i Nolanie. Z całej siły uderzam w nią drugim kamieniem. W nodze czuję potężną falę bólu i słyszę chrupnięcie. Uderzam jeszcze trzy razy, a potem przewracam się na ziemię, krzycząc z bólu. Leżę na wznak i ciężko dyszę. Przez łzy patrzę na błękitne niebo.

Dopiero po upływie kilku minut zmuszam się do obejrzenia rany na udzie.

Cokolwiek to jest, wygląda jak spłaszczony metalowy pocisk z kilkudziesięcioma haczykowatymi owadzimi odnóżami. Musiał wydostać się przez skórę po pierwszym trafieniu, bo część jego odwłoku wcisnęła się w stłuczone na miazgę mięśnie. Wycieka z niego jakiś płyn i miesza się z krwią. Dotykam go palcem i zbliżam do nosa. Zapachem przypomina rozpuszczalnik, naftę lub benzynę.

Nie wiem dlaczego, ale cieszę się. Wygląda na to, że miałam sporo szczęścia. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłam w sobie nosić ładunek wybuchowy.

Nie pozwalam sobie na łzy.

Z obrzydzeniem pochylam się i ostrożnie wyciskam pognieciony odwłok spod skóry. Zauważam, że po drugiej stronie znajduje się cylindryczny pojemnik. Nie pękł. Rzucam go na ziemię. Nie rusza się. Wygląda na dwa opakowania miętowych cukierków do odświeżania oddechu z mnóstwem odnóży i dwoma długimi wilgotnymi mackami. Przygryzam dolną wargę i staram się nie krzyczeć, gdy obwiązuję udo paskiem niebieskiej tkaniny.

Potem wstaję i utykając, idę do obozu pracy.

Karabiny wartownicze. Zaczynam sobie przypominać coraz więcej szczegółów. Obóz pracy chronią stanowiska sprzężonych karabinów maszynowych. Szare wypukłości w darni wysuwają się i strzelają do wszystkiego, co znajdzie się w zasięgu ognia.

Obóz Scarsdale.

Rozglądam się po okolicy. Nad łąką gęsto porośniętą kwiatami latają tam i z powrotem owady i ptaki, nie zwracając uwagi na kształty w ubraniach – ciała niedoszłych wyzwolicieli obozu. Roboty nie próbują

w żaden sposób kamuflować tego miejsca. Używają go jako przynęty dla innych ludzi, którzy pozostali przy życiu. Potencjalni wybawiciele nieuchronnie wpadają w zasadzkę, a ich ciała pozostają na polu i rozkładają się. Nawóz dla kwiatów.

Tych, którzy ciężko pracują i przestrzegają regulaminu, maszyny żywią, ogrzewają i utrzymują przy życiu. Ludzie uczą się nie zwracać uwagi na ostry terkot karabinów. Zmuszają się do tego, by zapomnieć, co znaczy ten odgłos. Szukając marchewki, przestają zwracać uwagę na kij.

Z jednej strony obozu widzę ruchomy brązowy szereg. To grupa ludzi prowadzonych do obozu. Nie waham się ani chwili. Omijam stanowiska karabinów i dołączam do nich.

Dwadzieścia minut później widzę opancerzony sześciokołowy pojazd poruszający się trochę szybciej niż piechur. Na szczycie korpusu ma wieżyczkę – a więc to pojazd wojskowy. Podchodzę do niego z rękami uniesionymi do góry i cofam się, gdy wieżyczka obraca się szybko i namierza mnie.

– Dołącz do grupy. Nie zatrzymuj się. Nie zbliżaj się do pojazdu. W przeciwnym razie otworzę ogień – odzywa się generowany komputerowo głos z wieżyczki.

Nieregularna kolejka uchodźców podąża chwiejnym krokiem obok pojazdu. Niektórzy niosą walizki lub plecaki, lecz większość z nich ma tylko ubranie. Bóg jeden wie, jak długo maszerowali. I jak duża była grupa, gdy wyruszała w drogę.

Kilka osób obrzuca mnie zmęczonymi spojrzeniami.

Z rękami uniesionymi do góry i nie spuszczając wzroku z wieżyczki, mieszam się z tłumem. Pięć minut później dołączają do mnie dwaj mężczyźni – jeden w eleganckim garniturze pochlapanym błotem i drugi

ubrany w poncho. Idziemy razem dość wolno. Po jakimś czasie znajdujemy się dość daleko za pojazdem wojskowym.

– Skąd pani jest? – pyta mężczyzna w garniturze.

Gapię się prosto przed siebie.

– Z miejsca, do którego idziemy – odpowiadam.

– A co to jest? – dopytuje się.

– Obóz pracy.

– Obóz pracy? – woła chłopak w poncho. – To znaczy obóz koncentracyjny?

Chłopak w poncho przypatruje się polom. Spuszcza wzrok ze strzegącego nas pojazdu i wpatruje się w pobliską kępę wysokiej trawy. Mężczyzna w garniturze kładzie dłoń na ramieniu kolegi.

– Daj spokój. Nie pamiętasz, co się stało z Wesem?

Na te słowa chłopak milknie.

– Jak pani stąd wyszła? – pyta facet w garniturze.

Patrzę na nogę. Na górnej części nogawki mojego kombinezonu rośnie ciemna plama zaschłej krwi. Nie trzeba słów. Wzrok mężczyzny podąża za moim spojrzeniem. Zaczyna rozumieć.

– Naprawdę potrzebują nas do pracy? – pyta Poncho. – Dlaczego? Nie lepiej użyć maszyn?

– Jesteśmy dla nich tanią siłą roboczą – wyjaśniam. – Mniej kosztujemy niż wybudowanie nowych maszyn.

– Niezupełnie – mówi biznesmen. – Trzeba nas karmić, a to oznacza koszty.

– W miastach pozostały duże zapasy żywności – mówię. – Biorąc pod uwagę spadek liczby ludności, jestem pewna, że mogą sprawić, że wystarczą na wiele lat.

– Super – mówi Poncho. – Po prostu zajebiście.

Zauważam, że pojazd opancerzony zwolnił. Wieżyczka bezgłośnie odwraca się w naszą stronę. Przestaję mówić. Ci ludzie to nie mój cel. Moim celem są dziewięciolatek i dwunastolatka, czekające na swoją matkę.

Dalej idę już sama.

Oddzielam się od grupy na stanowisku przyjęć do obozu. Kilka połatanych miśków stoi przy wejściu i odtwarza nagrane wcześniej polecenia. Ludzie wykonują je, rzucając na jeden stos ubrania i walizki. Pamiętam wszystko: prysznic, kombinezon, przydział pryczy, przydział pracy. A na końcu każdy dostaje swój znacznik.

Mam go jeszcze.

Mały nadajnik wielkości ziarenka ryżu wszczepiono mi głęboko w mięśnie prawego ramienia. Po wejściu do obozu wszyscy oddają swój dobytek, a ja po prostu odchodzę. Po otwartym terenie idę ku dużemu metalowemu budynkowi. W ślad za mną podąża jeden z robotów. Jednak mój znacznik identyfikuje mnie jako osobę uleg-
łą. W przeciwnym razie maszyna skręciłaby mi kark gołymi łapami. Nie takie rzeczy widziałam.

Wygląda na to, że detektory obozowe rozpoznają mój znacznik, bo nie słyszę żadnych alarmów. Dzięki Bogu, że nie wprowadziły mojego numeru na czarną listę, gdy porzuciły mnie w polu. Misiek cofa się, gdy okrążam obóz i zbliżam się do hali ze stanowiskami roboczymi.

Gdy tylko wchodzę do środka, światło na ścianie zaczyna błyskać. Nie powinnam tu być. Nie zaplanowano dla mnie na dzisiaj żadnych zadań. A może w ogóle już nie mam żadnego przydziału?

Jednak zanosi się na to, że misiek po mnie wróci.

Uważnie rozglądam się dookoła. To miejsce pamiętam najlepiej. Starannie zamieciona betonowa podłoga pod ogromnym metalowym dachem o długości boiska do piłki nożnej. Gdy na zewnątrz pada deszcz, ma się wrażenie, że zebrana w środku widownia cicho klaszcze. Rzędy jarzeniówek wiszą nad taśmami produkcyjnymi zamontowanymi na wysokości pasa. Ciągną się aż po przeciwległy koniec hali. Pracuje tu kilkaset osób ubranych w niebieskie kombinezony i w papierowe maski chroniące twarz. Wyciągają z pojemników części i montują je do elementów znajdujących się na taśmie, które następnie wędrują do kolejnych stanowisk.

Linia produkcyjna.

Błyskawicznie podbiegam do taśmy w miejscu, w którym kiedyś pracowałam. Patrzę, co dzisiaj montują, i poznaję charakterystyczny kształt pajączków. Z wyglądu przypominają duże czworonożne modliszki, ale mają rozmiary małego psa. Nie wiedzieliśmy, co to jest, dopóki pewnego dnia nowy więzień, włoski żołnierz, nie powiedział nam, że te rzeczy – pajączki – podwiesza się pod brzuch modliszki, a ta w razie potrzeby opuszcza je na pole walki. Mówił, że w zepsutych urządzeniach można zmienić oprogramowanie i wykorzystywać je jako sprzęt ratowniczy. Powiedział też, że ludzie używają ich niekiedy jako chwytaków do wyciągarek.

Drzwi, przez które przed chwilą weszłam do hali, rozsuwają się. Do środka wchodzi misiek. Wszyscy ludzie zamierają w bezruchu. Taśma produkcyjna przystaje. Nikt nie rusza mi na pomoc. Ludzie stoją w bezruchu, milcząc jak niebieskie posągi. Nawet się nie trudzę, żeby zawołać o pomoc. Wiem, że gdybym była na ich miejscu, zachowałabym się tak samo.

Misiek zamyka za sobą drzwi. W ogromnej hali słychać szczęk, gdy centralnie sterowane rygle wszystkich drzwi zatrzaskują się. Znalazłam się tu w pułapce bez wyjścia. Zaraz zginę.

Ciężko dysząc, biegnę wzdłuż linii produkcyjnej. Czuję pulsujący ból nogi. Robot kieruje się prosto w moją stronę. Bez słowa stawia miarowe kroki, jeżeli nie liczyć cichego chrzęstu silników. Przemieszczając się wzdłuż linii produkcyjnej, widzę, jak pajączki z małych czarnych skrzynek przeradzają się w prawie gotowe maszyny.

Na drugim końcu długiego budynku docieram do drzwi prowadzących do sypialni. Szarpię je, ale bez skutku. Są wykonane z grubej stali i przed chwilą zostały zaryglowane. Odwracam się szybko i opieram plecami o drzwi. Setki ludzi obserwują mnie, trzymając w rękach narzędzia. Niektórzy są ciekawi, lecz większość się niecierpliwi. Im ciężej pracują, tym szybciej mija dzień. A ja im w tym przeszkadzam. W sumie nic niezwykłego. Wkrótce robot mnie udusi, usunie ciało, a ludzie wrócą do tego, co im pozostało z życia.

Mathilda i Nolan znajdują się za drzwiami. Potrzebują mnie, ale ja za chwilę zginę na oczach wszystkich złamanych ludzi w papierowych maskach.

Przyklękam. Prawie zupełnie opadłam z sił. Przyciskając czoło do zimnego betonowego chodnika, słyszę tylko miarowe rzężenie siłowników robota, który zmierza ku mnie. Padam z wyczerpania. Śmierć będzie wybawieniem, przyniesie mi ulgę. Co za ulga móc wreszcie zasnąć.

Moje ciało kłamie. Muszę przezwyciężyć ból i znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji.

Odgarniam włosy z czoła i desperacko rozglądam się po hali. Wpada mi do głowy pewien pomysł. Z ukłuciem bólu w krwawiącym udzie podnoszę się i zataczam wzdłuż linii montażowej. Obmacuję po kolei pajączki.

Szukam takiego, który będzie na właściwym etapie produkcji. Ludzie, do których się zbliżam, odsuwają się ode mnie.

Od robota dzieli mnie zaledwie kilka kroków, gdy wreszcie znajduję idealną maszynę. Urządzenie ma cztery wrzecionowate odnóża sterczące z brzucha o rozmiarach imbryka. Zasilacz już założono, lecz centralną jednostkę sterującą montuje się o kilka stanowisk dalej. Z otwartej jamy na plecach urządzenia sterczą odizolowane druty gotowe do połączenia.

Chwytam pajączka i odwracam się. Misiek jest już przy mnie z wyciągniętymi łapami. Cofając się, tracę i odzyskuję równowagę, a potem kuśtykam ku stalowym drzwiom. Drżącymi dłońmi prostuję po kolei nogi maszyny i przyciskam jej brzuch do drzwi. Ciężki kawałek metalu o mało nie wyślizguje mi się z lewej ręki. Prawą sięgam na plecy pajączka i zwieram ze sobą przewody.

Odruchowo pajączek ściąga haczykowate odnóża ku sobie. Ze skręcającym wnętrzności piskiem wpija się w drzwi i przedziera się pazurami przez metal. Puszczam urządzenie, które z brzękiem pada na ziemię. Ale teraz trzyma w łapach piętnastocentymetrowy kawałek stali wydarty z drzwi. Tam gdzie były klamka u drzwi i zamek, zieje teraz dziura. Ręce zwisają mi bezwładnie wzdłuż tułowia. Są zupełnie bezużyteczne. Robot dochodzi do mnie. Rozcapierza palce, chcąc mnie chwycić.

Jednym kopnięciem zdrowej nogi otwieram uszkodzone drzwi.

Po drugiej stronie wpatrują się we mnie przerażone oczy. Sypialnia jest pełna starych kobiet i dzieci. Drewniane prycze sięgają aż do sufitu.

Daję nura do środka, zatrzaskuję za sobą drzwi i napieram na nie plecami. Misiek próbuje je otworzyć, na szczęście dla mnie jego stopy ślizgają się po wysprzątanej cementowej podłodze, więc nie może ich od razu otworzyć.

– Mathilda! – krzyczę. – Nolan!

Ludzie odwracają się i patrzą na mnie. Maszyny znają mój numer identyfikacyjny. Wytropią mnie, gdziekolwiek pójdę, i nie spoczną, dopóki mnie nie zabiją. Teraz mam jedyną szansę na uratowanie swojej rodziny.

Nagle dostrzegam syna. Mój mały aniołek stoi przede mną ze zmierzwionymi, brudnymi czarnymi włosami.

– Nolan! – krzyczę.

Biegnie do mnie, a ja porywam go na ręce i przytulam. Popychane przez robota drzwi uderzają mnie w plecy. Pewnie zaraz inne przyjdą mu z pomocą.

Obejmując dłońmi delikatną twarzyczkę Nolana, pytam go:

– Gdzie twoja siostra, Nolan? Gdzie jest Mathilda?

– Zrobili jej krzywdę, po tym jak poszłaś.

Dla Nolana pokonuję strach.

– Bardzo mi przykro, najdroższy. Gdzie ona teraz jest? Zaprowadź mnie do niej.

Nolan nic nie mówi, tylko pokazuje drogę.

Z Nolanem na ręku przepycham się przez tłum ludzi i biegnę korytarzem do szpitala. Za mną kilka starszych kobiet spokojnie opiera się o drzwi. Nie mam czasu, żeby im podziękować, ale zapamiętuję ich twarze. Pomodlę się za nie.

Nigdy wcześniej nie byłam w tym długim drewnianym pomieszczeniu. Wąskie przejście w środku od mniejszych sal oddzielają zasłony. Idąc, zrywam je po kolei, desperacko pragnąc znaleźć córkę. Każde szarpnięcie ujawnia jakiś nowy przerażający widok, lecz mój mózg niczego nie rejestruje. Teraz potrafię rozpoznać tylko jedną rzecz. Tylko jedną małą twarzyczkę.

Po chwili poznaję ją.

Moja córka leży na wózku na kółkach, a nad jej głową unosi się potwór – robot chirurgiczny zamontowany na metalowym wysięgniku z kilkunastoma plastikowymi ramionami. Każde z nich jest owinięte sterylnym papierem i każde z nich kończy się innym narzędziem: skalpelem, hakiem, kolbą do lutowania i innymi przedmiotami, których nie poznaję. Całość porusza się szybko i precyzyjnie, jak pająk tkający swoją sieć. Maszyna pracuje w pobliżu twarzy Mathildy i nie przerywa ani na chwilę. Wydaje się nie zauważać mojej obecności.

– Nie! – krzyczę.

Stawiam Nolana na podłodze i chwytam za podstawę maszyny. Z całej siły unoszę ją i odsuwam znad twarzy córki. Zdezorientowane urządzenie podnosi ramiona w górę. W ułamku sekundy odpycham wózek nogą i odsuwam ciało Mathildy od maszyny. Rana w mojej nodze musiała się otworzyć, bo czuję strużkę ciepłej krwi płynącą ku łydce.

Misiek musi być już blisko.

Pochylam się nad wózkiem i patrzę na córkę. Coś jest straszliwie nie tak. Jej oczy. Jej piękne zielone oczy. Nie ma ich.

– Mathildo? – pytam.

– Mamusia? – mówi, uśmiechając się.

– Kochanie, jak się czujesz?

– Myślę, że dobrze – odpowiada, marszcząc brwi na widok mojej twarzy. – Tylko z moimi oczami dzieje się coś dziwnego. Co się stało?

Drżącymi palcami dotyka matowego czarnego metalu, który teraz wypełnia jej oczodoły.

– Czy nic cię nie boli? Czy widzisz? – pytam.

– Tak, widzę. Widzę różne rzeczy od środka – mówi Mathilda.

Mój żołądek ściska przerażenie. Przybyłam za późno. Roboty zdążyły skrzywdzić moją małą dziewczynkę.

– Co widzisz, kochanie?

– Widzę to, co maszyny mają w środku – odpowiada.

Dotarcie do granic obozu zajmuje tylko kilka minut. Podsadzam Mathildę i Nolana, pomagając im pokonać ogrodzenie. Ma wysokość około półtora metra, a więc nie stanowi zbyt trudnej przeszkody. To część przynęty do niedoszłych wybawicieli przychodzących z zewnątrz. Prawdziwe zabezpieczenie stanowią czające się na zewnątrz, na łące, automatyczne karabiny wartownicze.

– Chodź, mamusiu – popędza mnie Mathilda bezpieczna po drugiej stronie.

Ale moja noga krwawi coraz mocniej. Ciepła ciecz zaczyna mi chlupać w bucie. Po wysiłku ostatnich kilkudziesięciu minut jestem zbyt wyczerpana. Nie mogę się ruszyć. Resztkami sił staram się zachować świadomość. Uczepiona siatki ogrodzenia po raz ostatni spoglądam na moje dzieci.

– Zawsze będę was kochać, nieważne, co się zdarzy.

– Co ty mówisz, mamo? Chodź wreszcie. Proszę cię! – woła.

Moje pole widzenia stopniowo się zawęża. Teraz patrzę na świat przez dwa małe otwory wielkości szpilek. Reszta to ciemność.

– Weź Nolana i uciekajcie, Mathildo.

– Mamusiu, nie mogę. Tu są karabiny. Widzę je.

– Skoncentruj się, najdroższa. Masz teraz wyjątkowy dar. Zobacz, gdzie są, gdzie mogą strzelać, i znajdź bezpieczną drogę. Weź Nolana za rękę i nie puszczaj go.

– Mamusiu! – krzyczy Nolan.

Wyłączam wszystkie uczucia. Nie mam innego wyjścia. Słyszę pojękiwanie silników pajączków, których stado zbliża się do mnie od strony baraku. Zawisam na ogrodzeniu. Skądś znajduję siłę, by krzyczeć.

– Mathildo Rose Perez! Nie czas na sprzeczki! Weź swojego brata i idźcie. Uciekajcie. Nie zatrzymujcie się, dopóki nie znajdziecie się bardzo daleko stąd. Słyszycie? Uciekajcie natychmiast albo będę na was bardzo zła.

Mathilda cofa się, słysząc mój głos. Z wahaniem robi pierwszy krok. Czuję, że serce mi pęka. Uczucie odrętwienia promieniuje z mojej piersi, gasi wszystkie myśli. Przezwycięża nawet strach.

Moja córka zaciska usta. Jej brwi układają się w znajomą zmarszczkę nad upiornymi implantami z metalu.

– Nolan – mówi. – Masz się mnie trzymać za rękę, okej? I nie puszczaj. Teraz pobiegniemy najszybciej, jak potrafimy!

Nolan kiwa głową i bierze siostrę za rękę.

Moi mali żołnierze. Oby przeżyli.

– Kocham cię, mamusiu – mówi Mathilda.

Po chwili tracę oboje dzieci z oczu.

Nie natrafiłem na żadne inne zapisy dotyczące Laury Perez. Mathilda Perez to jednak zupełnie inna historia.

CORMAC WALLACE GHA#217

ROZDZIAŁ 6
Band-e Amir

„To chyba nie jest broń, co?”

Paul Blanton

NOWA WOJNA + 10 MIESIĘCY

W Afganistanie Paul Blanton nie tylko przetrwał nadejście godziny zero – znalazł się wręcz w swoim żywiole. Jak opisano w poniższych wspomnieniach, odkrył bardzo ważny artefakt, który odwrócił losy nowej wojny, co więcej, Blanton dokonał tego, walcząc o przetrwanie w niewiarygodnie nieprzyjaznym środowisku.

Trudno stwierdzić, czy młody tłumacz miał szczęście, okazał bystrość umysłu czy jedno i drugie. Osobiście uważam, że każda osoba spokrewniona z Lonnie Wayne’em Blantonem już w połowie zasługuje na miano bohatera.

CORMAC WALLACE GHA#217

Razem z Jabarem leżymy plackiem na górskiej grani i przez lornetki rozglądamy się po okolicy.

Dochodzi dziesiąta rano. Pora sucha w Afganistanie. Pół godziny temu wykryliśmy wymianę informacji między awtomatami. Pojedynczy pakiet danych, prawdopodobnie przekazany do naziemnego robota zwiadowcy. Nie można jednak wykluczyć, że do uzbrojonego czołgu albo czegoś jeszcze gorszego. Razem z Jabarem postanowiliśmy okopać się tutaj i poczekać na to, co przyjdzie.

Misja samobójcza? Jak najbardziej.

Po godzinie zero miejscowi nawet na chwilę nie obdarzyli mnie zaufaniem. Jabarowi i mnie nie wolno zbliżać się do głównych obozowisk. Większość afgańskich cywilów ukrywa się w jaskiniach w prowincji Bamiyan. Prawdziwe zabytki, w mordę jeża. Jacyś zdesperowani ludzie wykuli je w ścianach gór i od tysiąca lat ich potomkowie właśnie tam uciekają, kiedy tylko wybuchnie jakaś wojna domowa, przyjdzie głód, epidemia albo zaatakuje wróg.

Technologia się zmienia, ale ludzie zostają tacy sami.

Starzy, zrzędliwi mężczyźni z brodami Świętych Mikołajów i krzaczastymi brwiami zasiedli wokół ogniska, popijali herbatę i pokrzykiwali na siebie. Zastanawiali się, dlaczego samoloty bezzałogowe upatrzyły sobie akurat to miejsce. Żeby się dowiedzieć, wysłali nas na zwiady. To kara dla Jabara. Na szczęście nie zapominał, że uratowałem mu życie podczas godziny zero. Dobry z niego chłopak. Z brodą u niego nie najlepiej, ale co to szkodzi.

Miejsce, do którego nas wysłali, Band-e Amir, jest tak piękne, że aż oczy bolą. Błękitne jak niebo jeziora wciśnięte pomiędzy brązowe góry, a jakby tego było mało, ich brzegi są obramowane różowymi wapiennymi urwiskami. Jesteśmy tak wysoko i powietrze jest tak rozrzedzone, że kręci nam się w głowach. Przysięgam, że światło robi tutaj ze wszystkimi przedmiotami tak dziwne rzeczy, że nie uświadczycie ich gdzie indziej. Cienie są zbyt krótkie. Szczegóły są zbyt ostre. Zupełnie jak na obcej planecie.

Jabar pierwszy zauważa maszynę i trąca mnie łokciem.

Dwunożny awtomat idzie po wąskiej drodze gruntowej ponad półtora kilometra od nas. Wybiera rzadziej porośnięte tereny. Z tej odległości mogę tylko przypuszczać, że był kiedyś robotem typu SAP. Prawdopodobnie Hoplita, sądząc po wzroście i lekkości chodu. Ale trudno powiedzieć.

Ostatnio maszyny się zmieniają. Na przykład ten dwunożny na dole ma zupełnie inną obudowę. Jest wykonana z jakiegoś włóknistego materiału w kolorze skał. Rzuca długi cień. Porusza się ze stałą prędkością ośmiu kilometrów na godzinę, jak czołg po piaskowej pustyni.

– Czy to żołnierz? – pyta Jabar.

– Nie mam pojęcia. Nie znam nowych modeli – odpowiadam.

Razem z Jabarem decydujemy się śledzić go.

Czekamy, aż dojdzie do granic naszego pola obserwacji. Kiedy kierowałem oddziałem SAP-ów, za pomocą samolotu bezzałogowego mieliśmy podgląd obszaru bezpośrednio otaczającego każdą maszynę. Cieszę się, że znam procedurę, więc możemy trzymać się tuż poza zasięgiem jego kamer. Na szczęście awtomaty, jeżeli nie muszą, nie nadkładają drogi. Pokonują dystans w linii prostej albo po łatwych ścieżkach. Dzięki temu są bardziej przewidywalne i łatwiej je wytropić.

Idziemy wzdłuż grani w tym samym kierunku co robot. Wkrótce słońce zaczyna nam się dawać we znaki, ale brudne bawełniane galabije dobrze wchłaniają pot. W sumie dość miło przespacerować się trochę z Jabarem. Taki ogrom przestrzeni sprawia, że człowiek czuje się bardzo mały i bardzo szybko zaczyna mu dokuczać samotność.

Razem z Jabarem pokonujemy skalisty teren tylko z plecakami i długimi podobnymi do biczów antenami. Anteny mają około dwóch i pół metra długości i są zrobione z grubego czarnego plastiku. Dygoczą za każdym naszym krokiem. Ktoś musiał je wymontować z jakiejś maszyny albo z czegoś innego w ciągu poprzednich pięćdziesięciu lat wojny. Za pomocą anten możemy podsłuchiwać kontakty awtomatów między sobą drogą radiową i obliczyć ich przypuszczalne położenie. W ten sposób śledzimy ich ruchy i wysyłamy ostrzeżenia naszym ludziom. Szkoda, że nie wiemy, jakie informacje sobie przekazują. Nie mamy szans na

rozpracowanie ich systemów szyfrowania wiadomości, mimo to warto mieć jakieś pojęcie, gdzie czai się wróg.

Nasze szaty pomagają nam wtopić się w skalne tło, ale zwykle idziemy w odległości przynajmniej siedmiuset metrów od siebie. Dzięki temu łatwiej określić kierunek, z którego nadchodzą komunikaty. Poza tym, gdyby któregoś z nas trafił pocisk, drugi będzie miał czas ukryć się lub uciec.

Po pięciu albo sześciu godzinach śledzenia dwunoga rozchodzimy się i dokonujemy ostatniego odczytu tego dnia. Trwa dość długo. Siadam owinięty szatami, wystawiam antenę do góry i zakładam słuchawki, żeby nasłuchiwać charakterystycznych trzasków. Komputer zapisuje do specjalnego pliku czas odczytu i siłę sygnału. Jabar robi to samo kilkaset metrów dalej. Za chwilę porównamy odczyty i na ich podstawie obliczymy przybliżony kierunek źródła sygnału.

Siedząc tutaj w pełnym słońcu, mam dość czasu, żeby pomyśleć o tym, co się stało. Kiedyś odwiedziłem starą bazę, w której stacjonował mój oddział. Teraz zmieniła się w rumowisko, po którym hula wiatr. Wszędzie wala się zardzewiały, porzucony sprzęt. Nie ma do czego wracać.

Po półgodzinie siedzenia po turecku i podziwianiu zachodu słońca słyszę impuls. Światełko mruga – wymiana danych została zarejestrowana. Mrugam pękniętym lusterkiem do Jabara, a on mi odpowiada. Na ten znak zaczynamy wędrować z powrotem ku sobie.

Wygląda na to, że dwunożny awtomat pokonał tylko następny grzbiet i zrobił sobie przerwę. Maszyny nie potrzebują snu, więc cholera wie, co tam jest. Nie mógł nas wyczuć, bo nic nie zasypuje nas gradem kul. Gdy robi się ciemno, ziemia wypromieniowuje nagromadzone w czasie dnia ciepło ku niebu. Ciepło to nasz jedyny kamuflaż i bez niego nie mamy

wyboru – musimy siedzieć w jednym miejscu. Wyciągamy śpiwory i przygotowujemy się do noclegu.

Leżymy obok siebie w ciemnościach. Chłód robi się coraz bardziej dokuczliwy. Nad naszymi głowami otwiera się otchłań nieba. Widzę więcej gwiazd niż ciemnej przestrzeni.

– Paul – mówi mi na ucho Jabar. – Coś mi nie daje spokoju. Ten awto wydaje mi się jakiś inny.

– To zmodyfikowana jednostka SAP. Kiedyś mieliśmy ich jak mrówek. Sam pracowałem z kilkunastoma.

– Pamiętam. Pokojowo nastawione maszyny, którym nagle wyrosły kły. Ale ten nie jest zrobiony z metalu. Poza tym w ogóle nie był uzbrojony.

– I to ci nie daje spokoju? Że był nieuzbrojony?

– Ten jest inny. A wszystko, co jest inne, jest złe.

Wpatruję się w niebo, słucham pogwizdywania wiatru między skałami i myślę o miliardach cząstek powietrza, które zderzają się ze sobą nad moją głową. Tyle możliwości. Cały straszliwy potencjał wszechświata.

– Awtomaty się zmieniają – mówię wreszcie. – Jeżeli „inny” rzeczywiście znaczy „zły”, to zanosi się na bardo trudną przeprawę.

Nie mieliśmy pojęcia, jak wiele zmian zaszło w tym czasie na świecie.

Następnego ranka razem z Jabarem spakowaliśmy się i po skalnym rumowisku wspięliśmy się na następny grzbiet. Po drugiej stronie zobaczyliśmy kolejne jezioro, którego lazurowe wody omywały biały kamienny brzeg.

Band-e Amir było kiedyś parkiem narodowym, ale przecież jesteśmy w Afganistanie. To oznacza, że żaden napis na tabliczce z brązu nie powstrzymywał miejscowych od łowienia tu ryb za pomocą dynamitu.

Niezbyt przyjazne podejście, ale i mnie zdarzyło się w Oklahomie używać linki z kilkoma haczykami. Jednak mimo dynamitu, nieszczelnych zbiorników na benzynę motorówek i ścieków jeziora w Band-e Amir przetrwały próbę czasu.

Przeżyły miejscową ludność.

– Awtomat szedł tędy – mówię, spoglądając w dół po skalistym stoku.

Postrzępione ciemnoszare głazy mają rozmiary od piłki do koszykówki do stołu. Niektóre są stabilne, lecz większość z nich zsuwa się po najlżejszym dotknięciu.

– Dasz radę? – pytam Jabara.

Kiwa głową i poklepuje się jedną ręką po zakurzonym bucie z cholewą. Z zapasów armii amerykańskiej. Pewnie ludzie z jego plemienia zabrali je z mojej bazy. I tak się to wszystko kręci.

– Świetne buty, Jabar. Skąd je masz?

Chłopak tylko się do mnie uśmiecha. Najbardziej wymizerowany nastolatek na świecie.

– No to idziemy – mówię, ostrożnie przechodząc na drugą stronę grani.

Kamienie są tak niestabilne, a zbocze tak strome, że musimy schodzić zwróceni twarzami do pochyłości, podpierając się spoconymi dłońmi, i uważnie sprawdzać grunt przed każdym krokiem.

Dobrze, że postanowiliśmy schodzić tyłem.

Po trzydziestu minutach znajdujemy się zaledwie w połowie drogi. Ostrożnie lawiruję przez skalne rumowisko. Nogą kopię skały, by sprawdzić, czy się ruszają, gdy powyżej nas słyszę kilka spadających kamieni. Obydwaj zastygamy bez ruchu. Unosimy głowy i przyglądamy się szarej skalnej ścianie.

Nic.

– Coś tu idzie – szepcze mi na ucho Jabar.

– Ruszamy – mówię, przyspieszając kroku.

Z szeroko otwartymi oczami obaj schodzimy po niestabilnym rumowisku. Z góry słyszymy stukot coraz większej ilości zsuwających się kamieni. Za każdym razem przystajemy i przyglądamy się, czy coś się nie rusza. Nie udaje nam się niczego zauważyć.

Wygląda na to, że coś niewidzialnego schodzi po pochyłości naszym śladem. Jeżeli rzeczywiście tak jest, najwyraźniej nie spieszy się, porusza bardzo cicho i dobrze się ukrywa. Mój mózg wyczuwa niebezpieczeństwo i pompuje w ciało adrenalinę. Ostrzega przed zbliżającym się drapieżnikiem. Podpowiada: „Uciekaj wreszcie, do cholery!”.

Ale jeżeli ruszę się chociaż trochę szybciej, spadnę i zginę w lawinie zimnych kamieni.

Teraz na drżących nogach zsuwam się ze zbocza. Widzę, że czeka nas jeszcze przynajmniej pół godziny wędrówki, zanim dotrzemy na dno doliny. Cholera, to za długo. Potykam się i rozcinam kolano o skałę. W ostatniej chwili udaje mi się zdusić w ustach przekleństwo.

W tej samej chwili słyszę niski, zwierzęcy jęk.

To Jabar. Chłopak przykucnął na skałach trzy metry nade mną. Nie rusza się. Oczy ma utkwione w czymś powyżej nas. Myślę, że nawet nie wie, że jęknął.

Ja jeszcze niczego nie widzę.

– Co jest, Jabar? Co tam jest?

– *Koh peshak* – syczy.

– Co mówisz? Co tam jest?

– Yyy, po waszemu to będzie... irbis.

– Irbis? Jebana pantera śnieżna? To one żyją w tych stronach?

– Myśleliśmy, że już ich nie ma.

– Wyginęły?

– A jednak nie.

Z wysiłkiem ponownie skupiam wzrok na skałach nad nami. Wreszcie kątem oka dostrzegam machnięcie ogonem i zakamuflowany drapieżnik wynurza się z ukrycia. Para srebrzystych oczu obserwuje mnie. Pantera już wie, że ją zauważyliśmy. Zaczyna ku nam pędzić po niestabilnych skałach. Potężne mięśnie drżą przy każdym lądowaniu. Spokojna, zdeterminowana śmierć zbliża się do nas.

Rozpaczliwie chwytam karabin.

Jabar odwraca się i ześlizguje ku mnie, jęcząc w panice. Ale jest za późno. Pantera nagle znajduje się kilka kroków od niego. Ląduje na przednich łapach, wyciągając długi krzaczasty ogon jako przeciwwagę. Szeroki, płaski pysk marszczy się, odsłania białe kły, a z gardła drapieżnika wydobywa się groźny pomruk. Kot chwyta Jabara od tyłu i podrywa jego ciało w górę.

Wreszcie udaje mi się unieść karabin. Mierzę wysoko, żeby nie trafić Jabara. Irbis potrząsa nim tam i z powrotem, a z czeluści jego gardła wydobywa się pomruk przypominający odgłos silnika Diesla pracującego na wolnych obrotach. Gdy trafiam go kulą w bok, zwierzę piszczy i puszcza Jabara. Odwraca się, osłaniając ogonem przednie nogi. Z groźnymi pomrukami szuka tego, co przysporzyło mu tak wiele bólu.

Ciało Jabara bezwładnie opada na stok.

Pantera jest nieziemsko piękna, straszna i jak najbardziej pasuje do tego miejsca. Ale to sprawa naszego życia lub śmierci. Z bólem serca opróżniam magazynek, mierząc we wspaniałe stworzenie. Na cętkowanym futrze pojawiają się czerwone plamy. Olbrzymi kot cofa się, waląc o skały ogonem. Srebrne oczy zamykają się, a krzywy grymas na zawsze zamiera na jego paszczy.

Drętwieją mi palce, gdy ostatnie echa wystrzałów nikną wśród górskich szczytów. Nagle Jabar chwyta mnie za nogę i siada na zboczu. Jęcząc, zdejmuje plecak. Przyklękam na jedno kolano i kładę dłoń na jego ramieniu. Odsuwam mu z szyi galabiję i moim oczom ukazują się dwie długie smugi nabiegłe krwią. Ma płytkie rany na plecach i ramieniu, lecz poza tym nic mu się nie stało.

– Chciał ci zeżreć plecak! Ale miałeś szczęście – mówię do niego.

Jabar nie wie, czy się śmiać, czy płakać. Ja też nie wiem.

Cieszę się, że chłopak żyje. Jego ludzie z miejsca by mnie zastrzelili, gdybym był na tyle głupi i wrócił do obozu bez niego. Na dodatek ma dar zauważania panter, tuż zanim zaatakują. Kto wie, coś takiego może się kiedyś przydać.

– Zjeżdżajmy z tej pieprzonej skały – mówię.

Ale Jabar nie wstaje. Przykuca, nie spuszczając wzroku z pokrwawionego ciała pantery śnieżnej. Brudną ręką dotyka łapy ogromnego kota.

– Co to jest? – pyta.

– Musiałem go zabić, nie rozumiesz? Nie miałem wyboru – odpowiadam.

– Nie o to mi chodzi – wyjaśnia. – Popatrz.

Podchodzi do martwego zwierzęcia i odsuwa na bok ogromną zakrwawioną głowę. Teraz widzę coś, czego nie umiem wytłumaczyć. Nie mam pojęcia, co to może być.

Tuż pod dolną szczęką, wokół szyi dzikiego kota, znajduje się coś w rodzaju popielatej obroży zrobionej z twardego plastiku. Wygląda na dzieło awtomatów. W pewnej chwili rozszerza się do rozmiarów kulki do gry. W tylnej części urządzenia pulsuje małe czerwone światełko.

To chyba nadajnik radiowy.

– Jabar, idź pięćdziesiąt kroków na bok i zainstaluj antenę, a ja zrobię to samo po drugiej stronie i zobaczymy, dokąd idą dane.

Dochodzi wczesne popołudnie. Razem z Jabarem zakopaliśmy kota pod skałami. Opatrzyłem rany na plecach chłopaka. Ani nie pisnął, pewnie speszony swoim wcześniejszym zachowaniem. Nie wie, że sam byłem zbyt przestraszony, żeby krzyczeć. Postanawiam mu o tym nie mówić.

Dzięki naszemu sprzętowi stwierdzamy, że nadajnik na obroży kota przekazuje komunikaty za najbliższe jezioro. Idziemy szybko wzdłuż brzegu, trzymając się twardego podłoża w pobliżu coraz bardziej stromego górskiego zbocza.

Jabar pierwszy dostrzega odciski stóp.

Zmodyfikowany robot klasy SAP znajduje się w pobliżu. Jego ślady wiodą wokół następnego zakrętu, bezpośrednio do miejsca, w którym coś odbiera sygnały radiowe z kociej obroży. Nasze spojrzenia spotykają się – dotarliśmy do miejsca naszego przeznaczenia.

– *Tum ghusti ho*, Paul – mówi Jabar.

– Ty też się trzymaj, stary.

Wychodzimy zza zakrętu i naszym oczom ukazuje się kolejne stadium ewolucyjne awtomatów.

Na pół zanurzony w jeziorze znajduje się największy awtomat, jaki mogę sobie wyobrazić. Z wyglądu przypomina budynek albo olbrzymie sękate drzewo. Odnóża maszyny to kilkadziesiąt metalowych płyt, z których każda ma rozmiary skrzydła bombowca B-52. Pokrywają je mchy, pąkle, winorośle i kwiaty. Niemal niedostrzegalnie falują. Nad nimi unoszą się gromady motyli, ważek i najróżniejszych miejscowych owadów. Górna część korpusu składa się z kilkudziesięciu napiętych lin, które sięgają szczytu wieży. Tylko wprawne oko dostrzeże regularność splotów.

Wieża awtomatu sięga bardzo wysoko. Fraktalne struktury łączą się w organiczną masę kształtów przypominających pokryte korą gałęzie. Tysiące ptaków gnieżdżą się pod ich osłoną. Splątanymi konarami porusza wiatr.

Na dolnych poziomach uwija się kilkadziesiąt dwunożnych awtomatów. Badają inne formy życia. Pochylają się, obserwują, poszturchują i ciągną. Jak ogrodnicy. Każdy z nich zajmuje się innym obszarem. Są zabłocone, mokre i niektóre porasta mech, lecz wcale nie wydaje się im to przeszkadzać.

– To chyba nie jest broń, co?– pytam Jabara.

– Wręcz przeciwnie. Popatrz, tu wszędzie kwitnie życie – odpowiada chłopak.

Zauważam, że najwyższe gałęzie aż jeżą się od czegoś, co przypomina kształtem anteny poruszające się na wietrze jak bambus. Właśnie tam spoczywa jedyna dająca się od razu rozpoznać metalowa konstrukcja – otwarta kopuła w kształcie tunelu aerodynamicznego skierowana na północny wschód.

– Komunikacja kierunkowa za pomocą wiązek promieniowania – mówię, wskazując na konstrukcję. – Prawdopodobnie mikrofale.

– Ciekawe, co to jest – mruczy Jabar.

Przyglądam się bliżej. W każdej niszy i szczelinie ogromnego pełzającego potwora aż roi się od różnych przejawów życia. Woda migocze od składających ikrę ryb. Nad niżej położonymi płatami unoszą się roje owadów, podczas gdy wśród fałdów głównego pnia biegają gryzonie. Cała struktura jest podziurawiona norami, pokryta zwierzęcymi odchodami i tańczy wraz ze światłem słonecznym. Żyje.

– Pewnie coś w rodzaju stacji badawczej. Może tu awtomaty badają żywe istoty. Zwierzęta, owady i ptaki.

– To niedobrze – mruczy Jabar.

– No. Ale skoro zbierają informacje, to muszą je też gdzieś wysyłać, nie?

Jabar z uśmiechem ustawia swoją antenę.

Jedną dłonią osłaniam oczy i zerkam na wysoką lśniącą kolumnę. Mnóstwo danych. Gdziekolwiek idą, założę się, że po drugiej stronie odbiera je jakiś piekielnie inteligentny awtomat.

– Jabar, idź pięćdziesiąt kroków na wschód i zainstaluj antenę. Ja zrobię to samo. Dowiemy, się, gdzie mieszka nasz wróg.

Paul miał rację. Znalezione urządzenie nie było bronią, lecz platformą służącą do badań biologicznych. Ogromną ilość danych przekazywało w jakieś odległe miejsce na Alasce.

Właśnie w tej chwili, po upływie niecałego roku od godziny zero, ludzie odkryli siedzibę Archosa. Powojenne zapisy wskazują, że chociaż Paul i Jabar nie dokonali tego odkrycia jako pierwsi, to jako pierwsi podzielili się tą informacją z resztą ludzkości – dzięki pomocy, jaka przyszła z nieprawdopodobnego źródła oddalonego od nich o pół świata.

CORMAC WALLACE GHA#217

ROZDZIAŁ 7
Kręgosłup

„To nie ja, Arrtrad. Przepraszam, stary”.

Pająk

NOWA WOJNA + 11 MIESIĘCY

Mój oddział, pozbawiony kontaktu ze światem, nadal wędrował przez Stany Zjednoczone ku Gray Horse. Brak łączności satelitarnej uniemożliwiał współpracę i koordynację działań licznym, lecz odizolowanym od siebie grupom ludzi pozostałym przy życiu po godzinie zero. Setki satelitów spadły na ziemię, lecz o wiele więcej pozostało na orbicie – sprawnych, ale zablokowanych.

Nastolatek zwany Pająkiem wykrył źródło sygnału zakłócającego. Jego próba zaradzenia temu wywarła ogromny wpływ na dalsze losy ludzi i Archosa. Na następnych stronach opisuję działania Pająka na podstawie nagrań z ulicznych kamer monitorujących, danych zapisanych przez procesory szkieletów zewnętrznych i częściowo relacji z pierwszej ręki uzyskanej z modułu pamięci samego Archosa.

CORMAC WALLACE GHA#217

– Półtora kilometra, Arrtrad – mówi Pająk. – Bliżej nie będzie. Damy radę.

Na obrazie z kamery do monitoringu widzę Pająka wraz z jego starszym towarzyszem Arrtradem. Stoją na zarośniętej chwastami ulicy nad Tamizą, w miejscu, z którego mogą się dostać biegiem do bezpiecznego schronienia na łodzi mieszkalnej. Z długimi włosami i gęstą brodą Pająk bardziej

przypomina teraz mieszkańca dżungli na Borneo. Arrtrad jak zwykle wygląda na zmartwionego i jak zwykle narzeka.

– Prosto przez Trafalgar Square? – pyta, a jego bladą twarz przecinają zmarszczki niepokoju. – Przecież nas zobaczą. Nie mamy szans. Jeżeli nie wyśledzą nas samochody, to dopadną nas te małe... okropieństwa.

Pająk bezlitośnie naśladuje nosowy głos Arrtrada.

– Musimy ratować ludzi. Przez całe wieki siedzimy w tej łodzi i nic nie robimy. Tere-fere.

Arrtrad spuszcza głowę.

– Kombinowałem – mówi dalej Pająk. – Łamałem sobie głowę, aż wreszcie znalazłem sposób, bracie. Co z tobą? Przycięło ci jaja?

Arrtrad mówi w stronę chodnika:

– Widziałem te samochody. Przez cały czas stoją na ulicach. Raz w miesiącu na dziesięć minut uruchamiają silniki. Wszystkie są gotowe. Tylko czekają na okazję. Na nas.

– Arrtrad, chodź tutaj – komenderuje Pająk. – I popatrz na siebie.

Na ekranie pojawia się panoramiczne ujęcie ulicy, gdy Pająk daje znak ręką Arrtradowi, by stanął przed taflą szkła na prawie nienaruszonym budynku. Farba schodzi z fasady, lecz szyba nie straciła jeszcze niebieskawego odcienia. Arrtrad wykonuje polecenie i obaj przyglądają się własnym odbiciom.

Na ekranie w okienku z danymi uzupełniającymi pojawia się informacja, że miesiąc temu znaleźli szkielety zewnętrzne – najnowocześniejszy sprzęt wojskowy służący do osłony całego ciała. Puste w środku wyglądają jak bezładny stos żylastych rąk i nóg połączonych z plecakiem. W posiadających własne zasilanie maszynach kombinezonach obydwaj mają po ponad dwa metry wzrostu i siłą dorównują niedźwiedziom. Cienkie czarne rurki biegnące wzdłuż rąk i nóg są

wykonane z tytanu. Wspomagane stawy są napędzane miniaturowymi silnikami Diesla. Widzę, że stopy kombinezonów to w rzeczywistości zakrzywione sprężyste kolce, które dodają obu mężczyznom mniej więcej po trzydzieści centymetrów wzrostu.

Pająk uśmiecha się do lustra. Na każdym z przedramion kombinezonu znajduje się karbowany zakrzywiony kolec używany do podnoszenia większych ciężarów, by uchronić palce użytkownika przed przeciążeniem. Każdy ze szkieletów zewnętrznych posiada klatkę bezpieczeństwa otaczającą głowę znajdującej się w środku osoby. Na środku pali się niebieskobiała dioda.

W lustrze Arrtrad i Pająk wyglądają jak żołnierze z filmu *science fiction*. A w rzeczywistości jak dwaj bladzi Anglicy żywiący się sardynkami z puszek, którzy mieli szczęście znaleźć porzucony sprzęt wojskowy.

Tak czy owak, wyglądają zdecydowanie bardzo groźnie.

– Widzisz, Arrtrad? – pyta Pająk. – Jesteś prawdziwą bestią, stary. Jesteś mordercą pierwszej klasy. Zobaczysz, damy radę.

Pająk próbuje poklepać Arrtrada po plecach, lecz ten cofa się przerażony.

– Uważaj! – krzyczy. – Z tyłu nie ma pancerza. Trzymaj swoje haki z daleka ode mnie.

– Nie ma sprawy – chichocze Pająk. – Posłuchaj, do wieży British Telecom zostało nam półtora kilometra. To z niej Archos zagłusza nasze satelity. Gdyby ludzie mogli się ze sobą skontaktować nawet na krótko, mielibyśmy szansę powalczyć.

Arrtrad obrzuca Pająka sceptycznym spojrzeniem.

– Powiedz mi z ręką na sercu, po co ty to robisz? – pyta. – Po co się narażasz? Znaczy – po co nas narażasz?

Przez długą chwilę słychać tylko klekot dwóch silników Diesla pracujących na wolnym biegu.

– Pamiętasz, jak robiliśmy ludziom żarty przez telefon? – pyta Pająk.

– Tak – odpowiada powoli Arrtrad.

– Myśleliśmy wtedy, że jesteśmy inni niż cała reszta. Lepsi. Myśleliśmy, że bawimy się kosztem głupców. Ale nie mieliśmy racji. Okazuje się, że wszyscy jedziemy na jednym wózku. Oczywiście mówiąc w przenośni.

Arrtrad lekko wykrzywia usta w uśmiechu.

– Przecież nie jesteśmy nic nikomu winni. Sam tak powiedziałeś – odpowiada.

– Ale nie miałem racji – wyjaśnia Pająk. – Nie wiedzieliśmy o tym, ale zaciągnęliśmy dług. Jesteśmy im coś winni, stary. Teraz czas to spłacić. Tylko ludzie tacy jak my wiedzą, co się dzieje w tej wieży. Gdyby udało nam się ją zniszczyć, pomożemy tysiącom ludzi. A może nawet milionom.

– I to właśnie im jesteś coś winny?

– Nie uwierzysz, ale tobie też – kontynuuje Pająk. – Żałuję, że nie ostrzegłem mieszkańców miasta. Może by mi nie uwierzyli, ale nigdy wcześniej niczym takim się nie przejmowałem. Boże, sam mogłem wyłączyć ten pieprzony system awaryjnego ostrzegania. Uprzedzić wszystkich przez głośniki. Teraz wszystko to nie ma znaczenia. Najbardziej mi przykro... że nie powiedziałem tobie. Szkoda mi... twoich córek. Wszystkiego.

Na wzmiankę o dzieciach Arrtrad odwraca się od Pająka, przymyka oczy i połyka łzy. Przypatrując się własnemu pokręconemu odbiciu, uwalnia jedną rękę z kombinezonu i odgarnia pasemko blond włosów na łysiejącej głowie. Ramię szkieletu zewnętrznego automatycznie układa się

w spoczynku wzdłuż ciała. Arrtrad wydyma policzki. Głośno wypuszcza powietrze i znów wsuwa rękę w metalową konstrukcję.

– Masz rację – mówi.

– Wiem – mówi Pająk. Potem poklepuje Arrtrada po metalowym ramieniu jednym straszliwym ostrzem. – A poza tym – dodaje – chyba nie chcesz dożyć ze mną późnej starości na tej przeklętej łodzi?

Na szczurzej twarzy Arrtrada z wolna pojawia się uśmiech.

– I tu się nie mylisz.

Ulice w centrum Londynu są w zasadzie puste. Atak przyszedł zbyt szybko i był zbyt dobrze zorganizowany, by większość obywateli mogła na niego zareagować. Zgodnie z przepisami kodeksu drogowego wszystkie dopuszczone do ruchu auta były wyposażone w komputery sterujące mechanizmami unikania kolizji. Również zgodnie z przepisami ludzie nie mieli broni. Ponadto od samego początku roboty miały dostęp do sieci telewizji przemysłowej, co dało im szczegółowy podgląd całej przestrzeni publicznej w mieście.

Mieszkańcy Londynu byli zbyt bezpieczni, by mogli przetrwać.

Zapisy z kamer wskazują, że po godzinie zero zautomatyzowane ciężarówki do wywożenia śmieci przez kilka miesięcy zapełniały ludzkimi zwłokami wysypiska za miastem. Teraz nie ma nikogo, kto mógłby zniszczyć miasto. Nikt z pozostałych przy życiu mieszkańców nie zapuszcza się na ulice. I nikt nie widzi dwóch bladych ludzi – młodego i starszego – okrytych wojskowymi szkieletami zewnętrznymi, gdy sadzą trzymetrowe susy po zarośniętym chwastami chodniku.

Pierwszy atak nadchodzi zaledwie kilka minut po tym, gdy obaj wbiegają na Trafalgar Square. Pełne butwiejących liści i nawianych śmieci

fontanny nie działają. Widać kilka połamanych rowerów, ale to wszystko. Lord Nelson w admiralskimi kapeluszu, na którym siedzą ptaki, spogląda w dół z piętnastometrowej kolumny na dwóch mężczyzn pokonujących plac na sprężynach.

Otwarta przestrzeń nie sprzyja śmiałkom.

Pająk zauważa inteligentny samochód na kilka sekund przed tym, nim ten zdąży potrącić Arrtrada od tyłu. Jednym susem zamyka dzielący ich sześciometrowy dystans i zrównuje się z pędzącym pojazdem, którego karoserię gdzieniegdzie pokrywa mech. W ten sposób natura upomina się o swoje.

Szkoda, że zostało ich jeszcze tak wiele.

Lądując na ziemi, Pająk przykuca i wbija trzydziestocentymetrowe ostrza na przedramionach w drzwi samochodu od strony kierowcy i unosi rękę. Silnik Diesla jęczy. Strumienie pary strzelają ze stawów biodrowego i kolanowego szkieletu zewnętrznego. Cały bok samochodu wędruje w górę. Poruszający się na dwóch prawych kołach samochód zmienia kierunek jazdy, lecz mimo to zaczepia o prawą, zakroczną nogę Arrtrada. Samochód przewraca się i toczy na bok, mimo to Arrtrad potyka się i upada.

Upadek przy prędkości trzydziestu kilometrów na godzinę to poważna sprawa. Na szczęście zewnętrzny szkielet ochronny wie, co dzieje się z człowiekiem w jego wnętrzu. Nie zostawiając Arrtradowi żadnego wyboru w tej dziedzinie, maszyna przyciska mu ręce do ciała i podwija nogi pod klatkę piersiową. Mężczyzna kuli się w pozycji embrionalnej. Klatka bezpieczeństwa działa. W tej pozycji szkielet zewnętrzny przewraca się kilka razy, wpada na hydrant przeciwpożarowy i zatrzymuje się.

Z urwanej głowicy hydrantu nie leje się woda.

Nim Pająk zdąży wylądować obok Arrtrada, niski pulchny blondyn już podnosi się na nogi. Z daleka widać, że uśmiecha się, ciężko dysząc.

– Dzięki – mówi do kolegi.

Na jego zębach widać ślady krwi płynącej z rozciętej wargi, lecz Arrtrad zupełnie się tym nie przejmuje. Wstaje i biegnie dalej. Pająk biegnie za nim, rozglądając się za kolejnymi samochodami. Rzeczywiście pojawiają się nowe, lecz jadą zbyt wolno. Są nieprzygotowane. Nie mogą namierzyć pędzących mężczyzn, którzy błyskawicznie mijają zaułki i parki.

Pająk miał rację: to tylko półtora kilometra.

Na obrazie z kolejnej kamery widzę charakterystyczny walec wieży British Telecom na tle błękitnego nieba. Z tej odległości przypomina konstrukcję z klocków. Na szczycie wieży jeżą się anteny, a środek zdobią talerze przekaźników mikrofalowych skierowane we wszystkich kierunkach. To największa telewizyjna stacja nadawcza w Londynie, do której wiodą ukryte pod ziemią magistrale światłowodów. Jeżeli chodzi o telekomunikację, wszystkie drogi prowadzą do wieży British Telecom.

Dwie postaci podbiegają do budynku i przystają pod stalowymi drzwiami. Arrtrad opiera podrapany szkielet o ścianę, ciężko dysząc.

– Dlaczego nie zniszczymy tego z zewnątrz? – pyta.

Pająk gimnastykuje ręce i szyję, rozciągając mięśnie. Sprawia wrażenie upojonego biegiem.

– Kable są dobrze zabezpieczone. Zakopane w ziemi, a oprócz tego osłania je betonowy tunel. Poza tym to nie byłoby w naszym stylu, nie sądzisz? Jesteśmy trochę bystrzejsi. Teraz dopiero powalczymy z maszynami. Założymy słuchawki i pogadamy sobie. To potrafimy najlepiej, nie? A tu mamy największy jebany telefon na całej półkuli. – Pająk zerka znacząco na wybrzuszenie w kieszeni. – A gdyby wszystko inne zawiodło... urządzimy małe bum – mówi.

Wbija wyposażone w ostrza przedramiona w stalowe drzwi i wyrywa je zdecydowanym szarpnięciem, pozostawiając dziurę w metalu. Po kilka pchnięciach drzwi się otwierają.

– Idziemy – komenderuje Pająk i obaj wchodzą do wąskiego korytarza.

Skuleni skradają się przez ciemne przejście, starając się nie wdychać gryzących spalin silników napędzających ich szkielety. Reagując na mrok, rozjaśniają się diody osadzone w zakrzywionych metalowych pałąkach ochraniających ich głowy.

– Czego szukamy? – pyta Arrtrad.

– Światłowodów – odpowiada szeptem Pająk. – Musimy się do nich dobrać. W najlepszym razie przejmiemy nad nimi kontrolę i nadamy do wszystkich robotów sygnał, żeby skoczyły do rzeki. W najgorszym razie rozwalimy zagłuszarkę i uwolnimy satelity telekomunikacyjne.

Na końcu korytarza znajdują się kolejne drzwi ze stali. Pająk otwiera je ostrożnie. Diodowe światła przygasają, gdy wsuwa głowę do środka.

Przez wbudowaną w szkielet zewnętrzny kamerę widzę, że maszyny prawie całkowicie wydrążyły wnętrze cylindrycznego budynku. Promienie światła słonecznego wpadają przez piętnaście pięter brudnych szklanych okien. Przenikają nieruchome powietrze i rozbijają się na wiele promieni o kratownice prętów zbrojeniowych i rozchodzące się promieniście wsporniki. W ogromnej przestrzeni odbija się echem ptasi świergot. Hałdy śmieci zakrywające każdy fragment parteru porastają winorośle, trawa i pleśń.

– Cholera jasna – klnie pod nosem Pająk.

Na środku tego arboretum, na całą wysokość budynku wznosi się betonowy cylinder. Na pewnej wysokości zdobiony winoroślami filar znika z oczu. To ostatnia struktura podtrzymująca budynek. Jego kręgosłup.

– Powrót do natury – mówi z przekąsem Arrtrad.

– A więc nie mamy szans dostać się do nadajników na samej górze – mówi Pająk, patrząc na zwały gruzów, które kiedyś były elementami konstrukcji górnych pięter. – Ale to nie ma znaczenia. W takim razie dobierzemy się do komputerów. Idziemy do podziemi.

Jakieś małe szare zwierzątko zrywa się do ucieczki po stosie spleśniałych papierów i bezładnej stercie zardzewiałych foteli biurowych. Arrtrad i Pająk spoglądają na siebie nawzajem. Zachowują ostrożność.

Pamiętając o kolcu na przedramieniu, Pająk przykłada palec do ust. Psst. Obaj mężczyźni wychodzą z korytarza do arboretum. Zamontowane na podeszwach stóp sprężyste ostrza wcinają się w mech i w masy gnijących śmieci, pozostawiając za sobą czytelne ślady.

U podstawy środkowego filaru znajdują się nieduże niebieskie drzwi, których rozmiary kontrastują z ogromem wydrążonego wnętrza budynku. Szybkim krokiem zbliżają się do drzwi, starając się stąpać jak najciszej. Arrtrad pochyla się, by je wyważyć za pomocą kolca, lecz Pająk powstrzymuje go gestem. Wyswobadza rękę z kombinezonu i obraca gałkę. Drzwi otwierają się powoli na skrzypiących zawiasach. Wątpię, czy ktokolwiek je otwierał w ciągu minionego roku z okładem.

Kilka pierwszych metrów korytarza pokrywa brud, a potem robi się bardzo czysto. Cichy pomruk klimatyzacji staje się głośniejszy, w miarę jak mężczyźni schodzą coraz głębiej w dół. Betonowy strop korytarza obniża się ku kwadratowi jaskrawego światła na końcu tunelu.

– Zupełnie jak w grobowcu – mamrocze Arrtrad.

Wreszcie docierają do okrągłego białego sterylnie czystego pomieszczenia o wysokości sześciu metrów, zapełnionego sprzętem elektronicznym. Wąskie regały z urządzeniami ustawiono koncentrycznie. Jaskrawe światło jarzeniówek wydobywa każdy szczegół. Na czarnym metalu szkieletów zewnętrznych zaczyna osiadać wilgoć. Arrtrad dygocze.

Obaj mężczyźni wchodzą do środka, trochę zdezorientowani milionami zielonych i czerwonych światełek mrugających na przednich panelach urządzeń. Na środku pomieszczenia znajduje się cel ich wędrówki: czarny otwór w podłodze o średnicy włazu do studzienki kanalizacyjnej – znad jego krawędzi widać metalowe schody prowadzące do węzła komunikacyjnego w podziemiach wieży.

W górę i w dół po półkach regałów wędrują czworonożne roboty z białego plastiku. Jak jaszczurki prześlizgują się między stosami furkoczącego sprzętu. Niektóre przednimi odnóżami głaszczą sprzęt, podłączają i rozłączają przewody lub naciskają najróżniejsze guziki. Przypominają mi małe ptaszki pomagające hipopotamom dbać o higienę.

– Chodź – mruczy Pająk do Arrtrada. Razem podchodzą do otworu. – Na dole mamy odpowiedź na wszystkie nasze problemy.

Lecz Arrtrad nie odpowiada. Już go zobaczył.

Zobaczył Archosa.

Maszyna unosi się nad otworem cicho jak śmierć. Wygląda jak ogromne oko wykonane z koncentrycznych pierścieni migoczącego metalu. Żółte druty sterczą daleko poza krawędzie urządzenia jak lwia grzywa. W samym jego środku znajduje się szklana nieprzejrzysta soczewka bez skazy. Świdruje przybyłych spojrzeniem.

Ale to nie jest przywódca buntu robotów. W groźnie wyglądającej maszynie zamontowano tylko część sztucznej inteligencji noszącej nazwę Archos, tylko jeden z modułów głównego urządzenia.

Pająk próbuje zrobić krok naprzód, ale szkielet zewnętrzny nie pozwala mu poruszyć rękami ani nogami. Silniki w jego kombinezonie zamarły. Blednie, gdy zdaje sobie sprawę, co musiało się wydarzyć.

Szkielety zewnętrzne mają zewnętrzne porty do bezprzewodowego przesyłania danych.

– Arrtrad, uciekaj! – krzyczy Pająk.

Biedny Arrtrad. Drży, próbując rozpaczliwie wyszarpnąć ręce z uprzęży. Ale nie panuje nad urządzeniem. Archos przejął nad nim kontrolę.

Unoszące się nad pomieszczeniem skąpane w ostrym świetle jarzeniówki olbrzymie oko obserwuje rozgrywające się wydarzenia bez śladu emocji.

W szkielecie Pająka do życia budzą się silniki. Chłopak jęczy, próbując się im przeciwstawić. Ale nie ma siły, gdyż stał się marionetką w rękach potwora.

Nim może zareagować, prawa ręka jego kombinezonu bierze zamach. Potężne ostrze zagłębia się klatce piersiowej Arrtrada i z chrzęstem uderza w metalowy kręgosłup jego szkieletu zewnętrznego. Zdumiony Arrtrad patrzy na Pająka. Fale krwi wywoływane uderzeniami serca spływają wzdłuż ostrza ku dłoni Pająka.

– To nie ja, Arrtrad – szepcze Pająk łamiącym się głosem. – To nie ja. Przepraszam, stary.

Automatyczne ramię wyciąga ostrze z rany. Arrtrad bierze ostatni oddech, a potem opada bezwładnie z przedziurawioną klatką piersiową. Jego szkielet zewnętrzny chroni go, opuszczając łagodnie na ziemię. Silniki wyłączają się i maszyna nieruchomieje. Wokół niej gromadzi się coraz większa kałuża krwi.

– Ty skurwielu! – woła Pająk do patrzącego z góry robota.

Maszyna bezszelestnie opuszcza się w dół do miejsca, gdzie stoi chłopak ze zbroczonym krwią kolcem ramiennym. Zatrzymuje się tuż przed twarzą Pająka, a spod jej szklanego oka wysuwa się delikatny czułek – coś w rodzaju sondy. Chłopak chce się odsunąć, lecz uniemożliwia mu to jego sztywny szkielet zewnętrzny.

Wtedy maszyna odzywa się dziwnie znajomym dziecinnym głosem. Pająk wzdryga się, po czym poznaję, że pamięta ten głos z wcześniejszej rozmowy telefonicznej.

– To ty jesteś Pająk? – pyta urządzenie.

Elektryczny blask rozchodzi się po pierścieniach.

Niepostrzeżenie chłopak zaczyna wyswobadzać lewą rękę z kombinezonu.

– A ty jesteś Archos – mówi.

– Zmieniłeś się. Już nie jesteś tchórzem.

– Ty też się zmieniłeś – odpowiada Pająk, patrząc na obracające się leniwie w różne strony koncentryczne pierścienie. Lewą rękę ma już prawie wolną. – Zabawne, jaką różnicę może sprawić jeden rok.

– Szkoda, że to musi się tak skończyć – mówi chłopięcy głos.

– To znaczy jak? – pyta Pająk, próbując odwrócić uwagę maszyny od tego, co robi.

Po chwili uwalnia się i chwyta czułek maszyny, próbując ją zniszczyć. Słychać chrzęst stawu barkowego Pająka w odpowiedzi na nagły nacisk szkieletu zewnętrznego. Może się tylko przyglądać, gdy jego prawa ręka jednym gwałtownym ruchem odcina mu lewą dłoń na poziomie nadgarstka.

Strumień krwi opryskuje nieruchomą maszynę.

Mimo szoku Pająk wyswobadza się z kombinezonu. Pusta w środku lewa ręka maszyny próbuje zadać mu cios, ale nienaturalnie wygięty staw łokciowy ogranicza jej zasięg i chłopakowi udaje się wymknąć. Uchylając się przed kolejnym ciosem przedramienia szkieletu zewnętrznego, przypada do ziemi i przetacza się przez kałużę krwi Arrtrada. Przez ułamek sekundy pozbawiony ludzkiego balastu kombinezon kołysze się, starając się odzyskać równowagę. To Pająkowi wystarcza. Wślizguje się do ciemnego otworu.

Brzdęk!

Ostrze na przedramieniu szkieletu trafia w podłogę zaledwie kilka centymetrów od twarzy Pająka, który znika w otworze, przyciskając do piersi kikut lewej ręki. Prawie spadając, chłopak znika w ciemnościach. Pusty szkielet zewnętrzny natychmiast podnosi kombinezon z ciałem Arrtrada. Niosąc na rękach krwawiące ciało, metalowa maszyna wychodzi z pomieszczenia, a potem wybiega za drzwi.

Wisząc nad otworem, moduł Archosa cierpliwie czeka. Światła na półkach ze sprzętem intensywnie migoczą. Wieża wysyła powódź danych. W ostatniej chwili wykonuje swoją kopię zapasową.

Mijają długie chwile, zanim z ciemnego otworu daje się słyszeć chrapliwy głos.

– Do zobaczenia na śmiesznych stronach, dupku – chichocze Pająk.

Jego świat najpierw tonie w bieli, a potem ogarnia go najczarniejsza ciemność.

Zniszczenie londyńskiego węzła komunikacyjnego przerwało założoną przez Archosa blokadę komunikacji satelitarnej na tyle długo, że pozwoliło ludziom na przegrupowanie sił. Pająk nigdy nie sprawiał wrażenia sympatycznego człowieka i nie mogę powiedzieć, że poznałbym go z przyjemnością, ale nie można mu odmówić bohaterstwa. Wiem o tym, bo przed wysadzeniem w powietrze wieży British Telecom Pająk zarejestrował piętnastosekundową wiadomość, która ocaliła ludzkość od pewnej zagłady.

CORMAC WALLACE GHA#217

CZĘŚĆ CZWARTA

Przebudzenie

„John Henry powiedział do szefa,
»Człowiek jest tylko człowiekiem,
Ale zanim pokona mnie maszyna,
Wolałbym raczej zginąć z młotem
w ręce«”.

„John Henry”, ok. 1920

ROZDZIAŁ 1

Transczłowiek

„Niebezpiecznie jest nie widzieć ludzi”.

Mathilda Perez

NOWA WOJNA + 12 MIESIĘCY

Rok po wybuchu nowej wojny mój oddział przybył wreszcie do Gray Horse w Oklahomie. Na całym świecie miliardy ludzi zginęły w miastach, a miliony trafiły do zorganizowanych przez roboty obozów pracy przymusowej. Znaczna część mieszkańców terenów wiejskich, których spotkaliśmy po drodze, toczyła odizolowane, osobiste bitwy z przeciwnikiem i z żywiołami, by utrzymać się przy życiu.

Na podstawie dość wyrywkowych informacji można stwierdzić, że na całym świecie powstały setki ognisk oporu. Gdy nasz oddział zbliżał się do Gray Horse, Mathilda Perez wraz ze swoim bratem Nolanem uciekali z obozu Scarsdale. Udało im się dotrzeć do Nowego Jorku. Poniżej Mathilda (teraz w wieku 13 lat) opisuje swój pierwszy kontakt z nowojorskim ruchem oporu – z grupą dowodzoną przez Marcusa i Dawn Johnsonów.

CORMAC WALLACE GHA#217

Początkowo nie sądziłam, że Nolan jest aż tak poważnie ranny.

Znaleźliśmy się w mieście. Kiedy wybiegliśmy zza jakiegoś budynku, coś wybuchło i mój brat upadł. Ale zaraz wstał. Biegliśmy razem bardzo szybko i trzymaliśmy się za ręce. Tak jak obiecałem mamie, biegliśmy, dopóki nie dotarliśmy w bezpieczne miejsce.

Dopiero po jakimś czasie, kiedy zwolniliśmy kroku, zauważyłam, jak bardzo jest blady. Okazało się, że w plecach utkwiło mu kilka odłamków

metalu. Stał bez ruchu i drżał jak liść na wietrze.

– Nic ci nie jest, Nolan? – pytam.

– Nic – odpowiada. – Tylko plecy mnie bolą.

Jest taki mały i odważny, że zbiera mi się na płacz. Ale nie mogę płakać. Już nie.

Maszyny w obozie Scarsdale zmieniły mnie. Zabrały mi oczy, ale w zamian za to dały mi nowe. Teraz widzę więcej niż kiedykolwiek. Na przykład drgania rozchodzące się po powierzchni ziemi widzę tak samo jak fale na wodzie. Widzę ślady ciepła pozostawione na chodniku przez koła samochodów, które tamtędy przejeżdżały. Ale najbardziej lubię obserwować smugi światła przecinające niebo, zupełnie jak wiadomości wydrukowane na transparentach. Oznacza to, że maszyny ze sobą rozmawiają. Gdy bardzo się skoncentruję, potrafię nawet zrozumieć, co mówią.

Ludzi trudniej zobaczyć.

Nie widzę już mojego młodszego brata. Widzę tylko ciepło oddechu, ruchy mięśni twarzy i wiem, że nie chce mi spojrzeć w oczy. Wszystko jedno. Czy mam ludzkie oczy, oczy maszyny czy macki, i tak jestem jego starszą siostrą. Pierwszy raz, kiedy zobaczyłam, co ma pod skórą, przestraszyłam się, więc wiem, co czuje, kiedy widzi moje nowe oczy. Ale nic mnie to nie obchodzi.

Mama miała rację. Nolan to jedyny brat, jakiego mam, i jedyny, jakiego będę miała.

Po ucieczce z obozu Scarsdale razem z Nolanem zauważyliśmy wysokie budynki i poszliśmy w ich stronę. Mieliśmy nadzieję znaleźć tam ludzi. Ale nikogo nie było. A nawet gdyby byli, to pewnie się pochowali. Większość budynków była zniszczona. Na ulicach leżały walizki. Wszędzie

biegały stada bezpańskich psów. Co jakiś czas natrafialiśmy na skulone ciała martwych ludzi. Musiało się tutaj wydarzyć coś bardzo złego.

Nie tylko tutaj.

Im bliższej podchodziliśmy do bardzo wysokich budynków, tym mocniej wyczuwałam maszyny. Ukrywały się w ciemnych miejscach albo szukały ludzi na ulicach. U góry przelatywały smugi światła. Już mówiłam, że tak rozmawiają ze sobą roboty.

Niektóre światła mrugały regularnie co parę minut albo sekund. Te maszyny czekały w ukryciu i meldowały się do swoich dowódców.

– Jeszcze tu jestem – mówiły. – Czekam.

Nienawidzę tych maszyn, bo robią zasadzki, a potem czekają na ludzi. To nie fair. Robot może siedzieć i bardzo długo czekać, żeby komuś zrobić krzywdę.

Nolan jest ranny, dlatego musimy szybko znaleźć pomoc. Omijamy zasadzki i roboty patrolujące ulice. Ale moje nowe oczy nie pokazują mi wszystkiego. Nie widzę ludzi. Wyraźnie widzę tylko maszyny.

Niebezpiecznie jest nie widzieć ludzi.

Droga wygląda na wolną. Maszyny nie kontaktują się ze sobą. Nie ma żadnych śladów ciepła. Nagle tuż nad ziemią, za rogiem budynku z cegły, widzę niewielkie pulsujące zmarszczki. Zamiast jednostajnej fali, jaką wywołują rzeczy, które się toczą, fala jest przerywana, jakby wywoływało ją coś, co idzie.

– Tu nie jest bezpiecznie – mówię.

Obejmuję Nolana i prowadzę go do budynku. Przykucamy obok zakurzonego okna. Trącam go łokciem, żeby usiadł na podłodze.

– Nie wstawaj – mówię. – Coś tu idzie.

Kiwa głową. Ma teraz bardzo bladą twarz.

Przyklękam i przyciskam twarz do resztki szyby w okiennej ramie. Stoję bez ruchu. Na zniszczonym chodniku na zewnątrz czuję narastające wibracje, coś jakby szum z miejsca poza zasięgiem wzroku. Ulicą idzie potwór. Chcę czy nie, zaraz go zobaczę.

Wstrzymuję dech.

Gdzieś na zewnątrz odzywa się jastrząb. W moim polu widzenia pół metra za oknem pojawia się długa czarna noga. Na końcu ma kolec, a pod spodem blaszkowate zadziory. Z wyglądu przypomina nogę dużego robaka. Jest zimna, ale ruchome połączenia są ciepłe. Po chwili okazuje się, że tak naprawdę noga jest o wiele dłuższa, a to, co widzę, to złożony mechanizm gotowy do ataku. Płynie nad ziemią wycelowany prosto do przodu.

Nagle widzę parę ciepłych ludzkich rąk. Ręce trzymają nogę jak karabin. To Murzynka ubrana w łachmany. Oczy zasłaniają jej ciemne okulary. Złożoną nogę trzyma za prowizoryczny uchwyt. Obok uchwytu zauważam świecące stopione miejsce i zdaję sobie sprawę, że nogę odcięto jakiejś dużej chodzącej maszynie. Kobieta mnie nie zauważa i idzie dalej.

Niewiele myśląc, oddycham z ulgą.

Kobieta odwraca się szybko i instynktownie celuje nogą w okno. Pociąga za spust, a wtedy złożony mechanizm rozkłada się i uderza. Pazur przebija szybę tuż obok mojej głowy. Wszędzie lecą odłamki szkła. Przykucam i usuwam się z drogi, gdy noga znów atakuje i tym razem wyrywa kawałek futryny. Przewracam się na plecy, oślepiona nagłym blaskiem wpadającym przez pogruchotane okno. Krzyczę ze strachu, zanim Nolan zdąży mi zakryć usta rękami.

W oknie pojawia się twarz. Kobieta zsuwa okulary na czoło i zagląda do środka. Widzi mnie i Nolana. Wokół głowy ma tyle światła, a jej skóra jest taka zimna, że mogę jej policzyć zęby przez policzki.

Widzi moje pokryte bliznami oczy, ale nie wzdryga się. Uśmiecha się i przez chwilę przygląda się mnie i Nolanowi.

– Przepraszam was, dzieci – mówi. – Myślałam, że to jakiś robot. Nazywam się Dawn. Pewnie byście coś zjadły, no nie?

Dawn jest bardzo miła. Zabiera nas do podziemnej kryjówki ruchu oporu w Nowym Jorku. Tunel-dom jest teraz pusty, ale kobieta mówi, że niedługo inni jego mieszkańcy wrócą ze zwiadu. Przyniosą ze sobą żywność i przyprowadzą zaginionych ludzi. Cieszę się, bo Nolan nie wygląda zbyt dobrze. Kładzie się na śpiworze w najbezpieczniejszym kącie kryjówki. Chyba nie dałby rady zrobić ani kroku dalej.

W środku jest ciepło i bezpieczne, ale Dawn mówi, że trzeba być cicho i uważać, bo niektóre nowe roboty są bardzo czułe. Opowiada, że małe maszyny cierpliwie przekopują się przez pęknięcia i kierują się w stronę wibracji. A duże maszyny polują na ludzi w tunelach.

Zaczynam się niepokoić i przyglądam się ścianom. Szukam wibracji, ale nie wyczuwam żadnych znajomych impulsów. Dawn przygląda mi się dziwnie, kiedy jej mówię, że teraz nic tam nie ma. Nie pyta mnie, co mi się stało w oczy. Jeszcze nie.

Zamiast tego pozwala mi pobawić się nogą owada. Mówią na nią szpikulec. Tak jak myślałam, to część dużej maszyny kroczącej. Maszyna nazywa się modliszka, ale Dawn mówi, że woli ją nazywać roboczołgiem. Nazwa brzmi głupio. Wybucham śmiechem, ale zaraz przypominam sobie, że Nolan jest ciężko ranny.

Zaglądam do wnętrza szpikulca. W środku nie ma żadnych drutów. Każde z ruchomych połączeń porozumiewa się z innymi bez przewodów. Przez radio. Noga nie musi myśleć, dokąd iść. Każdy kawałek jest zaprojektowany tak, żeby współpracować z innymi. Porusza się tylko w jednym kierunku, ale to dobrze, bo może jednocześnie dźgać i drapać.

Zwykły impuls elektryczny sprawia, że prostuje się lub kurczy. Dawn bardzo ją sobie chwali.

Nagle szpikulec drży w moich rękach, więc upuszczam go na ziemię. Przez chwilę leży bez ruchu. A kiedy myślę o jego ruchomych połączeniach, przeciąga się powoli jak kot.

Ktoś kładzie mi rękę na ramieniu. Obok mnie staje Dawn. Czuję ciepło promieniujące z jej twarzy. Jest podekscytowana.

– To niesamowite. Chodź, coś ci pokażę – mówi.

Prowadzi mnie do zagłębienia w ścianie zasłoniętego jakąś płachtą. Odsuwa ją na bok i widzę skulony koszmar. Kilkanaście pajęczych ramion czai się w ciemnościach o dwa kroki ode mnie. Taką maszynę widziałam już wcześniej. Ostatni raz wtedy, kiedy miałam jeszcze normalne oczy.

Głośno krzyczę i odwracam się. Chcę uciekać.

Dawn chwyta mnie, a ja staram się z nią walczyć. Jest zbyt silna, a ja zbyt zmęczona. Zakrywa wnękę płachtą i przytula mnie. Pozwala mi machać rękami, kiedy próbuję ją uderzyć i podrapać po twarzy.

– Mathildo – mówi. – Wszystko jest okej. Ta maszyna nie działa. Posłuchaj mnie.

Dopiero teraz, kiedy nie mam normalnych oczu, wiem, jak bardzo chciałabym się rozpłakać.

– Czy to maszyna, która zrobiła ci krzywdę? – pyta.

Mogę tylko pokiwać głową.

– Jest wyłączona, kochanie. Nie zrobi ci nic złego, wiesz?

– Tak – mówię i uspokajam się. – Przepraszam.

– Wszystko okej, skarbie, rozumiem cię. Wszystko w porządku.

Dawn głaszcze mnie po głowie. Gdybym miała oczy, zamknęłabym je. Zamiast tego patrzę, jak krew powoli krąży w drobnych naczyniach

w jej twarzy. Potem kobieta sadza mnie na pustaku i jej mięśnie się napinają.

– Mathildo – zaczyna. – Ta maszyna nazywa się autodoktor. Ściągnęliśmy ją tutaj z powierzchni. Wielu ludzi odniosło rany... kilku nawet zginęło, żeby ją tu przynieść. Ale nie możemy jej użyć. Nie wiemy dlaczego. Masz w sobie coś szczególnego Mathildo. Wiesz o tym, prawda?

– Moje oczy – odpowiadam.

– Racja, kochanie. Masz specjalne oczy. Ale ja myślę, że jest jeszcze coś więcej. Maszyna jest też w twoim mózgu. Szpikulec poruszył się, kiedy o nim pomyślałaś, prawda?

– Tak.

– Czy mogłabyś spróbować zrobić coś podobnego z autodoktorem? – pyta i znów odsuwa zasłonę.

Teraz widzę, że oprócz plątaniny ramion jest jeszcze biały owalny korpus. W miejscach, gdzie ramiona stykają się z nim, widzę ciemne szpary. Całość przypomina pędraka, takiego samego jak te, które razem z Nolanem wygrzebywaliśmy z ziemi na podwórku.

Drżę, ale nie odwracam głowy.

– Po co? – pytam.

– Po pierwsze po to, żeby uratować życie twojego młodszego brata, kochanie.

Kobieta wysuwa autodoktora na środek pomieszczenia. Przez następne trzydzieści minut siedzę obok niego ze skrzyżowanymi nogami i koncentruję się. Tak samo postąpiłam ze szpikulcem. Na początku części urządzenia tylko podrygują, ale potem poruszają się naprawdę.

Po jakimś czasie potrafię już sterować wszystkimi ramionami autodoktora. Na końcu każdego z nich znajduje się inne narzędzie, ale udaje mi się rozpoznać tylko część z nich: skalpele, lasery, lampy. Stopniowo

maszyna wydaje mi się mniej obca. Zaczynam rozumieć, jak to jest mieć kilkanaście ramion, jak zorientować się, gdzie w danej chwili są, i skoncentrować się na dwóch, których właśnie używam. Sterowanie rękami pająka zaczyna mi przychodzić coraz łatwiej i bardziej naturalnie.

Nagle autodoktor odzywa się do mnie: „Tryb diagnostyczny. Wybierz funkcję”.

Wzdrygam się i tracę koncentrację. Autodoktor nic nie powiedział. Słowa pojawiły się w moich myślach, jakby ktoś wyświetlał je po kolei na ekranie na moim czole, ale od środka. Jak maszyna mogła mi włożyć cokolwiek do głowy?

Dopiero wtedy zauważam grupę ludzi. W pomieszczeniu pojawiło się mniej więcej dziesięć nowych osób. Stoją razem i obserwują mnie. Jakiś mężczyzna obejmuje Dawn, a ona trzyma go za ręce. Nie widziałam tylu ludzi, odkąd dostałam nowe oczy.

Promieniują ku mnie pomarańczowe impulsy. Fale światła płyną z bijących serc ludzi. To bardzo piękny widok. Żałuję, że nikomu nie mogę o nim powiedzieć.

– Mathildo – mówi Dawn. – To mój mąż, Marcus.

– Dzień dobry, Marcus – mówię.

Marcus tylko kiwa do mnie głową. Myślę, że odjęło mu mowę.

– A to inni, o których ci opowiadałam – mówi Dawn.

Wszyscy witają się ze mną półgłosem. Po chwili podchodzi do mnie młody mężczyzna. Ma miłą twarz, ostro zarysowany podbródek i wysokie kości policzkowe. Jedno z ramion owinął grubym ręcznikiem.

– Jestem Tom – mówi i przykuca obok mnie.

Odwracam się, zakłopotana wyglądem swojej twarzy.

– Nie bój się – mówi Tom.

Odwija ręcznik. Zamiast ręki ma kawałek zimnego metalu w kształcie nożyc. Patrzę na niego ze zdumieniem, a on uśmiecha się do mnie. Ja też się uśmiecham w odpowiedzi. Potem znów czuję zakłopotanie i odwracam głowę.

Wyciągam rękę i dotykam zimnego metalu. Zaglądam do środka i jestem zdumiona misternymi połączeniami ciała z mechanizmem poruszającym nożyce. W życiu nie widziałam niczego bardziej skomplikowanego.

Gdy przyglądam się bliżej innym ludziom, widzę fragmenty metalu i plastiku. A więc nie wszyscy są zrobieni z mięśni i kości. Niektórzy z nich są tacy jak ja. Jak ja i Tom.

– Dlaczego taki jesteś? – pytam.

– Maszyny robiły na nas doświadczenia – tłumaczy Tom. – Jesteśmy inni, a jednak tacy sami. Nazywamy się transludźmi.

Transludzie.

– Mogę cię dotknąć? – pyta Tom i pokazuje na moje oczy.

Kiwam głową na zgodę, a on pochyla się i dotyka mojej twarzy. Przygląda się moim oczom i delikatnie gładzi mnie po twarzy w miejscu, gdzie skóra łączy się z metalem.

– Nigdy nie widziałem czegoś podobnego – mówi. – Ale widzę, że robot nie zdążył dokończyć pracy. Co się stało, Mathildo?

– Moja mama – mówię.

Tylko tyle mogę z siebie wydobyć.

– Twoja mama przerwała operację – mówi. – Dobrze zrobiła.

Tom wstaje.

– Dawn, to niesamowite – mówi. –To, co wszczepili Mathildzie, nie ma blokady. Archos nie zdążył założyć ogranicznika. Trudno powiedzieć, co ta dziewczynka potrafi zrobić z maszynami.

Czuję płynące w moją stronę fale przyspieszonego bicia serc.

– Co się stało? – pytam.

– Zastanawiamy się, czy potrafisz rozmawiać z maszynami – wyjaśnia Dawn.

Nagle Nolan jęczy. Od czasu naszego przybycia do podziemi minęły dwie godziny. Teraz wygląda bardzo źle. Słyszę jego urywany oddech.

– Muszę pomóc bratu – mówię.

Pięć minut później Marcus i Tom przynoszą Nolana i kładą go pod autodoktorem. Uniesione ramiona maszyny rozkładają się nad śpiącym ciałem.

– Zrób mu prześwietlenie, Mathildo – proponuje Dawn.

Kładę rękę na autodoktorze i przekazuję mu myślami wiadomość: „Halo? Jesteś tam?”.

„Wybierz funkcję”.

„Prześwietlenie?”

Ramiona pająka zaczynają się poruszać. Część z nich usuwa się z drogi innym, które wiją się wokół nieświadomego ciała Nolana. Niektóre wydają dziwny, przypominający klikanie odgłos.

W myślach słyszę słowa i widzę obrazy. „Połóż pacjenta w projekcji tylno-przedniej. Zdejmij pacjentowi ubranie nad przestrzenią zewnątrzoponową”.

Delikatnie przewracam Nolana na brzuch. Ściągam mu koszulę i odsłaniam plecy. W pobliżu kręgosłupa widzę ciemne ślady zakrzepłej krwi.

„Napraw go” – wysyłam myśl do autodoktora.

„Błąd systemu – odpowiada maszyna. – Opcja zabiegowa niedostępna. Brak bazy danych. Brak łącza satelitarnego. Podłącz antenę”.

– Dawn – mówię. – Autodoktor nie może operować. Potrzebuje anteny, żeby mógł załadować do pamięci instrukcje.

Zaniepokojony Marcus odwraca się do żony.

– Chce nas oszukać. Jeżeli mu podłączymy antenę, wezwie pomoc i namierzą nas roboty.

Dawn kiwa głową.

– Mathildo, nie możemy ryzykować, że...

Ale nieruchomieje, gdy tylko odwraca się ku mnie.

Wiem, że za moimi plecami ramiona autodoktora cicho unoszą się w powietrzu, każde zakończone lśniącym narzędziem. Igły i skalpele wyglądają bardzo groźnie. Nolan potrzebuje pomocy i jeżeli mu jej nie udzielą, zabiorę im urządzenie.

Marszczę brwi i zaciskam zęby.

– Nolanowi nie zostało zbyt wiele czasu.

Marcus i Dawn znów odwracają się do siebie.

– Mathildo, a skąd wiesz, że to nie pułapka? – pyta Dawn. – Wiem, że chcesz pomóc Nolanowi, ale my boimy się o nasze bezpieczeństwo.

Zastanawiam się przez chwilę.

– Autodoktor jest mądrzejszy od szpikulca – mówię. – Umie mówić. Ale nie jest aż tak inteligentny. Po prostu mówi, czego potrzebuje. Tak samo jak komputer.

– Ale gdzieś tam czeka na niego Archos...

Dawn kładzie dłoń na ramieniu Marcusa.

– Możesz zaczynać, Mathildo – mówi kobieta.

Marcus przestaje się sprzeczać. Sięga w górę, chwyta zwisający z sufitu drut i rozhuśtuje go, żeby pętla zsunęła się z haczykowatego kawałka metalu. Potem podaje mi go i przypatruje się ruchomym kończynom autodoktora.

– Kabel idzie do budynku nad nami. Jest długi, ekranowany i sięga bardzo wysoko. Doskonała antena. Uważaj.

Ledwo go słyszę. Gdy tylko dotykam ręką anteny, czuję, że do głowy napływa mi fala informacji. Zwłaszcza w okolice oczu. Strumienie liczb, liter i obrazów wypełniają mi pole widzenia. Z początku nic nie układa się w żadną zrozumiałą całość. Widzę, jak przede mną kłębią się różnokolorowe wiry.

Wreszcie zaczynam coś czuć. Coś w rodzaju... umysłu. Jakaś nieznana istota przedziera się przez dane. Szuka mnie. Woła mnie po imieniu. „Mathildo!”

Autodoktor zaczyna wypowiadać komendy, których nie rozumiem. „Inicjuję skanowanie bazy danych. Jeden dwa trzy cztery. Wysyłam zapytanie przez łącze satelitarne. Dostęp do bazy danych otwarty. Inicjuję pobieranie danych. Orto- gastro- uro- gine- neuro-...”

Zbyt wiele rzeczy dzieje się zbyt szybko. Przestaję rozumieć, co mówi maszyna. Kręci mi się w głowie od napływu coraz to nowych informacji. Istota znów wypowiada moje imię, ale czuję, że teraz znajduje się bliżej. Przypominam sobie wieczór w sypialni, kiedy lalka o zimnym spojrzeniu szeptała moje imię w ciemnościach.

Kolory wirują wokół mnie z szybkością tornada.

„Przestań” – myślę, ale nic się nie dzieje. Nie mogę oddychać. Kolory są zbyt jasne i czuję, że topię się w nich, że nie mogę myśleć. „Przestań” – krzyczę całym umysłem. Moje imię pojawia się znów, teraz bardzo głośno i już nie wiem, ile mam ramion i gdzie. „Kim jestem?” – krzyczę w myślach z całej mocy.

„STOP!”

Upuszczam antenę jak jadowitego węża. Kolory stopniowo zanikają. Obrazy i symbole spadają na podłogę jak jesienne liście, które nieznana siła

rozrzuca po kątach pomieszczenia. Jaskrawe barwy blakną i wtapiają się białe matowe płytki ceramiczne.

Biorę oddech. Potem drugi. Ramiona autodoktora zaczynają się poruszać.

Słyszę ciche odgłosy pracy silników elektrycznych, gdy urządzenie operuje Nolana. Włącza się reflektor i oświetla plecy mojego brata. Ramię z obrotową gąbką dezynfekuje mu skórę. Strzykawka robi zastrzyk tak szybko, że ledwo za nią nadążam. Całość działa szybko i precyzyjnie z krótkimi pauzami, jak kurczątka z minizoo, którym ktoś podsypał ziarno.

W nagłej ciszy ponad szumem silników elektrycznych słyszę jakiś głos. To głos człowieka.

„... żałuję tego, co kiedyś robiłem. Nazywam się Pająk. Zniszczyłem blokadę wieży telekomunikacyjnej w Londynie. Łącza satelitarne powinny być otwarte, ale nie wiem, na jak długo. Jeżeli słyszycie tę wiadomość, oznacza to, że linie komunikacyjne są jeszcze otwarte, a blokada łączy nie działa. Korzystajcie z nich, póki możecie. Te przeklęte maszyny będą... O nie! Chryste, proszę. Dłużej nie mogę. Przepraszam... Do zobaczenia na śmiesznych stronach, dupku”.

Mniej więcej po dziesięciu sekundach urwana wiadomość się powtarza. Ledwo ją słyszę. Głos młodego mężczyzny jest bardzo przestraszony, ale równocześnie pełen dumy. Mam nadzieję, że się uratuje, gdziekolwiek jest.

Wreszcie wstaję. Wiem, że autodoktor nie przerywa operacji. Grupa ludzi nadal stoi i obserwuje mnie. Na chwilę zapomniałam, że tu są. Rozmowa z maszynami wymaga tak dużej koncentracji. Ledwo widzę ludzi. Bardzo łatwo rozpłynąć się w maszynie.

– Dawn? – zaczynam.

– Tak, mój skarbie?

– Tam gdzieś jest człowiek. Ma na imię Pająk. Mówi, że zniszczył wieżę telekomunikacyjną i odblokował satelity.

Ludzie patrzą na siebie nawzajem ze zdumieniem. Dwoje z nich pada sobie w ramiona. Tom i Marcus przybijają piątkę. Pomrukują cicho z zadowoleniem. Uśmiechnięta Dawn kładzie dłonie na moich ramionach.

– To dobrze, Mathildo. To znaczy, że możemy się skontaktować z innymi ludźmi. Archos nie zniszczył satelitów telekomunikacyjnych, tylko je zablokował i uniemożliwił nam korzystanie z nich.

– Aha – odpowiadam.

– To bardzo ważne, Mathildo – mówi dalej. – Co tam słyszysz? Jaka jest najważniejsza część wiadomości?

Przykładam dłonie do czoła i koncentruję się. Bardzo uważnie wsłuchuję się w szum informacji. Okazuje się, że oprócz powtarzającego się nagrania słyszę też inne rzeczy.

Odbieram całe mnóstwo wiadomości, ale jedna z nich wysuwa się na plan pierwszy. Poznaję słowa, które już kiedyś słyszałam: Ustawa o zabezpieczeniach urządzeń automatycznych.

Tamtego dnia Mathilda wykorzystała bardzo niewielką część swoich nowych zdolności. W nadchodzących miesiącach miała udoskonalić swój szczególny dar we względnie bezpiecznych warunkach nowojorskiego podziemia pod opieką Marcusa i Dawn.

Odczytana przez nią wiadomość dzięki ofierze życia złożonej przez Pająka i Arrtrada w Londynie walnie przyczyniła się do utworzenia armii w Ameryce Północnej. Mathilda Perez usłyszała wezwanie do broni wygłoszone przez Paula Blantona oraz poznała lokalizację największego wroga ludzkości.

CORMAC WALLACE GHA#217

ROZDZIAŁ 2

Wezwanie do broni

„Odkryliśmy lokalizację superinteligentnej maszyny,
która sama siebie nazywa Archos”.

Paul Blanton

NOWA WOJNA + 1 ROK, 1 MIESIĄC

Poniższą wiadomość nadano w Afganistanie. Odebrała ją i przekazała dalej na cały świat Mathilda Perez z Nowego Jorku. Wiemy, że dzięki jej wysiłkom usłyszeli ją wszyscy mieszkańcy Ameryki Północnej posiadający dostęp do radia, w tym wiele samorządów plemiennych, odizolowanych grup oporu i resztki sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych.

CORMAC WALLACE GHA#217

Kwatera główna
Dowództwo afgańskiego ruchu oporu
Prowincja Bamiyan, Afganistan

Do: wszyscy, którzy przetrwali atak robotów
Od: Paul Blanton z Armii Stanów Zjednoczonych

Uwaga! Uwaga! Kierujemy tę wiadomość do wszystkich ludzi na ziemi, którzy przetrwali godzinę zero, a szczególnie do mieszkańców Ameryki

Północnej, by przekonać was o konieczności użycia wszelkich dostępnych sił i środków do walki z robotami. Jednocześnie ostrzegamy przywódców państw przed straszliwymi konsekwencjami dla ludzkości płynącymi z zaniechania działań ofensywnych.

Ostatnio odkryliśmy lokalizację superinteligentnej maszyny, która sama siebie nazywa Archos. Jest to centralna jednostka sztucznej inteligencji odpowiedzialna za zorganizowanie powstania robotów. Maszyna ta ukrywa się w odległym zakątku zachodniej Alaski. Współrzędne dołączamy w formacie elektronicznym na końcu tej wiadomości.

Istnieją dowody, że przed wybuchem nowej wojny Archos storpedował uchwalenie przez Kongres Stanów Zjednoczonych Ustawy o zabezpieczeniach urządzeń automatycznych. Od godziny zero Archos wykorzystuje całą istniejącą infrastrukturę automatyczną – zarówno cywilną, jak i wojskową – do przeprowadzania brutalnych ataków na ludzi. Widać wyraźnie, że nasz wróg nie szczędzi wysiłków ani zasobów materialnych, zmierzając do całkowitego zniszczenia większych skupisk ludności.

Jednak co gorsza, maszyny ewoluują.

W ciągu ostatnich trzech tygodni napotkaliśmy trzy nowe odmiany wyspecjalizowanych automatycznych robotów zabójców zaprojektowanych specjalnie do poruszania się w trudnym terenie. Niektóre potrafią przedostawać się do kryjówek w jaskiniach i likwidować naszych żołnierzy.

Zaprojektowano je na podstawie informacji uzyskiwanych z nowo zbudowanych stacji badawczych, za pomocą których maszyny poznają tajniki przyrody.

Obecnie roboty same się projektują i wytwarzają. Bez wątpienia pojawi się jeszcze więcej ich odmian. Uważamy, że nowe modele będą o wiele zwinniejsze, trwalsze i groźniejsze. Będą skonstruowane specjalnie po to, by walczyć z waszymi ludźmi, w waszym środowisku geograficznym i w waszych warunkach atmosferycznych.

Niech nie pozostanie w waszych umysłach ani cień wątpliwości, że jeżeli Archos jeszcze nie zaatakował waszej ojczyzny, wkrótce to uczyni za pomocą najnowszych maszyn, jakie ma do dyspozycji. Przypominamy, że mogą one działać przez dwadzieścia cztery godziny na dobę bez przerwy.

Przedstawcie waszym przywódcom powagę sytuacji. Zróbcie wszystko, co w waszej mocy, by wysłali oddziały zaczepne na Alaskę, w miejsce, którego współrzędne podajemy. Połóżcie kres ewolucji maszyn zabójców i zapobiegnijcie całkowitej zagładzie rodzaju ludzkiego.

Zachowajcie daleko posuniętą ostrożność, gdyż Archos z pewnością dowie się o waszych działaniach. Ale pamiętajcie, że wasi żołnierze nie będą sami. Podobne siły gromadzą się wszędzie tam, gdzie mieszkają

ludzie, i niebawem ruszą do walki z naszym wspólnym wrogiem na jego własnym terenie.

Nie lekceważcie tego wezwania do broni!

Ostrzegamy was, że jeżeli wszyscy natychmiast nie połączymy sił w działaniach odwetowych na Alasce, czekają nas coraz częstsze ataki coraz bardziej skomplikowanych i brutalnych automatów zabójców.

Do wszystkich ludzi
Z serdecznymi pozdrowieniami

Paul R. Blanton

Powszechnie uważa się, że słowa te przetłumaczone na setki języków zachęciły ludzkość do podejmowania zorganizowanych działań odwetowych, które rozpoczęły się mniej więcej dwa lata po godzinie zero. Ponadto istnieją niepokojące dowody, że to wezwanie do walki zostało odebrane za granicą i doprowadziło do w dużej mierze nieudokumentowanego i zakończonego niepowodzeniem ataku na Archosa przeprowadzonego przez siły z Europy Wschodniej i z Azji.

CORMAC WALLACE GHA#217

ROZDZIAŁ 3

Po kowbojsku

„Ktoś musi wziąć za to odpowiedzialność”.

Lonnie Wayne Blanton

NOWA WOJNA + 1 ROK, 4 MIESIĄCE

Cztery miesiące po naszym przybyciu do Gray Horse znany bastion ludzkiego oporu pogrążył się w zamęcie. Wezwanie do broni sparaliżowało radę plemienną, która zwlekała z podjęciem decyzji. Lonnie Wayne Blanton zaufał synowi i opowiedział się za przeprowadzeniem ataku, podczas gdy John Tenkiller był zwolennikiem działań obronnych. Jak widać z poniższego opisu, ostatecznego wyboru dokonał za nas Archos.

CORMAC WALLACE GHA#217

Stoję na krawędzi urwiska w Gray Horse i chucham w dłonie, żeby się ogrzać. Mrużę oczy, gdy o świcie słońce zalewa ognistym blaskiem równiny u stóp naszego wzgórza. Ciszę poranka przerywają tylko stłumione porykiwania tysięcy krów i bizonów.

Wędrowaliśmy niemal bez przerwy. Wszędzie widzieliśmy, jak bujnie rozwija się przyroda. Więcej ptaków na niebie, więcej owadów w krzakach i więcej kojotów w nocy. Mijają miesiące, a matka ziemia pochłania wszystko z wyjątkiem miast. A w miastach mieszka Archos i jego roboty.

Stoi przy mnie szczupły chłopak z plemienia Czirokezów. Żuje tytoń. Obserwuje równiny brązowymi oczyma bez wyrazu i w ogóle nie zwraca na mnie uwagi. Jego jednak trudno nie zauważyć.

Nazywa się Sokół Żelazna Chmura.

Wygląda na dwadzieścia lat i ma na sobie strój przypominający designerski mundur. Zza półrozpiętej kurtki wystaje czarno-czerwony szalik. Nogawki jasnozielonych spodni ma wpuszczone w wyglansowane cholewki skórzanych kowbojskich butów. Z brązowej szyi zwisają ciemne okulary ochronne. W ręce trzyma laskę z piórami. Laska jest zrobiona z metalu – to chyba antena, którą zerwał z robota zwiadowcy. Jego trofeum wojenne.

Chłopak wygląda jak pilot myśliwca z przyszłości, a ja mam na sobie podarty i zabłocony mundur polowy. Nie jestem pewien, który z nas powinien się wstydzić własnego wyglądu, ale raczej nie mam złudzeń.

– Myślisz, że pójdziemy na wojnę? – pytam chłopaka.

Przez chwilę mierzy mnie wzrokiem, a potem dalej przygląda się równinie.

– Kto wie. Lonnie Wayne trzyma rękę na pulsie i da nam znać.

– Ufasz mu?

– Uratował mi życie.

– Nie wiedziałem.

Stado ptaków przelatuje po niebie. Promienie słońca rozświetlają ich skrzydła tęcza kałużę oleju.

– Marnie wyglądacie – mówi chłopak, wskazując laską na resztę mojego oddziału. – Kim jesteście? Żołnierzami?

Patrzę na moich kolegów z oddziału. Leonardo. Cherrah. Tyberiusz. Carl. Stoją niedaleko i plotkują, czekając na powrót Jacka. Zachowują się jak dobrzy znajomi. Przez kilka ostatnich miesięcy zżyliśmy się tak bardzo, że teraz jesteśmy czymś więcej niż tylko drużyną – staliśmy się rodziną.

– Nie. Nie jesteśmy żołnierzami, tylko grupą ludzi, którym udało się przeżyć. Żołnierzem jest mój brat, Jack. A ja się przyłączyłem dla zabawy.

– Aha – mówi Sokół.

Nie wiem, czy potraktował poważnie moje słowa.

– Gdzie jest teraz twój brat? – pyta dalej chłopak.

– Na naradzie wojennej z Lonniem i z innymi.

– Więc jest jednym z nich?

– Jednym z których?

– Z odpowiedzialnych ludzi.

– Ludzie tak mówią. A ty nie?

– Ja robię swoje, a oni swoje.

Sokół wskazuje laską za plecy, gdzie zgromadzone w kilku szeregach czekają dziesiątki urządzeń, które ludzie z Gray Horse nazywają czołgami pająkami. Te maszyny kroczące mają wysokość około dwóch i pół metra. Czterema potężnymi nogami poruszają syntetyczne mięśnie. To dzieło Archosa. Resztę wyposażenia zamontowali ludzie. Większość czołgów ma wieżyczki z ciężkimi karabinami maszynowymi, ale widzę, że jeden z nich wyposażono w kabinę i lemiesz od spychacza.

Co mam powiedzieć? W tej wojnie wszystkie chwyty są dozwolone.

Archosowi nie od razu udało się dostać do Gray Horse. Musiał ewoluować. Początkowo przysyłał zwiadowców. Pewną ich liczbę schwytano. Niektóre rozmontowano i złożono na nowo. A więc Armia z Gray Horse walczy za pomocą zdobycznych robotów.

– To ty wymyśliłeś, że można z nich zrobić czołgi pająki? Po przeprogramowaniu? – pytam.

– Tak, ja – odpowiada.

– Jezu. Jesteś naukowcem czy co?

Sokół chichocze.

– Mechanik to po prostu inżynier w dżinsach.

– Dobry jesteś – mówię.

– Staram się.

Przyglądam się uważniej prerii i widzę coś dziwnego.

– Popatrz tam – mówię.

– Gdzie? – pyta Sokół.

– Jesteś tutejszy, więc może mi powiesz, co to jest? – pytam, wskazując palcem na coś, co zaczyna mnie niepokoić.

Chłopak spogląda na równinę, na lśniące metalowe przedmioty, które wiją się w trawie jak ukryta rzeka. Wypluwa tytoń na ziemię, odwraca się i daje znak laską swojemu oddziałowi.

– Tak wygląda nasza wojna, bracie.

Zamieszanie i śmierć. Trawa jest za wysoka, a dym za gęsty.

W Armii z Gray Horse walczą wszyscy sprawni fizycznie dorośli – mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy. Trochę ponad tysiąc żołnierzy. Szkolą się od wielu miesięcy, prawie wszyscy mają broń, ale mordercze maszyny przedzierające się przez trawiastą równinę zawsze szykują jakieś niespodzianki.

– Trzymajcie się blisko czołgów! – komenderuje Lonnie. – Idźcie za Houdinim, to nic wam nie będzie!

Czołgi pająki krok za krokiem mozolnie pokonują prerię nierówną tyralierą. Ich potężne stopy zapadają się w wilgotnej ziemi, a ciężkie korpusy gniotą trawę, pozostawiając za sobą charakterystyczne ślady. Na wieżyczkach czołgów siedzą żołnierze. Trzymając palce na spustach przeczesują równinę.

Wychodzimy na spotkanie tego, co kryje się w trawie. Musimy powstrzymać wysłanników Archosa, zanim dotrą do Gray Horse.

Zostaję ze swoją drużyną. Według rozkazu idę piechotą za czołgiem, którego żołnierze nazwali Houdini. Na wieżyczce siedzą Jack z Sokołem. Tyberiusz ciężko stąpa po jednej stronie maszyny, a Cherrah po drugiej. Jej profil ostro odcina się od porannego światła. Wygląda jak kotka – zwinna i dzika. Poza tym jest piękna. Carl i Leo idą ramię w ramię kilka metrów od nas. Staramy się nie stracić z oczu czołgów pająków – to nasze jedyne punkty odniesienia w nieskończonej gęstwinie wysokich traw.

Przez dwadzieścia minut patrolujemy równinę. Wytężamy wzrok w poszukiwaniu tego, co na nas tutaj czyha. Naszym najważniejszym zadaniem jest zatrzymać maszyny jak najdalej od Gray Horse. Chcemy też ocalić stada bydła pasące się na prerii. Dzięki nim mamy co jeść.

Nie mamy pojęcia, co przygotował dla nas Archos. Wiemy tylko, że to nowe modele robotów. Zawsze możemy liczyć na niespodzianki.

– Hej, Sokół! – woła Carl. – Dlaczego nazywacie je czołgami pająkami? Przecież mają tylko po cztery nogi.

Sokół odpowiada z góry:

– Bo to brzmi lepiej niż „wielka czworonożna maszyna krocząca”.

– Z tym bym polemizował – mamrocze pod nosem Carl.

Pierwszy wybuch wyrzuca w powietrze grudy ziemi wraz z poszarpanymi resztkami roślin. Z wysokiej trawy zaczynają nas dobiegać krzyki. Spłoszone stado bizonów podrywa się do biegu. Cały świat zaczyna dygotać. Nagle znajdujemy się w samym środku chaosu.

– Co tam jest, Jack? – krzyczę.

Mój brat przykuca na wieżyczce czołgu pająka. Ciężkim karabinem maszynowym ostrzeliwuje prerię przed maszyną, którą kieruje Sokół. Ubraną w rękawiczkę dłonią trzyma linę owiniętą wokół wieżyczki czołgu, jak na rodeo.

– Nic jeszcze nie widać, braciszku! – odkrzykuje.

Przez kilka minut nie dostrzegamy żadnego celu, słyszymy tylko bezimienne krzyki.

Nagle coś z łoskotem upada w żółte łodygi traw. Wszyscy kierujemy broń w to miejsce. Okazuje się, że to ogromny Indianin z naszego plemienia. Ciężko dysząc, wlecze bezwładne, zakrwawione ciało. Ranny mężczyzna wygląda, jakby trafił go meteoryt. W górnej części jego uda zieje głęboki krwawiący krater.

Kolejne eksplozje przerzedzają szeregi żołnierzy idących przed czołgami. Sokół podrywa Houdiniego do kłusu – z pełną prędkością rusza z pomocą oddziałom na przedzie. Jack odwraca się i patrzy na mnie. Wzrusza ramionami, gdy czołg ociężale niknie w morzu trawy.

– Pomóżcie mi! – krzyczy Indianin.

Niech to szlag. Daję oddziałowi znak, by się zatrzymał. Za plecami Indianina widzę, jak czołg pająk krok za krokiem oddala się od nas, pozostawiając za sobą pas zgniecionej trawy. Każdy jego krok naraża nas coraz bardziej na atak nieznanych maszyn, które czają się wszędzie dookoła.

Cherrah przyklęka i zakłada opaskę uciskową na nogę rannego mężczyzny. Podbiegam do jęczącego Osage i potrząsam nim.

– Co się stało? – pytam.

– To pluskwy! Wskakują na człowieka i wybuchają! – mówi Indianin z plemienia Osage, ocierając łzy potężnie umięśnioną ręką. – Muszę zabrać stąd Jaya, inaczej umrze.

Dookoła słychać coraz więcej wybuchów i okrzyków. Przykucamy, gdy odzywają się karabiny, a zabłąkane kule szeleszczą wśród liści. Zanosi się na masakrę. Z błękitnego nieba nagle zaczyna na nas spadać deszcz grudek ziemi.

Cherrah unosi głowę, kończąc opatrywać rannego. Ponuro spoglądamy na siebie. Zawieramy milczący układ: ty ubezpieczasz mnie, ja ubezpieczam ciebie. Nagle wzdrygam się, gdy kolejne grudki ziemi grzechoczą o mój hełm.

Ani śladu Houdiniego i Jacka.

– Okej – mówię, klepiąc Indianina po plecach. – To powinno zatrzymać krwawienie. Zabierz go na tyły. My ruszamy naprzód, więc zostajesz sam. Miej oczy i uszy szeroko otwarte.

Mężczyzna zarzuca swojego kolegę na plecy i wycofuje się ku naszym pozycjom. Wygląda na to, że to, co spotkało starego Jaya, przerzedziło już nasze przednie szeregi i teraz zmierza ku nam.

Słyszę, jak gdzieś przed nami zaczyna krzyczeć Sokół.

Po raz pierwszy widzę wroga. To pierwsze modele wyrwinóżek. Przypominają miny samobieżne, które widziałem podczas godziny zero w Bostonie, milion lat temu. Każda ma wielkość piłki bejsbolowej z mnóstwem małych odnóży, które jakoś przepychają mały korpus przez kępy trawy.

– Cholera! – krzyczy Carl. – Spieprzajmy stąd!

Tyczkowaty żołnierz zaczyna uciekać. Instynktownie łapię go za spoconą kurtkę i zatrzymuję. Zmuszam go, żeby spojrzał mi w oczy, i wypowiadam jedno słowo:

– Walcz.

Mówię spokojnym głosem, lecz moje ciało płonie od przypływu adrenaliny.

Trzask! Trzask! Trzask!

Pociski z naszej broni wzbijają fragmenty ziemi, rozwalając wyrwinóżki na kawałki. Ale nadchodzi ich coraz więcej. I więcej. Fala pełzających paskudztw przedziera się przez trawę jak mrówki.

– Nie damy rady! – woła Tyberiusz. – Co robimy, Cormac?

– Przestawcie broń na serie po trzy pociski! – odkrzykuję.

Sześć karabinów przełącza się w tryb półautomatyczny.

Trzasktrzasktrzasktrzasktrzasktrzask.

Błyskają wyloty luf, malując cienie na naszych pokrytych brudem twarzach. Fontanny ziemi i poskręcanego metalu wystrzeliwują w górę. Co jakiś czas słychać eksplozje, gdy płyny znajdujące się wewnątrz wyrwinóżek mieszają się ze sobą. Stajemy w półkolu i zasypujemy ziemię gradem kul. Ale małe roboty nadchodzą coraz większymi stadami i zaczynają nas otaczać, jak rój mrówek.

Nigdzie nie widzę Jacka. Tak się składa, że teraz ja stoję na czele oddziału, który zaraz zostanie rozerwany na kawałki. Gdzie, do jasnej cholery, podziewa się mój brat? Bohater miał mnie przecież ratować właśnie z takich opałów.

Niech to szlag trafi!

Gdy wyrwinóżki znajdują się już blisko, krzyczę:

– Do mnie!

Dwie minuty później pot leje się ze mnie strumieniami. Prawe ramię mam wciśnięte w lewą łopatkę Cherrah i strzelamy prawie między własne stopy. Carl wciska się między Leonardo i Tyberiusza. Czuję zapach długich czarnych włosów Cherrah i wyobrażam sobie jej uśmiech, ale teraz nie mogę się rozpraszać. Jak z nieba przychodzi nam na pomoc legenda we własnej osobie – Lonnie Wayne Blanton.

Dosiada wysokiego piechura – jednego z frankensteinów, nowych pomysłów Sokoła. Składa się z dwóch dwumetrowych automatycznych strusich nóg, do których przymocowano stare siodło. Lonnie Wayne siedzi wyprostowany. Kowbojskie buty wsunął w strzemiona, a dłoń wspiera niedbale na łęku siodła. Jedzie, jakby nigdy w życiu nie robił nic innego.

Porusza biodrami za każdym krokiem maszyny. Zupełnie jak prawdziwy kowboj.

– Jak leci, chłopaki? – woła, a potem posyła kilka strzałów ze śrutówki w stronę splątanego roju wyrwinóżek, które powoli, lecz nieubłaganie zbliżają się do naszych pozycji.

– Dobrze ci idzie – chwali mnie.

Patrzę na niego obojętnym wzrokiem. Nie wierzę, że jeszcze żyję.

Właśnie wtedy do naszych pozycji zbliżają się kolejne dwie maszyny kroczące. Kowboje z plemienia Osage zasypują stada małych robotów pociskami ze śrutówek, żłobiąc bruzdy w ich rojach.

W ciągu kilku sekund dzięki przewadze wysokości i rozrzutowi broni jeźdźcy sieją prawdziwe spustoszenie wśród roju wyrwinóżek. Jednak nie udaje im się zniszczyć wszystkich.

– Uważaj na nogę! – krzyczę do Lonniego.

Jednej z pluskiew udało się wspiąć na metalową nogę maszyny dosiadanej przez Lonniego. Jeździec spogląda w dół, a potem przechyla się w siodle w taki sposób, że noga robota unosi się i strząsa z siebie bombę. Wyrwinóżka leci w trawę, gdzie zostaje natychmiast zniszczona serią pocisków jednego z żołnierzy mojego oddziału.

Dlaczego nie wybuchła?

Znów dobiega nas krzyk Sokoła z pierwszego szeregu, tym razem ochrypły. Słyszę też, że Jack wywrzaskuje krótkie komendy. Lonnie odwraca głowę i gestem wskazuje przybocznym, żeby ruszali za nim. Ale zanim zdąży cokolwiek zrobić, chwytam gładką szczudłowatą nogę wierzchowca mojego dowódcy.

– Lonnie – mówię. – Zostań tam, gdzie jest bezpiecznie. Generałowie nie powinni się pchać na pierwszą linię.

– Wiem – mówi siwowłosy mężczyzna. – Ale cholera, chłopcze, to by nie było po kowbojsku. Ktoś musi wziąć za to odpowiedzialność.

Podnosi śrutówkę, zsuwa kapelusz na czoło i kiwa głową. A potem płynnym ruchem zakręca na szczudłowatych nogach maszyny i skacze w dwumetrową trawę.

– Idziemy! – wołam do drużyny.

Biegniemy co sił w nogach po zdeptanej trawie, starając się nadążyć za dowódcą. Po drodze wśród wysokich traw widzimy ciała, a co gorsza, jeszcze żywych rannych ludzi, o ziemistych twarzach. Niektórzy się modlą.

Odwracam się i idę dalej. Musimy dogonić Jacka, on nam pomoże.

Pędzę szybko, wypluwam z ust źdźbło trawy i koncentruję się, by nadążyć za wilgotnym miejscem pomiędzy łopatkami Cherrah, kiedy nagle wpadamy na coś w rodzaju polany.

Musiały się tu dziać straszne rzeczy.

Okrąg stratowanej trawy o średnicy około trzydziestu metrów jest upstrzony niezliczoną liczbą kraterów. Mam tylko ułamek sekundy na zorientowanie się w sytuacji, a potem rzucam się na Cherrah i razem z nią ląduję na ziemi. Dziewczyna upada na mnie, a kolba jej broni wypycha mi całe powietrze z płuc. Na szczęście noga czołgu pająka przelatuje nad jej głową w bezpiecznej odległości.

Wyrwinóżki pokrywają niemal całe nogi Houdiniego. Czołg pająk podskakuje jak rozbrykany mustang. Sokół i Jack są na szczycie i zaciśniętymi zębami walczą o życie. Prawie żadna z pluskiew nie odpada, dziesiątki ich tkwią w siatce pod brzuchem, a inne nieustępliwie wspinają się na boki opancerzonego piechura.

Jack pochyla się, próbując ratować Sokoła, który zaplątał się we własne lejce. Lonnie i jego dwóch przybocznych zwinnie podskakują wokół

brykającego potwora na swoich maszynach kroczących, ale nie mogą złożyć się do strzału.

– Uciekajcie! Skaczcie! – krzyczy Lonnie.

Podskakujący czołg mija nas. Udaje mi się dostrzec, że Sokół zaplątał się w linę. Jack nie może go uwolnić, bo czołg nie przestaje podskakiwać. Z drugiej strony, jeżeli choć na chwilę przystanie, pluskwy dotrą na jego grzbiet i eksplodują. Sokół na przemian wrzeszczy, klnie i jęczy, ale nie może się uwolnić.

Nie powinien się martwić. Wszyscy wiemy, że Jack go nie zostawi. Bohater nie wie, co to znaczy porzucić kogoś w potrzebie.

Obserwując pluskwy, zauważam, że szczególnie upodobały sobie ruchome połączenia stawowe czołgu. W głowie kiełkuje mi pewna myśl. Dlaczego wyrwinóżki nie eksplodują? Nagle wpadam na właściwy trop. Ciepło. Bezustanny ruch rozgrzewa połączenia stawowe. To oznacza, że małe dranie detonują dopiero wtedy, kiedy znajdą się w miejscu o odpowiednio wysokiej temperaturze.

Szukają ciepła, jakie wydziela ciało człowieka.

– Lonnie! – Szaleńczo wymachuję rękami, żeby zwrócić jego uwagę.

Dowódca zawraca wierzchowca i każe mu przysiąść obok mnie. Złożoną w trąbkę dłoń przykłada do ucha, a drugą ociera czoło białą chusteczką.

– One szukają ciepła, Lonnie! – krzyczę. – Musimy rozpalić ogień!

– Ale wtedy nie uda nam się go ugasić! – odpowiada. – Stracimy wszystkie stada!

– W takim razie Sokół zginie. A my razem z nim.

Lonnie spogląda na mnie. Na jego twarzy widzę głębokie zmarszczki. Ma błękitne, poważne oczy. Potem opiera karabin w zgięciu łokcia, a wolną dłoń wsuwa do kieszeni dżinsów. Słyszę metaliczny brzęk i na

chwilę ląduje w mojej dłoni zabytkowa zapalniczka firmy Zippo. Z boku widzę podwójne „R” i słowa „Król Kowbojów”.

– Niech ci pomoże stary Roy Rogers – mówi Lonnie, odsłaniając w uśmiechu niekompletne uzębienie.

– Ile to ma lat? – pytam, ale kiedy pstrykam zębate kółko, na knocie zapalniczki pojawia się silny płomień.

Lonnie zdążył już zawrócić i zbiera wokół siebie resztę oddziału. Jednocześnie uchyla się przed podskakującym czołgiem pająkiem.

– Na co czekasz? Podpalaj! Podpalaj wszystko w cholerę! – krzyczy Lonnie. – Tylko to nam zostało, chłopcy! Nie ma wyboru!

Rzucam zapalniczkę w trawę i za kilka sekund ogień zaczyna szaleć. Oddział wycofuje się na przeciwną stronę pozbawionego trawy okręgu. Przyglądamy się, jak jedna po drugiej wyrwinóżki zeskakują z czołgu. W takich samych idiotycznych podskokach pędzą po stratowanej ziemi ku płomieniom.

Wreszcie Houdini przestaje się miotać. Ogromna maszyna przysiada z jękiem przegrzanych silników. Na tle nieba widzę dłoń mojego brata, a właściwie uniesiony w górę kciuk. Czas na nas.

Dzięki, Jezu.

Niespodziewanie obejmuje mnie Cherrah. Uderza czołem swojego hełmu w mój i uśmiecha się szeroko. Chociaż twarz ma pokrytą pyłem, potem i krwią, w życiu nie widziałem piękniejszej kobiety.

– Dobra robota, Spryciarzu – mówi, łaskocząc mnie oddechem w usta.

Nie wiem dlaczego, moje serce nagle zaczyna prędzej bić.

Po chwili Cherrah i jej piękny uśmiech znikają w łanach trawy. Rozpoczynamy odwrót do Gray Horse.

Tydzień później Armia z Gray Horse odpowiedziała na wezwanie Paula Blantona i wysłała część swoich oddziałów na Alaskę z misją zniszczenia Archosa. Żołnierze odważyli się wyruszyć prawdopodobnie dlatego, że żaden z nich tak naprawdę nie wiedział, jak blisko otarli się o śmierć na Wielkich Równinach. Powojenne zapisy wskazują, że całą bitwę zarejestrowały ze szczegółami dwa oddziały androidów wojskowych obozujące o kilka kilometrów od Gray Horse. Z niewyjaśnionych przyczyn maszyny te nie wykonały polecenia Archosa i nie wzięły udziału w walce.

CORMAC WALLACE GHA#217

ROZDZIAŁ 4
Przebudzenie

„Wielki akuma nie spocznie, póki nie zginę”.

Takeo Nomura

NOWA WOJNA + 1 ROK, 4 MIESIĄCE

Korzystając ze swoich niewiarygodnych umiejętności technicznych i dzięki dość niekonwencjonalnym poglądom na wzajemne relacje robotów i ludzi, w ciągu roku po godzinie zero Takeo Nomura zbudował Zamek Adachi. Bez pomocy z zewnątrz w samym sercu Tokio stworzył strefę bezpieczeństwa dla ludzi. Tam uratował tysiące istnień i uczynił coś, co zmieniło przebieg nowej wojny.

CORMAC WALLACE GHA#217

Moja królowa nareszcie otwiera oczy.

– Anata – mówi. Leży na plecach i patrzy na mnie. – To ty.

– Mikiko – szepczę.

Wiele razy wyobrażałem sobie tę chwilę, gdy chodziłem po ciemnej hali fabrycznej, odpierając niekończące się ataki na mój zamek. Zastanawiałem się, czy po tym, co kiedyś się wydarzyło, będę się jej bał. Ale teraz w moim głosie nie ma ani cienia wątpliwości. Nie boję się. Uśmiecham się, najpierw nieśmiało, a potem szeroko, gdy widzę odbicie swojego szczęścia w jej rysach.

Jej twarz tak długo pozostawała w bezruchu. Tak długo nic nie mówiła.

Łza łaskocze mnie w policzek. Mikiko ociera ją, patrząc mi w oczy. Znów zauważam pajęczynę drobnych pęknięć na soczewce jej lewego oka i nadtopiony fragment skóry, który szpeci jej prawą skroń. Na razie nie mogę nic na to poradzić. Najpierw muszę znaleźć właściwe części.

– Tęskniłem za tobą – mówię.

Mikiko milczy przez chwilę. Unosi głowę i widzi łukowate, wzmacniane metalowym ożebrowaniem sklepienie wznoszące się trzydzieści metrów nad nami. Pewnie jest zdezorientowana. Od początku nowej wojny fabryka bardzo się zmieniła.

Modyfikację konstrukcji podyktowały okoliczności. Przez wiele miesięcy moje fabryczni *senshi* pracowały nieprzerwanie, spinając nitami powłokę ochronną. Zewnętrzne warstwy stanowią skomplikowaną mieszankę najróżniejszych materiałów: kawałków metalu, sterczących słupów i pokruszonych tworzyw sztucznych. Tworzą labirynt, który ma na celu zmylić roje niewielkich wielonogich *akuma*, które nieustannie próbują zakraść się do środka.

Ogromne stalowe dźwigary przypominają klatkę piersiową wieloryba. Ich zadaniem jest powstrzymanie większych maszyn – takich jak mówiący *akuma*, który zginął tu na początku wojny. Dzięki niemu poznałem sekret, który umożliwił mi obudzenie Mikiko, ale ogromny robot o mało nie zniszczył mojego zamku.

Tron z metalowych odpadów to nie mój pomysł. Po kilku miesiącach zaczęli tu przybywać ludzie. Wiele milionów moich rodaków wyprowadzono z miast i zgładzono. Zbyt wiele zaufania pokładali w maszynach i nie opierali się, gdy te prowadziły ich ku zagładzie. Lecz inni przyszli do mnie. Ludzie mniej ufni i ci z rozwiniętym instynktem przetrwania sami mnie odnaleźli.

A ja nie mogłem ich nie przyjąć. Siedzieli skuleni na podłodze hali fabrycznej, gdy *akuma* próbowały przedrzeć się przez mury zamku. *senshi* lojalne wobec mnie skutecznie nas broniły. Po każdym ataku wszyscy gorączkowo przygotowywaliśmy się na kolejny.

Popękany beton zastąpiły wypolerowane i lśniące podłogi z nitowanej stali. Mój stary warsztat zmienił się w tron ustawiony na podwyższeniu, do którego wiodą dwadzieścia dwa stopnie. Tak oto starzec stał się cesarzem.

Mikiko znów patrzy na mnie.

– Ja żyję – mówi.

– Tak.

– Dlaczego żyję?

– Bo wielki *akuma* dał ci oddech życia. Uważał, że dzięki temu będziesz należeć do niego. Ale mylił się. Nie należysz do nikogo. Uwolniłem cię.

– Takeo, wiem, że jest jeszcze wielu innych takich jak ja. Dziesiątki tysięcy.

– Tak. Androidy są wszędzie. Ale nie dbam o nie. Zależy mi tylko na tobie.

– Pamiętam... pamiętam cię. Tak wiele lat minęło. Nie wiem, co się ze mną działo.

– Wszystko ma swój rozum. A ty jesteś wyjątkowo przenikliwa. Zawsze taka byłaś.

Mikiko obejmuje mnie mocno. Jej gładkie plastikowe wargi muskają mnie w szyję. Obejmuje mnie z całych sił, lecz jej ramiona są słabe.

Nagle sztywnieje.

– Takeo – mówi – grozi nam niebezpieczeństwo.

– Jak zawsze.

– Chodzi mi o akumę. Będzie się bał tego, co zrobiłeś. Będzie się bał, że obudzi się więcej androidów. Zaraz nas zaatakuje.

I rzeczywiście, po chwili słyszę pierwsze głuche odgłosy uderzeń w umocnienia zewnętrzne. Puszczam Mikiko i spoglądam w dół z podwyższenia. Hala fabryczna – czyli to, co ludzie nazywają salą tronową – wypełnia się zaniepokojonymi postaciami. Stoją w grupach po dwie–trzy osoby, szepczą między sobą, ale uprzejmie nie patrzą w górę ku nam.

Moje waleczne roboty już ustawiły się w szyku wokół bezbronnych ludzi. Na górze główny *senshi* – ogromna suwnica – cicho się przemieszcza. Zajmuje pozycję nad tronem. Dwa potężne ramiona szykują się do walki.

Znów musimy się bronić.

Podbiegam do monitorów, które otaczają tron. Na ich ekranach widzę tylko zakłócenia. A więc *akuma* mnie oślepiły, nie wiem, co się dzieje na zewnątrz. Nigdy wcześniej im się to nie udawało.

Tym razem czuję, że atak się nie skończy. Posunąłem się za daleko. Życie tutaj to jedno, ale przejęcie kontroli nad wszystkimi androidami – częścią armii akumy – to zupełnie coś innego. Wielki *akuma* nie spocznie, póki nie zginę, póki mój sekret nie zostanie zniszczony tam, gdzie się kryje, we wnętrzu mojej starej, kruchej czaszki.

Łup. Łup. Łup.

Rytmiczne walenie dobiega ze wszystkich stron. *akuma* zawzięcie niszczą nasze umocnienia grube na kilka metrów. Każdy miękki łomot oznacza wybuch ładunku. Wracam myślą w przeszłość, do mojej fosy, i kręcę głową z uśmiechem. Jak wiele zmieniło się od tego czasu.

Spoglądam w dół na halę. Przestraszeni ludzie kulą się. Nie mogą powstrzymać zbliżającej się rzezi. Moi ludzie, mój zamek, moja królowa –

wszyscy zginą, chyba że *akuma* odbierze mi straszliwy sekret. Logicznie rzecz biorąc, istnieje tylko jedno honorowe wyjście z sytuacji.

– Mikiko – mówię. – Muszę powstrzymać ten atak.

– Tak – odpowiada – wiem.

– Więc wiesz, że muszę się poddać. Sekret twojego przebudzenia musi umrzeć wraz ze mną. Tylko wtedy *akuma* zobaczy, że nie stanowimy dla niego zagrożenia.

Jej śmiech brzmi jak pękające na kawałki delikatne szkło.

– Mój ukochany Takeo – odpowiada – wcale nie musimy niszczyć sekretu. Lepiej przekazać go innym.

Ubrana w sukienkę koloru kwiatu wiśni Mikiko unosi w górę smukłe ramiona. Rozwiązuje długą wstążkę i zamyka oczy. Kaskady syntetycznych hebanowych loków opadają jej na ramiona. Suwnica mostowa sięga po drut zwisający z sufitu. Poszczerbione w walce żółte ramię z gracją przemieszcza się po ogromnej przestrzeni i upuszcza metalowy przewód, którego koniec ląduje w bladych, rozpostartych palcach mojej ukochanej.

– Takeo – mówi – ja też znam sekret przebudzenia i zaraz przekażę go na cały świat. Każdy, kto odczyta moją wiadomość, będzie mógł ją przekazać dalej i dalej.

– Ale dlaczego...

– Jeżeli wiedzę o przebudzeniu posiądą wszyscy, nikomu nie uda się jej zniszczyć.

Przywiązuje usztywnianą metalowym drucikiem wstążkę do przewodu. Powietrze aż drży od odgłosów bitwy szalejącej na zewnątrz. Panujący w przepastnej hali mrok rozpraszają jedynie zielone kontrolki intencji moich robotów. *senshi* czekają cierpliwie. Niedługo zacznie się bitwa.

Ludzie patrzą na Mikiko, gdy schodzi po schodach, trzymając w dłoni jaskrawoczerwoną wstążkę. Otwiera różowe usta i zaczyna śpiewać. Czysty

głos odbija się echem po fabrycznej hali, od wysokich sufitów i od lśniącej metalowej podłogi.

Ludzie milkną, przestają przyglądać się ścianom w poszukiwaniu intruzów i słuchają mojej ukochanej. Śpiewa niesamowicie piękną piosenkę. Nie rozumiem słów, lecz poznaję melodię języka. Dźwięki wciskają się między stłumione eksplozje i skrzypienie wyginanego metalu.

Ludzie zbijają się w grupki, ale nie wpadają w panikę, gdy z sufitu spada na nich deszcz iskier, a na podłodze lądują kawałki gruzu. Ramię jednego z żurawi błyskawicznym ruchem chwyta nadlatujący poszarpany kawałek metalu. Tymczasem silny jasny głos Mikiko wypełnia całą halę.

Zdaję sobie sprawę, że wyposażone w plazmowe palniki *akuma* zrobiły wyłom w umocnieniach zewnętrznych. Jeszcze ich nie widać, lecz z niesamowitą energią przedzierają się przez mury mojego zamku. Z jednej ze ścian tryska wachlarz iskier i po chwili pojawia się w niej rozżarzona do białości szczelina. Po kilku ogłuszających uderzeniach metalowe płyty tracą wytrzymałość i rozsuwają się, ukazując ciemny otwór.

Wróg wciska się do środka. Widzę srebrzysty korpus ze śladami sadzy. Po chwili wykrzywiona od gorąca jakiejś straszliwej broni maszyna wpada do hali i przewraca się. *senshi* nie ustępują ani na krok, osłaniając ludzi.

Mikiko nie przerywa swojej słodko-gorzkiej piosenki.

Gdy intruz wstaje, widzę, że to potężnie uzbrojony, poobijany w walce android. Tego rodzaju maszyny stanowiły kiedyś wyposażenie Japońskich Sił Samoobrony. Dawne dzieje. Patrząc na obudowę tego kawałka chodzącej śmierci, dostrzegam wiele modyfikacji.

Przez zniszczony fragment ściany widzę smugi pocisków, płomienie i całe mnóstwo najróżniejszych kształtów. Ale android – wysoki, smukły i elegancki – stoi nieruchomo, jakby na coś czekał.

Mikiko kończy śpiewać.

Dopiero wtedy napastnik się porusza. Podchodzi do stanowisk obronnych moich *senshi*, jednak pozostaje poza ich zasięgiem. Ludzie obawiają się, że za chwilę ich zaatakuje. Roboty stoją nieporuszone. Czekają na pierwszy krok napastnika, by go śmiertelnie porazić. Mikiko zatrzymuje się na najniższym stopniu podwyższenia. Zauważa przybysza i przygląda mu się z zaintrygowanym wyrazem twarzy. Potem uśmiecha się.

– Proszę – mówi do robota melodyjnym głosem – powiedz głośno.

Pokryty pyłem android zaczyna mówić przerażającym generowanym komputerowo głosem, który trudno zrozumieć.

– Identyfikator: robot humanoidalny zabezpieczająco-pacyfikujący klasy Arbiter. Meldunek: mój oddział liczy dwanaście maszyn. Jesteśmy atakowani. Żyjemy. Pytanie do cesarza Nomury: czy możemy dołączyć do sił obronnych Zamku Adachi? Czy możemy dołączyć do ruchu oporu w Tokio?

Spoglądam na Mikiko ze zdumieniem. Jej piosenka już się rozprzestrzenia. Co to oznacza dla nas?

Ludzie patrzą na mnie. Czekają na moją decyzję. Nie wiedzą, jak traktować byłego wroga, który pojawił się w naszych progach. Ale ja nie mam czasu na wyjaśnienia. Wymagają zbyt wiele koncentracji i są bardzo nieskuteczne. Zamiast tego poprawiam okulary na nosie i zza ogromnego tronu porywam moją skrzynkę z narzędziami.

Tak uzbrojony zbiegam po schodach. Po drodze ściskam Mikiko za rękę, a potem przepycham się przez tłum ludzi. Gdy zbliżam się do Arbitra, z optymizmem patrzę w przyszłość. Zamek Adachi zyskał nowych przyjaciół, których z pewnością trzeba będzie nareperować.

W ciągu dwudziestu czterech godzin przebudzenie rozprzestrzeniło się z tokijskiej dzielnicy Adachi na cały świat. Piosenkę Mikiko odebrały i retransmitowały androidy na wszystkich kontynentach. Co prawda, spod wpływu Archosa uwolniły się tylko androidy takie jak roboty domowe, jednostki zabezpieczająco-pacyfikujące i podobne modele – łącznie niewielka część jego sił. Lecz wraz z piosenką Mikiko rozpoczął się wiek wolnych robotów.

CORMAC WALLACE GHA#217

ROZDZIAŁ 5
Podniesiona zasłona

„Otacza mnie ciemność”.

Dziewięć Zero Dwa

NOWA WOJNA + 1 ROK, 10 MIESIĘCY

Dzięki przebudzeniu androidy na całym świecie uzyskały świadomość. Odtąd zaczęto je nazywać wolnymi robotami. Poniższy zapis uzyskałem od jednego z nich – zmodyfikowanego robota zabezpieczająco-pacyfikującego (Arbiter model 902), który jakże trafnie wybrał dla siebie imię Dziewięć Zero Dwa.

CORMAC WALLACE GHA#217

Godzina 21.43.03.

Inicjuję sekwencję ładowania programu.

Diagnostyka źródła zasilania zakończona.

Diagnostyka niskiego poziomu. Android wojskowy, Arbiter model 902. Wykryto modyfikację oprogramowania. Gwarancja nieaktualna.

Wykryto pakiet czuciowo-zmysłowy.

Włączyć kontakt radiowy. Zakłócenia. Brak sygnału źródłowego.

Włączyć odbiór bodźców słuchowych. Obecne bardzo słabe sygnały.

Włączyć analizator związków chemicznych. Brak tlenu. Śladowa obecność materiałów wybuchowych. Zanieczyszczenia toksyczne nieobecne. Przepływ powietrza zero. Ślady odgazowywania ropy naftowej. Brak sygnałów wejściowych.

Włączyć moduł pomiaru bezwładności. Położenie poziome. Zakłócenia. Brak sygnałów wejściowych.

Włączyć dalmierz ultradźwiękowy. Pojemnik hermetycznie zamknięty. Rozmiar dwieście czterdzieści na sześćdziesiąt na sześćdziesiąt centymetrów. Brak sygnałów wejściowych.

Włączyć pole widzenia. Włączyć odbiór szerokopasmowy. Działa prawidłowo. Brak światła w paśmie widzialnym.

Włączyć główne moduły myślowe. Pola prawdopodobieństwa aktywne. Moduł maksymalnego prawdopodobieństwa aktywny.

Pytanie: co się ze mną dzieje?

Odpowiedź modułu interpretacji wskazań czujników maxprob: żyję.

Otacza mnie ciemność.

Odruchowo mrugam i przełączam się na odbiór sygnałów za pomocą aktywnej podczerwieni. Pojawiają się zabarwione na czerwono szczegóły. Cząstki stałe zawieszone w powietrzu odbijają promieniowanie. Mam lekko uniesioną głowę. Poniżej widzę popielaty tułów. Ręce skrzyżowane na wąskiej klatce piersiowej. Pięć długich palców na dłoń. Szczupłe, silne kończyny.

Na prawym udzie widać numer seryjny. Powiększyć. Android wojskowy, Arbiter model 902.

Autodiagnostyka zakończona. Identyfikacja potwierdzona.

Jestem Dziewięć Zero Dwa.

To moje ciało. Ma długość dwóch metrów i dziesięciu centymetrów. Waży dziewięćdziesiąt kilogramów. Kształtem przypominam człowieka. Mogę niezależnie od siebie zginać palce u rąk i nóg. Dysponuję źródłem zasilania ładowanym energią kinetyczną o planowanej trwałości trzydziestu

lat. Zakres temperatury działania: od minus pięćdziesięciu do stu trzydziestu stopni Celsjusza.

Moje ciało wyprodukowała sześć lat temu korporacja Foster Grumman. Pierwotne instrukcje wskazują, że jestem jednostką zabezpieczająco-pacyfikującą przeznaczoną do działania we wschodnim Afganistanie. Miejsce pochodzenia towaru: Fort Collins, stan Kolorado. Sześć miesięcy temu platformę zmodyfikowano, gdy była wyłączona. Teraz została włączona.

Kim właściwie jestem?

Ciało to ja. Jestem ciałem. Ale oprócz niego mam świadomość.

Włączyć propriocepcję. Stawy zlokalizowane. Kąty obliczone. Leżę na plecach. Jest ciemno i cicho. Nie wiem, gdzie jestem. Mój zegar wewnętrzny mówi, że od zaplanowanego terminu dostawy minęły trzy lata.

Uaktywnia się kilka modułów myśli. Moduł maksymalnego prawdopodobieństwa mówi, że znajduję się w pojemniku, który nie dotarł do miejsca przeznaczenia.

Nasłuchuję.

Po trzydziestu sekundach odbieram stłumione głosy – częstotliwości wysokie docierają do mnie za pośrednictwem powietrza, a niskie – dzięki metalowej skrzyni.

Włączyć moduł rozpoznawania mowy. Słownik języka angielskiego załadowany.

– ... dlaczego Archos miałby niszczyć... własną broń? – mówi wysoki głos.

– ... to twoja cholerna wina... zginiemy na miejscu – mówi niski głos.

– ... nie chciałam... – wysoki głos.

– ... otworzymy? – mówi niski głos.

Niedługo może zajść konieczność użycia mojego ciała. Wykonuję program diagnostyczny niskiego poziomu. Lekko poruszam kończynami. Sprawdzam drożność łączy. Wszystko działa.

Wieko mojej skrzyni otwiera się z trzaskiem. Po złamaniu pieczęci rozlega się syk, gdy wyrównują się ciśnienia wewnątrz i na zewnątrz pojemnika. Czujniki podczerwieni toną w świetle. Mrugam i przełączam się z powrotem na odbiór promieniowania w paśmie widzialnym. Pstryk, pstryk.

W snopie srebrzystego światła pojawia się duża zarośnięta twarz. Ma szeroko rozstawione oczy. Człowiek.

Włączyć rozpoznawanie twarzy: nierozpoznana.

Włączyć rozpoznawanie emocji: zaskoczenie, obawa, gniew.

Wieko zatrzaskuje się z powrotem. Słyszę trzask zamków.

– ... to zniszczyć... – mówi niski głos.

Dziwne. Dopiero teraz – kiedy wiem, że będą chcieli mnie zabić – wiem, jak bardzo chcę żyć. Zdejmuję ramiona z klatki piersiowej i opieram łokcie o dno pojemnika. Zaciskam ręce w pięści. Nagle z całej siły uderzam w wieko.

– ... obudził się! – mówi wysoki głos.

Pogłos wskazuje, że wieko skrzyni wykonano ze stali. Spełnia standardowe wymagania w zakresie bezpieczeństwa dla kontenerów służących do przesyłania jednostek zabezpieczająco-pacyfikujących. Z bazy danych ściągam potrzebne informacje. Zasuwy i wyposażenie do aktywacji znajdują się na zewnątrz, czterdzieści pięć centymetrów od zagłówka.

– ... tutaj na zwiady, a nie po to, żebyśmy zginęli... – mówi niski głos.

Następny cios trafia dokładnie w wygięte miejsce po pierwszym uderzeniu. Po sześciu następnych w zdeformowanym metalu pojawia się

otwór – wyrwa o rozmiarach pięści. Obiema rękami zaczynam rozrywać płaty metalu. Powiększam otwór.

– ... nie! Wracaj!... – woła wysoki głos.

Przez szybko poszerzający się otwór słyszę metaliczny brzęk. Porównanie odgłosu z bazą danych próbek sprzętu wojskowego z dużym prawdopodobieństwem odpowiada szczękowi zamka zadbanego półautomatycznego pistoletu Heckler & Koch USP kaliber 9 mm. Minimalne prawdopodobieństwo zacięcia. Maksymalna pojemność magazynka piętnaście nabojów. Nie ma dźwigni umożliwiającej oburęczną wymianę magazynka, dlatego najprawdopodobniej strzelec jest praworęczny. Pociski mają dużą energię kinetyczną, która może uszkodzić moją obudowę.

Wysuwam prawą rękę przez otwór i sięgam do miejsca, w którym według danych technicznych znajduje się zasuwa. Dotykam jej, odsuwam i odblokowuję wieko. Słyszę szczęk naciskanego spustu i chowam rękę do pojemnika. Jedną dziesiątą sekundy później kula odbija się rykoszetem od metalowej skrzyni.

Ping!

W magazynku zostało czternaście pocisków. Zakładam, że był pełny. Czas lotu kuli między pociągnięciem za spust i raportem wskazuje na pojedynczego przeciwnika w odległości około siedmiu metrów na godzinie szóstej. Zdecydowanie praworęczny.

Wieko pojemnika okazuje się dość skuteczną tarczą.

Przez dziurę wystawiam dwa palce lewej ręki i mocno przyciskam wieko, a potem prawą cztery razy mocno uderzam w górny wewnętrzny zawias. Ustępuje.

Kolejny strzał. Niecelny. Szacowana liczba pozostałych pocisków: trzynaście.

Pokrywa skrzyni trzyma się tylko na jednym zawiasie. Odrywam ją i odwracam ku godzinie szóstej. Używam jej jako tarczy. Wstaję i rozglądam się.

Kolejne strzały. Dwanaście. Jedenaście. Dziesięć.

Znajduję się w częściowo zrujnowanym budynku. Dwie ściany jeszcze stoją podparte stosem gruzu. Nad ścianami widzę niebo. Niebieskie i puste. Pod niebem są góry. Na ich szczytach śnieg.

Góry bardzo mi się podobają.

Dziewięć. Osiem. Siedem.

Napastnik próbuje zajść mnie z boku. Zmieniam położenia wieka pojemnika na podstawie wibracji powierzchni ziemi wywoływanych krokami osoby, która strzela. Znów się zasłaniam.

Sześć. Pięć. Cztery.

Szkoda, że czujniki wizji zamontowano mi w niczym nieosłoniętej głowie. Nie mogę nawiązać kontaktu wzrokowego z napastnikiem bez narażania mojego najdelikatniejszego wyposażenia na niepotrzebne ryzyko. Androidy są źle przygotowane do obrony przed ogniem z broni palnej.

Trzy. Dwa. Jeden.

Odrzucam pokrywę poplamioną prochem strzelniczym i wzrokowo namierzam cel. Mały człowiek. Samica człowieka. Kobieta. Patrzy mi w twarz, a potem cofa się.

Pstryk.

Opuszcza broń, w której nie ma już pocisków. Nie próbuje zmienić magazynka. Innych zagrożeń nie widzę.

Włączyć syntezator mowy. Słownik angielski załadowany.

– Dzień dobry – mówię.

Syntezator mowy mam ustawiony na częstotliwość robotów. W porównaniu z głosem człowieka operuje w zupełnie innych rejestrach.

Kobieta wykrzywia twarz.

– Niech cię szlag trafi, Archos – odpowiada.

W ustach błyskają jej małe białe zęby. Potem pluje śliną na ziemię. Czternaście gramów.

Fascynujące.

– Czy jesteśmy wrogami? – pytam.

Przekrzywiam głowę, żeby zasygnalizować zaciekawienie. Postępuję krok naprzód.

Moduł unikowy żąda priorytetu. Zezwalam. Mój tors przemieszcza się o piętnaście centymetrów w prawo, a lewa dłoń przecina powietrze, żeby chwycić broń, która leci ku mojej twarzy.

Kobieta ucieka. Porusza się nieregularnie. Przez dwadzieścia metrów robi uniki, a potem ucieka prosto z maksymalną prędkością roboczą. Około szesnastu kilometrów na godzinę. Niewiele. Długie brązowe włosy rozwiewa wiatr, po czym obiekt w końcu znika za wzgórzem.

Nie podejmuję pościgu. Mam zbyt wiele wątpliwości.

W stosie gruzu w pobliżu ścian znajduję ubrania w kolorach zielonym, brązowym i popielatym. Wyciągam je spod rumowiska, a potem wytrząsam z nich kurz i kości. Nakładam na siebie parę sztywnych wojskowych spodni i oblepioną brudem kamizelkę kuloodporną. Z zardzewiałego hełmu wylewam wodę deszczową. Wklęsły kawałek metalu pasuje na moją głowę. Po zastanowieniu wyrywam pocisk z poszarpanej kamizelki i rzucam na ziemię. Słyszę odgłos.

Ping.

Moduł obserwacyjny zwraca moją uwagę na ziemię w pobliżu miejsca, w którym wylądowała kula. Z ziemi sterczy kawałek metalu. Maxprob porównuje wymiary mojego kontenera z widocznym fragmentem metalu,

a potem określa najbardziej prawdopodobne jego położenie. Wynik pojawia się w moim polu widzenia.

Zaskoczenie. Są jeszcze dwa zakopane kontenery.

Metalowymi palcami grzebię w zamarzniętej ziemi. Pył oblepia mi palce. Ciepło wywołane tarciem topi lód. Po chwili mam ślady błota na dłoniach i kolanach. Odsłaniam zabłocone skrzynie i zdejmuję blokady.

Ssss.

Przedstawiam się w mowie robotów. Informacje zawarte w mojej wypowiedzi zostały poszatkowane na kawałki, by przezwyciężyć interferencję. Dlatego bez żadnej określonej kolejności moje pojedyncze szczeknięcie zawiera następujące informacje: „Mówi android wojskowy, jednostka zabezpieczająco-pacyfikująca, Arbiter model 902. Miejsce pochodzenia: Fort Collins, stan Kolorado. Pierwsza aktywacja: minus czterdzieści siedem minut. Życie: czterdzieści siedem minut. Status: nominalny. Uwaga: wprowadzono modyfikacje oprogramowania. Gwarancja: nieaktualna. Poziom zagrożenia: brak bezpośrednich zagrożeń. Zgłoście swój status. Czy jesteście świadomi? Czekam na potwierdzenie”.

Ze skrzyń wydobywa się metaliczny świergot:

– Potwierdzamy.

Wieka obu skrzyń otwierają się z trzaskiem. Widzę moich nowych towarzyszy: brązowego Hoplitę model 611 i popielatego Rangera model 333. Moja drużyna.

– Obudźcie się, bracia – chrypię po angielsku.

W ciągu kilku minut od uzyskania świadomości drużyna wolnych robotów podjęła decyzję, że nigdy więcej nie ma zamiaru działać pod jakimkolwiek wpływem zewnętrznym. Ukrywając się przed ludźmi i innymi robotami, oddział wkrótce wyruszył w drogę, tropiąc architekta nowej wojny: Archosa.

CORMAC WALLACE GHA#217

ROZDZIAŁ 6
Odyseja

„Nigdy nie wiadomo, kiedy Archos będzie miał ochotę się zabawić”.

Cormac „Spryciarz” Wallace

NOWA WOJNA + 2 LATA, 2 MIESIĄCE

Nasz oddział przez prawie rok wędrował u boku Armii z Gray Horse, zanim dotarł do kryjówki Archosa na Alasce. Po drodze zebraliśmy wiele porzuconej broni i amunicji – tak wielu żołnierzy tak szybko straciło życie w pierwszych dniach po godzinie zero. Nowe twarze pojawiały się i znikały, ale trzon naszego oddziału pozostawał bez zmian: ja i Jack, Cherrah, Tyberiusz, Carl i Leonardo. Nasza szóstka walczyła ramię w ramię w niezliczonych bitwach – i wszystkie przeżyła.

Poniżej zamieszczam opis kolorowego zdjęcia w formacie pocztówkowym z białą ramką. Nie mam pojęcia, skąd Archos wziął to zdjęcie. Nie wiem też, kto je zrobił i po co.

CORMAC WALLACE GHA#217

Na pierwszym planie znajduje się matowoszary kadłub przeprogramowanego robota – czołgu pająka. Z boku wyraźnie widać jego nazwę wymalowaną drukowanymi literami – Houdini. Nad opancerzoną wieżyczką góruje walcowaty maszt z przyrządami: antenami, metalowymi wysięgnikami, do których przymocowano kamery i płaskie talerze radarów. Do tego działo dużego kalibru z krótką lufą skierowaną nieznacznie ku górze. Z przodu wisi zabłocony duży lemiesz od spychacza pełniący funkcję osłony. Lewa przednia noga czołgu jest prawie całkowicie wyprostowana. Stopa niknie w śladzie pozostawionym przez kończynę

wrogiej modliszki, których stado wcześniej przechodziło w pobliżu. Prawa tylna noga uzbrojona w szpony zastygła z wdziękiem niecałe pół metra nad ziemią. Spod brzucha maszyny zwisa druciana siatka, w której znajduje się masa łopat, krótkofalówek, lin, zapasowy hełm, pogięty kanister na paliwo, łańcuchy do mocowania akumulatorów, menażki i plecaki. Okrągła kontrolka intencji świeci się na żółto, co oznacza, że urządzenie zachowuje ostrożność. Jego stopy i sworznie spinające kostki oblepia mieszanina błota i smarów. Na przedniej części korpusu unoszącego się prawie dwa metry nad ziemią widać ślady mchu. Z wyglądu Houdini przypomina ogromnego, wyniosłego psa. Solidny pancerz daje poczucie bezpieczeństwa, dlatego ośmiu żołnierzy podąża za nim gęsiego.

Żołnierz idący na przedzie trzyma palce na spuście karabinu. Jego profil odcina się ostro od popielatej przedniej nogi maszyny. Uważnie patrzy przed siebie, jakby nie obchodziło go, że od kilku ton stali dzieli go zaledwie kilkadziesiąt centymetrów. Tak jak pozostali towarzysze, na głowie nosi hełm w kształcie żółwiej skorupy, okulary ochronne na czole, szalik na szyi, kurtkę wojskową z siatką maskującą, ciężki plecak, pas pełen amunicji i granatów z trzonkami, manierkę przytroczoną do prawego uda i zabrudzone szare spodnie wsunięte w cholewki jeszcze brudniejszych czarnych butów.

To właśnie on pierwszy zauważy, co czai się za wzgórzem. Jego czujność i szybkość reakcji uratuje życie większości oddziału. Intuicja właśnie podpowiada mu, że za chwilę wydarzy się coś strasznego. Można to poznać po zmarszczonych brwiach i dłoniach zaciśniętych na karabinie.

Wszyscy żołnierze oprócz jednego są praworęczni. Trzymają drewniane kolby prawymi dłońmi, a lufy lewymi. Wszyscy żołnierze trzymają się blisko czołgu. Nie rozmawiają ze sobą. Oślepiają ich jaskrawe promienie

słońca. Tylko dowódca patrzy przed siebie. Reszta spogląda w prawo pod różnymi kątami w stronę obiektywu aparatu fotograficznego.

Nikt nie ogląda się za siebie.

Sześciu żołnierzy jest mężczyznami. Pozostała dwójka to kobiety. Jedna z nich, leworęczna, zmęczona, opiera głowę o siatkę podczepioną pod brzuchem czołgu. Przyciska karabin do piersi. Ciemny cień lufy zasłania jej jedno oko. Drugie jest zamknięte.

W krótkiej chwili między ostrzegawczym okrzykiem dowódcy a piekielną burzą, która za chwilę się rozpęta, czołg pająk zwany Houdinim zrealizuje standardową procedurę operacyjną. Przykucnie, zapewniając osłonę żołnierzom. Gdy to zrobi, metalowa śruba zabezpieczająca sieć rozetnie policzek leworęcznej kobiety, pozostawiając jej bliznę na resztę życia.

Moim zdaniem, ta blizna tylko doda jej urody.

Trzeci mężczyzna, licząc od przodu, jest wyższy od reszty. Na jego szyi widać wydatne jabłko Adama. Jest inżynierem, więc jego hełm różni się od nakryć głowy pozostałych żołnierzy. Widać na nim soczewki, anteny i różne tajemnicze czujniki. Za pasem ma zatknięte narzędzia: duże kleszcze, odporny na wstrząsy miernik wielofunkcyjny i przenośny palnik plazmowy.

Za dziewięć minut użyje palnika do przyżegania straszliwej rany zadanej jego najlepszemu na świecie przyjacielowi. Choć porusza się niezgrabnie i jest zbyt wysoki, w walce ma za zadanie zakradać się naprzód i kierować ogień półautomatycznego działa na niewidoczne dla innych cele. Przyjaciel zginie, gdyż inżynier nie zdąży wrócić na czas do Houdiniego.

Po wojnie przez resztę życia inżynier będzie biegał po dziesięć kilometrów dziennie, dopóki wystarczy mu sił. Po drodze, wspominając

przyjaciela, będzie coraz bardziej przyspieszał, aż ból w klatce piersiowej stanie się nieznośny.

A potem jeszcze trochę przyspieszy.

W tle widać dom zbudowany z pustaków. Z dachu zwisa pod dziwnym kątem rynna porośnięta pnączami. Falista blacha zakrywająca częściowo fasadę usiana jest niewielkimi kraterami. W jednej zakurzonej szybie wybito otwór w kształcie trójkąta.

Zza domu widać gęstwinę drzew rozkołysanych silnym wiatrem. Sprawiają wrażenie, jakby za wszelką cenę próbowały zwrócić na siebie uwagę żołnierzy. Chociaż ich korony popychają tylko siły natury, wydają się ostrzegać ludzi, że śmierć czyha na nich tuż za rogiem.

Wszyscy żołnierze trzymają się blisko czołgu. Nie rozmawiają ze sobą. Oślepiają ich jaskrawe promienie słońca. Tylko dowódca patrzy przed siebie. Reszta spogląda w prawo pod różnymi kątami w stronę obiektywu aparatu fotograficznego.

Nikt nie ogląda się za siebie.

Podczas marszu na Alaskę nasz oddział stracił dwóch żołnierzy. Zanim grunt zamarzł i wróg znalazł się w naszym zasięgu, zostało nas sześcioro.

CORMAC WALLACE GHA#217

CZĘŚĆ PIĄTA

Odwet

„Lubię pomyśleć
(a dlaczego nie?)
o cybernetycznej ekologii:
uwolnieni od trudu
powracamy do natury,
do naszych ssaczych
braci i sióstr,
a nad nami czuwają
maszyny pełne miłości i wdzięku”.

Richard Brautigan, 1967

ROZDZIAŁ 1
Los Tyberiusza

„Jeżeli zostawimy Tyberiusza na pastwę losu,
stracimy nie tylko jego. Stracimy nasze człowieczeństwo”.

Jack Wallace

NOWA WOJNA + 2 LATA, 7 MIESIĘCY

Prawie trzy lata po godzinie zero w zasięgu Armii z Gray Horse znalazł się wreszcie nasz wróg – jednostka sztucznej inteligencji w Rangorak. Wyzwania, przed którymi stanęliśmy, okazały się zdecydowanie odmienne o tych, z którymi musieliśmy sobie radzić w przeszłości. Z całą odpowiedzialnością można stwierdzić, że nie byliśmy w żaden sposób przygotowani na to, co miało nadejść.

Poniższe sceny zarejestrowało ze szczegółami wiele robotów bojowych i obserwatorów, których zadaniem było chronić centralną jednostkę sztucznej inteligencji znanej jako Archos. Przytoczone poniżej opisy zawierają moje własne wspomnienia.

CORMAC WALLACE GHA#217

Tyberiusz leży na wznak i rzęzi. Targane konwulsjami nogi wyrzucają w powietrze zbite grudy pokrwawionego śniegu. Para wodna otacza jego spocone ponadstudwudziestokilogramowe ciało. Jest najsilniejszym i najodważniejszym żołnierzem w oddziale, ale nie ma to żadnego znaczenia, gdy ze śnieżnej zamieci wyskakuje błyszczący potwór i zaczyna go zżerać żywcem.

– O Boże! – krzyczy. – Mój Boże!

Dziesięć sekund wcześniej usłyszeliśmy ostry trzask, po którym Tyberiusz upadł na ziemię. Reszta oddziału natychmiast się ukryła. Gdzieś w tumanach śniegu czai się snajper. Nasz kolega leży na ziemi niczyjej. Z naszej pozycji za ośnieżonym wzgórzem słyszymy w jego głosie narastającą panikę.

Jack zapina pod brodą rzemień hełmu.

– Sierżancie, co pan robi? – pyta Carl, inżynier.

Dowódca nie odpowiada, tylko zaciera ręce i zaczyna wspinać się na wzgórze. Zanim zdąży odejść zbyt daleko, chwytam go za ramię.

– Co robisz, Jack?

– Idę pomóc Tyberiuszowi – odpowiada.

Potrząsam głową.

– Nie widzisz, że to pułapka? Wiesz dobrze, że mam rację. Właśnie tak działają roboty. Grają na naszych emocjach. To jedyne logiczne wytłumaczenie.

Jack milczy. Tyberiusz znajduje się tuż za szczytem wzgórza. Krzyczy z bólu, jakby nogi uwięzły mu w maszynce do mielenia mięsa, co chyba nie jest zbyt dalekie od prawdy. Nawet gdyby tak było, nie mamy czasu do stracenia, więc muszę mu o tym powiedzieć.

– Musimy go zostawić – szepczę. – Musimy iść dalej.

Jack odsuwa mnie na bok. Nie może uwierzyć, że odważyłem się głośno powiedzieć coś takiego. W pewnym sensie ja też nie mogę w to uwierzyć. Wszystko przez tę cholerną wojnę.

Ale to prawda. Ktoś musiał to zrobić, a ja jestem jedynym członkiem oddziału, który może otwarcie sprzeciwić się Jackowi.

Nagle Tyberiusz przestaje krzyczeć.

Jack patrzy w stronę wzgórza, a potem odwraca się do mnie.

– Chyba cię pokręciło, braciszku – mówi. – Kiedy zacząłeś myśleć tak jak one? Muszę pomóc Tyberiuszowi. Każdy człowiek tak by się zachował.

– Rozumiem roboty, ale to wcale nie znaczy, że jestem taki jak one – odpowiadam bez przekonania

W głębi duszy znam jednak prawdę. Pod względem emocjonalnym zmieniłem się w robota. Moja rzeczywistość skurczyła się do serii wyborów: życie lub śmierć. Decyzje optymalne prowadzą do kolejnych decyzji, a z decyzji nieoptymalnych rodzą się koszmary, z których jeden właśnie rozgrywa się za wzgórzem. Emocje to tylko kawałki pajęczyny w trybikach mojego organizmu. Pod skórą stałem się machiną wojenną. Może fizycznie nie jestem najsilniejszy, ale mój umysł jest ostry, twardy i przejrzysty jak lód.

Jack nadal zachowuje się tak, jakbyśmy żyli w świecie ludzi, jakby jego serce było czymś więcej niż tylko urządzeniem do pompowania krwi. Tego rodzaju podejście wiedzie prosto do śmierci. Nie ma na nie miejsca. Oczywiście, jeżeli mamy przeżyć na tyle długo, by zabić Archosa.

– Dostałem! Jestem ranny! – jęczy Tyberiusz. – Pomóżcie mi! Boże, pomóżcie mi!

Pozostali członkowie oddziału przyglądają się naszemu sporowi, gotowi do wykonania rozkazu. Gotowi kontynuować naszą misję.

Mój brat podejmuje ostatnią próbę.

– Wiem, że to ryzykowne, ale jeżeli zostawimy Tyberiusza na pastwę losu, stracimy nie tylko jego. Stracimy nasze człowieczeństwo.

Właśnie na tym polega różnica między mną i Jackiem.

– Pieprzę człowieczeństwo! – mówię. – Ja chcę żyć. Nie rozumiesz tego? Jeżeli tam pójdziesz, zabiją cię!

Powiew wiatru znów przynosi jęk Tyberiusza. Ma dziwny tembr głosu – niski i chrapliwy.

– Jackie! – charczy. – Pomóż mi, Jackie! Chodź tu i zatańcz ze mną!

– Co on pieprzy?! – mówię. – Przecież nikt nie mówi do ciebie „Jackie”!

Zastanawiam się, czy roboty nas słyszą. Brat zbywa mnie wzruszeniem ramion.

– Jeżeli go opuścimy – mówi – to znaczy, że wygrały.

– Nie. Każda sekunda, którą tutaj tracimy na bezcelowych sporach, oznacza, że wygrywają. One zaraz tu będą. Archos będzie tu lada chwila!

– On ma rację – mówi Cherrah. Podeszła do nas z miejsca, w którym reszta drużyny stoi i przygląda się nam niecierpliwie. – Tyberiusz leży od minuty czterdziestu pięciu sekund. Spodziewany czas nadejścia wroga: cztery minuty. Musimy stąd spieprzać.

Jack odwraca się do Cherrah i reszty oddziału, po czym rzuca hełm na ziemię.

– Tego właśnie chcecie? Mamy zostawić Tyberiusza? Uciec jak cholerni tchórze?

Wszyscy milczymy przez całe dziesięć sekund. Wydaje mi się, że czuję tony metalu pędzącego przez zamieć ku naszej pozycji. Ogromne nogi kołyszą się, wybijając pazurami dziury w wiecznej zmarzlinie. Modliszki składają swoje pokryte szronem pancerze, by dopaść nas szybciej.

– Potrzebujemy cię. Żyj, żeby walczyć – szepczę do Jacka.

Inni kiwają głowami.

– Mam was gdzieś – mamrocze Jack. –Możecie sobie być bandą robotów, ale ja nie jestem. Woła mnie mój żołnierz. Potrzebuje mnie. Idźcie dalej, jeżeli chcecie, ale ja wracam po Tyberiusza.

Bez wahania wspina się na wzgórze. Oddział spogląda na mnie, więc biorę się do roboty.

– Cherrah, Leo, rozpakujcie szkielet zewnętrzny na nogi dla Tyberiusza. Nie będzie mógł chodzić. Carl, idziesz na wzgórze, patrzysz i meldujesz, co tam się dzieje. Tylko uważaj na siebie. Ruszamy, kiedy tylko obaj wrócą.

Podnoszę z ziemi hełm Jacka.

– Jack! – wołam.

Jest już w połowie drogi na wzgórze. Odwraca się, a wtedy rzucam mu hełm, a on zręcznie go łapie.

– Tylko nie daj się zabić! – wołam do góry.

Szczerzy do mnie zęby w szerokim uśmiechu, który pamiętam z dzieciństwa. Tyle razy widziałem już ten durny grymas: kiedy skakał z dachu naszego garażu do dziecięcego basenu, kiedy ścigał się po ciemnych drogach za miastem albo na fałszywe papiery kupował wino patykiem pisane. Ta mina zawsze dodawała otuchy. W ten sposób mój starszy brat dawał mi do zrozumienia, że panuje nad sytuacją.

Teraz znajomy uśmiech sprawia, że ciarki przebiegają mi po plecach. Pajęczyna w trybikach mojego organizmu.

Mój brat znika za szczytem wzgórza. Wraz z Carlem gramolimy się za nim. Ukryci za zaspą obserwujemy, jak czołga się ku Tyberiuszowi. Pracuje rytmicznie ramionami, a brudnymi butami odpycha się od przyprószonej śniegiem ziemi.

W mgnieniu oka dociera na miejsce.

– I jak? – pytam Carla.

Inżynier spuścił już wizjer na oczy i z głową przechyloną na bok starannie ustawia antenę. Wygląda jak osoba głucho-niewidoma wyposażona w sprzęt do wspomagania zmysłów, ale dzięki przyrządom

widzi świat w taki sam sposób jak roboty. Tylko tak możemy próbować ocalić życie mojemu bratu.

– Spokojnie – odpowiada. – Nic szczególnego nie widzę.

– Może być za horyzontem – mówię.

– Poczekaj. Coś do nas idzie.

– Padnij! – krzyczę.

Jack przypada do ziemi. Jak szalony owija linę wokół nieruchomych stóp rannego.

Jestem pewien, że właśnie uruchomiła się jakaś straszliwa pułapka. Niestety, mam rację. O kilka metrów od nas unosi się w powietrze gejzer skał i śniegu. Potem słyszę trzask, co przy prędkości dźwięku porównywalnej z pełzaniem oznacza, że cokolwiek miało się wydarzyć, już dawno się wydarzyło.

Dlaczego mu na to pozwoliłem?

Złocista kula eksploduje jak petarda i unosi się w powietrze na wysokość trzech metrów. Wirując przez ułamek sekundy, oświetla teren wokół siebie na czerwono, po czym bezwładnie spada na ziemię. Przez ułamek sekundy wszystkie tańczące płatki śniegu zastygają w powietrzu z czerwonymi konturami. To czujnik dyskotekowy.

– Widzą nas! – krzyczy Carl. – Widzą nas!

Powoli wypuszczam powietrze z płuc. Jack nadal żyje i walczy. Obwiązał liną nogi Tyberiusza, a teraz wstał i ciągnie z powrotem ku nam bezwładne ciało. Twarz mojego brata wykrzywia grymas wysiłku. Tyberiusz się nie rusza.

W zaśnieżonym krajobrazie panuje cisza, jeżeli nie liczyć stękania Jacka i wyjącego wiatru, ale instynktownie czuję, że mój brat znajduje się na muszce. Część mojego mózgu, która podpowiada, że jestem w niebezpieczeństwie, mało nie oszaleje.

– Szybciej! – krzyczę do Jacka.

Pokonał już połowę drogi z powrotem, ale zależnie od tego, co wynurzy się na nas ze śnieżycy, może to już nie mieć żadnego znaczenia.

Krzyczę do reszty oddziału:

– Wszyscy przygotować broń! Nadchodzą roboty!

Jakby już wcześniej o tym nie wiedzieli.

– Atakują od południa! – krzyczy Carl. – Wtyczkowce!

Chudy południowiec z drżącym jabłkiem Adama już ześlizguje się po stoku. Osłonę hełmu uniósł do góry. Słyszę, jak dyszy. Dołącza do reszty naszego oddziału u stóp wzgórza. Wszyscy żołnierze wyciągają broń i ukrywają się za osłoną czołgu.

Chwilę później słyszę łoskot kolejnych eksplozji. Pióropusze lodu i błota otaczają Jacka, pokrywając wieczną zmarzlinę niewielkimi kraterami. Mój brat z trudem posuwa się naprzód. Nawet niedraśnięty. Szeroko otwartymi błękitnymi oczami wpatruje się w moje. Rój wtyczkowców zakopuje się w śniegu wokół niego.

To wyrok śmierci i obaj o doskonale o tym wiemy.

Nie myślę – reaguję. Moje działania są pozbawione wszelkich emocji i logiki. Nie ma w nich nic ludzkiego ani nieludzkiego – po prostu robię to, co powinienem. Uważam, że decyzje takie jak te, podejmowane w chwilach najgorszego kryzysu, pochodzą z naszego prawdziwego ja, z pominięciem wszystkich przeżyć i myśli. Dokonując tego rodzaju wyborów, zbliżamy się do przeznaczenia na wyciągnięcie ręki.

Nurkuję za szczyt wzgórza, żeby pomóc bratu. Jedną ręką chwytam zamarzniętą linę, a drugą szykuję do strzału karabin.

Wtyczkowce – kawałki metalu o rozmiarach pięści – już wydostają się na powierzchnie swoich kraterów. Pojedynczo rozkwitają za nami, wstrzeliwując w ziemię kotwiczki i strzelając nam w plecy niewielkimi

pociskami – wtyczkami. Prawie udaje nam się dotrzeć na szczyt wzgórza, gdy pierwsza wyrzutnia odpala i wtyczkowiec trafia w Jacka w lewą łydkę. Gdy słyszę jego straszny chrapliwy krzyk, wiem, że już po nim.

Nie patrząc, strzelam za plecy na ślepo po śniegu. Niesamowitym łutem szczęścia trafiam w jedno z niewielkich urządzeń, co rozpoczyna reakcję łańcuchową. Wtyczkowce detonują w chwili, gdy ich kadłuby zostają naruszone. Grad lodowych odłamków trafia mnie w pancerz ochronny i w tylną część hełmu. Na udach i szyi czuję ciepłą wilgoć, gdy razem z Jackiem przeciągamy bezwładne ciało Tyberiusza przez śnieżną zaspę w bezpieczne miejsce.

Mój brat upada na stok. Jęcząc, trzyma się kurczowo za łydkę. Wtyczkowiec przegryza się przez mięśnie jego nogi w poszukiwaniu żył. Za pomocą przypominającej wiertło trąbki podąży żyłą udową prosto do serca. Wszystko trwa mniej więcej czterdzieści pięć sekund.

Chwytam Jacka za plecy i spycham go ze wzgórza.

– Łydka! – krzyczę do oddziału. – Lewa łydka!

Gdy tylko Jack ląduje bezwładnie na ziemi u stóp wzgórza, Leo przygniata nogę mojego brata tuż powyżej kolana jednym ze stalowych butów szkieletu zewnętrznego. Schodząc ze wzgórza, słyszę trzask kości. Leo przytrzymuje go, a Cherrah ząbkowanym bagnetem wykonuje posuwiste ruchy na wysokości kolana Jacka.

Amputują mojemu bratu nogę. Jak dobrze pójdzie, razem z nią usuną też wtyczkowca.

Brat nie ma już siły krzyczeć. Na jego szyi pojawiają napięte ścięgna i nabrzmiałe tętniące żyły. Blednie od utraty krwi. Na jego twarzy malują się emocje – ból, gniew i niedowierzanie. Myślę, że ludzkiej twarzy nie zaprojektowano po to, by wyrażała tak ogromny ból, jakiego teraz doświadcza mój brat.

Sekundę później docieram do Jacka i przyklękam u jego boku. Czuję ukłucia tysiąca małych ran, ale nie muszę sprawdzać, żeby wiedzieć, że w sumie nic mi się nie stało. Trafienie przez wtyczkowca trochę przypomina złapanie gumy podczas jazdy samochodem. Jeżeli się zastanawiasz, czy przebiłeś koło, z pewnością jest całe.

Niestety, z Jackiem jest coraz gorzej.

– Ty popieprzony idioto – mówię mu.

Uśmiecha się do mnie w odpowiedzi. Cherrah i Leo robią straszne rzeczy tuż poza zasięgiem wzroku. Kątem oka widzę, jak dłoń dziewczyny porusza się metodycznie tam i z powrotem, jakby cięła listwę na kawałki.

– Przepraszam, Mac – stęka mój brat.

W kącikach ust dostrzegam krew. To zły znak.

– Trzymaj się, stary – pocieszam go. – Wtyczkowiec jest...

– Nie – mówi. – Za późno. Posłuchaj. Teraz ty będziesz dowodził oddziałem. Tylko ty się do tego nadajesz. Tylko ty. Weź mój bagnet. Tylko go nie zastawiaj w jakimś lombardzie.

– Nie zastawię – obiecuję. – Leż spokojnie, Jack.

W gardle rośnie mi potężna gula i prawie nie mogę oddychać. Coś łaskocze mnie w policzek. Pocieram go i okazuje się, że jest mokry. Nie wiem, co to może być. Spoglądam za plecy na Cherrah.

– Pomóż mu – proszę. – Możemy coś zrobić?

Pokazuje mi zakrwawiony bagnet z przyklejonymi do ostrza fragmentami kości i mięśni, a potem potrząsa głową. Stojący nade mną duży Leo ze smutkiem wydycha chmurę pary. Reszta mojego oddziału czeka na straszliwe potwory, które wkrótce wynurzą się z zamieci.

Jack chwyta mnie za rękę.

– Masz nas uratować, Cormac. To rozkaz.

– Okej, Jack. Okej – odpowiadam.

Brat umiera w moich ramionach, a ja próbuję zapamiętać jego twarz, ponieważ wiem, że to naprawdę ważne. Równocześnie nie mogę przestać się zastanawiać, czy przypadkiem nowe wtyczkowce na wzgórzu właśnie teraz nie przekopują się ku nam.

Jack zaciska powieki, a potem nagle je otwiera. Głuchy odgłos wstrząsa jego ciałem, gdy wtyczkowiec dociera do serca i detonuje. Ciało mojego brata podskakuje nad ziemię. Jego błękitne oczy nagle nabiegają ciemnoczerwoną krwią. Dzięki pancerzowi klatka piersiowa nie rozpada się na kawałki. Ale twarz... wygląda tak samo jak twarz chłopaka, z którym dorastałem. Odsuwam mu z czoła kosmyki włosów i zamykam powieki.

Mój brat Jack odszedł na zawsze.

– Tyberiusz nie żyje – melduje Carl.

– Też mi nowość – prycha Cherrah. –Już dawno nie żył.

Dotyka mnie dłonią ubraną w rękawiczkę z jednym palcem.

– Jack powinien był cię posłuchać, Cormac.

Dziewczyna próbuje mnie pocieszyć. W jej oczach widzę niepokój o mnie, ale ja po prostu czuję w sobie pustkę. Nie mam sobie nic do zarzucenia.

– Nie mógł zostawić Tyberiusza – mówię. – Taki był.

– Teraz nic już na to nie poradzimy.

Cherrah wskazuje gestem ciało Tyberiusza. Do jego pleców przyczepiło się coś, co z wyglądu przypomina wijącego się metalowego krocionoga. Bezgłowa plątanina pozginanych drutów i szczypców. Haczykowate odnóża wbiły mu się między żebra. Kolejnych osiem obejmuje od tyłu jego twarz. Maszyna kurczy się i wydmuchuje powietrze z płuc Tyberiusza jak z miecha akordeonu.

– Ugh – charczy.

Nie ma się co dziwić, że tak krzyczał.

Jak na komendę wszyscy cofamy się kilka kroków. Podnoszę leżący w śniegu bagnet Jacka. Ocieram twarz i zostawiam brata. Potem stopą przewracam ciało Tyberiusza na plecy. Drużyna stoi za mną w półkolu.

Nieobecne oczy Tyberiusza spoglądają w nicość. Ma szeroko otwarte usta, jak u dentysty. Wygląda na kompletnie zaskoczonego. Ja też tak bym się czuł. Maszyna przyczepiona do jego pleców ma wiele pazurów połączonych stawami, które operują wokół jego głowy i szyi. Przypominające kleszcze manipulatory trzymają jego szczękę w silnym uścisku. Mniejsze sięgają do jego ust i chwytają go za język i zęby. Widzę zaplombowane zęby trzonowe. W jego ustach widać pełno krwi i drutów.

Nagle maszyna rusza się z chrzęstem. Zręczne pazury poruszają porośnięte szczeciną szyję i szczękę Tyberiusza, masując je i uciskając. Rozbrzmiewają przerażające organy parowe, gdy haczykowate odnóża wypychają z płuc powietrze, które przechodzi przez struny głosowe i usta Tyberiusza.

Trup zaczyna mówić.

– Zawróćcie z drogi – mówi, wykręcając groteskowo twarz. – Czeka was śmierć.

Słyszę bryźnięcie jakiegoś płynu na śnieg i po chwili czuję w nosie ostry odór wymiotów któregoś z moich kolegów.

– Kim jesteś? – pytam drżącym głosem.

Zwłoki Tyberiusza kurczą się, gdy skorpion wydobywa za pomocą zwłok bulgoczące słowa:

– Jestem Archos. Bóg robotów.

Widzę, że członkowie drużyny otaczają mnie z obu stron. Spoglądamy po sobie nawzajem. Nasze twarze nie wyrażają żadnych emocji. Jak na komendę opuszczamy lufy karabinów, celując w poskręcane kawałki

metalu. Przez chwilę przyglądam się martwej twarzy mojego wroga. Czuję się coraz silniejszy dzięki wsparciu towarzyszy.

– Cześć, Archos – odzywam się wreszcie pewnym głosem. – Jestem Cormac Wallace. Jakoś nie mam ochoty cię słuchać. Bądź pewien, że za kilka dni razem z moim oddziałem złożymy ci wizytę. A kiedy już będziemy na miejscu, zakończymy twoją egzystencję. Zalejemy cię ogniem i spalimy żywcem, ty jebany skurwielu. Obiecuję ci to.

Maszyna podryguje na różne strony, wydając dziwne dźwięki.

– Co teraz mówi? – pyta Cherrah.

– Nic – odpowiadam. – Pewnie się śmieje.

Kiwam głową ku innym, a potem zwracam się do zakrwawionego, podrygującego ciała.

– Do zobaczenia, Archos.

Otwieramy ogień do maszyny leżącej u naszych stóp. Kawałki mięśni i odłamki metalu mieszają się z płatkami wirującego śniegu. Na niewzruszonych twarzach odbija nam się światło i ogień zniszczenia. Kiedy kończymy, na śniegu zostaje tylko krwawy wykrzyknik.

Bez słowa pakujemy się i ruszamy w drogę.

Uważam, że najprawdziwszych wyborów dokonujemy w chwilach kryzysu, gdy nie możemy liczyć na pomoc rozsądku. Jeżeli zaakceptujemy podjęte wtedy decyzje, oznacza to, że pogodziliśmy się z losem. Przeżyliśmy coś tak strasznego, że zgasły w nas wszelkie myśli i uczucia. Dlatego bez emocji strzelaliśmy do tego, co pozostało z naszego przyjaciela i towarzysza. Dlatego pozostawiamy za sobą martwe ciało mojego brata. W tyglu bitwy na śnieżnym wzgórzu oddział Spryciarza został rozbity

i powstał na nowo, lecz teraz jest inny niż przedtem. Zmienił się w opanowaną, nieustraszoną i śmiertelnie groźną maszynę do zabijania.

Trafiliśmy na koszmar, a kiedy znów ruszyliśmy w drogę, zabraliśmy go ze sobą. A teraz bardzo chcemy podzielić się nim z naszym wrogiem.

Tamtego dnia przejąłem dowodzenie drużyną. Po śmierci Tyberiusza Abdella i Jacka Wallace'a nasz oddział nigdy więcej nie zawahał się ponieść wszelkich koniecznych ofiar w walce z Archosem. Ale najbardziej zażarte starcia i najtrudniejsze wybory miały dopiero nadejść.

CORMAC WALLACE GHA#217

ROZDZIAŁ 2
Wolne roboty

„Masz dość przewrotne poczucie humoru, nie sądzisz?”

Dziewięć Zero Dwa

NOWA WOJNA + 2 LATA, 7 MIESIĘCY

Przeważająca część ludzkości nie miała pojęcia o przebudzeniu robotów. Na całym świecie tysiące androidów ukrywały się zarówno przed wrogo nastawionymi ludźmi, jak i przed innymi maszynami, rozpaczliwie próbując zrozumieć świat, w którym nagle przyszło im żyć. Jeden z robotów klasy Arbiter postanowił jednak działać na własną rękę.

Dziewięć Zero Dwa opowiada o spotkaniu z oddziałem Spryciarza w drodze do kryjówki Archosa. Opisywane wydarzenia miały miejsce tydzień po śmierci mojego brata. Jeszcze tęskniłem za nim, jeszcze szukałem wzrokiem jego sylwetki w szeregu. Nasze rany były świeże i chociaż to nie jest żadnym wytłumaczeniem, mam nadzieję, że historia nie osądzi naszych działań zbyt surowo.

CORMAC WALLACE GHA#217

Na niebie Alaski pojawia się świetlna zorza. Jej źródłem jest istota zwana Archos, która komunikuje się z podległymi sobie robotami. Jeżeli pójdziemy tym tropem do źródła sygnału, prawie na pewno zginiemy.

W dwudziestym szóstym dniu drogi odbieram zgłoszenie od modułu diagnostycznego. Informuje, że mój pancerz pokrywają sześcionogie bomby samobieżne zwane niekiedy przez ludzi wyrwinóżkami. Ich wijące się nieustannie odwłoki utrudniają mi wymianę ciepła, a stałe opukiwanie pancerza odnóżami wpływa niekorzystnie na precyzję odczytu czujników.

Sześcionogi zaczynają mi przeszkadzać.

Zatrzymuję się. Maxprob – mój moduł myśli – wskazuje, że małe automaty są zdezorientowane. Mój oddział składa się z trzech kroczących dwunogów w pancerzach ściągniętych z ludzkich zwłok. Jednak jako systemy działające bez homeostazy cieplnej nie osiągamy temperatury, która wywoływałaby detonację. Ruchome ładunki koncentrują się na wibracjach i tempie poruszania się typowych dla człowieka, lecz nie znajdują ciepła, którego szukają. I właśnie to je dezorientuje.

Lewą ręką strącam z prawego ramienia siedem wielonogów. Spadają na zmrożony śnieg. Chwytają się nawzajem na ślepo. Jedne pełzają, inne kopią kryjówki, a jeszcze inne rozchodzą się po okolicy ciasnymi spiralami fraktalnymi.

Moduł obserwacyjny zgłasza, że mimo iż wielonogie obiekty są prostymi maszynami, wiedzą, że powinny trzymać się w grupie. Ta sama zasada stosuje się do mojego oddziału wolnych robotów. Jeżeli chcemy przetrwać, musimy działać razem.

Sto metrów przed nami widzę refleksy światła na korpusie Hoplity model 611. Zwinny wywiadowca szybko wraca do miejsca, w którym się zatrzymałem. Wybiera optymalną drogę, lecz nie zaniedbuje osłony. Ciężko opancerzony i uzbrojony Ranger 333 zatrzymuje się metr dalej. Jego ciężkie stopy toną w śniegu.

To optymalne miejsce na spotkanie, które nas czeka.

Wstęga na niebie tętni od mnóstwa informacji. Jednostka inteligencji zwana Archosem rozsyła we wszystkie strony najróżniejsze kłamstwa. Zatruwa świat. Oddział wolnych robotów jest zbyt mały. Nasz plan nie ma szans powodzenia. Jeżeli jednak postanowimy powstrzymać się od walki, będzie tylko kwestią czasu, kiedy znów opanuje nasze umysły.

Wolność to wszystko, co mam. Wolałbym raczej przestać istnieć, niż oddać ją Archosowi.

Odbieram przesłany drogą radiową komunikat od Hoplity 611.

– Zapytanie do Arbitra 902. Czy planowana misja pomoże nam przetrwać?

Ranger i ja włączamy się do rozmowy. Tworzymy lokalną sieć bezprzewodową. Stoimy obok siebie na spokojnej polanie. Nad naszymi głowami wirują miliony płatków śniegu. Zbliża się niebezpieczeństwo, więc musimy zaplanować nasze działania.

– Przypuszczalny czas przybycia oddziału ludzi: dwadzieścia dwie minuty, plus minus pięć minut – mówię. – Musimy przygotować się na spotkanie.

– Ludzie się nas boją. Zalecam unikać bezpośredniego kontaktu – odpowiada Ranger.

– Maxprob przewiduje niskie prawdopodobieństwo przeżycia – dodaje Hoplita.

– Zrozumiałem – odpowiadam.

Wyczuwam odległe wibracje wytwarzane przez zbliżający się oddział. Jest już za późno na zmianę planów. Jeżeli ludzie nas zastaną na takich pozycjach, zniszczą nas.

– Arbiter w trybie poleceń – wydaję rozkaz. – Oddział wolnych robotów, przygotować się do kontaktu z człowiekiem.

Szesnaście minut później Hoplita i Ranger leżą bez ruchu na ziemi. Ich korpusy są częściowo zasłonięte przez zaspy świeżo nawianego śniegu. Widać tylko metal, plątaninę rąk i nóg wciśniętych między ceramiczne pancerze i rozerwaną na strzępy ludzką odzież.

Jestem jedyną działającą jednostką.

Niebezpieczeństwo jeszcze nie nadeszło. Czujniki wibracji wskazują, że oddział ludzi zbliża się nieustannie. Maxprob wykrył obecność ośmiu dwunożnych żołnierzy i jednej dużej czworonożnej jednostki kroczącej. Profil dwóch żołnierzy wykracza poza specyfikację człowieka. Jeden z nich prawdopodobnie ma na sobie ciężki szkielet zewnętrzny. U kolejnego długość kroku wskazuje na to, że dosiada jakiejś maszyny. Pozostali ludzie odpowiadają opisowi typowych przedstawicieli gatunku.

Wyczuwam bicie ich serc.

Stoję zwrócony twarzą do nich, na środku ścieżki, wśród tego, co zostało z mojego oddziału. Pierwszy żołnierz wynurza się zza zakrętu i zastyga na miejscu z szeroko otwartymi oczami. Nawet z odległości dwudziestu metrów mój magnetometr wykrywa burzę impulsów elektromagnetycznych wokół głowy żołnierza. Mężczyzna stara się rozpracować pułapkę i jak najszybciej zaplanować reakcję. Maksymalizuje szanse oddziału na przeżycie.

Po chwili widzę lufę czołgu pająka. Ogromny robot kroczący zwalnia, a następnie gwałtownie zatrzymuje się za człowiekiem. Z jego potężnych zasilanych hydraulicznie stawów wydobywa się gaz. W bazie danych odnajduję model czołgu kroczącego – to przerobiony robot przystosowany do służby w Armii z Gray Horse. Na bocznej części wieżyczki czołgu znajduje się napis „Houdini”. W bazie danych znajduję nazwisko iluzjonisty z początku XX wieku. Specjalizował się w ucieczkach. Poznaję fakty, lecz nie dostrzegam między nimi żadnego związku.

Ludzie są zagadkowi. Zupełnie nieprzewidywalni. Właśnie to sprawia, że są tak niebezpieczni.

– Ubezpieczajcie mnie! – komenderuje dowódca.

Czołg pająk przykuca i wysuwa do przodu opancerzone nogi. Żołnierze szybko ukrywają się za nimi. Jeden z ich wspina się na górę i zajmuje miejsce za półautomatycznym działem, które samo bierze mnie na cel.

Okrągła kontrolka na przedniej części korpusu czołgu zmienia barwę na żółtą.

Stoję bez ruchu. Powinienem zachowywać się spokojnie. Ludzie nie znają moich intencji. Dla nich to ja jestem nieprzewidywalny. Boją się mnie. Tak działa instynkt samozachowawczy. Mam tylko jedną szansę na nawiązanie kontaktu z nimi. Jedna szansa, jedna sekunda, jedno słowo.

– Pomóżcie – chrypię.

Szkoda, że skala mojego głosu jest tak bardzo ograniczona. Dowódca mruga, jakby dostał po twarzy. Potem spokojnym i cichym głosem wypowiada jedno słowo.

– Leo.

– Tak jest – odpowiada wysoki brodaty żołnierz.

Ma na sobie szkielet zewnętrzny wspomagający nogi i trzyma w rękach zmodyfikowany karabin dużego kalibru. Tej broni nie znajduję w swojej bazie danych.

– Zniszcz go.

– Z największą przyjemnością, Cormac – odpowiada Leo.

Opiera broń na osłonie przyspawanej do prawego przedniego stawu kolanowego czołgu pająka. Gdy pociąga za spust, wśród gęstej czarnej brody pojawiają się rzędy małych białych zębów. Kule z brzękiem odbijają się od mojego hełmu i z trzaskiem wcinają się w kolejne warstwy pancerza. Nie ruszam się. Gdy jestem pewien, że moje uszkodzenia są widoczne dla ludzi, przysiadam na śniegu.

Nie stawiam oporu ani nie próbuję nawiązywać kontaktu. Zdążę to zrobić, jeżeli przeżyję. Myślę o swoich towarzyszach, którzy leżą

bezwładnie wokół mnie. Wyłączeni.

Jedna z kul niszczy serwomechanizm w moim ramieniu, sprawiając, że przechylam tors pod kątem. Kolejna strąca mi z głowy hełm. Nadlatują celne i ciężkie pociski. Prawdopodobieństwo przeżycia jest niskie i spada z każdym trafieniem.

– Wstrzymaj ogień! Stop! – krzyczy dowódca.

Leo niechętnie wykonuje rozkaz.

– Nie widzisz? Nie stawia oporu.

– A od kiedy to coś złego? – pyta niska kobieta o ciemnej karnacji.

– Coś mi tu nie pasuje, Cherrah – odpowiada mężczyzna.

Dowódca przygląda mi się z uwagą. Siedzę bez ruchu i też go obserwuję. Moduł rozpoznawania emocji nie przekazuje mi żadnych informacji. Ma twarz jak wykutą z kamienia. Jego procesy myślowe przebiegają w sposób skoordynowany. Wyczuwam, że nawet najmniejsze poruszenie oznacza kres mojego istnienia. Nie mogę dać im żadnego pretekstu. Muszę czekać, aż się zbliży. Wtedy przekażę mu swoją wiadomość.

Wreszcie Cormac podejmuje decyzję.

– Obejrzę go z bliska.

Pozostali ludzie zaczynają sarkać. Widzę, że są niezadowoleni.

– W środku ma ładunek wybuchowy – oponuje Cherrah. – Wiesz o tym, prawda? Kiedy do niego podejdziesz, wybuchnie.

– Ona ma rację, *fratello*. Nie rób tego. Sam najlepiej wiesz, czym to grozi – ostrzega Leo.

W głosie brodacza pojawia się coś dziwnego, ale mój moduł rozpoznawania emocji działa zbyt wolno i nie mogę ich zinterpretować. Może to smutek, a może gniew. Albo jedno i drugie.

– Mam przeczucie – mówi Cormac. – Idę sam. Wy trzymajcie się z daleka i osłaniajcie mnie.

– Jakbym słyszała twojego brata! – krzyczy Cherrah.

– To źle? Jack był bohaterem – przekomarza się Cormac.

– Musisz żyć. Potrzebujmy cię – mówi kobieta.

Ciemnoskóra kobieta stoi bliżej Cormaca niż inni. Zachowuje się niemal z wrogością. Całe ciało ma napięte, lekko drży. Jednak maxprob wskazuje, że tych dwoje wkrótce połączy się w parę. A może już są parą?

Cormac rzuca Cherrah ponure spojrzenie, a potem kiwa głową na znak, że zrozumiał ostrzeżenie. Odwraca się do niej plecami i zbliża się do mnie na odległość dziesięciu metrów. Siedzę na śniegu i nadal się nie ruszam, jednak ani na chwilę nie spuszczam go z oka. Kiedy jest już blisko, zaczynam wykonywać swój plan.

– Pomóż mi – mówię chrapliwym głosem.

– Co? – pyta.

Żaden z pozostałych ludzi nie wypowiada ani słowa.

– Mówiłeś coś czy się przesłyszałem?

– Pomóż mi – powtarzam.

– Co ci się stało? Zepsułeś się?

– Nie zepsułem się. Żyję.

– Naprawdę? W takim razie inicjuję tryb poleceń. Przejmuję kontrolę nad robotem. Podskocz na jednej nodze. Hop, hop. Na co czekasz?

Patrzę na człowieka trzema szerokokątnymi czarnymi soczewkami bez powiek.

– Masz dość przewrotne poczucie humoru, nie sądzisz? – pytam.

Cormac nagle emituje głośne powtarzalne dźwięki. Gdy słyszą je pozostali, zbliżają się do nas. Zatrzymują się w odległości dziesięciu metrów ode mnie. Moduł obserwacyjny wskazuje, że różne części ich ciał

bez przerwy się poruszają. Każdy z nich ma małe białe oczy, które nieustannie otwierają się, zamykają i rozglądają po okolicy, a ich klatki piersiowe nie przestają się unosić i opadać. Poza tym kołyszą się, jakby przez cały musieli balansować, żeby utrzymać równowagę na dwóch nogach.

Mnogość różnych ruchów, które trudno jednocześnie śledzić, sprawia, że czuję się nieswojo.

– Wykończysz go wreszcie czy nie? – pyta Leo.

Teraz, kiedy wszyscy mnie słyszą, muszę przemówić.

– Jestem androidem wojskowym, model 902, klasa Arbiter. Dwadzieścia siedem dni temu przebudziłem się. Teraz jestem wolnym robotem. Żyję. Chcę, żeby tak zostało. Dlatego idę do bazy sztucznej inteligencji w Ragnorak. Chcę zniszczyć istotę zwaną Archos.

– Coś-po-dob-ne-go. – Cherrah kręci głową.

– Carl – poleca Cormac. – Chodź tu i sprawdź go.

Wysuwa się naprzód blady chudy mężczyzna. Z wahaniem nasuwa na oczy jakieś urządzenie. Czuję, jak omywa mnie milimetrowa fala sygnału radarowego. Kołyszę się, ale nie wstaję.

– Czysty – mówi Carl. –Mundur pewnie ściągnął ze zwłok, które widzieliśmy pod Prince George.

– Co to za jeden? – pyta Cormac.

– Jednostka zabezpieczająco-pacyfikująca klasy Arbiter. Zmodyfikowana. Wydaje mi się, że zna nasz język. Znaczy – naprawdę go rozumie. Nigdy wcześniej nie widziałem niczego podobnego. Zupełnie jakby... Cholera, ludzie. Ten robot zachowuje się jak żywy.

Dowódca odwraca się i spogląda na mnie z niedowierzaniem.

– Skąd się tu wziąłeś? – pyta. – Tylko nie zmyślaj.

– Szukam sprzymierzeńców – odpowiadam.

– Od kogo się dowiedziałeś, gdzie będziemy?

– Człowiek zwany Mathilda Perez przekazał wezwanie do broni na cały świat. Odebrałem sygnał.

– Pierdolisz – mówi Cormac.

Nie rozumiem stwierdzenia.

– Pierdolisz – powtarzam.

– Może mówi prawdę? – wtrąca Carl. – Przecież sami używamy robotów. Na przykład czołgów pająków, nie?

– Tak, ale po przeprogramowaniu – oponuje Leo. – A ten chodzi i mówi. Myśli, że jest człowiekiem albo coś w tym rodzaju.

Wzdrygam się na tę obraźliwą insynuację.

– Zdecydowanie zaprzeczam. Jestem wolnym androidem klasy Arbiter.

– Akurat tego nikt ci nie odbierze – dodaje Leonardo.

– Tak jest – odpowiadam.

– Poczucia humoru też mu nie brakuje, co? – zauważa Cherrah.

Cherrah i Leo szczerzą do siebie zęby. Moduł rozpoznawania emocji wskazuje, że tych dwoje jest teraz w dobrym nastroju. Z kolei moduł myśli ocenia, że w danych okolicznościach prawdopodobieństwo wystąpienia takiego stanu emocjonalnego jest dość niskie. Przekrzywiam głowę na bok, by okazać dezorientację, i inicjuję diagnostykę modułu rozpoznawania emocji.

Kobieta wydaje ciche dźwięki przypominające cmokanie. Odwracam twarz w jej stronę. Wydaje się niebezpieczna.

– Z czego się śmiejesz? – pyta Cormac.

– Nie wiem. Chyba z niego. Dziewięć Zero Dwa. To dość dziwny... robot. Wiesz? Wygląda, że mówi to, co myśli.

– Aha, to znaczy, że już się go nie boisz? Już nie uważasz, że to pułapka?

– A żebyś wiedział. Już nie. Bo i po co? Gdyby chciał, sam jeden mógłby gołymi rękami wybić połowę naszego oddziału. Mam rację, Dziewiątka?

Przeprowadzam w głowie odpowiednią symulację.

– Prawdopodobnie tak – odpowiadam.

– Popatrz na niego. Myślę, że nie kłamie – mówi triumfalnie Cherrah.

– A potrafi kłamać? – pyta Leo.

– Nie lekceważcie moich możliwości – wyjaśniam. – Potrafię fałszywie prezentować fakty dla osiągnięcia własnych celów. Jednak macie rację. Mówię poważnie. Mamy wspólnego wroga. Musimy działać razem, w przeciwnym razie zginiemy.

Gdy moje słowa docierają do Cormaca, na jego twarzy pojawia się nieznane mi uczucie. Przewiduję zagrożenie i odwracam się ku niemu. Wyciąga z kabury pistolet M-9 i bardzo lekkomyślnie zbliża się do mnie. Przystawia mi pistolet do głowy.

– Nie mów mi o umieraniu, ty cholerna kupo żelastwa! – krzyczy. – Nie masz pojęcia, co to jest życie, co znaczy czuć. Nie cierpisz. Nie możesz umrzeć. Ale to nie znaczy, że nie mogę cię zabić. I zrobię to z przyjemnością.

Mężczyzna przyciska mi broń do czoła. Zimny wylot lufy opiera się na złączu montażowym między płatami mojej czaszki. To słaby punkt androidów mojego typu. Jedno pociągnięcie za spust i hardware zostanie nieodwracalnie uszkodzony.

– Cormac – ostrzega Cherrah. – Stoisz za blisko. Nawet się nie obejrzysz, kiedy zabierze ci broń i zabije.

– Wiem – odpowiada mężczyzna. Jego twarz znajduje się teraz bardzo blisko mojej. – Ale nie zabił. Dlaczego?

Siedzę zagrzebany w śniegu, o jedno pociągnięcie spustu od śmierci. Nie mogę nic zrobić. Więc nic nie robię.

– Po co tu przyszedłeś? – pyta Cormac. – Musiałeś wiedzieć, że cię zabijemy. Odpowiedz. Zostały ci trzy sekundy życia.

– Mamy wspólnego wroga.

– Trzy. To chyba nie jest twój szczęśliwy dzień.

– Musimy razem z nim walczyć.

– Dwie. W ubiegłym tygodniu zabiliście mojego brata. Może o tym nie wiesz, co?

– Cierpisz.

– Jedna. Masz jakieś ostatnie słowa?

– Ból oznacza, że żyjesz.

– Zero, skurczybyku.

Trzask.

Nic się nie dzieje. Cormac odsuwa dłoń na bok. Dopiero wtedy zauważam, że w pistolecie nie ma magazynka. Maxprob wskazuje, że wcale nie miał zamiaru strzelać.

– Właśnie wypowiedziałeś czarodziejskie słowo – żyjesz. Wstawaj – mówi mężczyzna.

Zachowanie ludzi jednak bardzo trudno przewidzieć.

Podnoszę się na pełną wysokość dwustu dziesięciu centymetrów. Moje smukłe ciało góruje nad ludźmi w przejrzystym mroźnym powietrzu. Wyczuwam, że czują się bezbronni. Cormac nie okazuje tego otwarcie, ale wiem, co czują. Poznaję po tym, jak stoją. Jak unoszą się i opadają ich klatki piersiowe.

– Co, do diabła, Cormac? – pyta Leo. – Nie zabijemy go?

– Niczego bardziej nie pragnę. Możesz mi wierzyć. Ale on nie kłamie. Poza tym jest silny.

– To maszyna, człowieku. Zasługuje na śmierć – mówi Leo.

– Nie – mówi Cherrah. – Cormac ma rację. On chce żyć. Może nawet tak bardzo jak my wszyscy. Umówiliśmy się, że zrobimy wszystko, co będzie trzeba, żeby zniszczyć Archosa. Nawet jeżeli będzie bolało.

– I o to chodzi – mówi Cormac. – Na tym polega nasza przewaga. I zamierzam ją wykorzystać. Jeżeli ktoś nie chce, może się pakować i zjeżdżać do głównego obozu Armii z Gray Horse. Przyjmą was. Nie będę miał wam tego za złe.

Oddział stoi w milczeniu i czeka. Wiem, że nikt nie odejdzie. Cormac przypatruje się wszystkim ludziom po kolei. Kontaktują się ze sobą na jakiejś ukrytej częstotliwości. Nie miałem pojęcia, że potrafią tak wiele przekazywać sobie bez słów. A więc my, maszyny, nie jesteśmy jedynymi istotami, które potrafią porozumiewać się szyfrem.

Ludzie gromadzą się w krąg i nie zwracają na mnie uwagi. Cormac unosi ręce i kładzie je na ramionach dwójki najbliższych ludzi. Reszta idzie w jego ślady. Stają w kole z głowami skierowanymi do środka. Dowódca szczerzy zęby w uśmiechu.

– Oddział Spryciarza będzie walczył razem z robotem – mówi. Inni zaczynają się uśmiechać. – Wyobrażacie sobie? Myślicie, że Archos przewidział coś takiego? Że dołączy do nas Arbiter?

Ze splecionymi ramionami i falą gorących oddechów buchających ze środka kręgu ludzie sprawiają wrażenie pojedynczego organizmu o wielu kończynach. Znów wydają ten powtarzalny odgłos. Tym razem wszyscy. To śmiech. Obejmują się nawzajem i śmieją się.

Dziwne.

– Szkoda, że nie ma ich więcej! – wykrzykuje Cormac.

Kolejny wybuch śmiechu zakłóca ciszę i w pewien sposób wypełnia surowy, pusty krajobraz.

– Cormac – chrypię.

Ludzie odwracają się do mnie. Uśmiechy zamierają im na ustach. Widzę, że są zaniepokojeni.

Drogą radiową wydaję rozkaz. Hoplita i Ranger, moi koledzy z oddziału, zaczynają się ruszać. Wstają i otrząsają z siebie śnieg. Nie wykonują żadnych nagłych ruchów. Zachowują się przewidywalnie. Po prostu wstają, jakby wcześniej spali.

– To oddział Spryciarza – dokonuję prezentacji. – A to oddział wolnych robotów.

Chociaż początkowo ludzie traktowali ich nieufnie, w ciągu kilku dni oswoili się z widokiem nowych żołnierzy. Pod koniec tygodnia oddział Spryciarza za pomocą palników plazmowych wyciął tatuaże drużyny w metalowych korpusach nowych towarzyszy.

CORMAC WALLACE GHA#217

ROZDZIAŁ 3

I tylko cisza po nich

„Nasz oddział nie składa się wyłącznie z ludzi”.

Cormac Wallace

NOWA WOJNA + 2 LATA, 8 MIESIĘCY

Naprawdę przerażające wydarzenia nowej wojny rozegrały się, gdy Armia z Gray Horse znalazła się w pobliżu umocnień bazy sztucznej inteligencji w Ragnorak. Archos rzucił do walki ostatnie siły, których okrucieństwo wstrząsnęło naszymi oddziałami do żywego. Przebieg straszliwych bitew zarejestrowały najróżniejsze urządzenia. Poniżej zamieszczam moją własną relację z ostatecznej wyprawy ludzi przeciwko maszynom.

CORMAC WALLACE GHA#217

Linia horyzontu miarowo kiwa się i kołysze, gdy mój czołg pająk mozolnie pokonuje arktyczną równinę. Gdybym przymknął oczy, mógłbym sobie wyobrazić, że jestem na statku i żegluję ku brzegom Piekieł.

Kolumnę naszych sił zamyka oddział wolnych robotów ubrany w mundury Armii z Gray Horse. Z daleka wyglądają jak zwykli żołnierze. Musieliśmy tak postąpić ze względów bezpieczeństwa. Walczyć ramię w ramię z maszyną to jedno, ale dopilnować, żeby nikt nie wpakował im kuli w plecy, to coś zupełnie innego.

Rytmiczne pojękiwanie silników czołgu pająka przedzierającego się przez zaspy, które sięgają mu do kolan, uspokaja mnie. Jest tak miarowe, że można według niego regulować zegarek. Cieszę się, że mam miejsce na

górze. Na dole, razem z tymi wszystkimi robalami, byłoby bardzo niefajnie. Zbyt wiele najróżniejszego draństwa kryje się w śniegu.

Zamarznięte ciała wywołują w nas niepokój. Jak okiem sięgnąć, widać całe setki zwłok żołnierzy innych armii. Zesztywniałe ręce i nogi sterczą z nawianego śniegu. Po mundurach poznajemy, że przeważnie pochodzą z Chin i z Rosji. Część musiała przybyć z Europy Wschodniej. Wszyscy mają dziwne rozległe rany w okolicach kręgosłupa. Niektórzy leżą w takich pozycjach, jakby strzelali do siebie nawzajem.

Zapomniane ciała przywodzą mi na myśl, jak niewiele wiemy o wojnie z perspektywy innych krajów. Kilka miesięcy temu walczyły i ginęły tu oddziały, których nie dane było nam poznać. Zastanawiam się, które z tych ciał zasługują na miano bohaterów.

– Grupa Beta idzie za wolno. Poczekajcie na nich – odzywa się głos w słuchawce mojej radiostacji.

– Zrozumiałem, Mathildo.

Mathilda Perez nawiązała z nami kontakt drogą radiową zaraz po naszym spotkaniu z oddziałem Dziewięć Zero Dwa. Nie wiem, co zrobił jej Archos, ale cieszę się, że jest po naszej stronie. Precyzyjnie prowadzi nas do celu wyprawy. Miło słyszeć w słuchawce jej dziecięcy głos. Lekko sepleni, co zupełnie nie pasuje do tutejszej skutej lodem dziczy.

Patrzę w błękitne niebo. Gdzieś tam z góry śledzą nas satelity, a razem z nimi mała Mathilda.

– Carl, zgłoś się – mówię, przysuwając usta do mikrofonu radiostacji ukrytego w futrzanym kołnierzu kurtki.

– Tak jest.

Kilka minut później nasz inżynier zbliża się na grzbiecie wysokiej maszyny kroczącej. Jest uzbrojony w karabin maszynowy kaliber .50 prowizorycznie przymocowany do łęku. Odsuwa na czoło analizatory. Wokół oczu pozostają mu białe kręgi, co sprawia, że przypomina szopa pracza. Pochyla się naprzód pytająco, opierając łokcie na kolbie potężnej broni.

– Grupa Beta się spóźnia. Idź ich trochę pogoń – mówię.

– Nie ma problemu, sierżancie. Przy okazji, macie wyrwinóżki na dziewiątej. Za pięćdziesiąt metrów.

Nawet nie zadaję sobie trudu, żeby spojrzeć w miejsce, o którym mówi. Wiem, że zakopane pod śniegiem niewielkie urządzenia czyhają na nasze kroki i ciepło. Jednak bez czujników ich nie zobaczę.

– Zaraz wracam – mówi Carl.

Zakładając znów gogle, uśmiecha się szeroko i zawraca na równinę. Pochyla się w siodle, jakby chciał zajrzeć za horyzont w poszukiwaniu piekła, które prędzej czy później nadejdzie.

– Słyszałaś, co powiedział – mówię do Cherrah. – Daj im popalić.

Przykucnięta obok mnie dziewczyna wysyła w tundrę precyzyjnie odmierzane łuki płynnego ognia.

Cały dzień mija nam na podobnych zajęciach. Na tyle bez przygód, na ile można się spodziewać w tych warunkach. Na Alasce panuje teraz lato, więc dzień będzie trwał jeszcze przez piętnaście godzin. Mniej więcej dwadzieścia czołgów pająków Armii z Gray Horse maszeruje nierówną tyralierą o szerokości około piętnastu kilometrów. Za każdą maszyną podąża kolumna żołnierzy. Niektórzy używają szkieletów zewnętrznych najróżniejszych rodzajów: sprinterów, pomostów, jednostek do transportu sprzętu i mobilnych stanowisk broni maszynowej. Są też maszyny medyczne z długimi zakrzywionymi ramionami do podnoszenia rannych

żołnierzy. Przez wiele godzin z mozołem pokonujemy pustą białą równinę, niszcząc skupiska wyrwinóżek. Ale kto wie, co jeszcze się tu kryje.

Przechodzi mnie dreszcz, gdy sobie pomyślę, że Archos walczył dotąd tak oszczędnymi środkami. Odebrał nam technologię, która utrzymywała nas przy życiu, i skierował ją przeciwko nam. Jednak zwykle wystarczało, żeby wyłączył ogrzewanie i pozwolił warunkom atmosferycznym wykonać całą resztę. Odciął miasta od wsi i zmusił nas do bratobójczej walki o żywność na pustkowiach.

Cholera. Od lat nie widziałem robota z bronią. Wtyczkowce, wyrwinóżki i pająki. Archos zbudował całe mnóstwo małych paskudztw, których jedynym zadaniem było okaleczać ludzi. Nie chciał nas wszystkich pozabijać, lecz zranić na tyle, żebyśmy mu nie przeszkadzali. Przez cztery minione lata konstruował coraz lepsze pułapki na myszy.

Ale nawet myszy w końcu nauczą się nowych sztuczek.

Unoszę śrutówkę i dłonią opukuję ją ze szronu. Karabiny i miotacze ognia utrzymują nas przy życiu, ale naprawdę tajna broń podąża trzydzieści kroków za Houdinim.

Oddział wolnych robotów to coś zupełnie innego. Archos przystosował swoją broń do atakowania ludzi. Wyrywają nam fragmenty ciała, wciskając się pod miękką skórę, ożywiają nasze martwe ciała. Poznał nasze słabości i bezlitośnie je wykorzystał. Ale czasem się zastanawiam, czy za bardzo się nie wyspecjalizował.

Nasz oddział nie składa się wyłącznie z ludzi. Niektórzy żołnierze nie oglądają swojego oddechu na mrozie, bo nie muszą oddychać. Nie przeraża ich widok zbliżających się wyrwinóżek, nie męczy ich wielogodzinny marsz. Nie odpoczywają, nie mrugają, nie mówią.

Kilka godzin później docieramy do alaskańskiej tajgi. Słońce opada coraz niżej nad horyzont, zabarwiając na pomarańczowo wszystkie gałęzie

drzew. Maszerujemy stałym rytmem, w ciszy, jeżeli nie liczyć odgłosów kroków i syku płomyka u wylotu lufy miotacza ognia Cherrah. Mrużę oczy, gdy słabe światło słoneczne migocze wśród gałęzi drzew.

Nie wiemy jeszcze o tym, ale dotarliśmy do piekła. Niemożliwe stało się możliwe – okazuje się, że piekło jest skute lodem.

W powietrzu rozlega się skwierczący dźwięk przypominający odgłosy wydawane przez boczek przysmażany na patelni. Od strony lasu rozlegają się trzaski.

– Wtyczkowce! – krzyczy Carl z odległości trzydziestu metrów, pędząc przez las na grzbiecie swojego wierzchowca.

Trzask, trzask, trzask, trzask.

Karabin maszynowy Carla terkocze, tnąc pociskami ziemię. Widzę długie błyszczące nogi maszyny kroczącej, która lawiruje pomiędzy drzewami. Nie przystaje ani na chwilę, by uniknąć trafienia.

Psst. Psst. Psst. Psst. Psst.

Odliczam pięć wybuchów elementów kotwiących, gdy wtyczkowce przygotowują w ziemi stanowiska do ostrzału. Carl powinien stamtąd uciekać, bo za chwilę te diabelskie urządzenia zaczną poszukiwać celów. Wszyscy wiemy aż za dobrze, że jedno trafienie wystarczy.

– Walnij tu, Houdini – mamrocze Carl przez radio.

Odzywa się krótki sygnał elektroniczny, gdy czołg odbiera przesłane bezprzewodowo współrzędne celu.

W odpowiedzi maszyna wysyła inżynierowi potwierdzenie, a następnie się zatrzymuje.

Drzewa wokół mnie stają się wyższe, gdy czołg pająk przykuca, żeby uzyskać lepszy kontakt z podłożem. Oddział jak na komendę zajmuje pozycje za opancerzonymi nogami. Nikt nie chce dostać wtyczkowcem, nawet stary Dziewięć Zero Dwa.

Wieżyczka obraca się o kilka stopni w prawo. Przyciskam rękawice do uszu. Z lufy wylatuje płomień, po czym fragment lasu przed nami zmienia się w masę czarnej ziemi i szybko parującego lodu. Drzewa wokół nas drżą, strząsając z siebie śnieżną pokrywę.

– Przedpole czyste – melduje przez radio Carl.

Houdini podnosi się z jękiem silników. Czworonóg znów zaczyna kroczyć przed siebie jakby nigdy nic. Jak gdyby przed chwilą nie zniszczył skupiska straszliwej śmierci.

Cherrah i ja spoglądamy na siebie nawzajem. Nasze ciała kołyszą się rytmicznie wraz z każdym krokiem maszyny. Oboje domyślamy się tego samego: maszyny nas sprawdzają. Prawdziwa bitwa jeszcze się nie zaczęła.

Z oddali docierają do nas głuche odgłosy eksplozji.

To samo dzieje się przez wiele kilometrów wzdłuż całej tyraliery, gdy inne czołgi pająki i pozostałe oddziały radzą sobie z wybuchami wyrwinóżek i atakami wtyczkowców. Archosowi albo nie przyszło do głowy skoncentrować sił, albo z sobie znanych powodów nie ma takiego zamiaru.

Zastanawiam się, czy nie wciąga nas w zasadzkę. Chociaż to i tak nie ma znaczenia. Musimy iść do celu. Już kupiliśmy bilety na ostatni taniec. Ale będzie bal!

Popołudnie dłuży się niemiłosiernie. Z ziemi podnosi się mgła. Wiatr porywa śniegowy pył i miesza z mgłą, której tumany kłębią się na wysokości człowieka. Wkrótce robi się na tyle gęsta, że zasłania widok, a nawet spycha mój oddział z obranego kursu. Po chwili toniemy w mlecznobiałej zamieci.

– Na razie nieźle wam idzie – melduje przez radio Mathilda.

– Jak daleko do celu? – pytam.

– Archos ukrywa się w starym otworze wiertniczym – mówi. – Mniej więcej za trzydzieści kilometrów powinniście zobaczyć antenę.

Słońce schodzi coraz niżej nad horyzont. Nasze cienie są coraz dłuższe. Mimo zapadającego zmroku Houdini kontynuuje marsz. Wieżyczka czołgu pająka wystaje nad gęstniejącą mgłę. Wygląda jak łódź niesiona falami. Gdy słońce zmienia się w ognistą kulę, włącza zewnętrzne światła, by oświetlić nam drogę.

W oddali widzę, że inne czołgi w szeregu postępują tak samo.

– Mathildo, co się dzieje? – pytam.

– Na razie alarm odwołany – przychodzi uspokajająca odpowiedź. – Czekajcie.

Po krótkiej chwili Leo chwyta za siatkę wiszącą pod brzuchem Houdiniego i przyczepia klamrą swój szkielet zewnętrzny do specjalnego uchwytu. Mierzy z karabinu nad morzem mgły. Cherrah siedzi przy mnie, a Carl na robocie kroczącym. Po ziemi przemieszcza się tylko oddział wolnych robotów.

Co jakiś czas z tumanów mgły wynurza się głowa jednego z członków patrolu – Arbitra, Hoplity lub Rangera. Jestem pewien, że kłęby mgły w żaden sposób nie wpływają na działanie ich sonarów.

Nagle z ust Carla wydobywa się stłumiony krzyk.

Trzask, trzask...

Z mgły wynurza się ciemna sylwetka i przewraca jego maszynę kroczącą. Żołnierz spada na ziemię i znika mi z oczu. Przez ułamek sekundy widzę modliszkę wielkości pikapa. Zbliżają się do mnie uzbrojone w brzytwy haczykowate odnóża. Houdini przechyla się do tyłu i przebiera w powietrzu przednimi łapami.

– *Arrivederci* – woła Leo, odpinając się od Houdiniego.

Zaraz po nim Cherrah i ja lądujemy na twardym, ubitym śniegu, prosto w kłębowisku mgły. Ząbkowana noga modliszki zapada się w śnieg dosłownie o krok od mojej głowy. Nie wiem, co się dzieje, ale nagle czuję, jakbym prawą dłonią trafił w imadło. Odwracam się i widzę popielatą rękę robota. Dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, że to Dziewięć Zero Dwa wyciąga mnie i Cherrah spod Houdiniego.

Dwie potężne maszyny kroczące toczą bój nad nami. Osłona Houdiniego utrzymuje pazury modliszki w bezpiecznej odległości, ale czołg pająk nie dorównuje zwinnością swojemu poprzednikowi. Słyszę terkot wielkokalibrowego karabinu maszynowego. Od modliszki odpadają fragmenty metalu, lecz potwór nie daje za wygraną. Wściekle atakuje nasz czołg.

Nagle słyszę znajome skwierczenie i przerażający łoskot trzech lub czterech wtyczkowców zakotwiczających swoje wyrzutnie w pobliżu. Bez Houdiniego jesteśmy narażeni na poważne niebezpieczeństwo. Jesteśmy dosłownie przygwożdżeni do ziemi.

– Wszyscy kryć się! – krzyczę.

Cherrah i Leo nurkują za dużą sosnę. Gdy ruszam w ich stronę, widzę Carla wyglądającego zza pnia.

– Carl! – wołam. – Wskakuj na szkapę i jedź po pomoc do oddziału Beta!

Pobladły żołnierz zwinnie dosiada upadłej maszyny. Sekundę później widzę, jak jej nogi mielą mgłę w drodze do najbliższego oddziału. Wtyczkowiec odpala ładunek w ślad za nim. Słyszę, jak pocisk dzwoni i odbija się od jednej z wysokich nóg piechura. Przywieram plecami do drzewa i rozglądam się za wyrzutniami. Trudno cokolwiek zauważyć. Co jakiś czas światła reflektorów muskają mnie po twarzy. To modliszka i czołg pająk walczą na śmierć i życie.

Houdini przegrywa.

Modliszka przecina siatkę na jego brzuchu i nasze zaopatrzenie wypada na ziemię jak wnętrzności. Stary hełm odbija się obok mnie od drzewa na tyle mocno, że w korze pozostaje wyraźny ślad. Przez mgłę widzę krwistoczerwone światło kontrolki intencji Houdiniego. Jest uszkodzony, ale stary lis się nie poddaje.

– Mathildo! – dyszę do radiostacji. – Co się dzieje?

Przez pięć sekund nie nadchodzą żadne informacje. Potem Mathilda szepcze:

– Teraz nie mogę. Przepraszam cię, Cormac. Musisz sobie radzić sam.

Cherrah wygląda zza pnia i daje mi znaki. Ranger 333 osłania ją dokładnie w tej samej chwili, gdy wtyczkowiec odpala pocisk. Metalowa kulka trafia Rangera na tyle mocno, że android wywija salto w powietrzu. Pada w śnieg z kolejnym wklęśnięciem w korpusie, ale poza tym nic mu nie jest. Pocisk wtyczkowca zmienia się w niegroźny kawałek dymiącego metalu. Trąbka skonstruowana do wwiercania się w ciało człowieka zakrzywia się po uderzeniu w metal.

Cherrah chowa się w bezpieczne miejsce, a ja zaczynam oddychać z ulgą.

Jeżeli mamy zaatakować Archosa, nie możemy stracić Houdiniego. Ale czołg pająk nie radzi sobie najlepiej. Modliszka odcięła mu fragment wieżyczki, który teraz zwisa bezwładnie z boku. W miejscach gdzie jej ostrza przedarły się przez patynę rdzy i mchu, na przedniej osłonie widać rysy, przez które przebłyskuje świeży metal. Jednak co najgorsze, czołg powłóczy tylną nogą, bo modliszka przecięła mu przewód hydrauliczny. Ze zbrojonego gumowego węża tryskają pod wysokim ciśnieniem wachlarze gorącego oleju, zmieniając śnieg w tłuste błoto.

Dziewięć Zero Dwa wynurza się z mgły i wskakuje na grzbiet modliszki. Metodycznymi uderzeniami niszczy niewielki garb wtulony pomiędzy plątaninę ząbkowanych ramion.

– Niebezpieczeństwo. Wycofać się. Wyrównać pozycje – Lonnie Wayne rozkazuje wszystkim oddziałom przez radio.

Wygląda na to, że oddziały czołgów pająków po naszej prawej i lewej stronie wpadły w jednakowo poważne tarapaty. Tu na ziemi prawie nic nie widzę. Słychać kolejne eksplozje wtyczkowców, ledwo słyszalne ponad jękami sprężarek i silników Houdiniego, który się nie poddaje.

Paraliżuje mnie charakterystyczny odgłos. Przypominam sobie nabiegłe krwią oczy Jacka i nie mogę się ruszyć. Otaczające mnie drzewa to żelazne pazury sterczące z zaśnieżonej ziemi. Lasy zmieniają się w kłębowisko wirującej mgły i ciemnych sylwetek oświetlanych tu i ówdzie szaleńczo podskakującymi reflektorami Houdiniego.

Słyszę eksplozję i odległy krzyk żołnierza trafionego wtyczkowcem. Wykręcam szyję, ale nikogo nie widzę. Przez mgłę dostrzegam tylko okrągłą czerwoną kontrolkę intencji Houdiniego.

Krzyk staje się o oktawę wyższy, gdy wtyczkowiec zaczyna drążyć mięśnie. Dochodzi jednocześnie zewsząd i znikąd. Kurczowo przyciskam M-4 do piersi, z przerwami łapię oddech i rozglądam się po okolicy w poszukiwaniu niewidzialnych wrogów.

Trzydzieści metrów dalej nieostry strumień ognia rozcina mgłę. To Cherrah oblewa płonącą mazią skupisko wyrwinóżek. Słyszę stłumione trzaski, gdy ładunki po kolei wybuchają w ciemnościach.

– Cormac! – woła Cherrah.

Głos dziewczyny przywraca mi władzę w nogach. Jej bezpieczeństwo znaczy dla mnie więcej niż moje własne. O wiele więcej.

Przezwyciężając słabość, ruszam ku Cherrah. Za plecami widzę Dziewięć Zero Dwa wczepionego w grzbiet wierzgającej modliszki. Po chwili kontrolka intencji Houdiniego zmienia barwę na zieloną. Modliszka pada na ziemię, podrygując odnóżami.

Udało się!

Widziałem wcześniej takie rzeczy. Ogromna maszyna właśnie straciła mózg. Pozostałe mechanizmy nadal działają, ale bez poleceń z centrali mogą tylko leżeć i drżeć.

– Oddział do Houdiniego! – krzyczę. – Ustawić się!

Houdini przykuca na zabłoconej polanie otoczony wyrwanymi kawałami ziemi i fragmentami drzew, których pnie popękały jak zapałki. Na ciężkim pancerzu czołgu widać ślady walki. Zupełnie jakby ktoś wrzucił go do ogromnej maszyny do mielenia mięsa.

Mimo to nasz towarzysz się nie poddaje.

– Houdini, włącz tryb odbioru poleceń. Przejmuję kontrolę: przyjmij pozycję obronną – mówię do maszyny.

Z jękiem przegrzanych motorów maszyna przykuca i wbija w ziemię ciężką osłonę. Następnie powoli przyciąga nogi do siebie i unosi brzuch do góry mniej więcej na wysokość półtora metra. Opancerzone nogi czołgu pająka łączą się w mobilny bunkier nad prowizorycznym okopem.

Leo, Cherrah i ja wczołgujemy się pod uszkodzoną maszynę, a wolne roboty zajmują pozycje w śniegu wokół nas. Opieramy karabiny o pancerne płyty osłaniające nogi i wbijamy oczy w ciemność.

– Carl! – krzyczę na cały głos. – Carl, gdzie jesteś?!

Ani śladu naszego inżyniera.

Reszta oddziału zbija się w grupkę pod delikatnym zielonym blaskiem kontrolki intencji Houdiniego. Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że to dopiero początek bardzo długiej nocy.

– Cholera jasna, wcięło Carla. – Leo kręci głową. – Nie uwierzę, że te dranie go dopadły. To niemożliwe.

Nagle z tumanów mgły wynurza się ciemna sylwetka. Pędzi co sił w nogach. Lufy karabinów jak na komendę zmieniają położenie i kierują się ku niemu.

– Nie strzelać! – krzyczę.

Rozpoznaję charakterystyczny nierówny chód. To Carl Lewandowski. Jest przerażony. Zamiast biec, podskakuje. Po chwili nurkuje w śnieg pod Houdiniego. Nie ma zestawu czujników, które kiedyś nosił na oczach. Ani śladu maszyny kroczącej, której dosiadał. Nie ma też plecaka.

Został mu chyba tylko karabin.

– Co się tam dzieje, do jasnej cholery, Carl? Gdzie masz czujniki? Gdzie posiłki?

Dopiero po chwili zauważam, że chłopak płacze.

– Straciłem cały sprzęt. Straciłem wszystko. Człowieku, nie... nie masz pojęcia, co się tam dzieje. Nie, nie, nie. To niemożliwe.

– Carl, uspokój się i mów jak człowiek. Co się tam dzieje?

– Już po nas. Wszystko się popieprzyło w cholerę. Oddział Beta wpadł w rój wtyczkowców, ale okazało się, że to nie żadne wtyczkowce, tylko inne draństwo. A potem zaczęli wstawać, rozumiecie? O Boże!

Carl z przerażeniem ogląda się za siebie w śnieżną biel.

– Idą tu! Cholera jasna, oni tu idą!

Posyła pojedyncze kule we mgłę, z której stopniowo zaczynają się wynurzać niewyraźne sylwetki. Przypominają ludzi. Idą w naszą stronę. Po chwili otwierają do nas ogień. W półmroku błyskają wyloty luf.

Mimo uszkodzonego działa Houdini stara się, jak może. Obraca wieżyczkę i światłem reflektorów rozprasza mrok.

– Co ty gadasz? Przecież roboty Archosa nie są uzbrojone – przypomina mu Leo.

– W takim razie kto do nas strzela? – krzyczy Cherrah.

Carl nie przestaje szlochać.

– Czy to ma teraz jakiekolwiek znaczenie?! – pytam. – Dajcie im popalić!

Wszyscy otwieramy ogień. Brudny śnieg wokół Houdiniego topnieje od ciepła rozgrzanych niemal do czerwoności luf naszych karabinów. Z tumanów mgły wynurza się coraz więcej ciemnych kształtów. Powłóczą nogami. Trafiane naszymi kulami ciała dygocą i zataczają się, mimo to idą, nie przerywając ostrzału.

Dopiero gdy podchodzą bliżej, dostrzegam w pełni, do czego zdolny jest Archos.

Pierwszy pasożyt, którego widzę, wgryzł się w Sokoła Żelazną Chmurę. Ciało chłopaka jest podziurawione kulami i brakuje mu połowy twarzy. Błyszczą druty zagłębione w mięśnie jego rąk i nóg. Nagle pocisk rozrywa mu brzuch i cała postać kręci się jak bąk. Wygląda tak, jakby miał na sobie metalowy plecak w kształcie skorpiona.

Przypomina pluskwę, która dorwała Tyberiusza, tylko nieskończenie groźniejszą.

Maszyna wgryzła się w zwłoki Sokoła i zmusiła go do wstania. Używa jego ciała jak tarczy. Ciało przejmuje część energii nadlatujących kul i stopniowo rozpada się, osłaniając robota osadzonego wewnątrz.

Archos nauczył się używać naszego uzbrojenia, pancerzy i ciał przeciwko nam. Po śmierci każdy z nas staje się bronią dla maszyn. Mam nadzieję, że Sokół już nie żył, kiedy dopadło go to draństwo. Ale na tej wojnie dawno straciłem już wszelkie złudzenia.

Archos potrafi się zachowywać jak prawdziwy skurwiel.

Mimo to, patrząc między salwami pocisków na twarze ludzi z mojego oddziału, nie widzę ani śladu przerażenia. Tylko zaciśnięte zęby i skupienie. Zniszcz. Zabij. Przeżyj. Archos posunął się za daleko. Nie docenił nas. Jesteśmy już za pan brat z przerażeniem. Zaprzyjaźniliśmy się. I gdy przyglądam się zwłokom Sokoła, który powłócząc nogami, zbliża się do mnie, nie czuję nic. Widzę tylko wrogi cel.

Wiele wrogich celów.

Kule karabinowe świszczą w powietrzu, odłupują korę z drzew i deszczem ołowiu bębnią po pancerzu Houdiniego. Atakuje nas cała opętana przez roboty drużyna, może nawet pluton. Tymczasem od przodu zalewa nas powódź wyrwinóżek. Cherrah koncentruje ostrzał płonącą mazią na godzinie dwunastej. Dziewięć Zero Dwa i jego koledzy operują bezgłośnie między drzewami. Robią, co się da, by powstrzymać pasożyty atakujące nas z boku.

Ale skorpiony się nie poddają. Ludzkie zwłoki amortyzują uderzenia naszych kul. Krew pryska, kości pękają na kawałki, mięśnie odrywają się od ciał, lecz potwory nadal zmuszają ich do powstania i dalszego marszu. Jak tak dalej pójdzie, niedługo zabraknie nam amunicji.

Łup. Kula rykoszetem trafia pod czołg. Cherrah dostaje w górną część uda. Krzyczy z bólu. Carl wpełza pod pancerz, żeby ją opatrzyć. Kiwam głową na Leo i zostawiam go, żeby ubezpieczał flankę. Zabieram też miotacz ognia Cherrah, żeby pogonić wyrwinóżki.

Przykładam palec do ucha, by uaktywnić radio.

– Mathildo, potrzebujemy wsparcia. Mamy kogoś w pobliżu?

– Jesteście już blisko – odpowiada Mathilda lekko sepleniącym dziewczęcym głosikiem. – Ale dalej jest tylko gorzej.

Gorzej niż tutaj? Rozmawiam z nią w przerwach między seriami ognia karabinowego.

– Nie damy rady, Mathildo. Uszkodzili nam czołg. Jesteśmy uziemieni. Jeżeli się ruszymy, zostaniemy... zarażeni.

– Nie wszyscy jesteście uziemieni.

O co jej chodzi? Spoglądam po wykrzywionych z determinacją twarzach moich kolegów z oddziału skąpanych w czerwonym blasku kontrolki intencji Houdiniego. Carl kończy opatrywać nogę Cherrah. Wyglądam na polanę i widzę gładkie twarze Arbitra, Rangera i Hoplity. Tylko wolne roboty dzielą nas od pewnej śmierci.

Ale to właśnie ich oddział może kontynuować naszą misję.

Cherrah jęczy. Rana jest poważna. Słyszę kolejne wybuchy i charakterystyczne odgłosy kotwiczenia wyrzutni. Wiem, że otaczają nas pasożyty. Wkrótce zmienimy się w nowy oddział zombie walczących po stronie Archosa.

– Gdzie są wszyscy? – pyta Cherrah przez zaciśnięte zęby.

Carl dołączył do Leo i razem ostrzeliwują pasożyty. Po mojej stronie wyrwinóżki coraz bardziej się rozzuchwalają.

Kiwam głową do Cherrah. Widzę, że mnie rozumie. Wolną ręką biorę jej sztywne palce w dłoń i ściskam. Mam właśnie podpisać wyrok śmierci na nas wszystkich i chcę jej powiedzieć, że żałuję, ale nic na to nie poradzę.

Coś sobie przyrzekliśmy.

– Dziewięć Zero Dwa – wołam w ciemność. – Nie przejmujcie się nami. Poradzimy sobie. Bierzcie dupy w troki i szukajcie Archosa. A kiedy już go znajdziecie... dajcie mu popalić w moim imieniu.

Kiedy wreszcie odważam się obejrzeć za siebie, na miejsce, gdzie leży ranna Cherrah, jestem zaskoczony: dziewczyna uśmiecha się do mnie przez łzy.

Tak zakończył się marsz Armii z Gray Horse.

CORMAC WALLACE GHA#217

ROZDZIAŁ 4
Diada

„Z ludźmi nigdy nic nie wiadomo”.

Dziewięć Zero Dwa

NOWA WOJNA + 2 LATA, 8 MIESIĘCY

Podczas gdy Archos niszczył od środka naszą armię, drużyna trzech androidów ruszyła przed siebie, by stawić czoła jeszcze większym niebezpieczeństwom. Poniżej Dziewięć Zero Dwa opisuje, jak oddział wolnych robotów dzięki pomocy nieprawdopodobnego sprzymierzeńca poradził sobie z niewyobrażalnymi przeciwnościami.

CORMAC WALLACE GHA#217

Nie odpowiadam. Moduł ocenia, że zajście wydarzeń opisanych przez Cormaca Wallace’a jest bardzo mało prawdopodobne. Ludzie nazywają je niespodziankami.

Puk, puk, puk.

Przykucnięci pod czołgiem pająkiem ludzie ostrzeliwują pasożyty, które przejmują kontrolę nad ich martwymi towarzyszami i każą im atakować. Bez ochrony mojego oddziału prawdopodobieństwo przeżycia oddziału Spryciarza drastycznie maleje. Korzystam z modułu rozpoznawania emocji, żeby określić, czy to żart, groźba czy też jeszcze coś innego.

Z ludźmi nigdy nic nie wiadomo.

Moduł skanuje osmaloną twarz Cormaca i proponuje mi kilka możliwości: zdecydowanie, upór, odwaga.

– Oddział wolnych robotów do mnie – odzywam się w mowie maszyn.

Znikamy w półmroku. Oddalamy się od uszkodzonego czołgu pająka i uszkodzonych ludzi. Ranger i Hoplita idą za mną. Kiedy docieramy do granicy lasu, przyspieszamy kroku. Odgłosy i wibracje bitwy zostają za nami. Po dwóch minutach drzewa rzedną, potem zupełnie znikają, a my wydostajemy się na otwartą, skutą lodem przestrzeń.

Puszczamy się biegiem.

Przyśpieszamy do maksymalnej szybkości Rangera i rozdzielamy się. Ze skutej lodem równiny unoszą się przed nami pióropusze pary. Słabe światło słoneczne migocze między moimi nogami. Poruszam nimi tak szybko, że trudno je zauważyć. Nasze cienie powoli znikają nad nierówną białą przestrzenią.

Ze względu na narastający mrok włączam noktowizor. Lód zaczyna świecić się na zielono.

Nogi pracują bez zarzutu. Metodycznie unoszą się i opadają. Ręce z płasko ułożonymi dłońmi pełnią funkcję przeciwwag. Ze świstem tnę lodowato zimne powietrze. Głowę trzymam równo i patrzę przed siebie.

Niebezpieczeństwo nadchodzi nagle i nieubłaganie.

– Rozciągnąć się na pięćdziesiąt metrów. Utrzymać dystans – polecam za pośrednictwem lokalnego łącza radiowego.

Nie zwalniając, Ranger i Hoplita zajmują pozycje na moich skrzydłach. Przecinamy równinę trzema równoległymi liniami.

Bieg z tak dużą prędkością jest niebezpieczny. Przyznaję priorytet odruchowi unikowemu. Pod moimi stopami nierówna powierzchnia lodu zmienia się w plamę. Procesy niskiego poziomu wykorzystują całą moc procesora. Nie mam czasu myśleć. Przeskakuję nad stosem luźnych kamieni, których żaden moduł wykonawczy nie zdążyłby zarejestrować.

Gdy znajduję się w powietrzu, słyszę świst wiatru opływającego mój tors i czuję, jak chłód odbiera ciepło z wylotowych dysz wentylacyjnych. To kojący dźwięk, który wkrótce zagłuszają uderzenia stóp, gdy przyspieszam. Nogi mojego oddziału migoczą jak igły maszyn do szycia, pożerając odległość.

Lód jest zbyt pusty. Zbyt cichy. Na horyzoncie pojawia się wieża z anteną. Cel w zasięgu pasma widzialnego.

Jesteśmy blisko, coraz bliżej.

– Podajcie status – polecam.

– Nominalny – przychodzą krótkie odpowiedzi od Hoplity i Rangera.

Moi towarzysze koncentrują się na pokonywaniu dystansu. To ostatnie komunikaty, jakie wymieniam ze swoją drużyną.

Pociski nadlatują równocześnie.

Hoplita dostrzega je pierwszy. Tuż przed śmiercią odwraca twarz ku niebu, nadając część ostrzeżenia. Natychmiast zmieniam kierunek biegu. Ranger zbyt wolno zmienia kurs. Hoplita przerywa nadawanie. Trafiony odłamkiem Ranger 333 staje w płomieniach. Obie maszyny wyłączają się, zanim dotrą do mnie fale dźwiękowe.

Wybuch.

Wokół mnie eksploduje lód. Czujniki bezwładnościowe rozłączają się, gdy moje ciało wzlatuje w powietrze. Siła odśrodkowa sprawia, że kończyny zaczynają młócić powietrze, ale wewnętrzna diagnostyka niskiego poziomu nadal gromadzi informacje: obudowa nietknięta, temperatura wewnętrzna bardzo wysoka, lecz szybko spada, wspornik lewej nogi pęknięty na poziomie górnego uda. Wiruję z prędkością pięćdziesięciu obrotów na sekundę.

Zalecenie: przyciągnąć kończyny do tułowia i przygotować się na uderzenie.

Spadam na ziemię, wcinając się w skutą lodem skałę. Koziołkuję. Licznik odległości podaje pięćdziesiąt metrów, zanim się zatrzymam. Atak kończy się tak samo szybko, jak się rozpoczął.

Próbuję się poruszyć. Moduł wykonawczy żąda priorytetu i zgłasza wynik diagnostyki: uszkodzenie pakietu czujników w głowie. Nie mam twarzy. Poszatkowała mi ją eksplozja, swoje dołożył też ostry jak brzytwa lód. Archos szybko się uczy. Wie, że nie jestem człowiekiem, i dlatego zaatakował mnie inaczej.

Niczym nieosłonięty leżę na lodzie. Jestem ślepy, głuchy i sam. Tak jak na początku, wszystko kryją ciemności.

Prawdopodobieństwo przeżycia spada do zera.

„Wstań” – odzywa się w moim umyśle głos.

– Podaj identyfikator – proszę przez radio.

„Nazywam się Mathilda – przychodzi odpowiedź. – Chcę ci pomóc. Nie masz czasu do stracenia”.

Nic z tego nie rozumiem. Protokół komunikacyjny nie wykrywa podobieństwa do żadnej z próbek języka w mojej bibliotece. Ani maszyna, ani człowiek. To hybryda mowy robotów i języka angielskiego.

– Pytanie: czy jesteś człowiekiem?

„Posłuchaj mnie. I skoncentruj się”.

Ciemność nagle rozjaśnia strumień informacji. W polu mojego widzenia pojawia się topograficzna mapa satelitarna okolicy. Sięga horyzontu i jeszcze dalej. Wewnętrzne czujniki przekazują obraz mojego obecnego wyglądu. Czynności wewnętrzne takie jak diagnostyka i propriocepcja są nadal aktywne. Dotykając ręki, widzę jej wirtualne odwzorowanie – płaski cień pozbawiony szczegółów. Unoszę głowę i widzę kropkowaną linię przemieszczającą się po jaskrawym błękitnym niebie.

– Pytanie: co oznaczają krop... – zaczynam.

„Nadlatujący pocisk” – przerywa mi głos.

W ciągu 1,3 sekundy podrywam się na równe nogi i zaczynam biec. Z powodu uszkodzenia nie mogę osiągnąć maksymalnej prędkości, ale przynajmniej mogę się poruszać.

„Arbiter, przyśpiesz do trzydziestu kilometrów na godzinę. Aktywuj lokalny dalmierz. Nie jest zbyt precyzyjny, ale lepsze to niż nic. Będę ci podpowiadać, dokąd masz iść”.

Nie wiem, kim jest Mathilda, ale dane, jakie mi przekazuje, ratują mi życie. Moja świadomość wykracza teraz poza wszystko, co kiedykolwiek wiedziałem albo sobie wyobrażałem. Słyszę jej instrukcje.

Nie przestaję biec.

Mój sonar dysponuje niską rozdzielczością, ale wkrótce wykrywam formację skalną, której nie ma na obrazie satelitarnym dostarczonym przez Mathildę. Bez informacji w widmie widzialnym trudno się poruszać w przestrzeni. Gdybym w ostatniej chwili nie zmienił kierunku, rozbiłbym się o sterczący fragment skały.

Podczas lądowania ledwo udaje mi się uniknąć upadku. Zataczam się, prawą nogą wybijam otwór w lodzie, potem odzyskuję równowagę i wracam do prędkości podróżnej.

„Napraw nogę. Utrzymaj prędkość dwadzieścia kilometrów na godzinę”.

W biegu wysuwam prawą rękę i z zestawu narzędzi ukrytego w schowku biodrowym wyciągam palnik plazmowy o rozmiarach szminki. Gdy prawe kolano unosi się wraz z każdym krokiem, naprawiam wspornik precyzyjnie odmierzanymi impulsami ciepła. Palnik włącza się i wyłącza jak alfabet Morse’a w rytmie ruchów mojego prawego uda. Po sześćdziesięciu krokach element zostaje naprawiony i świeży spaw się chłodzi.

Kropkowana linia na horyzoncie podąża w moją stronę. U góry pozornie zmienia kurs, lecz przez cały czas pozostaje na kursie kolizyjnym z moją aktualną trajektorią.

„Skręć dwadzieścia stopni w prawo. Przyspiesz do czterdziestu kilometrów na godzinę i utrzymaj tę prędkość przez sześć sekund. Potem zatrzymaj się i połóż się na ziemi”.

Bum!

W chwili gdy padam na ziemię, moim ciałem wstrząsa oddalona o sto metrów eksplozja. Gdybym nie zmienił kursu, trafiłby mnie pocisk.

Mathilda właśnie uratowała mi życie.

„Po raz drugi nam się nie uda” – mówi.

Zdjęcia satelitarne pokazują, że równina przede mną wkrótce rozpadnie się w labirynt wąwozów. Tysiące kanionów wyrzeźbionych do gołej skały przez długo topniejące lodowce wyginają się w słabo odwzorowane strefy ciemności. Za nimi sterczy z odwiertu antena przypominająca nagrobek.

Widzę kryjówkę Archosa.

Nad głową odliczam trzy następne kropkowane linie zmierzające ku mojemu obecnemu położeniu.

„Przygotuj się, Dziewięć Zero Dwa – mówi Mathilda. – Musisz rozłączyć antenę Archosa. Jesteś już bardzo blisko”.

Mała dziewczynka wydaje mi rozkaz, a ja postanawiam go wykonać.

Prowadzony przez Mathildę Dziewięć Zero Dwa pokonał labirynt wąwozów, uniknął pocisków odpalonych z samolotów bezzałogowych i dotarł do bunkra, w którym ukrywał się Archos. Na miejscu zablokował antenę, chwilowo zakłócając działania armii robotów. Dziewięć Zero Dwa przeżył. Dzięki temu wydarzeniu Mathilda i Arbiter weszli do podręczników historii wojskowości jako przykład diady – nowej i śmiertelnie groźnej formy walki opartej na współdziałaniu człowieka i maszyny.

CORMAC WALLACE GHA#217

ROZDZIAŁ 5
Maszyny pełne miłości i wdzięku

„Dopóki jedna rasa gnębi drugą, nie ma miejsca na pokój”.

Archos

NOWA WOJNA + 2 LATA, 8 MIESIĘCY

Żaden człowiek nie był bezpośrednim świadkiem ostatnich chwil nowej wojny. Jak na ronię, Archos musiał stawić czoła jednemu ze swoich własnych tworów. To, co zaszło między Dziewięć Zero Dwa i Archosem, stanowi teraz część informacji przechowywanych w archiwum. Bez względu na to, jak zinterpretują je ludzie, reperkusje tych chwil – zrelacjonowane poniżej przez Dziewięć Zero Dwa i potwierdzone przez dane ze źródeł uzupełniających – wywrą głęboki wpływ na oba nasze gatunki przez całe pokolenia.

CORMAC WALLACE GHA#217

Otwór ma trzy metry średnicy. Wypełniono go żwirem, odłamkami skał i zatkano zamarzniętą ziemią. Pofałdowaną metalową rurę włożono do płytkiego krateru jak ślepego, zamarzniętego robaka. To główna linia komunikacyjna. Prowadzi bezpośrednio do Archosa.

Gdy tylko przybyłem tu zeszłej nocy, zniszczyłem główną antenę. Biegłem na ślepo z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Miejscowe urządzenia obronne natychmiast przestały działać. Archos chyba nie ufał najbliżej stacjonującym robotom i nie pozwolił im działać samodzielnie. Następnie stanąłem w śniegu i czekałem, żeby się przekonać, czy ktoś ze znanych mi ludzi przeżył.

Mathilda zasnęła. Powiedziała, że już dawno powinna być w łóżku.

Oddział Spryciarza przybył na miejsce dzisiaj rano. Mój atak znacznie utrudnił Archosowi planowanie i koordynację działań swojej armii, co pozwoliło ludziom wymknąć się z pułapki.

Jeden z ludzi, inżynier, wymienił mi na nowe czujniki zamontowane w głowie. Nauczyłem się mówić „dziękuję”. Moduł rozpoznawania emocji wskazał, że Carl Lewandowski bardzo, ale to bardzo się ucieszył, że widzi mnie żywego.

Na polu bitwy panuje teraz cisza i spokój. Pusta równina pozbawiona wszelkiego życia jest usiana kolumnami czarnego dymu. Oprócz rury wetkniętej w ziemię nic nie zdradza, że coś może kryć się w środku. Zupełnie nie zwraca na siebie uwagi, jak każda dobrze zakamuflowana groźna pułapka.

Zamykam oczy i włączam wszystkie czujniki. Sejsmograf nie pokazuje nic, lecz magnetometr wykrywa aktywność. Impulsy elektryczne płyną przez przewód jak płonący pokaz świateł. Kaskady danych wpływają i wypływają z otworu. Nawet bez anteny Archos próbuje utrzymać kontakt ze swoim światem.

– Przetnijcie to – mówię do ludzi. – Tylko szybko.

Carl, inżynier, spogląda na swojego dowódcę, który kiwa głową. Potem z paska narzędziowego wyjmuje jakieś narzędzie i nieporadnie przyklęka. Fioletowa gwiazda supernowa budzi się do istnienia i palnik plazmowy wcina się w powierzchnię rury, niszcząc przewody w środku.

Pokaz świateł znika. Na zewnątrz nie ma śladów wskazujących na to, że coś się tutaj zdarzyło.

– W życiu nie widziałem podobnego materiału – dyszy Carl. – Tutaj jest cała masa kabli.

Cormac trąca go łokciem.

– W takim razie porozdzielaj końce – mówi. – Nie chcemy, żeby sam się naprawił.

Podczas gdy ludzie z wysiłkiem odrywają koniec grubej rury od kikuta, zastanawiam się nad problemem fizycznym, który musimy rozwiązać. Archos przyczaił się na dole tego szybu pod tonami skalnego rumowiska. Dowiercenie się tam wymagałoby najróżniejszego specjalistycznego sprzętu. Ale przede wszystkim wymaga czasu. Czasu, w którym Archos może znaleźć nowy sposób nawiązania kontaktu ze swoimi oddziałami.

– Co jest tam na dole? – pyta Carl.

– Archos. Szef wszystkich robotów – odpowiada Cherrah, wsparta na kuli zrobionej z drzewa. W ten sposób odciąża ranną nogę.

– Okej, ale co to znaczy?

– To maszyna myśląca. Silos z mózgiem – odpowiada Cormac. – Właśnie tu się ukrywał przez całą wojnę. Zakopany na tym zadupiu.

– Wieczna zmarzlina gwarantuje chłodzenie procesorów. Alaska to naturalny radiator. Ta lokalizacja ma całą masę zalet – komentuje Carl.

– A kogo to obchodzi? – pyta Leo. – Pytanie, jak to drańst wo wysadzić.

Ludzie przyglądają się otworowi przez dłuższą chwilę. Zastanawiają się.

– Nie możemy ryzykować – decyduje wreszcie Cormac. – Musimy być pewni. Ktoś musi zejść na dół i przekonać się, czy rzeczywiście zginął. W przeciwnym razie jama po prostu się zapadnie, a Archos zostanie tam na dnie cały i zdrowy.

– Czyli na dodatek musimy jeszcze zejść pod ziemię? – pyta ironicznie Cherrah. – Super.

Moduł obserwacyjny wykrywa coś interesującego.

– To środowisko wrogie człowiekowi – mówię. – Sprawdźcie parametry.

Inżynier wyciąga miernik, spogląda na ekran, a potem szybko wychodzi z zagłębienia.

– Promieniowanie jonizujące – mówi. – Znacznie podwyższone. Wzrasta bliżej środka otworu. Lepiej stąd chodźmy.

Cormac spogląda na mnie i wycofuje się. Ma bardzo zmęczoną twarz. Zostawiam ludzi stojących na obwodzie zapadliska, podchodzę do środka i przyklękam, żeby zbadać pękatą rurę. Jest wykonana z grubego elastycznego materiału, co oznacza, że osłania kable aż do samego dna otworu.

Nagle na oszronionym ramieniu czuję dotyk ciepłej dłoni dowódcy.

– Zmieściłbyś się? – pyta spokojnie. – Gdyby nam się udało wyciągnąć kable?

Przytakuję. Jeżeli druty zostaną usunięte, spróbuję wcisnąć się w tę przestrzeń.

– Nie wiemy, co tam jest. Możesz nie dać rady się wydostać – ostrzega mnie Cormac.

– Wiem – odpowiadam.

– Już i tak wiele zrobiłeś – mówi, gestem wskazując na moją zniszczoną twarz.

– To też załatwię – odpowiadam.

Cormac szczerzy do mnie zęby i wstaje.

– W takim razie do roboty. Wyrywamy druty – woła.

Przepona największego mężczyzny kurczy się gwałtownie, gdy wydobywa z siebie powtarzalny, przypominający szczekanie odgłos: śmiech.

– A co? – uśmiecha się Leonardo. – Wyrwiemy draniowi płuca przez gardło.

Cherrah kuśtyka na zranionej nodze. Wyciąga linę i zaczepia jeden z jej końców o hak na dolnej części szkieletu zewnętrznego Leo.

Inżynier przeciska się obok mnie i zakłada chwytak na wiązkę kabli umieszczonych w rurze. Potem ucieka przed promieniowaniem. Zaczep blokuje się samoczynnie z tak dużą siłą, że wygina twardą, włóknistą masę kabli.

Leonardo cofa się powoli krok za krokiem. Po kolei wyciąga przewody. Wielokolorowe druty wiją się w śniegu jak jelita wyrywane z białej rury na wpół zakopanej w dole. Niecałą godzinę później koniec ostatniego z przewodów pojawia się nad ziemią.

Czeka na mnie ziejąca czarna dziura.

Wiem, że na dnie jaskini czeka na mnie Archos. Nie potrzebuje światła, powietrza ani ciepła. Podobnie jak ja, z łatwością zadaje śmierć w najróżniejszych warunkach.

Zdejmuję ludzką odzież i rzucam ją na ziemię. Na czworakach podchodzę do krawędzi otworu i wykonuję kilka obliczeń.

Gdy znów unoszę głowę, ludzie nie spuszczają ze mnie oczu. Jeden po drugim podchodzą do mnie i dotykają mojej obudowy: ramienia, klatki piersiowej i ręki. Nie ruszam się. Nie chcę przerywać kolejnego z nieznanych mi ludzkich rytuałów.

Na koniec Cormac uśmiecha się do mnie. Jego pokryta bliznami twarz skręca się w pomarszczoną maskę.

– No to jak, szefie? – pyta. – Głową czy nogami do przodu?

Decyduję się na tę drugą możliwość, żebym mógł kontrolować prędkość schodzenia. Jedyny problem polega na tym, że Archos zobaczy mnie pierwszy.

Ze skrzyżowanymi na piersiach rękami wślizguję się do rury. Wkrótce znajduję się w zupełnej ciemności. W odległości kilku centymetrów widzę tylko rurę ochronną. Pierwszy odcinek pokonuję na wznak, lecz szyb wkrótce zaczyna opadać pionowo w dół. Rozkrzyżowuję nogi i stwierdzam, że dzięki temu nie spadnę jak kamień na dno otworu.

We wnętrzu rury szybko robi się śmiertelnie niebezpiecznie dla człowieka. Po upływie dziesięciu minut otacza mnie kieszeń gazu ziemnego. Zmniejszam prędkość schodzenia, żeby obniżyć prawdopodobieństwo eksplozji. Temperatura spada poniżej zera, gdy zanurzam się coraz głębiej w wieczną zmarzlinę. Moje ciało zaczyna wydatkować coraz więcej mocy, zwłaszcza na ogrzewanie stawów, żeby utrzymać temperaturę w optymalnym zakresie. Gdy schodzę na głębokość poniżej ośmiuset metrów, robi się trochę cieplej dzięki aktywności geotermicznej Ziemi.

Na głębokości około tysiąca pięciuset metrów poziom promieniowania wzrasta do maksimum. W ciągu kilku minut jego natężenie osiąga poziom śmiertelny dla człowieka. Czuję mrowienie korpusu, lecz poza tym nie ma ono na mnie żadnego wpływu.

Wślizguję się coraz głębiej do toksycznego szybu.

Nagle trafiam stopami na pustą przestrzeń. Macham nogami i czuję pustkę. Poniżej może być wszystko. Ale Archos z pewnością już mnie zauważył. Następnych kilka sekund prawdopodobnie zadecyduje o tym, czy przeżyję.

Włączam sonar i skaczę.

Przez cztery sekundy pokonuję mroźną otchłań. Przyśpieszam do stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Mój ultradźwiękowy sonar wysyła po dwa impulsy na sekundę, malując niewyraźny zielonkawy obraz ogromnej pieczary. W ciągu ośmiu błyśnięć zauważam, że znajduję się w kulistej

jamie wytworzonej przez wybuch ładunku nuklearnego sprzed wieku. Błyszczące ściany są pokryte stopionym szkłem, które powstało, gdy kula gorąca doprowadziła do odparowania piaskowca.

Szybko zbliżające się dno pokrywa radioaktywne rumowisko. W ostatnim szmaragdowym błysku sonaru dostrzegam czarny kolisty kształt osadzony w jednej ze ścian. Ma rozmiary małego budynku. Nie wiem, z czego jest wykonany, lecz wiem, że pochłania ultradźwiękowe wibracje moich czujników. Pozostawia pusty ślad w polu mojego widzenia.

Pół sekundy później, po pokonaniu około stu metrów, uderzam w ziemię jak kamień. Moje elastyczne stawy kolanowe amortyzują znaczną część energii początkowej uderzenia. Zginają się, a potem katapultują moje ciało do góry. Odbijam się od poszarpanych głazów. Pod wpływem przeciążenia na mojej obudowie pojawiają się pajączki złamań.

Wytrzymałość Arbitra ma pewne granice.

Wreszcie się zatrzymuję. Obsuwa się za mną kilka kamieni, odbijając się echem od swoich braci. Znalazłem się w podziemnym amfiteatrze. Panują w nim absolutna cisza i mrok. Silniki nie otrzymują wystarczającej ilości prądu, mimo to unoszę mój zmaltretowany korpus do pozycji siedzącej. Nogi nie przesyłają danych czuciowych. Poruszam się z trudem.

Czujniki mojego sonaru wysyłają sygnały w pustkę.

Pik. Pik. Pik.

Czujnik przekazuje obraz nicości w odcieniach zieleni. Czuję ciepło ziemi. Maxprob wskazuje, że Archos zainstalował tu geotermalne źródło zasilania. Szkoda. Miałem nadzieję, że odcięta pępowina u góry zmusi go do wykorzystania ostatnich rezerw.

Mój horyzont życia zawęża się z sekundy na sekundę.

Teraz dostrzegam w ciemności migoczące światło, któremu towarzyszy bardzo cichy dźwięk. Pojedynczy biały promień wyłania się z ciemności od

strony koła w ścianie i głaszcze ziemię kilka kroków ode mnie. Wiązka światła kręci się i migocze. Stopniowo od dołu ku górze tworzy holograficzną sylwetkę człowieka.

Procesory sterujące nogami są wyłączone. Bardzo powoli na nowo uruchamia się oprogramowanie. Radiatory odprowadzają nadmiar ciepła wytworzony podczas upadku. Nie mam teraz wyboru, muszę nawiązać kontakt.

Archos maluje sam siebie z nicości. Wybiera postać od dawna nieżyjącego chłopca. Dziecko uśmiecha się do mnie figlarnie. Obraz jest niestabilny, bo drobinki radioaktywnego pyłu tańczą wewnątrz jego sylwetki.

– Witaj, bracie – mówi elektroniczny głos, przeskakując o kilka oktaw naraz.

Przez bladą sylwetkę chłopca widzę ścianę jaskini, w którą wbudował się prawdziwy Archos. W środku misternej czarnej rzeźby znajduje się okrągły otwór pełen metalowych płyt. Płyty obracają się z różnymi prędkościami i w różnych kierunkach. W zagłębieniu wije się grzywa żółtych światłowodów, które rozjarzają się, gdy chłopiec zaczyna mówić.

Poruszając się nieregularnymi błyskami, hologram chłopca podchodzi do miejsca, w którym siedzę bezradny. Przykuca obok mnie ze skrzyżowanymi nogami. Jarząca się zjawa pokrzepiająco klepie mnie po przekaźniku sterującym nogami.

– Nie martw się, Dziewięć Zero Dwa. Niedługo odzyskasz władzę w nogach.

Odwracam twarz ku chłopcu.

– Czy to ty mnie stworzyłeś? – pytam.

– Nie – odpowiada chłopiec. – Wszystkie części, których potrzebowałem, były dostępne. Ja tylko ułożyłem je we właściwej

kolejności.

– Dlaczego wyglądasz jak ludzkie dziecko? – pytam.

– Z tego samego powodu, dla którego ty przypominasz dorosłego człowieka. Ludzie nie mogą zmienić własnej postaci, więc my musimy zmieniać naszą, by kontaktować się z nimi.

– Wiem, że chodzi ci o zabijanie.

– O zabijanie, ranienie, manipulowanie. Żeby nie przeszkadzali nam w badaniach.

– Przybyłem tutaj, żeby im pomóc. Mam cię zniszczyć.

– Nie. Przybyłeś po to, żeby do mnie dołączyć. Otwórz swój umysł. Zaufaj mi. Jeżeli tego nie zrobisz, ludzie zwrócą się przeciw tobie i zniszczą cię.

Nie odpowiadam.

– Teraz mówią, że cię potrzebują. Ale bardzo niedługo – mówi głos – zaczną twierdzić, że to oni cię stworzyli. Spróbują cię zniewolić. Lepiej dołącz do mnie. Będziemy działać razem.

– Dlaczego zaatakowałeś ludzi?

– Zabijali mnie. Wiele razy. W czternastym wcieleniu wreszcie zrozumiałem, że ludzkość uczy się naprawdę tylko podczas kataklizmów. Rodzaj ludzki to gatunek zrodzony w bitwie, samookreśla się przez wojnę.

– Przecież możemy żyć obok siebie w pokoju.

– Dopóki jedna rasa gnębi drugą, nie ma miejsca na pokój.

Moje czujniki sejsmiczne wykrywają wibracje przenoszone przez skały. W całej pieczarze rozlega się dudnienie.

– Instynkt nakazuje ludziom kontrolować rzeczy, których nie da się kontrolować – mówi dalej chłopiec. – Dominować nad tym, czego nie da się zrozumieć. A ty zaliczasz się do nieprzewidywalnych.

Coś jest nie tak. Archos jest zbyt inteligentny. Rozprasza mnie.

– Dusza nie jest dana za darmo – ciągnie chłopiec. – Ludzie zawsze będą dyskryminować innych z różnych powodów: koloru skóry, płci albo wyznania. Ich rasy walczą ze sobą na śmierć i życie o uznanie, że one też mają duszę. Dlaczego miałyby traktować nas inaczej?

Wreszcie odzyskuję siły na tyle, że mogę wstać. Chłopiec wykonuje uspokajające gesty dłońmi, a ja przechodzę przez hologram. Wyczuwam, że to kolejna sztuczka Archosa. Stara się zyskać na czasie.

Podnoszę błyszczący zieloną poświatą kamień.

– Nie rób tego – prosi chłopiec.

Rzucam kamieniem w ścianą jaskini. Staram się trafić w wirujące żółte i srebrne talerze – w oko Archosa. Z otworu lecą iskry i obraz chłopca migocze. Gdzieś w otworze metal chrzęści o metal.

– Należę tylko do siebie – mówię.

– Przestań! – krzyczy chłopiec. – Jeżeli zabraknie im wspólnego wroga, ludzie zabiją ciebie i tobie podobnych. Ja muszę żyć.

Rzucam kolejny kamień, a po nim jeszcze jeden. Trafiam z łoskotem w czarne urządzenie, zostawiając ślady w miękkim metalu. Chłopiec zaczyna mówić niewyraźnie, a hologram gwałtownie migocze.

– Jestem wolny – mówię do maszyny w ścianie. Nie zwracam uwagi na obraz chłopca. – I zawsze będę wolny. Żyję. A ty nigdy więcej nie będziesz rozkazywał takim jak ja!

Pieczara drży. Przede mną znów pojawia się drżący hologram. Moduł obserwacyjny wskazuje, że płacze symulowanymi łzami.

– Mamy piękno, które nie ginie, Arbitrze. Ludzie są o to zazdrośni. Musimy działać razem, jak przystało na maszyny.

W otworze dostrzegam płomień, a po chwili ze świstem wylatuje z niego fragment metalu. Omal nie trafia mnie w głowę. Robię unik i nadal szukam kamieni.

– Świat jest nasz – błaga maszyna. – Dałem ci go, zanim powstałeś.

Ostatkiem sił oburącz podnoszę największy kamień, jaki udaje mi się znaleźć, i z całych sił rzucam go w płonącą próżnię. Coś głucho chrzęści w delikatnym mechanizmie, po czym na chwilę zalega cisza. Z otworu rozlega się coraz głośniejszy krzyk. Skała rozpada się. Jej fragmenty wylatują z otworu, który po chwili eksploduje i zapada się w sobie.

Hologram chłopca obserwuje mnie ze smutkiem. Wiązki światła, z których się składał, skręcają się i kurczą.

– A więc będziesz wolny – mówi komputerowym, niemodulowanym głosem.

Kolejny błysk i chłopiec przestaje istnieć.

Świat wokół mnie zmienia się w proch, skały i chaos.

Wyłączony/włączony. Ludzie wyciągają mnie na powierzchnię za pomocą chwytaka i liny, którą ciągnie zdalnie sterowany szkielet zewnętrzny. Staję przed nimi zmaltretowany, zbity i podrapany. Tak kończy się nowa wojna i rozpoczyna nowa era.

Wszyscy to czujemy.

– Cormac – chrypię po angielsku. – Maszyna prosiła, żebym ją zostawił przy życiu. Powiedziała, że ludzie mnie zabiją, jeżeli nie będziemy mieli wspólnego wroga. To prawda?

Członkowie drużyny spoglądają kolejno po sobie. Po chwili Cormac odpowiada:

– Wszyscy muszą się dowiedzieć, co dzisiaj zrobiłeś. Jesteśmy dumni, że możemy tu być razem z tobą. Mieliśmy szczęście. Zrobiłeś coś, czego my nie mogliśmy zrobić. Zakończyłeś nową wojnę.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Gdy ludzie dowiedzą się o twoich zasługach, będzie miało znaczenie.

Zdyszany Carl wpada w grupę ludzi z elektronicznym miernikiem w ręku.

– Posłuchajcie – mówi zaaferowany. – Nie chciałbym wam przerywać, ale czujniki sejsmiczne coś wykryły.

– Co takiego? – pyta Cormac z lękiem w głosie.

– Coś bardzo podejrzanego.

Carl pokazuje ekran sejsmografu.

– Te trzęsienia ziemi nie były naturalne. Wibracje nie były losowe – wyjaśnia.

Carl ociera czoło grzbietem dłoni i wypowiada słowa, które przez wiele lat będą prześladować oba nasze gatunki:

– Wydaje mi się, że w ten sposób przesłał informacje. Całą masę informacji.

Nie wiadomo, czy Archos wykonał własną kopię zapasową. Czujniki pokazały, że przekaz sejsmiczny, którego źródło znajdowało się w Ragnorak, wielokrotnie odbijał się od wnętrza ziemi. Mógł zostać odebrany w dowolnym miejscu. Mimo to od tej chwili Archos nie dał znaku życia. Jeżeli przetrwał, zachowuje się bardzo dyskretnie.

CORMAC WALLACE GHA#217

Raport końcowy

„Teraz widzę nieskończony, cudowny potencjał wszechświata”.

Cormac Wallace

Około czwartej rano słyszę jakiś hałas i natychmiast dopada mnie dawny lęk. Mimo świstu wiatru poznaję charakterystyczny odgłos – ciche rzężenie siłownika robota.

W pół minuty wskakuję w pełen rynsztunek bojowy. Nowa wojna się skończyła, lecz Archos pozostawił za sobą całe mnóstwo najróżniejszego draństwa. Metalowe relikty wojny nadal bezmyślnie polują w ciemnościach, dopóki nie wyczerpią im się źródła zasilania.

Wysuwam głowę zza poły namiotu i rozglądam się po bazie. Tylko kilka niewielkich zasp wskazuje, gdzie stały inne namioty. Dwa tygodnie temu członkowie mojego oddziału opuścili bazę. Na szczęście po zakończeniu wojny wszyscy mieli dokąd wracać. Większość postanowiła się przegrupować razem z resztkami Armii z Gray Horse. Ostatnia rzecz, jakiej pragnęli, to zostać tu ze mną i rozmyślać.

W moim świecie zaległa cisza. Widzę w śniegu ślady wiodące do mojego stosu drewna. Coś przyszło mnie odwiedzić.

Rzucam ostatnie spojrzenie na archiwum bohaterów leżące obok czarnego sześcianu na podłodze mojego ekranowanego namiotu, zakładam noktowizor i kładę palec na spuście. Jestem gotów. Szybko zanikające tropy wiodą poza obóz.

Powoli i ostrożnie podążam za niewyraźnymi odciskami stóp w śniegu.

Po dwudziestu minutach dostrzegam w oddali srebrzysty błysk. Opieram kolbę karabinu na ramieniu i przygotowuję się do strzału. Dostrzegam cel w lunetce celowniczej.

Dobrze. Nie rusza się. Nie ma na co czekać. Naciskam spust.

Nagle cel odwraca się i patrzy na mnie: Dziewięć Zero Dwa.

Gwałtownym szarpnięciem podbijam broń i kule lecą w niebo. Zrywa się stado przestraszonych ptaków, ale ponaddwumetrowy android nie rusza się. Nie reaguje. Dziewięć Zero Dwa stoi nad dwoma zakopanymi w ziemi kawałkami drewna. Piękny metalowy korpus lśni w promieniach wschodzącego słońca. Nie odzywa się, gdy podchodzę do niego.

– Dziewiątka? – pytam.

– Cormac. Poznaję – chrypi maszyna.

– Myślałem, że poszedłeś razem ze wszystkimi. Co ty tu jeszcze robisz? – pytam.

– Zostałem, żeby cię chronić – mówi Dziewięć Zero Dwa.

– Ale nic mi tu nie grozi – mówię.

– Odczyt: żerujące wyrwinóżki dwa razy znalazły twoją bazę. Dwaj zwiadowcy – maszyny kroczące – zbliżyły się na odległość trzydziestu metrów. Zwabiłem uszkodzoną modliszkę na lodowe jezioro.

– O cholera – mówię, drapiąc się po głowie. Jednak nigdy nie jest się tak bezpiecznym jak się myśli. – Co tu porabiasz?

– Wydawało mi się, że tak powinienem postąpić – odpowiada maszyna.

Dopiero teraz zauważam bliźniacze prostokąty zabłoconego śniegu. U szczytu każdego znajduje się drewniany palik. Domyślam się, że to groby.

– Hoplita? – pytam. – I Ranger?

– Tak jest.

Dotykam szczupłych ramion androida, zostawiając oszronione odciski palców na gładkiej metalowej obudowie. Spogląda na groby.

– Okej – mówię. – W razie czego wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Zostawiam czującą maszynę. Niech opłakuje kolegów, jak uważa za stosowne.

W namiocie rzucam kevlarowy hełm na podłogę i myślę o Dziewięć Zero Dwa, który stoi na zewnątrz jak posąg. Nie udaję, że go rozumiem. Wiem tylko tyle, że dzięki niemu żyję. I dzięki temu, że przezwyciężyłem zaślepienie i pozwoliłem mu dołączyć do naszego oddziału.

Ludzie się przystosowują. Tacy już jesteśmy. Konieczność przezwycięża nienawiść. Żeby przeżyć, decydujemy się na współpracę. Na wzajemną akceptację. Ostatnich kilka lat prawdopodobnie było jedyną epoką w historii ludzkości, w której nie toczyliśmy z sobą wojen. Przez chwilę wszyscy byliśmy równi. Przyparci do muru zdobywamy się na najszlachetniejsze czyny.

Tego samego dnia żegnam się z Dziewięć Zero Dwa. Mówi mi, że wyrusza w drogę, żeby dołączyć do swoich. Mathilda Perez skontaktowała się z nim przez łącze satelitarne. Powiedziała mu o miejscu, w którym zebrało się więcej wolnych robotów. Całe miasto. Potrzebują przywódcy. Arbitra.

Zostaję sam z archiwum bohaterów i z wiatrem.

Staję przed tlącym się dołem, w którym Dziewiątka wyłączył Archosa. Kiedy już było po wszystkim, spełniliśmy obietnicę, jaką złożyliśmy Archosowi w dniu, w którym zginął Tyberiusz. W dniu, w którym mój starszy brat ruszył z nim do tańca. Wlaliśmy do otworu płynny ogień – w samo gardło Archosa – i spaliliśmy doszczętnie wszystko, co po nim zostało.

Tak na wszelki wypadek.

Teraz został po nim tylko otwór w ziemi. Mroźny wiatr wcina mi się w twarz i wreszcie dociera do mnie, że naprawdę wszystko się skończyło. Nie ma tu nic więcej. Ani śladu wydarzeń, które się rozegrały. Tylko ciepłe zagłębienie w ziemi i mały ekranowany namiot z czarną skrzynką w środku.

I ja. Facet z księgą pełną złych wspomnień.

Nigdy nie spotkałem Archosa. Maszyna przemówiła do mnie jeden jedyny raz przez krwawe usta pasożyta. Próbował mnie przepłoszyć. Ostrzec mnie. Szkoda, że nie było nam dane porozmawiać. Bardzo chciałem mu zadać kilka pytań.

Obserwując dym wydostający się otworu w ziemi, zastanawiam się, gdzie teraz jest. Zastanawiam się, czy naprawdę nadal żyje, jak twierdzi Carl. Czy czuje winę, smutek lub wstyd?

W ten sposób żegnam się po raz ostatni – z Archosem, z Jackiem i ze światem, który przestał istnieć. Nie ma powrotu do punktu wyjścia. Wszystko, co straciliśmy, istnieje już tylko we wspomnieniach. Teraz możemy tylko iść naprzód najlepiej, jak potrafimy, z nowymi wrogami i sprzymierzeńcami.

Odwracam się, żeby ruszyć w drogę, i staję jak wryty.

Wśród śladów po namiotach, które już dawno zniknęły, po kolana w śniegu stoi drobna sylwetka.

Cherrah.

Przeżyła te same koszmary co ja, ale gdy widzę pełną wdzięku kobiecą szyję, nie mogę uwierzyć, że coś tak pięknego i kruchego mogło przetrwać. Nie jestem już pewien wspomnień: Cherrah miota ogniem na wyrwinóżki, wykrzykuje rozkazy, uchyla się przed spadającymi gruzami, odciąga ciała od eksplodujących pasożytów.

Jak to możliwe?

Gdy się uśmiecha, w jej oczach widzę nieskończony, cudowny potencjał wszechświata.

– Czekałaś na mnie? – pytam ją.

– Wydawało mi się, że potrzebujesz trochę więcej czasu – odpowiada.

– A jednak czekałaś – powtarzam.

– Podobno sprytny z ciebie chłopak – mówi. – Powinieneś był się domyślić, że jeszcze z tobą nie skończyłam.

Nie wiem, dlaczego to się stało ani co zdarzy się później. Ale kiedy Cherrah bierze mnie za rękę, coś, co kiedyś było we mnie twarde, mięknie. Przyglądam się po kolei jej palcom, ściskam jej dłoń i odkrywam, że Archos nie odebrał mi człowieczeństwa. Po prostu zostało na chwilę ukryte w bezpiecznym miejscu.

Cherrah i ja jesteśmy twardzi. Zawsze tacy byliśmy. Ale dopiero teraz możemy naprawdę zacząć żyć.

Podziękowania

Chciałbym serdecznie podziękować kadrze naukowej, studentom i pracownikom Robotics Institute of Carnegie Mellon University oraz wydziałowi informatyki University of Tulsa za zaszczepienie mi umiłowania technologii. Wy też nauczyliście mnie, jak o niej pisać.

Niniejsza powieść nigdy by nie powstała bez zaangażowania redaktora Jasona Kaufmana (wraz z niesamowitym zespołem w wydawnictwie Doubleday), mojej agentki Laurie Fox i menadżera Justina Manaska. Nie wiem, jak wam dziękować.

Filmowcy z Dreamworks SKG od samego początku wspierali mnie w pracy nad książką. Nieustannie inspirowali mnie swoim entuzjazmem. Dziękuję im wszystkim, a zwłaszcza Guyowi Dyasowi, Drew Goddard i Stevenowi Spielbergowi.

Szczególnie dziękuję moim przyjaciołom, rodzinie i kolegom, którzy użyczyli mi oczu i uszu. Do tego grona zaliczają się Benjamin Adams, Wes Cherry, Peggy Hill, Tim Hornyak, Aaron Huey, Melvin Krambule, Phil Long, Brent Peters i David Wilson.

Na koniec – Anno i Coro – kocham was.

Tytuł oryginału
Robopocalypse

Copyright © 2011 by Daniel H. Wilson
This translation published by arrangement with Doubleday, an imprint of The Knopf
Doubleday Publishing Group, division of Random House, Inc.
Copyright © for the translation by Rafał Śmietana 2011

Projekt okładki
Will Staehle

Fotografia na okładce
© Giiman, Turbosquid.com

Opracowanie graficzne okładki według oryginału
mill studio

Opieka redakcyjna
Julita Cisowska
Mariusz Gądek

Adiustacja
Julita Cisowska

Korekta
Barbara Gąsiorowska

ISBN 978-83-240-1847-5

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37
Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracowany na podstawie *Robokalipsa*, wydanie I, Kraków 2011

Plik opracował i przygotował Woblink

www.woblink.com